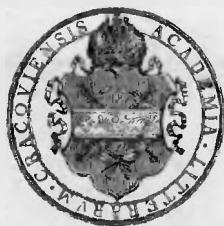


ŻYCIE I DZIEŁA
BARTŁOMIEJA I SZYMONA ZIMOROWICZÓW
(OZIMKÓW)

NA TŁE STOSUNKÓW ÓWCZESNEGO LWOWA

NAPISAŁ

KORNELI JULIUSZ HECK.



W KRAKOWIE.
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1894.



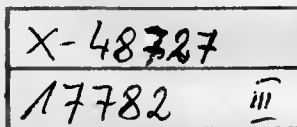
17782

III

Chorąszczyński Stefan Ruda. 15. II. 21. cena 8 zł.



Osobne odbicie z Tomu XXIII. Rozpraw Wydziału filologicznego
Akademii Umiejętności w Krakowie.



[8,-]

Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimków)

na tle stosunków ówczesnego Lwowa

napisał

Korneli Juliusz Heck.

Część pierwsza.

Źródła i literatura.

(Sądy współczesnych pisarzy. — Zaniknięcie tradycyi. — Prace dawniejsze i pomieszczenie Bartłomieja z Szymonem. — Brodziński. — Bielowski. — Prace nowsze: Felicyan (Falcuski), Nogaj, Suryn, Wislocki i Władysław Łoziński. — Prace autora monografii).

Szymona Zimorowicza nie zna współczesna literatura polska. Natomiast sława Bartłomieja była dosyć znaczną i nie ograniczała się tylko do samego Lwowa i tych miast, które jak Zamość i Kraków utrzymywały z nim ściślejsze stosunki, ale sięgała także i innych zwłaszcza duchownych sfer.

Wprawdzie pomiędzy kilku tysiącami druków XVII stulecia, które miałem pod ręką,¹⁾ znalazłem zaledwie siedmiu pisarzy, którzy o nim

¹⁾ Jako b. skryptor zakładu narod. im. Ossolińskich przy pracy nad katalogiem realnym.

wspomnieć nie omieszkali¹⁾, lecz wniosku stąd ujemnego żadną miarą wysnuwać nie można, bo liczba ich z pewnością byłyby nierównie większą, gdyby skroń Bartłomieja zdobiła była mitra książęca, lub gdyby był piastował wybitniejszą w pojęciach ówczesnych godność.

Pierwszym z pomiędzy owych pisarzy jest Castelli Daniel, lwowianin, który już w r. 1655 nazywa Bartłomieja *multiplicis eruditionis peritissimus*²⁾. W sześć lat później Bazyli Rudomicz, profesor akademii w Zamościu, podnosi jego *humanitas* i *eruditionis suada*, oddając szczególniejszą pochwałę wierszom jambicznym poematu łacińskiego: *Jesus, Maria, Joseph*³⁾. W r. 1659 a więc już po wydaniu Roxolanek, Stanisław Bieżanowski, profesor Akademii krakowskiej i panegiryczny Dumas i Kraszewski, który nawet po stracie wzroku nie przestał tworzyć panegiryków⁴⁾, unosi się nad wydanymi niedawno przedtem Roxolankami i wspominając o Pamiętce wojny chocimskiej nadmienia równocześnie, że Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy są tylko przekładem z języka łacińskiego⁵⁾. Tak więc Bieżanowski jest pierwszym, który pomieszał jednego Zimorowicza z drugim, przypisawszy Roxolanki autorowi Sielanek⁶⁾ w przeciwieństwie do późniejszych, którzy oba utwory przyznawali młodszemu bratu Bartłomieja Szymonowi.

Największe pochwały oddają mużie Bartłomieja Jan Walenty Mazurkiewicz, profesor collegii maioris i jezuita Michał Krasuski. Pierwszy w epigramie dołączonym do Zimorowicza: *Viri illustres civitatis Leopoliensis*⁷⁾ podnosi szczególnie elegancją i słodycz jego utworów „godną stylu przesławnych mistrzów greckich“, drugi poświęca mu całą odę, jako autorowi hymnów na cześć Maryi ułożonych, na-

¹⁾ Ob. zebrane przezemnie i przesłane Akademii umiejętności w Krakowie: Materiały do życia Bartł. Józefa Zimorowicza Cz. I. Nr. 1—7. (Odliczyć wszelako należy kancelaryą królewską, a dodać Józefowicza).

²⁾ W wystósowauej do rajców lwowskich przedmowie dedykacyjnej dziełka: „Symbola boni affectus“. Kazimierz pod Krakowem 1645.

³⁾ Bazylego Rudomicza: *Leo Leopoliensis* (Zamość 1651), wydany przezemnie w Pomniejszych źródłach do dziejów literatury i cywilizacyi polskiej w 16 i 17 stuleciu, zeszyt 1. (Stryj 1889) na str. 30.

⁴⁾ Osobistość nader interesująca; setki jego utworów posiadają biblioteki Ossolińskich i Jagiellońska, a setki tytułów wymienia bibliografia dra Estreichera.

⁵⁾ Do tego bowiem tylko dzieła odnieść można wyrażenie *Mariae seu cantica Lethis a Latio transfert*. Ob. Bieżanowski *Stanislaus Josephus: Acroama panegyricum honori urbis Leopoliensis, Cracoviae 1659*.

⁶⁾ Wyrażenia *Roxolani dulcoris succos* i *Roxica prata pererrat* dadzą się w r. 1659 odnieść tylko do Roxolanek, bo do innych utworów nie przystają, a Sielanki wyszły dopiero w r. 1663.

⁷⁾ Leopoli 1671.

zywa go lwowskim Wergiliuszem i porównuje z Katullem i Tybullem, Owidyuszem i Horacym, Seneką, Marcyalisem i Pindarem¹⁾. Nienaturalną tę przesadę wytłumaczy nam wielki zapal religijny Krasuskiego, nakazujący mu obsypywać pochwałami wszystkich poetów, którzy na cześć Maryi pisali.

O wiele skromniej wyraża się inny profesor Akademii krakowskiej, ruchliwy Jan Stanisław Mościcki w dziele Zimorowicza: *Leopolis Russiae metropolis*, wydanem już po śmierci autora w r. 1693. Mościcki nazywa tam styl Bartłomieja świetnym (eburneus), a pióro jego poważnem i męskim, godnem tego, by przeszło do potomności, podobnie jak jego czyny podczas oblężenia Lwowa przez Turków w r. 1672. Kancelarya wreszcie królewska Jana Sobieskiego nazywa zmarłego Zimorowicza, *vir de re literatoria bene meritus*²⁾, a kronikarz lwowski ks. Jan Tomasz Józefowicz, który w czasie śmierci Bartłomieja liczył lat 14, ma dla niego tylko nazwę „starego“ lub wiekiem i nauką poważnego kousula³⁾ i zarzuca jego *Leopolis, Russiae metropolis*, że jest „zagadkowych słów pełną“⁴⁾, choć sam Józefowicz pisał swą kronikę stylem od wytykanego błędu niezupełnie wolnym.

Takie to są sądy o Bartłomieju Zimorowiczu, które we współczesnej literaturze odnaleźć zdołałem. Oznajomionego dokładnie z ówczesnym sposobem wyrażania się nie będą one razily, bo są to jeszcze pochwały nader umiarkowane w stosunku do owych szumnych wyrażań, jakimi podówczas obsypywano wszystkie wybitniejsze osobistości. Raczej posłużą mu one tylko za wskazówkę, że utwory Zimorowicza, choć wielkiego rozgłosu nie osiągnęły, to przecież podobały się powszechnie współczesnym, gdyż treścią i formą odpowiadały pojęciom i zapatrywaniom wieku.

W późniejszych czasach przerywa się nić tradycyi. Lata, które nie zdobyły się nawet na nowe wydanie pism Kochanowskiego, puściły szybko w niepamięć zasługi i dzieła zasłużonego rajcy lwowskiego. Dopiero z odrodzeniem się nauk pojawiają się napowrót wzmianki oparte

¹⁾ Oda VIII dziełka: *Regina Poloniae, augustissima virgo mater Dei*. Kalisz 1669.

²⁾ Materyały do biografii B. Zimorowicza cz. I, r. 7. (Arch. miasta Lwowa Cop. off. cons. fasc. 13 p. 357 s. 138).

³⁾ Ks. Jan Tomasz Józefowicz: *Kronika miasta Lwowa w tłumaczeniu M. Piwockiego* (Lwów 1854) str. 29 i 238.

⁴⁾ L. c. str. 307.

już na specjalnych studyach. Pierwszy Janozki Jan Daniel wspomina obszerniej¹⁾ o *Viri illustres* Bartłomieja Zimorowicza, nazywając je *ein unerhört seltenes Werk* i oceniając w ogólności trafnie, choć może nieco za surowo, jako utwór, w którym jest wiele słów, ale mało wiadomości (*viel Worte aber wenig Sachen*).

Po nim w r. 1769 pisze Józef Jędrzej Załuski²⁾, że Stanisław Mościcki wydał B. Zimorowicza relacją oblężenia Lwowa od Turków i że oryginał jej przeszedł z rąk Józ. Ep. Minasowicza do jego własnej biblioteki. Czy nieustrudzony i zasłużony badacz miał tu na myśli oryginalny rękopis, czy tylko jeden egzemplarz z wydania Mościckiego, niepodobna odgadnąć z niejasnej stylizacji okresu. To jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wspomniany Józef Epifani Minasowicz, jeden z najskrzętniejszych literatów wieku Stanisławowskiego, zwiedziony końcówką nazwiska Zimorowiczów uważał ich obu za Ormian i że dlatego, powodowany pewnego rodzaju sympatią plemienną starał się usilnie utwory ich ocalić od zagłady i podać do publicznej wiadomości. Poszedł mu w tem na rękę i kierunek wieku w czułych sielankach rozmiłowanego i dochowane w jego bibliotece Roxolanki Szymona i Sielanki Bartłomieja ujrzały znowu światło dzienne w zbiorowych edycjach sielanek polskich najpierw u Mizlera³⁾ nakładem towarzystwa literatów w r. 1770, a następnie u Groella w r. 1778⁴⁾. Oba utwory wydano pod imieniem Szymona Zimorowicza, bo edycja pierwotna Sielanek z r. 1663 jego a nie Bartłomieja podaje za autora.

¹⁾ Jos. Dan. Janozki: *Nachricht von denen in der Hochgrüflich — Zalusischen Bibliothek sich befindenden raren polnischen Büchern*. Dresden 1777 T. I nr. XXX str. 61 i 62.

²⁾ Józef Jędrzej Załuski: Biblioteka historyków, prawników, polityków i innych autorów polskich lub o Polsce piszących z przypisami Józefa Epifanego Minasowicza. Nowymi przypisami pomnożył i wydał Józef Muezkowski w Krakowie 1832. Na str. 46 znajdują się tam następujące wiersze:

„Zimorowicz Bartłomiej pisał relacją

„Oblężenie od Turków Lwowa sześć, siedm i dwa r. 1672

„A wydał ją Stanisław Mościcki w Krakowie Crac. 1693—4

„Mam i sam oryginał, z Minasowiczowskich

„Co ręką wyszedł, a do mej dostał się księgarni“.

³⁾ Sielanki polskie z różnych autorów zebrane a teraz świeżo dla zabawy i pożytku czytelników przedrukowane. Nakładem towarzystwa literatów w Polsce ustanowione, w drukarni Mizlerowskiej korpusu kadetów. Warszawa 1770.

⁴⁾ Sielanki polskie z różnych autorów zebrane, nakładem księgarni Groellowskiej. Warszawa 1778. Przy końcu przedmowy „bibliopoli“ czytamy: „Jeżeli kiedy okoliczność jeszcze raz zdarzy to dzieło przedrukować, będzie mojem staraniem... umieścić oraz portret Jmci ks. Józefa Epifanego Minasowicza, kanonika kijowskiego... któremu winna poetyka dzięki za dochowanie Roxolanek Zimorowicza w swojej bibliotece“.

Wydrukowanie Roxolanek i Sielanek dało powód do większego zajęcia się Zimorowiczami a zwłaszcza Szymonem, któremu odtąd stałe przez dłuższy czas oba utwory przypisywano. W ślad za edycją Groella wychodzi w Warszawie w r. 1805 nowe zbiorowe wydanie sielanek polskich sporządzone przez Tadeusza Mostowskiego, w którym obok innych umieszczono i portret Szymona, zgodny z przechowywanym dotychczas w muzeum Lubomirskich, a różniący się znacznie od zbyt szablonego w edycji Groellowskiej. Mostowski przytoczył również i nagrobek Szymona¹⁾, następnie kilka razy przedrukowany i doniósł o Bartłomieju, że był burmistrzem we Lwowie i pozostawił w rękopisie historią tegoż miasta, której kopią odnaleźć miano w klasztorze lwowskich OO. Bazylianów, podczas gdy oryginał podobno już wtedy miał być gdzieś zarzuconym w archiwum magistratu lwowskiego. Na podstawie wiadomości zaczerpniętych z tegoż rękopisu utrzymywał też słusznie Mostowski, że ostatnia sielanka jest pióra Bartłomieja, a nie Szymona i że w niej tenże pod imieniem Filorety opiewa swą zmarłą małżonkę.

Do szczegółów podanych przez Mostowskiego dołączył ks. Hieronim Juszyński, że Szymon przetłumaczył na język polski greckiego poetę Moschosa²⁾, a Zagórski Franciszek wypowiedział już na kilka lat przed tem zdanie, że w sielance drugiej należy przez Miłosza rozumieć samego poetę Szymona Zimorowicza³⁾. Sprzeciwił się temu Bentkowski Felix⁴⁾ na podstawie wiersza:

„Aż kiedy w piąty snopek kłosy moje wiązę“,

którego oczywiście nie umiał pogodzić z nagrobkiem przytoczonym przez Mostowskiego, gdzie wyraźnie nadmieniono, że Szymon umarł 25-letnim młodzieńcem. Sielanki zresztą Szymona uważa Bentkowski za więcej oryginalne, ale mniej słodczy zawierające, niż poezye Szymonowicze, a o Bartłomieju powiada, że pisał także Pamiątkę wojny chocimskiej, której egzemplarz miał się podówczas znajdować w bogatej bibliotece Chreptowiczów, w Szczorsach na Litwie⁵⁾.

1) Dokładniej o nim w zebranych przezemnie materyałach do biografii Szymona Zimorowicza, przesłanych również Akademii Umiejętności w Krakowie.

2) Por. Felix Bentkowski: *Historia literatury polskiej*, wydanie z r. 1814 t. I, str. 442.

3) Zagórski Franciszek: *Muzeusz poeta grecki o Leandrze i Erze*. Warszawa 1796 na str. 124.

4) L. c. t. I, str. 348—349 i 441—443.

5) L. c. t. I, str. 348—349.

W wydany następnie dykeyonarzu ks. Hieronima Juszyńskiego¹⁾, tudzież w rękopiśmiennem Księgoznawstwie Stanisława Przyłęckiego²⁾ znajdują się już tytuły całego szeregu utworów obydwu Zimorowiczów, a między nimi obok powyżej wymienionych i nowo odszukane dziełka Bartłomieja: *Jesus Maria Joseph, Vox leonis, Domus virtutis et honoris, Advocatus mundi i Salutationes sacrarum regiarum maiestatum*. Równocześnie jednak stał się Juszyński powodem jeszcze większego zamieszania, bo opierając się na pomyłce wyżej wymienionego Michała Krasuskiego, który Bartłomieja z pośpiechu lub niewiedomości nazwał Maciejem, przyjął za rzecz prawdopodobną, iż w 17 wieku żyło i pisało równocześnie aż trzech Zimorowiczów, z których aż dwu miało być rajcami lwowskimi tj. Bartłomiej i Maciej.

Po takim częściowem załatwieniu kwestyi zwłaszcza bibliograficznych przystąpili Słowacki Euzebiusz i Brodziński Kazimierz do rozbioru estetycznego i do wydania sądu o Sielankach i Roxelankach, kursujących już w tylu wydaniach między publicznością. Zdanie pierwszego³⁾ pomijam, wyrok zaś drugiego⁴⁾ musiał wypaść w duchu poety, u którego przebijająca się jeszcze tu i owdzie powłoka klasyczna i sentymentalizm ubiegłej już epoki były dziwnie pomieszane z zamiłowaniem do romantyzmu. Szczególniej podobały mu się sielanki, jako rzekomo oryginalniejsze i więcej na pieśniach ludu małopolskiego oparte, choć „mniej płynne“ i „mniej narodowość malujące“, niż poezye Szymonowicza. Najwięcej atoli unosi się autor Wiesława nad „rozlaną w nich słodką melancholią“, która takie na nim sprawia wrażenie, że nie waha się twierdzić, iż: „Pieśni te zawierają wszystko, co poezya pięknego mieć może: tchną duchem dawnej starożytności i mają myśli godne Homera, obrazy w zawód idące z Ossyanem i podług wszelkiego podobieństwa domyślać się potrzeba, że korzystać musiał z dawnych słowiańskich pieśni“. To też ma nawet pretensye do Zimorowicza z powodu, że „może miłość autorstwa nie dozwalała mu zebrać pieśni ludu, którym widocznie ubogacał swe pieśni, bo więcejby się tem był przysłużył aniżeli mieszając do sielskich swych obrazów greczyznę, szczególniej gdyby zebrał był pieśni przy obrządkach ze słowiańskich czasów“. Brodziński uważał oczywiście istnienie w 17 wieku takich obrządków i pieśni

¹⁾ Ks. Hieronim Juszyński: Dykeyonarz poetów polskich (Kraków 1820) t. II, str. 378—380.

²⁾ Rękopis zakładu narod. im. Ossolińskich l. 1820, str. 417 i 658.

³⁾ Słowacki Euzebiusz: O sztuce dobrego pisania w języku polskim. Dziennik wileński r. 1815 t. I, str. 202—246, 301—330, 404—445 i 489—513.

⁴⁾ Dzieła Kazimierza Brodzińskiego (Wilno 1842) t. V, str. 86—89.

za nie ulegające prawie wątpliwości, — zupełnie w myśl Zoryana Dolegi Chodakowskiego (Czarnockiego) i innych, rozległe poszukiwania w tym kierunku podówczas czyniących.

Po przeczytaniu takiego sądu o Sielankach spodziewałby się czytelnik, że i Roxolanki wywołały w duszy Brodzińskiego przynajmniej równie dobre wrażenie. Tymczasem, rzecz dziwna, uważa je za pisane w pośpiechu i zarzuca im, że obok „swobody Anakreonta i miłej narodowej swojskości“ tchną nieraz rozwlekłością i nieforemnością (sic!). Domyśleć się więc nam z kolei potrzeba, że uważał je za mniej oryginalne i więcej na wzorach klasycznych oparte i że w melancholijnym odcieniu Roxolanek widział tylko tkliwość przemawiającą nierównie mniej do jego usposobienia ¹⁾.

Taki wyrok zapadł i to z ust do tego powołanych o Sielankach i Roxolankach Szymona Zimorowicza, do którego, jak wyżej nadmieniałem, oba utwory odnoszono. Czytająca publiczność mogła się zadowolić tym wyrokiem, bo odpowiadał w zupełności ówczesnym wyobrażeniom estetycznym i ówczesnemu kierunkowi w literaturze. Atoli o życiu autora a raczej autorów bardzo mało jeszcze zawsze wiadano. Za ilustracją tej nieświadomości i niedbałości o szczegóły biograficzne może posłużyć przedmowa do wydanego w r. 1833. *Leopolis triplex* Bartłomieja w nader lichym przekładzie Marcina Piwockiego ²⁾. Tłómacz, który, jak sam powiada, całe dzieło własną ręką przepisał i dopiero potem na język polski przełożył, nie zrozumiał nawet należycie zawartych tam wiadomości i podał zaledwie kilka częściowo mylnych szczegółów, streszczonych w niewielu wierszach. Byłto jednakże zawsze już postępek w porównaniu z odpowiedzią magistratu lwowskiego (w r. 1770) na prośbę OO. Bazylianów, którzy znalazłszy w swej bibliotece kronikę B. Zimorowicza pragnęli dowiedzieć się czegoś bliższego o jej autorze. Zarząd miasta urzędową odpowiedź zaczął wprawdzie nader szumnie stereotypową formułką ³⁾ *Proconsul et consul urbis Sacrae Regiae Ma-*

¹⁾ Por. l. c. str. 87: „Stąd przypomina się Ossyan (wielbiony przez Brodzińskiego), tak jak on więcej melancholijny, niż tkliwy“.

²⁾ *Historia miasta Lwowa... z opisaniem dokładnem okolic i potrójnego obleżenia... przez Bartłomieja Zimorowicza po łacinie napisana a teraz na żądanie powszechne pracą Marcina Piwockiego... na język polski przełożona. Lwów 1833.* Piwocki zbierał przedpłatę na to dzieło a bilet prenumeracyjny przechował się w Księgozawstwie Przyłęckiego (Rękopis bibl. Ossolińskich l. 1. 820 str. 275), charakteryzując dosadnie ówczesne stosunki literackie w Galicyi. Zamiast słów: język polski użyto tam wyrażenia „słowiański język w Galicyi używany“ a przedpłatę złożyło 27 osób, przeważnie duchownych i profesorów gimnazjalnych.

³⁾ Przytoczona przez Piwockiego l. c. str. IV—V,

iestatis Leopoldis, metropolis Russiae in regno Poloniae, universis et singulis, quorum interest notum testatumque facimus, ale o zasłużonym rajcy i obrońcy miasta Lwowa nie umiał nic więcej powiedzieć prócz tego, że był pisarzem urzędu radzieckiego koło r. 1660 (sic!) i że potem zostawszy konsulem miasta napisał i wydrukował (sic!) koło r. 1672 dwa dzieła, z których jedno zatytułowane *Leopoldis triplex* a drugie *Viri illustres civitatis Leopoldiensis*. Do tego stopnia zatraciła się tradycja o Bartłomieju w jego rodzinnem mieście i to już w 90 lat po jego śmierci.

Panujących w tym względzie ciemności nie rozświecił ks. Ignacy Chodyniecki w ustępach Zimorowiczom poświęconych¹⁾, bo oparł je prawie wyłącznie na ocenie Brodzińskiego i wiadomościach podanych przez Mostowskiego i Bentkowskiego. Nie posunął też kwestyi naprzód i sympatyczny Edward Odyniec²⁾, który w artykule zajmującym się głównie Sielankami i Roxolankami i rozpatrującym je ze stanowiska romantyków polskich przyznaje Szymonowi trzecie po Kochanowskim miejsce ze względu „na gładkość wiersza“, tudzież „czystość i moc języka“. Dopiero gruntowna i w utwory Bartłomieja głębiej wnukająca rozprawa Augusta Bielowskiego p. t. Dwaj Zimorowicze postawiła odrazu całą sprawę na innem stanowisku. Znakomity i niestrudzony badacz okazał już wówczas (w r. 1839) niezwykle talent krytyczny, udowodniwszy zapomocą rozbioru pojedynczych pieśni, że Sielanki i Roxolanki nie mogą pochodzić od jednego autora. Wywody swoje poparł wiadomościami zaczerpniętymi z *Leopoldis triplex* i *Viri illustres* i na podstawie ich przypisał Sielanki Bartłomiejowi a Roxolanki Szymonowi. Zebrawszy następnie podane przez siebie szczegóły biograficzne w jedną całość ułożył z nich krótkie życiorysy obydwu braci, które też utrzymały się długo nienaruszone prawie aż do najnowszych czasów.

Usterki w rozprawie Bielowskiego, zamieszczonej w poznańskim „Tygodniku literackim“ Wojkowskiego³⁾, pochodzą albo z opracowań poprzedników, na których się opierał, albo z chęci połączenia szczegółów luźnych i z sobą nie związanych. Bielowski pragnąc je w całość połączyć posługiwał się niejednokrotnie fantazją, jak np. w twierdzeniu, że niedaleko od niewielkiego gospodarstwa Zimorowicza „wyzierał z pomiędzy sliw i jabłoni dworek Szymonowiczów“, lub że „obaj mieszcza- nie znali się osobiście“, bo dom Szymonowicza leżał w śródmieściu a nie

¹⁾ Dykeyonarz uczonych Polaków (Lwów 1833) t. III, str. 406—412 i Historia miasta Lwowa (Lwów 1829, str. 437 i 438.

²⁾ W przedmowie do nowego wydania Sielanek i Roxolanek sporządzonego przez Bobrowicza w Lipsku r. 1836.

³⁾ T. II, z r. 1839, str. 310—312 i 318—320.

przy ulicy Gliniańskiej, a sam poeta przebywał pod koniec żywota poza granicami Lwowa. Mylnie też nazywa Bielowski pierwszą żonę Bartłomieja Katarzyną Duktyńską, którego to błędu byłby z pewnością uniknął, gdyby był i w tem miejscu korzystał z *Leopolis triplex* w rękopisie, a nie w lichym przekładzie Piwockiego. Drobne te jednak usterki nie ubliżają w niczem bystrości autora, którego Dwaj Zimorowicze odznaczać się zawsze będą prawdziwym zmysłem krytycznym i spostrzegawczym.

Rezultaty badań Bielowskiego nie prędko przyjęły się w społeczeństwie polskim, a jego wyżej wymieniona rozprawa może być chyba tylko dowodem, że wówczas nie było wielkiej łączności między Poznaniem a Warszawą, Krakowem i Lwowem, pomimo że pierwszy odgrywał wtedy nierównie większą rolę w literaturze naszej, niż dzisiaj. Choćż bowiem w Piśmiennictwie polskim Edwarda Dembowskiego, wydanem w Poznaniu już w r. 1845 omówiono oddzielnie obydwu Zimorowiczów¹⁾, to przecież trzej następni pisarze: Michał Wiszniewski, Wacław Aleksander Maciejowski i ks. Sadok Barącz nie znają jeszcze widocznie rozprawy Bielowskiego, gdyż tak Roxolanki jak i Sielanki przypisują jedynie Szymonowi. Prac ich jednakże pominąć w zupełności nie można, bo obok szczegółów błędnych zawierają i nowe, przez poprzedników nie poruszone.

I tak Wiszniewski²⁾, opierający się zresztą na pracach poprzednich bibliografów i na Brodzińskim, domyśla się chyba na mocy etymologicznego wywodu i analogicznych przykładów lub wrodzonej intuicji, — bo aktów dotyczących znać jeszcze nie mógł — że Zimorowicze, jak długo mieszkali na przedmieściu, nazywali się Odziunkami i że dopiero przeniósłszy się do miasta przybrali nazwisko, pod którym ich powszechnie znamy. Obok tego on pierwszy wydobywa na jaw nowe dziełko Bartłomieja tj. Mowę o męce Chrystusa Pana, identyczną zapewne z łacińskim utworem: *Ecce Deus, ecce homo*.

Artykuł Maciejowskiego³⁾ o tyle tylko ważny, że uzupełnia liczbę dzieł Bartłomieja, podając obszerniejszą wiadomość o nieznanym jeszcze bibliografom Testamencie luterskim. Natomiast życiorysy obu Zimorowiczów pióra ks. Sadoka Baracza⁴⁾, wprowadzie najdłuższe

¹⁾ Piśmiennictwo polskie w zarysie (Poznań 1845) na str. 213.

²⁾ Historia literatury polskiej t. VI. (Kraków 1844) str. 540. t. VII (tamże 1845) str. 191—195, t. VIII (1851) str. 100—101 i 103, tudzież t. IX (1857) str. 224.

³⁾ Piśmiennictwo polskie (Warszawa 1852) t. III, str. 697.

⁴⁾ Żywoty sławnych Ormian w Polsce str. 400—409 (Lwów 1856). Ks. Barącz wydrukował nadto list Bartłomieja Zimorowicza z r. 1669 w Pamiętniku dziejów polskich (Lwów 1855) str. 64, 65.

z dotychczasowych i najbardziej w szczegóły obfite, ale też i najwięcej bałamutne. Autor, który oczywiście obydwu poetów zalicza do nacyi ormiańskiej, zadał sobie wprawdzie wiele trudu i korzystał z większej ilości źródeł, niż jego poprzednicy, ale postępowanie jego jest tak niekrytyczne, że prawda spotyka się tu na każdym kroku z całą wiązką szczegółów mylnych i twierdzeń należytej podstawy pozbawionych, a dwa wyciągi z aktów archiwum lwowskiego, w uwagach do żywota Bartłomieja umieszczone, nie mają najmniejszej wartości, jako źle pojęte i odczytane.

Cały okres badań, przeważnie z dzisiejszymi wymogami nauki niezgodnych, zamykają dwa obszerniejsze artykuły Henryka Felsztyńskiego¹⁾ i Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego²⁾, którzy zestawivszy dotychczasowe prace o Zimorowiczach prawią nam aż o trzech poetach tegoż nazwiska i powtarzają prawie dosłownie, choć bez przytoczenia źródeł, estetyczne sądy poprzedników. Jedyną ich chyba zasługą, że uwzględniłi rozprawę Bielowskiego i zapoznali wreszcie szerszą publiczność z jej rezultatami, przez co położono raz na zawsze koniec łączeniu Sielanek z Roxolankami i przypisywaniu ich jednemu i temu samemu autorowi.

Tak więc dorobek literacki³⁾ prawie stu dziesięciu lat był wprawdzie niewielki, ale zawsze nie do pogardzenia. Po zupełnem przerwaniu się wszelkiej tradycyi krzątano się dosyć żywo koło wydobycia na jaw zapomnianych utworów obydwu Zimorowiczów, wydano aż pięć razy ich Sielanki i Roxolanki i wypowiedziano o nich sąd w ogólności tak dodatni, że obaj poeci stanęli na wyżynie, na jakiej przez dłuższy czas utrzymać się nie mogli. Prawie wszystkie jednak te prace były przygodne i dorywcze i dlatego mało w rzecz wnikaące. To też tylko rezultaty rozprawy Bielowskiego utrzymały się do dni naszych, — inne prócz wiadomości bibliograficznych nie mają prawie żadnej wartości.

W nowszych czasach poszły prace odmiennym i lepszym torem. Pierwszy Felicjan (Faleński) w studyum nad trenami Kochanow-

¹⁾ Por. Sielanki Józefa Bartłomieja i Szymona Zimorowicza w wydaniu K. J. Turowskiego. (Przemyśl 1857) str. 148—152.

²⁾ W wielkiej encyklopedyi powszechnej Orgelbranda sub voce.

³⁾ Pominąłem oczywiście drobne artykuły, nie nam nowego nie przynoszące, jak np. we „Lwówianinie“ z r. 1835 itd.

skiego wykazał¹⁾, że Zimorowicz Bartłomiej czerpał dosyć wiele z wieszczą czarnoleskiego. Uzasadnił to i rozwinął o wiele lepiej i gruntowniej p. Józef Nogaj w dwóch rozprawach specjalnie temu przedmiotowi poświęconych²⁾. Ocenę ich obszerniejszą podałem na innem miejscu³⁾, a tu tylko nadmieniam, że sumiennym tym i gruntownym pracom zarzucić jedynie można pewną czasami nieostrożność w wyszukiwaniu miejsc podobnych, tudzież abstrakcyjne stanowisko przy ocenianiu utworów Zimorowicza, nie uwzględniające stosunków, w których poeta przebywał.

W przeciwieństwie do rezultatu osiągniętego przez p. Nogaję, że talent Bartłomieja był nietyle twórczym ile reprodukcyjnym, wystąpił na trzy lata przedtem p. Felicjan Suryn⁴⁾ z artykułem sielankopisarzom polskim poświęconym, w którym ocenia nader przychylnie Sielanki, ale już z zupełnie innego stanowiska, niż Brodziński. Oto choć sam właściciel większych posiadłości, jest widocznie z przekonania demokratą i dlatego unosi się szczególnie nad tymi pieśniami Bartłomieja, w których zawiera się ostry protest przeciw postępowaniu szlachty wobec ludu, a potępia te sielanki, w których poeta idzie za przykładem swych poprzedników i skłania się ku naśladowaniu wzorów ze świata starożytnego. Chwali więc Bartłomieja za „dziwny talent do rysów dosadnych“ tudzież za „styl chropawy, silny, energiczny, męski“ i przyznaje mu pierwszeństwo przed Szymonowiczem, którego „talent zagłuszyły mitologiczne brednie i chwasty“, jak i przed Wergiliuszem „który pisał napuszyste pochwały dla Augusta, mordercy jego przyjaciół“.

Jakaż to sprzeczność i niezgodność w zapatrywaniach z p. Faleńskim, który dziwnym trafem również pod pseudonimem Felicjana się ukrywszy, na 18 lat przedtem wykazywał na przykładach⁵⁾, jak Zimorowicz „wypisuje żywcem“ z Kochanowskiego i jak Hylasa „wprost zlepił z rozmaitych zwrotów branych na wrywyki z Trenów“. Istnieje jednak między tymi autorami i ta różnica, że p. Faleński wywody swoje

¹⁾ Biblioteka warszawska z r. 1866 t. I: *Treny Jana Kochanowskiego studjami i przypisami objaśnione*, a zwłaszcza rozdział drugi p. t. *Treny jako szkoła naśladowania*.

²⁾ Wpływ poetów łacińskich na sielanki Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Osobne odbicie z XI tomu rozpraw Wydziału filologicznego Akademii umiejętności. Kraków 1886 str. 36 i Rozbiór krytyczny sielanki Józefa Bartłomieja Zimorowicza w sprawozdaniach IV. c. k. gimnazjum we Lwowie za rok szkolny 1887 str. 71.

³⁾ Ob. *Ateneum* z r. 1887 t. III, str. 375—381 i *Muzeum* z r. 1888 str. 567 nstp.

⁴⁾ *Sielankopisarze polscy, studjum literackie*. „Tygodnik powszechny“ z r. 1884 nr. 1—5. (Warszawa).

⁵⁾ Biblioteka warszawska l. c.

popiera argumentami w oczy bijącymi, podczas gdy subiektywna krytyka p. Suryna, napisana z dzisiejszego, socjalnego punktu widzenia, grzeszy niewniknięciem i nieprzeniesieniem się w stosunki literackie 17 stulecia. Jeden tylko szczegół trafnie w niej podniesiony i zaznaczony, a mianowicie, że niektóre pieśni w Sielankach Bartłomieja są raczej tragicznymi obrazami historycznymi niż sielankami, atoli i ten sąd, choć nie tak dobitnie, wypowiedział Odyniec prawie na pięćdziesiąt lat przedtem ¹⁾).

Wyjaśnieniu wątpliwych kwestyi bibliograficznych poświęconą jest przedmowa dra Władysława Wisłockiego w wydaniu Hymnów Zimorowicza na uroczyste święta Bogarodzicy ²⁾. Znakomity bibliograf nie tylko że dziełko to Bartłomieja na jaw wydobył i starannie je wydał, ale nadto w gruntownej i ze znajomością rzeczy napisanej przedmowie zwrócił pierwszy uwagę na świadectwo Rudomicza i na jego to głównie podstawie usunął owo błędne, na pomyłce Krasuskiego oparte unięmanie ³⁾ o istnieniu rajcy lwowskiego, Zimorowicza Macieja. Wniosek, jak to już dzisiaj twierdzić mogą stanowczo ⁴⁾, był zupełnie słuszny, bo akta miejskie żadnego Macieja Zimorowicza nie znają, a znałyby niezawodnie, gdyby tak wybitną godność we Lwowie piastował. Niepotrzebnie tylko p. Wisłocki nagina podniosłe Hymny Bartłomieja do sposobu pisania jego młodzieńczych utworów, gdyż między nimi nie ma prawie żadnego podobieństwa. Również należało uwzględnić i Księgoznawstwo Przyłęckiego, bo tam znajduje się pierwsza wiadomość i o *Vox leonis* o *Advocatus mundi*, które p. Wisłocki uważa za uratowane dopiero przez dra Estreichera.

Drobny przyczynek do znajomości bibliografii Bartłomieja dorzucił hr. Maurycy Dzieduszycki, wydrukowawszy cztery nagrobki jego pióra ⁵⁾, a autor niniejszej monografii wydał kilka drobniejszych prac, o których mowa poniżej. Wreszcie p. Władysław Łoziński w artykule p. t. Zięć poety scharakteryzował w ogólności trafnie, choć nieco za surowo Bartłomieja jako dorobkiewicza i podał do wiadomości akt wydziedziczenia jego marnotrawnego zięcia, Jana Kralla ⁶⁾.

Artykuł p. Łozińskiego kończy właściwie wszystkie dotychczasowe prace, do Zimorowiczów się odnoszące, atoli biograf ich nie może po-

¹⁾ L. c.

²⁾ Biblioteka przedruków I. Kraków 1876.

³⁾ Por. wyżej na str. 3.

⁴⁾ Na podstawie rozległych poszukiwań w archiwum miasta Lwowa, których owocem wspomniane materiały biograficzne do żywota B. Zimorowicza. Por. wyżej str. 2.

⁵⁾ Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego. We Lwowie 1872 str. 26 nst.

⁶⁾ Kwartalnik historyczny rocznik IV. (Lwów 1890) str. 50 nst. Por. moje materiały biograficzne I. c. Cz. II.

minąć jeszcze jednego nierównie większego dzieła pióra tegoż samego autora, które w ślad za jego *Złotnictwem lwowskim*¹⁾ i kilku drobnymi rozprawami²⁾ ukazało się niedawno we Lwowie i obudziło wielkie zainteresowanie w szerokich kołach czytającej publiczności.

Oto po miejscami cennej, ale przeważnie na ścisłym stanowisku naukowym nie stojącej *Historii miasta Lwowa* pióra ks. Ignacego Chodynieckiego³⁾, po gruntownej ale nieudolnie i stronniczo napisanej *Kronice Dyonizego Zubrzyckiego*⁴⁾ i po sumiennej ale suchej pracy *Wilhelma Raspa*⁵⁾ dał nam p. Łoziński w *Patrycyacie i mieszczaństwie lwowskim z 16 i 17 wieku*⁶⁾ barwny obraz tego społeczeństwa, które złożyło się na nadanie stolicy Czerwonej Rusi szerszego, historycznego i cywilizacyjnego znaczenia. Znakomity autor nie zgubił się w lesie nieprzetrzebionych jeszcze materiałów i bystrym wzrokiem znalazłszy odrazu trafny punkt widzenia pochwycił Lwowian ze stanowiska badacza i artysty, co pomijając szczegóły nawet większego rozgłosu zażywające, śledzi i przypatruje się objawom charakterystycznym, całe społeczeństwo dokładnie i żywo malującym. To też słusznie doczekało się to dzieło szerokiego uznania, zwłaszcza że ujęto je w dziwnie powabną, powiedziałbym nawet mistrzowską formę, która naginając się w słowach do artystycznej dłoni autora, wytwarza nieraz skończone obrazki, żywością barw nałożonych najlepsze utwory przypominające.

Głębszej ocenie nie mogę oczywiście poddawać na tem miejscu tak znakomitego dzieła, zwłaszcza że dokonali tego już inni, choć do prawdy wcale nie tak jeszcze dokładnie, jakby tego doniosłość utworu wymagała. Atoli słów jeszcze parę muszę mu poświęcić, bo zapatruję się na nie z odmiennego punktu widzenia, jak inni, bo i sam zniewolony jestem w niniejszej pracy dotknąć obszerniej ówczesnych stosunków lwowskich i pozyskać tem samem tło, tak koniecznie potrzebne do jaśniejszego przedstawienia pisarza, co całe prawie życie przeżył we Lwowie, najściślej z jego dziejami związany.

¹⁾ Lwów 1889.

²⁾ Spór drukarza z księgarzem (*Kwartalnik historyczny*, rocznik III str. 703—705) i Leopolitana (tamże rocznik IV. str. 437—457).

³⁾ *Historia stołecznego miasta Lwowa od założenia aż do czasów teraźniejszych*. Lwów 1825. Współczesna recenzja w *Czasopiśmie księgozbioru Ossolińskich* r. 1829, str. 105—116.

⁴⁾ *Kronika miasta Lwowa*. Lwów 1844.

⁵⁾ *Beitraege zur Geschichte der Stadt Lemberg* w *Archiv für oesterreichische Geschichte* t. 43, str. 373—504.

⁶⁾ Drugie wydanie. Lwów 1893.

Nie wchodząc więc w bliższe szczegóły Patrycyatu, muszę zaznaczyć, że i ten znakomity zresztą utwór nie wolny jest od usterek, grupujących się mojem zdaniem jedynie koło zanadto idealnego przedstawienia rzeczy. Tak ładnie, jakto szanowny autor nam przedstawia, w dawniejszym Lwowie stanowczo nie było, a sprowadziła badacza na mylną drogę, jak mi się wydaje, następująca okoliczność.

Szanowny autor zabrawszy się do opracowania przedmiotu, który przykuł jego uwagę, znalazł po rozejrzeniu się w niezbadanym dotychczas materyale taki stan rzeczy, jakiego po stronnicej kronice Zubrzyckiego, żadną miarą nie mógł się spodziewać. A że prawdziwie zdolni ludzie nie zwykli iść drogą środkową, przeto i autor dał się unieść temu prądowi i dał nam obraz, każdego z czytelników w zdumienie wprowadzający. Momentów do tego powodu dostarczających było sporo, Ci przemysłni i zabiegliwi Niemcy z własnem prawem i lepszą tradycją z własnej ojczyzny, ci rzutni i ruchliwi Ormianie, utrzymujący rozległe stosunki z szerokimi obszarami wschodu, ci Rusini, którzy mówili wprawdzie po polsku, ale zawsze Rusinami pozostawali, ci Włosi, którzy wyższy cywilizacyjny pierwiastek z sobą przynieśli i wreszcie sami Polacy w ślad Niemców wstępujący, — to wszystko z domieszką iscie nienaturalnego zbytku złożyło się na mozaikę osób i charakterów, każdego ku sobie przyciągającą, a cóż dopiero autora, który pocuciem artystycznym owiany nie spodziewał się w aktach znaleźć czegoś podobnego. Obraz zaś stworzony przez niego musiał następnie trafić do serca publiczności polskiej, zwracającej się chętnie ku lepszej przeszłości, a przytem pełnej nieświadomości dawnych lwowskich stosunków, publiczności, wśród której znajdowało się przedtem bardzo niewiele, lepiej w te sprawy wtajemniczonych. Przecież zaledwie kilka lat dzieli nas od czasu, kiedyto całkiem poważnie i dopiero z użyciem aż całego szeregu argumentów starano się uzasadnić, że Szymon z Brzezina, rajca lwowski, nie należał do nacyi ormiańskiej, nie mówiąc już nic o Bartłomieju Zimorowiczu, którego głos powszechny czynił równocześnie i rajcą i Ormianinem i przypisywał mu dwa przymioty, według ówczesnych pojęć zupełnie z sobą niezgodne.

Atoli zdaje mi się, że rzecz należy uchwycić i pojąć nieco inaczej. Ludzie w usposobieniu i uczynkach zazwyczaj nie przekraczają średniej miary i najbliższym prawdy bywa badacz, który idzie drogą środkową, w dziejach Lwowa już bezwarunkowo najwłaściwszą. Gdyby kto zechciał się więcej zająć sobkowską gospodarką panów rajców, gdyby kto odliczając pojedyncze wyjątki z pomiędzy klasy zamożniejszych zechciał się bliżej przypatrzeć małej oświacie i wcale nie „europejskiemu horyzontowi“ ogółu, gdyby szerzej rozwiódł się o ubogich kramarzach

i przedmieszczanach, nierównie większe obszary jak samo miasto zamieszkujących, a nie ograniczał się do pamiętnika Kunaszcza, który nie był niczem innem, jak typem lichwiarza dość powszednim między uboższą warstwą ludności ruskiej i znanym nawet dobrze w literaturze Małorusinów¹⁾, — to wówczas prawdopodobnie uzyskałby odmienne kontury, nie nadające się do obrazu, jaki przed nami p. Łoziński roztoczył. A nawet z samych cytatów, przytoczonych w Patrycyacie możnaby niekiedy wysnuć odmienne wnioski, jeżeli na odpowiednie wzmianki rzuci się więcej światła. W oświeceniu jednak autora, który jak prawdziwy malarz umie uwydatnić tylko potrzebne mu ustępy, przechodzą one niepostrzeżenie przed oczyma, nie zwróciwszy uwagi czytelnika.

Wszystko to nie ubliża oczywiście dziełu, które było i pozostanie mistrzowskiem co do formy, a znakomitem co do treści, bo choć nie daje obrazu zgodnego całkiem z rzeczywistością, to przecież otworzyło nam skarbnicę nieznanego świata i pouczyło, czego szukać i spodziewać się w starodawnym Lwowie. Po niem już łatwo pozostające luki wypełnić i na właściwą drogę trafić. Mamy bowiem i kronikę Zubrzyckiego, która wprawdzie z dziełem p. Łozińskiego nie może nawet w dalekiej mierze iść w zawody, ale pouczającą jest właśnie dlatego, że z powodu stronniczego uprzedzenia nie szczędzi barw przyćmionych, których tak mało w potężnym jej rywalu²⁾.

Takie to prace może mieć pod ręką biograf Zimorowiczów. Odnosząc się one przeważnie do dłuższego i obfitszego w czyny życia Bartłomieja i choć niektóre z nich a zwłaszcza nowsze, dochodzą do poważnych już rezultatów, to przecież wszystkie pozostawiają jeszcze cały szereg punktów zupełnie niewyjaśnionych, gdyż dotyczą tylko pewnych stron w działalności obydwu braci. Stąd poszukiwania moje musiałem przedsięwziąć w trojakim kierunku i właściwą pracę poprzedzić innymi, torującymi drogę do napisania samejże monografii.

Najpierw chodziło oczywiście o poznanie przeróżnych dziełek, wspominanych przez naszych biografów, co nie było rzeczą łatwą wobec rozproszenia polskich druków po rozmaitych większych i mniejszych bibliotekach. Nie wspominając więc nic o zakładzie narodowym im. Ossolińskich, którego bogaty księgozbiór stał dla mnie zawsze otworem, kołatałem

¹⁾ Por. np. Tarasa Szewczeni: Nazar Stodola.

²⁾ Pomiąłem oczywiście drobne i okolicznościowe artykuły nic nowego nie przynoszące, jak np. we Lwowianinie z r. 1835 itd.

po kolei do obu lwowskich bibliotek hr. Dzieduszyckiego i Pawlikowskiego, uniwersyteckiej w Krakowie i Warszawie, cesarskiej w Petersburgu i prywatnej X. X. Czartoryskich w Krakowie, hr. Tarnowskiego w Dzikowie, Kurnickiej i hr. Czarnieckiego w Poznańskim, tudzież Chreptowiczów w Szczorsach na Litwie. Prócz ostatniej, skąd żadnej odpowiedzi nie otrzymałem, doznałem wszędzie życzliwego poparcia, o czem wspomnieć mi jeszcze wypadnie przy każdym dziełku z osobna. Najzasobniejszym w utwory Zimorowiczów okazał się zakład nar. im. Ossolińskich i prywatny księgozbiór hr. Czarnieckiego w Rusku i im to właściwie zawdzięczam możliwość podjęcia całego szeregu drobnych wydawnictw. Wychodziły też po kolei *Żywot Kozaków Lisowskich*¹⁾, *Vox Leonis*²⁾, *Testament luterski*³⁾, *Ecce Deus ecce homo*, *Jesus Maria Joseph* i inwentarz szpitala św. Ducha⁴⁾. Kilka drobnych utworów znalazło pomieszczenie w poniżej nadmienionych materiałach biograficznych, a reszta nie jest już taką rzadkością, żeby je koniecznie wydawać należało. Jedyne jeszcze kronikę Zimorowicza poczuwam się do obowiązku wydać w oryginale łacińskim, do czego też poczyniłem już odpowiednie prace przygotowawcze.

Obok tego należało zająć się poszukiwaniem nowych szczegółów biograficznych. Archiwum warszawskie i aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, tudzież rękopisy biblioteki Jagiellońskiej nie zawierają nic w tym względzie uwagi godnego, natomiast poszukiwania w dziale rękopiśmiennym biblioteki Ossolińskich i w archiwum aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie wydały plon obfity, a już prawdziwą kopalnią okazało się archiwum miejskie we Lwowie, gdzie znajdują się setki nader cennych aktów, odnoszących się bezpośrednio do działalności i żywota Bartłomieja Zimorowicza, podczas gdy do życia Szymona oprócz wydanego już poprzednio nagrobka zaledwie tylko trzy drobne przyczynki udało mi się odszukać. Z całego szeregu tych materiałów ogłosiłem poprzednio tylko inwentarz ruchomego majątku i biblioteki Bartłomieja⁵⁾, tudzież pięć listów tegoż poety⁶⁾ i jeden w jego sprawie pisany

¹⁾ Sprawozdanie zakładu nar. im. Ossolińskich za r. 1886 i w osobnej odbitce. Lwów 1886.

²⁾ Sprawozdanie c. k. gimnazjum lwowskiego im. Franciszka Józefa za r. 1887 i w osobnej odbitce. Lwów 1887.

³⁾ Przewodnik naukowy z r. 1890, str. 888—905.

⁴⁾ Trzy dziełka Bartł. Józ. Zimorowicza w 3. zeszytzie Pomniejszych źródeł do dziejów literatury i cywilizacyi. Strj 1891.

⁵⁾ Inwentarz rzeczy i dzieł należących niegdyś do Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Przegląd archeologiczny t. 2, Lwów 1886.

⁶⁾ Listy Szymona Szymonowicza i Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Przewodnik naukowy z r. 1884, str. 72—85

przez króla Jana Sobieskiego do magistratu lwowskiego¹⁾). Resztę wraz z poprzednio wydanymi zebrałem w jedną całość i przesłałem do użytku Akademii umiejętności w Krakowie²⁾). Są tam 4 numery do żywota Szymona a przeszło 650 do życiorysu Bartłomieja.

Nie mniejsze poczyniłem starania i w trzecim kierunku tj. celem uzyskania tła historycznego do monografii. Atoli praca w tym względzie postępowała bardzo powoli, zwłaszcza odkąd znalazłem się na prowincyi, z daleka od archiwum miejskiego we Lwowie. Wyprowadził mnie też p. Łoziński przez wydanie Patrycyatu — i dobrze się stało, bo moje nieudolne pióro nie byłoby z pewnością sprostą znakomitemu jego przedstawieniu. Głównie też na dziele p. Łozińskiego opiera się i rozdział pierwszy niniejszej monografii, choć różni się od niego znacznie w kilku ważnych punktach, stósownie do stanowiska zajętego przezemnie powyżej.

W końcu niech mi będzie wolno złożyć szczerze wyrazy publicznego i żywego podziękowania wszystkim tym osobom, które nie odmówiły mi swego życzliwego poparcia, a więc p. t. PP. hr. Zygmuntowi Czarneckiemu i drowi Zygmuntowi Celichowskiemu w Poznańskim, drowi Adolfowi Pawińskiemu w Warszawie, p. Stanisławowi Ptaszyckiemu w Petersburgu, Stanisławowi hr. Tarnowskiemu, drowi Karolowi Estreicherowi, drowi Władysławowi Wisłockiemu i drowi Anatolowi Lewickiemu w Krakowie, wreszcie p. Władysławowi Łozińskiemu i drowi Ludwikowi Kubali we Lwowie. Wdzięcznie wspominam również ś. p. Karola Widmana, którego życzliwość otworzyła mi podwoje archiwum miejskiego we Lwowie w tym czasie, kiedy to do niego przystęp nie był jeszcze tak ułatwiony, jak obecnie.

¹⁾ Gazeta lwowska z r. 1883 nr. 113.

²⁾ Por. str. 2.



WSTĘP.

Lwów i jego mieszkańcy z początkiem XVII. stulecia.

(Żywszy udział Czerwonej Rusi w piśmiennictwie polskim z końcem 16 wieku. — Przyczyny i analogiczne przykłady: dawniejsza kultura, polonizacya i wzrost ludności. — Ruch szlachecki i mieszczański. — Lwów. — Ratusz i rynek. — Ulice i mury. — Kościoły i główne budynki. — Kamienice i ich urządzenie. — Błoto. — Wodociągi. — Przedmieścia i ich wygląd. — Wioski miejskie. — Ludność. — Liczba domów i mieszkańców. — Cztery narodowości. — Katolicy i ich rząd. — Kasy miejskie, dochody i rozchody. — Ormianie i ich autonomiczny ustroj. — Rusini i ich położenie. — Żydzi, ich handel i sposób postępowania. — Przedmieszczanie. — Starosta. — Handel, jego artykuły i wzrost. — Przemysł i rzemiosła. — Cechy. — Przyczyny upadku handlu i rzemiosł. — Oświata. — Szkoła przy kościele Panny Maryi Śnieżnej, późniejsza katedralna. — Rektor, jego stanowisko i dochody. — Pomocnik rektora i kantor. — Uczniowie. — Na czym polegał główny nacisk w wykształceniu? — Rozmiar nauki i układ z Jezuitami. — Przedstawienia sceniczne. — Skargi Ursyna i brak karności. — Prośby o jałmużnę. — Szkoła przy klasztorze OO. Franciszkanów. — OO. Jezuici i ich konwikt. — Szkoły ormiańska i ruska. — Drukarnie polskie i ruskie. — Ostateczne wnioski. — Upadek zupełny oświaty. — Żarliwość religijna i nowe klasztory. — Życie mieszczan. — Zajęcia codzienne. — Kobiety, dzieci i ich inspektorowie, głowa rodziny i jego czeladź. — Częsty wyjazd z miasta. — Goście i gospody. — Życie w rodzinie. — Niektóre sprzęty, pożywienie, łaźnia. — Święta. — Bractwa i procesye. — Przechadzki i towarzystwo strzeleckie. — Ważniejsze zdarzenia: karawany, obchody radosne i nietolerancya dla protestantów, pożary i morowe powietrze. — Zakończenie).

W drugiej połowie szesnastego wieku i pierwszej siedemnastego spostrzegamy w naszej literaturze zjawisko nader interesujące, chociaż wytlómaczone zupełnie analogicznymi przykładami z historii. Oto prawie milcząca dotychczas Ruś Czerwona, zabiera poważny głos w piśmiennictwie naszym i za Rejem występują kolejno Szarzyński, Szymonowicz i obaj Zimorowicze, nie licząc mniej głośnych, lub tylko chwilowo w tych stronach przebywających, jak n. p. Skargi, Klonowicza i innych. Wprawdzie ówczesny nasz poeta, europejskiego horyzontu i wykształcenia, tyle sympatyczny dla nas Jan Czarnoleski, który polską literaturę wy dobył z kolebki i dał jej zasoby do dłuższego nowego życia, przebywa z daleka od krainy ruskiej, atoli szereg wyżej wymienionych, tak wybitnych, z tych stron pochodzących przedstawicieli piśmiennictwa nie może być czemś przypadkowem i głębszej przyczyny pozbawionem.

W czasach odległej starożytności, gdy się już zużyły siły przesławnej Hellady, literatura grecka przeniosła się do zhellenizowanego wschodu,

a kiedy później marnieć poczęła żywotność bankructwem fizycznem i materyalnym wyniszczonej Italii, piśmiennictwo rzymskie zasilały po kolei zromanizowane prowincye, najpierw Galia przedalpejska, potem Hiszpania i Galia właściwa, a wreszcie i północna Afryka. I w historii literatury naszej mamy taki bijący w oczy przykład, na który zwrócił już uwagę p. Piotr Chmielowski w dziele o Mickiewiczu ¹⁾.

Dzieje pogańskiej Litwy rozpoczynają się o trzy wieki później, niż historia Polski, a właściwe jej zbliżenie się do kultury zachodniej nastąpiło jeszcze o jedno stulecie później, z przyjęciem chrześcijaństwa przez Władysława Jagiełłę. To też Litwa występuje poważniej dopiero w 400 lat po Polsce, a wystąpienie jej jest tak potężne i stanowcze, że kraj, dotychczas w naszym piśmiennictwie mało udziału biorący, wyznacza mu teraz nowy kierunek i sprowadza je na nowe tory — bo siły były świeże a polonizm wnikał był podówczas już głęboko w krew społeczeństwa litewsko-ruskiego, zwłaszcza na zachodnich jego granicach.

Równocześnie z Litwą poczynają zasilać naszą literaturę i trzy południowe prowincye ruskie; Czacki i Kraszewski znajdują pole do działania na biernym dotychczas Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a szereg poetów takiej miary, jak Małczewski, Zaleski i Goszczyński wzbogaca naszą narodową literaturę nowymi typami i nowymi obrazami. Dlaczego? — Trzy te prowincye miały wprawdzie kulturę osobną, częściowo tak dawną, jak polska, ale była to kultura nam obca, ruska i wschodnia, która rozwinąć się wyżej nie mogła, gdyż przyszły na nią ciężkie czasy napadów mongolskich i jarzma tatarskiego. Kiedy zaś ona upadła i począł wiać przemożny i wrogi jej prąd z zachodu, to długiego trzeba było czasu, by się ten nowy kierunek ustalił i na zwaliskach dawnej kultury wzmógł i spotężniał. Ustalił się jednak częściowo tylko, bo ramię Rzpltej z czasem osłabło, a ruch społeczny za wojen kozackich zadał potężny cios cywilizacji zachodniej. Dlatego dopiero z ustaleniem się stosunków, ale już na innych podstawach, poczynają się ruszać te prowincye, lecz nie tak potężnie jak Litwa, gdyż brakło im ogniska równego Wilnu, gdyż Kijów nigdy nie był miastem polskim i zawsze ciężył raczej ku Moskwie, niż ku Warszawie, a zastąpić go nie mogły inne pomniejsze grody, jak Krzemieniec, Winnica, Kamieniec, lub zżydowiały Berdyczów. Zresztą skutkiem wojen kozackich polonizm nie zapuścił tu tak głęboko swych korzeni, jak w okolicach Grodna i Wilna. — Kijów począł grać z czasem należną mu rolę, ale już nie w literaturze naszej, tylko rosyjskiej i małoruskiej.

¹⁾ Adam Mickiewicz. T. I, rozdział pierwszy. (Kraków i Warszawa 1886).

Na zachód od tych prowincyi leżała Ruś Czerwona, jako brama, którą najdogodniej wciskały się na wschód prądy zachodniej kultury. To też wazą się tu obydwie kierunki, bo i za daleko do Kijowa i za blisko Krakowa, by rodzima ludność małoruska zachowała nienaruszenie ciągłą styczność i przynależność z krainą naddnieprzańską. Był wprowadzie czas, kiedy plemienne pokrewieństwo miało stanowczą przewagę, był nawet czas, kiedy szczątki literatury małoruskiej za Daniela i Lwa znajdowały najlepsze jeszcze schronienie w grodach podkarpackich, atoli chwila ta zbyt krótko trwała, a ciężkie ramię hanów tatarskich zaciężyło wnet i na tej krainie. — Istniała więc tu oddawna kultura ruska, choć była nieznaczna i choć wszelkie zanadto idealne twierdzenia obrońców jej wielkości nie mogą się ostać wobec trzeźwiejszego poglądu krytyka, który w Kwartalniku historycznym pod pseudonimem Sigmy morderczą wytoczył im kampanią¹⁾. Wywody p. Wł. Łozińskiego, bo takim właściwe nazwisko krytyka, popierają też stanowczo wiadomości i dokumenty historyczne. Wielkość kultury zawisała w prostym stosunku od gęstości zaludnienia i nie może być tam znaczną, gdzie około głównego nawet miasta znajdują się pustkowia, powoli dopiero później zaludniane. Takim zaś głównem miastem obok Halicza był już wówczas Lwów, a takim pustkowiem jego *areae desertae* i lasy, naokół niego się ciągnące i dopiero w 15 i 16 wieku zaludniane i trzebione²⁾.

Z nastaniem polskich rządów kultura poszła odmiennym torem. Już w wieku 13 religia katolicka znalazła na Rusi gorliwych krzewicieli w zakonach OO. Dominikanów i Franciszkanów i jeszcze przed zajęciem Rusi przez Kazimierza Wielkiego istniały parafie katolickie we Lwowie i Haliczu, do których zaliczali się nietylko Niemcy, dosyć licznie jeszcze za czasów ruskich w obu miastach osiedli, ale zapewne i Polacy, sporadycznie tu i owdzie mieszkający. Atoli polonizm, a z nim i obrządek rzymsko-katolicki począł się na dobre szerzyć dopiero od powtórnego podbicia Rusi przez królową Jadwigę. Szlakiem przez Przemyśl wcisnął się żywioł polski w okolice lwowskie, objął jakby żelaznym obręczem główne miasto i stąd, trzymając się przeważnie dróg handlowych, rozszerzał się promieniami po kraju, w kierunku Lublina, Łucka, Kijowa, przez Halicz do Kamieńca i Mołdawii i wreszcie na południe

¹⁾ Malarstwo cerkiewne na Rusi. „Kwartalnik historyczny“ t. I, z r. 1887 str. 149—209.

²⁾ Por. cały szereg odnośnych dat i szczegółów w Aktach grodzkich i ziemskich, w B. Zimorowicza: *Viri illustres civitatis Leopoliensis* i wydanej przezemnie Lustracyi starostwa lwowskiego z r. 1570. (Pomniejsze źródła do dziejów literatury i cywilizacyi polskiej z XVI—XVII stulecia, Zeszyt drugi. Stryj 1890).

ku Karpatom¹⁾. Tłumy ludności polskiej osiadły na Rusi Czerwonej i choć pozostawione same sobie, bez należytej opieki kościoła, zmarniały dla żywiołu polskiego, ale nie zmarniały dla kraju, w którym odtąd żyć miały. Dopiero ruch kolonizacyjny z piętnastego stulecia, kiedy to zakładano miasteczko za miasteczkiem i osadę za osadą, dały krainie podkarpackiej gęstszą ludność, któraby jeszcze była liczniejszą, gdyby Rzplita umiała była skuteczniej bronić poddanych przed ponawiającymi się ustawicznie napadami tatarskimi.

P. Adolf Pawiński ludność Wielko- i Małopolski z czasów Stefana Batorego oblicza może trochę za nisko, przeciętnie 807 i 675 głów²⁾ na 1 milę kwadratową. Dla Rusi Czerwonej nie mamy takiego jeszcze obliczenia, ale nie mniejsze zaludnienie przyjąć musimy z końcem szesnastego wieku i dla niej, sądząc po ilości osad i samychże parafii katolickich³⁾ i biorąc pod uwagę inną jeszcze wskazówkę.

Przy pierwszym rozbiórce Polski, mieszkało w zaborze austriackim przeszło 2¹/₂ miliona dusz, co daje mniej więcej 1.600 głów na 1 milę kwadratową. Ludność Lwowa wynosiła wówczas zaledwie 25.000 mieszkańców, a Krakowa 14.000. Ponieważ zaś według zgodnego podania dawnych lwowskich pisarzy liczył Lwów w pierwszej połowie 17 wieku przeszło 30.000 mieszkańców⁴⁾, ponieważ dalej między liczbą ludności głównego miasta, a gęstością zaludnienia, istnieje zawsze pewien stały stosunek, jeżeli tak, jak w tym wypadku nie zmieniają się źródła utrzymania i zarobku⁵⁾, przeto musielibyśmy przyjąć, że zaludnienie z czasów Zygmunta III było przynajmniej takim, jak z końcem XVIII wieku. Atoli wziąć tu jeszcze pod uwagę należy i niebывały upadek

¹⁾ Por. moje przedmowę do wydania Pirawskiego: *Status almae archidiecesis Leopoliensis* z r. 1615. (Lwów, nakładem Towarzystwa historycznego w r. 1893).

²⁾ Źródła dziejowe: Polska XVI wieku, t. XII—XV a zwłaszcza t. XIV, (Warszawa 1886 str. 54). Na rodzinę liczy tam szanowny autor po 5 głów, co zdaje się niezupełnie odpowiada prawdzie, bo dzisiejsza statystyka poucza, że w krajach słowiańskich przyjmować należy po 11 dusz na dwie rodziny. Skoro zaś dzisiaj tak jest, to prawdopodobnie było i przedtem, kiedy łatwość utrzymania była nierównie większą i kiedy społeczeństwo było jeszcze świeższe i tworzące się dopiero, co na płodność, zwłaszcza ludności uboższej, zawsze stanowił wpływ wywiera. Uczyniwszy więc odpowiednią poprawkę, przyjąłbym dla Wielkopolski dusz około 900, a dla Małopolski około 750 na 1 milę kwadratową.

³⁾ W roku 1616 było ich nie licząc Lwowa 116. Ob. przedmowę do Pirawskiego l. c. str. 26.

⁴⁾ Ks. Franciszek Siarczyński w „Obrazie wieku i panowania Zygmunta III“, w t. II, str. 226 (Poznań 1858) podaje, że Austria przy 1. rozbiórce otrzymała 2.600 mil kw. na których 5.935 wsi i 3.641.892 mieszkańców, atoli daty te mylne jak cały obejmujący je rozdział, na mylnych danych oparty.

⁵⁾ Rolnictwo i rzemiosła; przemysłu nie było, tak pierwiej, jak i później.

Lwowa, który z końcem XVI wieku miał nierównie większe znaczenie w świecie handlowym, niż o dwa wieki później. Dlatego zmodyfikowawszy cyfrę prawie do połowy, otrzymamy również mniej więcej 300—1000 głów na 1 milę kwadratową, co przedstawia nam zaludnienie na ówczesne stosunki dość znaczne, skoro przywołamy sobie na pamięć następujące charakterystyczne słowa z Nowin pospolitych Jana Benesiusa wydanych w Krakowie w r. 1603¹⁾: „Italia nie ma ludu i 9 spełna milionów i Niemiecka ziemia (oprócz Szwajcarów i Niderlandów) nie ma więcej nad 19 milionów, a z pomienionymi prowincjami nie przechodzi 24 milionów, do której liczby podobno nie dochodzi Francya. Hiszpania zaś mniej ma ludzi niż Italia, Sycylia ma jeden milion i 300.000 ludzi, Anglia trzy miliony i także wiele niższe Niemcy, aczkolwiek te długie wojny bardzo wiele wytraciły Flandrów“. Tak więc w jednych tylko Niderlandach przypadało 3.000 głów na milę kwadratową, podczas gdy we Francyi na takiej samej przestrzeni było niespełna 2.500 a we Włoszech, Niemczech i dzierżawach austriackich około 2.000 mieszkańców. Kraje zaś takie jak Anglia i Hiszpania, mające już świetną przeszłość poza sobą, nie miały więcej jak 1.000 dusz na milę kwadratową. Stąd wynika, że przeciętne zaludnienie nawet nieco mniejsze niż jednego tysiąca na milę kwadratową odpowiada już zupełnie stosunkom, wśród jakich wyższa kultura istnieć może.

Ludność więc Czerwonej Rusi w XVI wieku była już dosyć gęsto osiadłą, by się zdobyć na objawy kultury i cywilizacyi, — i to polskiej, gdyż ta jedynie wobec zmienionych warunków miała większe szanse powodzenia i rozwoju. Występuje też ona o trzy wieki pierwiej niż na Litwie, bo choć w nieznaczących rozmiarach i na innej podstawie oparta, sięgała początkiem swym czasów o wiele dawniejszych, występuje też wcześniej niż w innych prowincjach ruskich w skład Rzplitej wchodzących, bo spełniony wcześniej i drugi warunek, t. j. proces polonizacyjny postępował tu w tempie o wiele szybszem i silniejszym.

W objawach nowej polskiej kultury nie bierze oczywiście udziału lud, ponieważ ten szybko ruszczeje i popada jak i wszędzie w przyniatającą zależność od warstw wyższych. Rolę potężniejszego czynnika cywilizacyjnego obejmuje najpierw duchowny takiej miary, jak Grzegorz z Sanoka, a następnie spolonizowana lub napływowa szlachta, która po usunięciu się kresów dalej na wschód czuje się więcej bezpieczną

¹⁾ Relatiae powszechnae, albo nowiny pospolite Jana Botera Benesiusza rozłożone na 5 części, z włoskiego na polski język przez jednego zakonnika od Bernardinów wiernie przetłumaczone. Cz. III, str. 95. — Tłumaczem był braciszek Paweł Łęczycki (Lenczycius), a drugie wydanie p. t. Theatrum świata wyszło w Krakowie r. 1659.

i obok szabli może się zajmować i nauką. Głównymi jej przedstawicielami są Rej i Szarzyński. Po nich niema godnych następców; ruch szlachty tutejszej szybko zamiera i dzieli ogólne koleje piśmiennictwa naszego. Późniejszym od niego co do czasu, ale też i o wiele potężniejszym był ruch mieszczaństwa, osiadłego w handlowem i cywilizacyjnem ognisku tej prowincyi.

Lwów przeszedł już był wówczas początkowe fazy rozwoju, przeszedł jeszcze przed zdobyciem Konstantynopola okres pierwszej świetności i stał się w drugiej połowie 16 wieku miastem o charakterze niemal czysto polskim, miastem, które przetrawiwszy obce żywioły i wzmógłszy się po raz wtóry materyalnie i liczebnie, poczęło brać żywy udział w piśmiennictwie naszym, nie wytyczając mu wprawdzie nowych dróg, ale dostarczając sił zdolnych i pełnych ruchliwości. Potężny jego wzrost poznać już i z tej okoliczności, że właśnie Lwów, a nie inne miasto polskie, podejmuje się choć słabej piórem obrony ludu i mieszczaństwa przeciw szlachcie, jako echo tej również nieznaczącej walki, która w Krakowie w r. 1461 zakończyła się ścięciem burmistrza, dwu rajców i trzech ludzi z gminu¹⁾. Czas więc, abyśmy się mu bliżej przypatrzyli i poznali i ocenili warunki, wśród których działał Szymonowicz i męźniał talent Bartłomieja Zimorowicza, najściślej z dziejami Lwowa złączonego.

Właściwy gród, który w herbie swoim szczycił się „lwem, królem zwierząt“, był jak wiadomo bardzo niewielki²⁾. Z początkiem 17 stulecia i jeszcze długo potem zajmowało miasto nader nieznaczną przestrzeń, zamkniętą między wałami hetmańskimi, szkarpami, dzisiejszą ulicą Sobieskiego i Skarbkowską³⁾. W środku znajdował się przestronny rynek

¹⁾ Por. Fryderyk Papée: Zabicie Andrzeja Tęczyńskiego w Krakowie r. 1461 w Sprawozdaniu zakładu nar. im. Ossolińskich za r. 1883 i w osobnej odtbitce.

²⁾ Niniejszy szkic nie ma pretensyi do dokładnego obrazu, zwłaszcza topograficznego, do którego trzeba by osobnych, na rozległą skalę przeprowadzonych studyów. Podaję tylko to, co na razie zebrać mogłem i wiem dobrze, że w mojem przedstawieniu jest jeszcze pełno luk i miejsc niedokładnie oznaczonych.

³⁾ Widoków Lwowa z 17 stulecia przechowało się dwa, ale niewiele przydatnych, bo źle i niedokładnie sytuacją uwidoczniających. Znajdują się one w *Andrae Cellarii: Regni Poloniae descriptio* (Amstelodami 1659 r.) i *Gregorii Bruin Civitates orbis terrarum*; ostatni odtworzony także w dodatku do Piwockiego przekładu kroniki Zimorowicza. Najlepszym pozostaje jeszcze zawsze plan hr. Dzieduszyckiego, dodany do jego żywota Władysława Hieronima Sierakowskiego (Kraków 1868). Nie złe również, choć

o dzisiejszych rozmiarach¹⁾, a w nim nierównie mniejszy od obecnego, podłużny ratusz (*praetorium*), budowa dosyć nieforemna, przeważnie o trzech piętrach, niższa od strony wschodniej, a wyższa od zachodniej, z oknami nierównej wielkości i według zwyczaju z rzadka osadzonemi. Tu były sale wójtowska, publicznych i tajnych narad, tu sala przyjęć, kobiercami perskimi wysłana i oknami ze szkła weneckiego ozdobiona, tu kasy miasta²⁾, izba dla czuwającej straży i więzienia miejskie, tu wreszcie kilkanaście sklepów i pomniejszych kramów³⁾. Od strony wyższej, zachodniej, kończył się ratusz ośmioboczną wieżą, na 30 sążni (58 metrów) wysoką, a zbudowaną przez głośnego rajcę lwowskiego, doktora Marcina Kampiana w r. 1619. Zakończona złotym lwem herbowym widnym już z daleka dla zbliżających się do miasta i zaopatrzona w zegar i galeryą, opierającą się na konsolach w formie lwów, trzymających tarcze z herbami wszystkich współczesnych Kampianowi rajców, przetrwała dumnie długi czas i zawałiła się dopiero w r. 1826, kiedy to dawny Lwów przybrał już zupełnie odmienną postać. Wstępu do niej

z powodu szczupłości miejsca niedokładnie, uwydatnił położenie Lwowa dr. Alexander Czołowski na małej karcie, dołączonej do rozprawy dra Ludwika Finkla: *Napad Tataarów na Ruś* w r. 1695. (Kwartalnik historyczny rocznik IV, z r. 1891, str. 458—493). Wiele też można się nauczyć z planu Strohbacha, sporządzonego w r. 1807 i przechowanego dotychczas w archiwum miasta Lwowa, tudzież dwu innych, również przez Niemców z początkiem tego wieku narysowanych i tamże podobnie złożonych.

¹⁾ Niepodobna mi cytować źródeł do każdego pojedynczego szczegółu, ho wówczas rozdział niniejszy zasiany byłby odsyłaczami i przypiskami. Podaję przeto w ogólności, że w całym opisie opieram się na hr. Maurycego Dzieduszyckiego *Żywocie Wacława Hieronima Sierakowskiego*, gdzie na str. 112—135 jest dotychczas najdokładniejszy opis topograficzny Lwowa, tudzież na dziełach, częściowo już wyżej przytoczonych, Cellariusza l. c.), Bruina (l. c.), Jana Alnpeka czyli Alembeka, (*Opisanie miasta Lwowa z łacińskiego przełożone przez Jana hr. Bąkowskiego* w „*Pamiętniku lwowskim*“ t. 1, str. 3—15 i 97—109. Oryginał w archiwum miasta Lwowa oddział III, ks. 224), Tomasza Pirawskiego (l. c.), Zimorowicza Bartłomieja (zwłaszcza *Inwentarz generalny prowentów szpitala św. Ducha*, *Leopolis triplex*, *Viri illustres* i drobne utwory do historii kościołów się odnoszące), ks. J. Tomasza Józefowicza (*Kronika miasta Lwowa od r. 1634 do 1690* w przekładzie M. Piwockiego; kopii rękopiśmiennych z tekstem pełniejszym kilka, w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, zakładu nar. im. Ossolińskich, tudzież w rękach prywatnych), *Lustracyi lwowskiego starostwa* z r. 1570 (l. c.) w rękopisach biblioteki Ossolińskich l. 1480, 1646, 1715, 2117 i 3164, znanych mi aktach lwowskiego archiwum miejskiego i wreszcie na opracowaniach Chodynieckiego (l. c.), Zubrzyckiego (l. c.), Raspa (l. c.) i Wł. Łozińskiego (l. c.). Inne jeszcze źródła i opracowania, gdzie istnieje tego potrzeba, przytaczam poniżej w uwagach do odnośnych miejsc tekstu.

²⁾ Do r. 1663 było ich co najmniej dwie. (Por. poniżej, tudzież Zubrzycki l. c. str. 28 nstp., Rasp. l. c. str. 462); w wymienionym roku połączono wszystkie kasy w jedną pod zarządem trzech ekonomów (*oeconomi*).

³⁾ Wizerunek podany w Łozińskiego *Patrycyacie* str. 4.

strzegł lew, zwany Lorencowiczowskim, mający swą własną historią; tuż u wchodu było mieszkanie odźwiernego, a na galeryi czuwało po kolei trzech trębaczy, dających znać o wybuchu pożaru i witających hejnałem przybyłych do Lwowa dygnitarzy.

Obok ratusza na rynku, również ze wschodu na zachód, ciągnęło się 11 domów mieszkalnych, przedzielonych od niego tylko wąską uliczką i nie bez licznych kramów i sklepów. Domy te wykupiono dopiero w naszym wieku (r. 1798 i 1827—1832), aby zyskać większą przestrzeń dla nowego ratusza. — Na rynku znajdowała się także jedna kamienna studnia, Meluzyną zwana, z końcem 16 wieku wzniesiona, tudzież kamienna miara 13 garncy objętości. Tuż pod ratuszem był kamienny pręgierz, służący zarazem za miejsce do tracenia i pamiętny ścięciem trzech gospodarów i pretendentów mołdawskich: Tomszy, Podkowy i Jankuły.

Po r. 1527, w którym Lwów stał się pastwą strasznego pożaru, poczęto domy kryć dachówkami i rynek otaczać całym szeregiem kamienie, ładnymi rzeźbami przyozdobionych. Najokazalszą z nich była druga od ulicy Ruskiej, we wschodniej pierzei rynku, nazywająca się od właścicieli pałacem arcybiskupim. Tu, kiedy już zamek niski pochylił się ku ruinie, stawali zazwyczaj gospodą królowie polscy, ile razy raczyli zawitać do grodu nadpełtwiańskiego. Pięknie rzeźbioną była też kamienica do Schole-Wolfowiczów należąca, narożna od katedry w zachodniej pierzei, a nie brzydką i Kampianowska, dzisiaj pospolicie kamienią Andriollego przewzana i na plac św. Ducha przechodnia.

Niestety z pięknem obliczem tych domów nie szedł w parze zewnętrzny wygląd całego, zresztą bardzo przestronnego rynku. Był on wprawdzie, podobnie jak i ulice miasta, już wówczas wybrukowany, ale mimo tego bardzo nieczysty i zapchany kramami, budami i ławami przekupniów różnego rodzaju, a zwłaszcza handlujących rybami i chlebem żytnim. Nieraz niepodobna się było przecisnąć przez tłumy sprzedających i kupujących, a jatki rzeźnicze usunięto stąd dopiero w r. 1609. Kupy śmiecia leżały dosyć często przez dłuższy czas, bo według uchwały zarządu miasta wymiatanie i czyszczenie rynku odbywało się od końca 15 wieku raz na tydzień w sobotę, pierwiej zaś tylko dwa razy do roku, tj. na św. Michał i przed Świętami Wielkanocnymi.

Reszta domów okalała rynek tak, że z każdej strony, nie licząc poprzecznych, tworzyła tylko jedną ulicę, równoległą do odpowiedniej pierzei rynku. Ulice te do dziś dnia zachowane ze zmienioną tylko nazwą i tak: katedralna, zamkowa albo franciszkańska, łaźnicza i szewska — to dzisiejsze teatralna, trybunalska i plac św. Ducha. Dalej od północy były ulice krakowska i piekarska, ormiańska i rzeźnicza, popod

mury się ciągnąca, które odpowiadają dzisiejszej krakowskiej i ormiańskiej również, tudzież skarbkowskiej; od wschodu Bożego Ciała, dzisiaj dominikańska wraz z arsenalską, ruska główna i boczna (obecnie ruska i blacharska) z zacerkiewną; od południa halicka, szkocka, żydowska i bydłęca czyli Serwańska lub Zarwanica, teraz halicka, Boimów z różanną i dalszym ciągiem blacharskiej.

Powyższą przestrzeń otaczał najpierw mur wewnętrzny z 17 bastionami, powierzonymi pojedynczym cechom do obrony, za nim głęboki rów, wodą zalany, wysokie wały ziemne i wreszcie drugi mur zewnętrzny z bastyonami, który ciągnął się wzdłuż Pełtwi, okalał szerokim odskokiem niższy zamek i biegł środkiem dzisiejszej krakowskiej targowicy, popod kościół Panny Maryi Śnieżnej, dalej naprzeciw dzisiejszego łacińskiego seminarium, gdzie był obłany sadzawką i wreszcie, objawszy prochownię miejską, występującą poza wały, szedł naprzeciw zabudowań dzisiejszego namiestnictwa i mniej więcej ulicą wałową znowu do Pełtwi. Przez te obwarowania można było z początkiem 17 wieku we dwu tylko miejscach dostać się poza obręb miasta, tj. bramą halicką na przecięciu dzisiejszej ulicy Sobieskiego i krakowską u zbiegu Skarbkowskiej i halickiej¹⁾.

Ze zmierzchem obie bramy zamykano, a klucze od nich znajdowały się w ręku jednego z rajców, który zwał się *proconsul nocturnus*. Kiedy więc kto życzył sobie nocną porą wjechać lub wyjechać z miasta, musiał czekać u bram tak długo, dopóki odźwierny nie odniósł się do owego rajcy i nie wrócił od niego z otrzymanem pozwoleniem. Wpuszczony do miasta musiał przebyć najpierw bramę w murze zewnętrznym, potem przesmyki w wałach, zwodzone mostki na rowach i wreszcie właściwą bramę, zanim znalazł się w mieście. Podobna ostrożność była nakazana stosunkami, bo Lwów jako *civitas finitima et hostibus obnoxia* musiał mieć się ustawicznie na baczności. Z czasem jednak rajcy poczęli uważać prawo wpuszczania do miasta za jeden ze swoich przywilejów i nikomu prócz króla kluczków od bram nie wydawali. Nawet wysocy dygnitarze, jak Piotr Barzi, kasztelan przemyski i Mikołaj Sieniawski, hetman wielki koronny i wojewoda ruski, nie otrzymali pozwolenia wjechania do miasta w czasach, gdy miasto czuło się jeszcze dosyć potężnem i silnem²⁾. Protestowali przeciwko temu staro-

¹⁾ O wiele później przybyły jeszcze dwie furty, jedna jezuicka zwana, między kościołem OO. Jezuitów a św. Ducha, druga bosacka naprzeciw klasztoru OO. Karmelitów bosych.

²⁾ Lustracya starostwa lwowskiego z r. 1570. l. c. str. 15.

stowie lwowscy, a jeden z nich, Mikołaj Herbolt, wytoczył w r. 1570 sprawę przed lustratorów z ramienia sejmu wyznaczonych, którzy rozstrzygnięcie jej pozo tawili do ocenienia królewskiego.

Z budynków wewnątrz miasta się znajdujących zasługiwała najpierw na uwagę katedra, stara gotycka budowa gontami jeszcze wówczas kryta i pełna przeróżnych ołtarzów i kapliczek, po największej części przez mieszczan fundowanych¹⁾. Naokoło niej nie było placu wolnego jak obecnie, lecz ogrodzony zewsząd dziedziniec czyli cmentarz z kamiennym wizerunkiem Zbawiciela w grobie, obecnie opartym o północną ścianę katedry i rozmaitymi kaplicami bardzo małych rozmiarów, bądź tuż przy ścianach kościoła, bądź opodal stojącymi. Od ulicy halickiej oddzielała szczupły obręb cmentarza piękna kaplica ogrojcowa i druga przechodnia, Domagaliczowską zwana, tudzież mur obwodowy z główną bramą naprzeciw rynku. Mur ten załamywał się dalej pod prostym kątem na zachód, zostawiając tylko wąskie przejście dla pieszych, a następnie wobec dzisiejszej ulicy teatralnej po raz drugi zmieniał kierunek i biegł na południe, ku kamienicom kapitulnym, do których przypierał. W tej ostatniej ścianie zachodniej znajdowała się furta do wejścia, a wprost naprzeciw niej jatki rzeźnicze, najfatalniej umieszczone, w których nie tylko mięso sprzedawano, ale i bydło zabijano. Wyziwy stąd wychodzące zarażały całe miasto i pobyt w najbliższej jatkom okolicy czyniły wprost niemożliwym²⁾. Mimo tego w jednym z owych domów kapitulnych, czwartą ścianę cmentarza tworzących, znajdowała się główna szkoła miejska, kolonia Akademii krakowskiej, i tuż popod jatki przechodziła niejednokrotnie procesya, przechodzili panowie rajcy i dygnitarze świeccy i duchowni. Skarżyła się więc kapituła, starali się o usunięcie jatek i sami arcybiskupi i grozili karami duchownymi, lecz wszystko naopróżno. Rzeźnicy kar się nie zlekli, przywilejami zasłonili i wszystko było dalej, jak bywało dawniej.

Na placu św. Ducha istniał kościół tegoż imienia i szpital stojący pod zarządem osobnych prowizorów, z grona rajców wybieranych, a raczej dom ubogich, bo w nim chorych nie leczono, lecz tylko biednych i starych utrzymywano i żywiono kosztem rozlicznych fundacyj, przez rozmaite stany poczynionych. Niedaleko od niego od strony rynku leżały dom i kancelarya pisarza radzieckiego, a naprzeciw od strony pół-

¹⁾ Dokładny jej opis w Pirawskiego *Status almae archidiececesis Leopoliensis* l. c. str. 73—100 i hr. Maurycego Dieduszyckiego: *Kościół katedralny lwowski. We Lwowie 1872.*

²⁾ Pirawski l. c. str. 99—100.



nocnej był kościół i kolegium Jezuitów, sprowadzonych do Lwowa przez arcybiskupa Solikowskiego w r. 1592. — Poza kolegium jezuickiem znajdowały się gmachy zamku dolnego czyli niższego, z kościółkiem św. Katarzyny, prawie samych murów dotykającym. W zamku, który już wówczas wymagał koniecznej naprawy, mieszkał starosta królewski i mieścił się sąd grodzki i ziemski. Za lepszych jego czasów mieszkali tu i królowie polscy podczas pobytu we Lwowie i mieli osobno dla siebie urządzoną łaźnię.

Tuż koło zamku i kościoła Jezuitów wznosił się starożytny konwent OO. Franciszkanów, przy ulicy zaś ormiańskiej, zamieszkałej przez Ormian, kościół tegoż wyznania, do dziś dnia istniejący, a dalej na wschód świątynia OO. Dominikanów wraz z ich bogato uposażonym klasztorem. Dalej jeszcze na wschód, tuż popod murem wewnętrznym, był arsenał Rzpltej, a od niego na prawo, a więc w rogu południowo-wschodnim, arsenał miejski, niegdyś dobrze zaopatrzony w różną broń i w działa z lwowskiej odlewni. Przy ulicy ruskiej istniała już wówczas cerkiew wołoska, zbudowana głównie za pieniądze gospodarów mołdawskich, wraz z wieżą wzniesioną przez głośnego kupca greckiego, Konstantego Koniakta. Naprzeciw niej mieścił się jakiś czas konwikt Jezuitów, a od tegoż dalej na południe dwie synagogi koło miejskiej zbrojowni, w części miasta przez żydów zamieszkałej. Wspaniały kościół bernadyński, budowany od r. 1600—1621 i umyślnie z rozkazu Zygmunta III silnym murem obwiedziony, leżał już poza obrębem miasta, przytykając do jego murów i tworząc niejako trójkątny bastyon, zanadto nieco naprzód wysunięty.

Kamienice o jednym, dwu, a nawet i trzech piętrach, kryte przeważnie gontami, a niekiedy i dachówkami, budowano więcej w głąb, bo front był wąski i zwyczajnie tylko o trzech oknach, z których dwa przypadły na pokój, a jedno na alkowę. Stąd, jakto dziś jeszcze widzimy w domach w rynku położonych, pokoje były obszerne, ale podłużne, z niżami i napół ciemnymi izdebkami. Piętra, jak dzisiaj, przeznaczone były na mieszkanie właścicieli i czynszowników, a parter na sklepy i magazyny, pod którymi znajdowały się piwnice, zamieszkane częstokroć przez ludność uboższą, drobnym handlem się trudniącą, dla której tu i owdzie pobudowano nawet i izdebki na strychu. Obok pokojów od frontu znajdowały się izby od dziedzińca, czyli jak nazywano „od tyłu“, a w całej kamienicy pełno było schowków i przeróżnych zakamarków.

W podwórzu obok dalszych izb mieszkalnych i czeladnych pomieszczone były komórki, a niekiedy, zwłaszcza w kamienicach o obszerniejszym froncie, do dwu właścicieli należących, także i wozownie i staj-

nie, szczególnie dla koni, które prawie każdy mieszczanin posiadał. Z powodu nader szczupłego obrębu miasta i wielkiej ilości drobnych przekupniów pomniejsze kramy umieszczano za odpowiednią opłatą i po sieniach, a większa część właścicieli wydzierżawiała nawet miejsca przed kamienicami, ustawiając tam kamienie do siedzenia dla przekupek.

Kamienice po największej części murów nie dotyczyły. Wolny odstęp zapełniały znowu budki i kramy, umieszczone także i w obu bramach i między wałami a murem zewnętrznym. Chodniki czyli tak zwane „tryty publiczne“, z płyt kamiennych lub desek sporządzone, ciągnęły się przez wszystkie ulice i na około wałów od jednej bramy do drugiej. Błota i nawozu było zawsze pod dostatkiem tak, że w r. 1627 król Zygmunt III osobnym reskryptem musi aż nakazywać, by za użyciem szarwarków z wiosek miejskich ulice wyczyszczono i drogi poprawiono, a głośny rajca Marcin Kampian za zasługę sobie poczytuje, iż „wyczyścił rynek zeszpecony i gnojami okryty“¹⁾. Natomiast wodociągi, przez Niemców jeszcze w piętnastym wieku do gór okolicznych poprowadzone, znajdowały się prawdopodobnie w dobrym stanie, a miasto opłacało aż dwu „rurmistrzów“, którzy nad nimi czuwać mieli. Za osobną też opłatą można było uzyskać pozwolenie do wypuszczenia wody z głównego wodociągu do swojego domu lub folwarku.

Marzeniem mieszczanina każdego było mieć majątek nieruchomy w mieście. Dopiero bowiem wówczas wchodził w wszelkie prawa mieszczaninowi przynależne, dopiero wówczas czuł się bezpiecznym zupełnie poza murami miasta. Stąd kamienice należały nieraz do kilku właścicieli, stąd pożyczano chętnie pieniądze, gdy je pożyczający zabezpieczył na domie mieszkalnym, bo w razie niezapłacenia wchodziło drogą procesu w posiadanie części kamienicy, lub nawet jednej tylko albo dwu izb. Przykładów takich pełno, że kamienica ma jednego głównego właściciela i nosi zwyczajem ówczesnym jego nazwisko, a pojedyncze izby wydzielone z niej należą do wierzycieli, którzy albo sami je zamieszkują, albo innym wynajmują. Powodem głównym była najpierw prawem dozwolona możliwość fizycznego dzielenia kamienic, a następnie i nadzwyczajna szczupłość miasta, które, rzecz dziwna, opasawszy się raz murami, poza nie nigdy nie wykroczyło i właściwego terytorium nigdy rozszerzyć się nie starało.

Atoli poza tym szczupłym obrębem miasta leżały dwa rozległe przedmieścia, krakowskie i halickie, z całym szeregiem ulic, których nazwy przechowywały się po rozmaitych aktach i oczekują dopiero topografa,

¹⁾ Łoziński: *Patrycyat* str. 102.

któryby je ujął w jedną całość i oznaczył bliżej ich położenie. Pierwotne grunta miejskie, nadane miastu przez Kazimierza Wielkiego i Władysława Opolskiego, przeszły w posiadanie pojedynczych mieszczan, a ci znowu z kolei sprzedawali je innym albo zapisywali na rzecz duchownych lub dobroczynnych instytucyj tak, że z czasem bezpośrednia miejska posiadłość była na tych obszarach bardzo niewielką, a przedmieścia przedstawiały postać nader urozmaiconą.

Należało do dobrego tonu, by każdy zamożniejszy mieszczanin miał na przedmieściu jedną lub więcej posiadłości, na których budował sobie willę i posiadał własne gospodarstwo z sadem, ogrodami, koźmi, bydłem i nawet sadzawką. Tu przepędzał też kupiec chwile wolne od zajęć, tu mieszkała w lecie jego rodzina, jakby na wsi, z dala od wyziewów miejskich i tłoku handlujących. Inni mieszczenie, praktyczniejszego zmysłu, wydzierżawiali należące do nich grunta przedmiejskie i dozwolali na nich budować się rzemieślnikom i zagrodnikom, którzy rocznym czynszem się opłacali, a częstokroć przez kupno w posiadanie dzierżawionych gruntów wchodzili. Podobnie i instytucje publiczne wydzierżawiały za odpowiednim czynszem przynależne do nich łany tak, że na przedmieściach przeważali drobni rękodzielnicy i zagrodnicy, w większej części biedni i z codziennego zarobku żyjący¹⁾. Obok nich poczęły się już od 16 wieku mnożyć dworki okolicznej szlachty i magnatów, którzy zakupywali mniej lub więcej obszerne łany, budowali na nich domy i pałacyki, a obok osadzali zawisłych od siebie zupełnie chłopów i rzemieślników. Ponieważ zaś szlachta na mocy swych przywilejów, wyłamywała się statecznie z pod zależności miasta, a grunt i zabudowania przez nią posiadane tworzyły osobną jurysdykcyą, przeto z czasem, po upadku Lwowa, doszło nawet do tego, że w XVIII wieku zaledwie trzecia część obszaru pozostała w rękach mieszczańskich. Reszta należała do jurysdykcyi magnatów i szlachty, którzy w coraz większej liczbie na gruntach przedmiejskich osiadali. Wskazują na to do dzisiaj jeszcze przechowane nazwy jak Sieniawszczyzna, Jabłonowszczyzna i Chorażczyzna czyli Potoczczyszna, (tak nazwana od Potockiego, chorażego koronnego), tudzież liczne dworki i pałacyki częściowo do niedawna, a częściowo jeszcze po dziś dzień istniejące.

Tak przedmieście, zwłaszcza halickie, przedstawiało obraz bardzo urozmaicony. Na olbrzymiej stosunkowo przestrzeni spotykałeś pałacyki magnatów, dworki i wille bogatych mieszczan i szlachty, schludne domki zamożniejszych przedmieszczan, a obok nich i liczne nędzne chałupy uboż-

¹⁾ Por. Inwentarz generalny szpitala św. Ducha l. c.

szych rzemieślników i zagrodników, z gliny i trocin pobudowane, które lada wylew Pełtwi z ziemią równał, zabierał i unosił¹⁾. Obok szlachcica i mieszczanina w bogatym polskim stroju, obok nadwornych sług i kozaków w liberyi, pojazdowi pana towarzyszących, widziałeś i dziennego wyrobnika w lichem ubraniu, i ubogą ludność, zatrudnioną koło szarwarków miejskich, a wszystko to na tle zieleni sadów, ogrodów i pól, młynów i licznych sadzawek i stawów, a równocześnie i na tle środkiem płynącej Pełtwi, kurzu i błota przedmiejskiego, bo tu już ulice nie były brukowane, bo tu nieraz z jednej kałuży w drugą się wpadało.

Zaczynało się halickie przedmieście na południowym stoku Wysockiego zamku, Lwiej i Wilezej góry²⁾, gdzie znajdowały się winnice, dostarczające według Cellariusza stu beczek wina kwaśnego i do picia nie bardzo przyjemnego. Między górą Lwią a Wilczą, u stóp Zniesienia, położony był kościółek św. Wojciecha, poniżej zaś klasztor Karmelitów bosych, a dalej trakt gliniański czyli ulica glińska, dzisiejsze Łyczakowskie ze starą ruską cerkwią św. Krzyża i kościółkiem św. Wawrzyńca. Tu rodzili się obaj Zimorowicze, tu był dworek ich ojca, były domki i innych przedmiejskich rękodzielników, swego własnego wójta mających³⁾. Uliczka poprzeczna prowadziła stąd wśród domków, sadów i ogrodów do rzeczki Pasieki, nad którą leżała osada Psi rynek koło dzisiejszego klasztoru Sakramentek, z Wróblęcym stawem i uliczką Złotą.

Między rzeczkami Pasieką i Soroką były grunta, pasieki i posiadłości większe lub mniejsze, na sposób prawie wiejski urządzone, a u zbiegu obu potoków wznosiła się ruska cerkiew Bohojawłenijska czyli Trzech króli. Koło tejże cerkwi na miejscach niżej położonych spotykałeś jeszcze podówczas moczary i trzęsawiska, podczas gdy w stronę miasta ku bramie halickiej prowadziła ulica Garncarska czyli Halicka przedmiejska z kościółkiem Podwyższenia św. Krzyża, wzniesionym na podwyższeniu niedaleko samejże bramy.

Lewy brzeg Pełtwi, znany już wtedy pod imieniem Kałecznej góry, zaczynał się dopiero zaludniać. Kościółka św. Marka jeszcze nie było, a szpital św. Łazarza założono dopiero w r. 1621. Natomiast pełno tu

¹⁾ Por. Zimorowicza *Leopolis triplex* pod r. 1617.

²⁾ Wysoki zamek zwał się dawniej górą Kamienistą (Lustracya lwowska t. I. c. str. 22 i 23), a góra Lwia czyli Stefana, to dzisiejsza Piaskowa (Ob. widok u Grzegorza Bruina t. I. c.). Na Wilczej górze znajduje się obecnie strzelnica miejska.

³⁾ Gliniańską ulicą nazywała się jeszcze niedawno poprzeczna do Łyczakowskiej. Obecnie przezwaną ją ulicą Żulińskiego, choć bezwarunkowo nie należało zmieniać nazwy, historycznie uzasadnionej.

było drzewek i krzaków, a w sporej za dzisiejszą rogatką odległości, na łąkach Handlowskich, istniał kościółek św. Zofii, który nieuczęszczany i cały rok zamknięty przemienił się, jak powiada Pirawski¹⁾, w mieszkanie wróbli.

Ulica szeroka czyli Kopernika zwała się wówczas sokolnicką i łączyła się z miastem za pomocą mostu sokolnickiego. U jej końca, koło góry Szembekowej, późniejszej Wronowskiego, wznosił się drugi klasztor Dominikanów pod wezwaniem św. Maryi Magdaleny, przeznaczony do kształcenia kleryków tegoż zakonu. Poniżej cerkwi św. Jura i mieszkania biskupa ruskiego leżała osada Syxtówka, oddzielona od miasta licznymi sadzawkami i nawet stawami, w których przechowywano ryby, przez mieszczan zakupione. Brzegi bowiem Pełtwi były podówczas o wiele niższe i o zmiennem korycie, a woda jej obracała koła młynu zwanego Kanonicznym i w tej właśnie stronie położonego.

Poza dzisiejszym ogrodem jezuickim rozpoczynało się już dawniej i stosunkowo silniej zaludnione przedmieście krakowskie, które ciągnęło się aż do Wysokiego zamku i zamieszkane było w mniejszej części przez Ormian, Rusinów i Polaków, a w większej przez żydów przedmiejskich, należących do jurysdykcyi starościńskiej. Tu leżały dwa bardzo starożytne kościoły, P. Maryi Śnieżnej, tuż za bramą krakowską i św. Jana Chrzciela już popod górą Łysą. Na lewym znowu brzegu Pełtwi wznosił się w tej stronie szpital i kościół św. Stanisława, a za nim przy trakcie grodeckim i janowskim kościół św. Anny i Znalezienia św. Krzyża. Klasztory Brygitek i Benedyktynek dopełniały liczby świątyń rz. kat. obrządku, obok których istniały jeszcze i dwa kościoły ormiańskie: św. Krzyża (później nieco założony) i św. Jakóba wraz z monasterem św. Anny, tudzież sześć cerkwi, Błahowiszczenia czyli Zwiastowania, św. Fedora, św. Mikołaja, Paraskewii vulgo Piatnice, Woskresenia i na Tarnawce, wraz z dwoma monastyrami OO. Bazylianów pod wezwaniem św. Onufrego i Jana ewangelisty. Tu także nad Pełtwią i łożyskiem Młynówki zbudowano młyny radziecki, ormiański i dwa kapitulne, a całe przedmieście ruchliwe i pełne żydów miało odmienną, ale też i mniej ponętną postać od halickiego.

Nad miastem i przedmieściami górowały przeważnie pustką stojące zabudowania Wysokiego zamku, już wówczas ku ruinie pochylonego²⁾, naokoło zaś na przestrzeni mniej więcej dwu mil kwadratowych³⁾ ota-

¹⁾ L. c. str. 122.

²⁾ Lustracya starostwa lwowskiego z r. 1570 l. c. str. 63—66.

³⁾ Rasp. l. c. str. 411 oblicza całe terytorjum miasta bez Zniesienia i Krzywczyc na 17.332 morgów.

czyły Lwów wioski przedmiejskie, przeważnie w XV dopiero wieku założone, jakoto: Kulparków, Persenkówka, Biłohorszcz, Kleparów, Wielkie i Małe Hołosko, Zamarstynów z Wolicą i Porzycami, Rokitno i Brzuchowice, w których zamożniejsi mieszczenie, podobnie jak na przedmieściu halickiem, budowali sobie ładne wille i w nich często przez lato z rodziną przebywali. Natomiast Zniesienie i Krzywczyce nie należały do miasta, tylko do starostwa lwowskiego.

Na tych obszarach miejskich było podostatkiem wspólnego pastwiska, tudzież lasu, w którym każdy lwowski mieszczanin przez długi czas miał wolny wyrąb dla swej własnej potrzeby. Wapna i gipsu, a także, jak powiadają Cellarius i Alembek, marmuru i alabastru dostarczały okoliczne góry, szczególnie kamieniołomy poza Wysokim zamkiem¹⁾ położone, tudzież Polana koło Brodek, które i dziś jeszcze Lwów w doborowy kamień zaopatrują.

W r. 1628 istniało na halickiem przedmieściu 968 domów i domków, a na krakowskim 250, nie biorąc w rachubę żydowskich i nie liczących katolickich, do jurysdykcji zamkowej przydzielonych, których było co najmniej również 250, a może i znacznie więcej. W samem mieście liczba kamienic wraz z zabudowaniami do duchownych i zarządu miasta należącymi dochodziła do trzystu oprócz 39 domów żydowskich, z których pięć tworzyło nędzne chaty, do murów przyczepione²⁾.

Właściciele w obrębie miasta oprócz duchownych liczono przeszło 350 i tyleż mniej więcej rodzin komorników, po obcych domach i piwnicach mieszkających³⁾.

Ogółem było okragło 2.000 numerów, odpowiadających przeszło trzydziestotysięcznej ludności, przekazanej nam przez Zimorowicza⁴⁾.

¹⁾ Lustracya starostwa lwowskiego l. c. str. 22.

²⁾ Zubrzycki l. c. str. 266 i 267.

³⁾ W r. 1628 nie licząc żydów było komorników 209, a ludzi po piwnicach mieszkających 31 rodzin, w r. zaś 1648 liczono prywatnych kamienic 254, z czego katolickich 164, ormiańskich 70 i ruskich 20. (Zubrzycki l. c. str. 267 i 310). Ormiańskich rodzin w r. 1648 było 145, w r. 1655 prawie tyleż samo, bo 147, podczas gdy w r. 1704 już o połowę mniej t. j. 73. Ponieważ zaś w r. 1704 rodzin mieszczańskich katolickich liczono 250, przeto wnioskując analogicznie musiało ich być na 50 lat wstecz około 500. Por. rozkład kontrybucji złożonych Tohay-bejowi, Chmielnickiemu i Szwedom w rękopisach bibl. Ossolińskich l. 1646 (str. 156—165 i str. 185—191) i 1715. Spisy tam podane są zapewne dokładne, skoro wymieniają i kontrybuentów bardzo ubogich, nie mających więcej jak 300 złp. całego majątku.

⁴⁾ *Domus virtutis et honoris* str. 102. Por. także *Viri illustres* w ustępie oobleżenie Lwowa z r. 1648 opisującym, gdzie mowa nawet o 50 000 zapewne jednak nietylko mieszkańców, ale wszystkich tych, którzy do miasta się schronili,



Z sumy tej ogólnej mieszkańców przypadało około dwie trzecie (18.000—20.000) na oba przedmieścia, a tylko jedna (10.000—12.000) na właściwe miasto¹⁾.

Z początkiem XVII stulecia oprócz nader nielicznej garstki niespolonizowanych Włochów i Niemców składały się na ludność Lwowa cztery różne narodowości: Polacy, Ormianie, Rusini i Żydzi. Stosunek ich liczebny do siebie określa najlepiej ilość prywatnych kamienic w mieście, pomiędzy którymi było w r. 1648 polskich 164, ormiańskich 70, ruskich 20, a domów żydowskich około 40. Na przedmieściu halickiem stosunek zmieniał się prawdopodobnie jeszcze na korzyść Polaków, a przeciwnie na krakowskiem na rzecz Żydów, Ormian i Rusinów. Najwybitniejszym więc i najliczniejszym był żywioł polski, który zasilany przybyszami z Wielko i Małopolski wsiąknął z czasem w siebie osiadłych tu Niemców i nielicznych Włochów. On to wyznawał wiarę rzymsko-katolicką i w jego też rękach spoczywały właściwe rządy miasta. Kto nie zaliczał się do wyznawców katolickiego obrządku, ten nie mógł piastować żadnych urzędów, właściwy rząd miejski reprezentujących, mógł natomiast otrzymać jakąś godność w obrębie swej własnej nacyi.

Prawo i urządzenia, przejęte z Niemiec, były tak zwane magdeburskie z odcieniem jednak arystokratycznym. Zbyt są one powszechnie znane i zbyt wiele miejsca zajęłoby opowiadanie o nich, bym mógł tu szerzej nad nimi się zastanawiać. Dla zrozumienia dalszych rozdziałów wystarczy przypomnieć następujące szczegóły:

Na czele stało dwunastu radców (*consules*), z których właściwie tylko sześciu tak zwanych *residentes* rządziło przez rok jeden miastem i nie mogło się z niego oddalić, podczas gdy drugich sześciu tak zwanych *antiqui* przebywało w tym czasie niejako na urlopie i było powoływanych na narady tylko w sprawach ważniejszych, obecności całego kolegium wymagających. W następnym roku naodwrot *residentes* stawiali się *antiqui*, a *antiqui* przechodzili na *residentes*.

Wybierano rajców z pomiędzy niżej wspomnianych ławników i 40 mężów i to podczas ogólnej elekcji, corocznie 22 lutego z wielką pompą odprawianej, przy której z obowiązku był obecnym starosta lwowski lub jego zastępca. Na niej to z grona sześciu *consules residentes* przedstawiali rajcy staroście trzech kandydatów na piśmie, a ten wybierał sobie jednego z nich i naznaczał na burmistrza królewskiego (*pro-consul regius*). Z dwu pozostałych kandydatów wybierało pospólstwo je-

¹⁾ Dzisiaj na 327 kamienic w śródmieściu przypada 15.754 mieszkańców. Por. Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. (Lwów 1892) str. 67.

dnego swoim burmistrzem (*proconsul communitalis*), podczas gdy trzeci, ani przez starostę ani przez pospólstwo nie wybrany, zostawał burmistrzem panów radców i zwał się *proconsul Dominorum consulum*. Ci trzej po kolei sprawowali najwyższe rządy miasta zmieniając się co cztery tygodnie, przyczem burmistrz królewski rok zaczynał i kończył.

Obok rajców było jeszcze *collegium scabinale*, czyli dwunastu ławników (*scabini*), którym przewodniczył wójt, również co roku z pomiędzy rajców lub ławników wybierany.

Oba stany, tak *ordo consularis* jak i *scabinalis*, uzupełniały się same i początkowo prawie żadnej nie podlegały kontroli. Ponieważ jednak skutkiem tego poczęli do ich grona wchodzić tylko sami ludzie rajcom podobać się umiejący lub z nimi węzłem pokrewieństwa połączeni, przeto wkradła się wnet do administracyi samowola i stronnictwo, a skargom i narzekaniom dopóty nie było końca, dopóki Stefan Batory nie utworzył stanu trzeciego, t. j. czterdziestu mężów (*ordo quadraginta virorum*), wybieranych w połowie z kupców i rzemieślników i zbierających się na sesye partykularne, lub w sprawach ważniejszych na generalne, razem z resztą ludności czyli pospólstwa. Zarządzenie to Stefana Batorego ukróciło nieco sobkowską gospodarkę panów radców, nieraz krótko „panami“ zwanych, bo 40 mężów i ich również co roku odmieniający się przełożony (*regens communitalis*) miało prawo wglądu w doroczne rachunki rady i było rzecznikami między nią, a resztą ludności. Narzekania jednak w zupełności nigdy nie ustały, bo „panowie“ zawsze nikogo nie dopuszczali do wyższej godności, kto im nie szedł na rękę, bo władzy nadużywali, uciskając poddanych po wioskach miejskich i kierując się własną korzyścią w administracyi miasta¹⁾, choć dochody ich i przywileje same przez się były bardzo znaczne. Nie płacili bowiem żadnych podatków, wódkę i piwo pędzili bez żadnej opłaty, a nadto mieli udział w dochodach tak zwanych radzieckich²⁾, pobierając zwykle 2.000 złp. rocznie jako *consules antiqui*, a 3.000 złp. jako *residentes*.

Rajcy czynni z burmistrzem na czele tworzyli także sąd w sprawach cywilnych i policyjnych, *officium consulare*, i zbierali się na sesyą w poniedziałek, środę i sobotę każdego tygodnia. Mniejsze sprawy załatwiał burmistrz codziennie w swym własnym zakresie (*iudicium pedanum*), sprawy zaś karne, a w części i spadkowe należały do *iudicium civile*, złożonego z ławników i wójta, od r. 1591 obieranego naprzemian to

¹⁾ Charakterystycznymi w tym względzie są zeznania Marcina Kampiana i Agnieszki Korzeniowskiej. Ob. Łoziński: Patrycyat str. 101 i 236.

²⁾ Por. Zubrzycki l. c. str. 20 i 21.

z kolegium ławniczego, to z radzieckiego. Sąd ławniczy zbierał się we wtorki, czwartki i piątki na zwykłe posiedzenia (*iudicium necessarium bannitum*), a co dni piętnaście na sesyą uroczystą celem załatwienia ważniejszych spraw, *iudicium expositum bannitum*. Sam wójt nadto rozstrzygał codziennie w sprawach mniejszej wagi, co się zwało *iudicium advocatiale*.

Apelacya od wyroków szła do sądów królewskich, a sprawa skutkiem złego urządzenia wymiaru sprawiedliwości w ziemiach dawnej Rzplitej ciągnęła się nieraz latami, narażając strony na niebywałe koszty. Akta przyjmowali i nimi zarządzali dwaj pisarze, radziecki i sądowy czyli ławniczy, (*notarius officii consularis* i *iudicii civilis*), którzy mieli pod sobą podpisków (*vicenotarius*), woźnych (*bedellus iuris*) i całą kancelaryą w osobnych na to wyznaczonych kamienicach. Miasto utrzymywało nadto swego własnego syndyka i instygatora, a liczni palestranci t. j. obrońcy i zastępcy przed sądem pełnili rolę dzisiejszych adwokatów. Była jeszcze i komisya egzekucyjna, *officium dominorum iurisfidelium*, celem przeprowadzania egzekucyi wyroków i działów majątkowych i składała się z wójta, ławników, pisarza i jednego woźnego.

Rajcy i ławnicy mieli dwie osobne, niejako prywatne kasy, których dochodami dzielili się przy końcu roku. Obok nich istniały kasa królewska (*regalis*) i miejska (*civilis*), zostające pod zarządem lonheryi czyli wydziału złożonego z dwu rajców, dwu ławników i dwu ze zgromadzenia 40 mężów. Im podlegał pisarz lonheryi (*notarius lonheriae*), który wraz ze swymi pomocnikami prowadził wykaz wszelkich dochodów z dóbr miejskich i przeróżnych opłat targowych i propinacyjnych¹⁾.

Z kasy królewskiej opędzano wydatki na obwarowanie miasta i utrzymanie fortyfikacyj w należytym stanie, z kasy zaś miejskiej opłacano straż, urzędników, sługi, naprawiano drogi, bruki i mosty i pokrywano koszty nadzwyczajne, poczynione celem przyjęcia króla lub wysokich dygnitarzy i poparcia spraw miejskich u dworu. Gdy zwyczajne dochody nie wystarczały, wówczas nakładano na ludność podatki albo w zwyczajnej mierze, tj. szosy albo w podwójnej czyli duple, a nieraz kazano płacić i kilka dupli odrazu²⁾. Działo się to zwłaszcza wówczas, gdy Rzplita potrzebowała pieniędzy na cele wojenne, a sejm nakazał miastu zapłacić pewną sumę pieniężną.

¹⁾ Przeróżne rodzaje dochodów wyszczególnione u Zubrzyckiego l. c. str. 21, 22, 28, 29 i 30.

²⁾ Wielkość szos i dupli była zdaje się zmienną. W r. 1649 szosa wynosiła na chłopa 1 złr. 6 gr., przyczem wyrażenie „na chłopa“ objaśnione u Zubrzyckiego l. c. pod r. 1627.

Tak więc suma rozchodów była bardzo zmienna i wynosiła w pierwszej połowie 17 stulecia od 10 do 40 tysięcy złp. rocznie¹⁾. Kwota ta mała w naszych dzisiejszych pojęciach, ale nie tak znowu nieznaczna na owe czasy, w których dwa złote polskie szły na jeden dukat, w których nie znano nowożytnych instytucyi i urządzeń. Szkoły prawie nie kosztowały, jak to będziemy mieli sposobność dokładnie poniżej zaznaczyć, ulic podówczas jeszcze nie oświetlano i tylko trzy latarnie znajdowały się w izbie strażniczej na ratuszu, aby w danym wypadku mogła ich użyć milicya miejska. Przysługujących do gaszenia ognia ani straży pożarnej jeszcze również nie znano. W razie wybuchu pożaru jako sygnał alarmujący wywieszano na wieży ratusza chorągiew czerwoną w dzień, a latarnię w nocy. Zresztą ratunek pozostawiano mieszkańcom; to też wobec gęstego zabudowania miasta nawiedzały Lwów co kilka lat pożary, nieraz strasznych rozmiarów dochodzące. Wreszcie wydatki na bezpieczeństwo publiczne były również dosyć skromne. Utrzymywano 50 tak zwanych „cepaków“, uzbrojonych w halabardy i cepy w żelazo okute. Oni to pilnowali bram i czuwali w nocy, a przebywali na ratuszu, gdzie mieli wyznaczone dla siebie izby. Podczas napadu na miasto wyruszali na mury wszyscy mieszczanie, a pojedyncze cechy miały stale wyznaczone stanowisko i jedną basztę do obrony. Aby zaś wszyscy umieli bronią władać i celnie strzelać, zawiązano już w XV stuleciu towarzystwo strzeleckie (*contubernium iaculatorum*), które liczyło bardzo wielu członków i miało swoje własne lokalności koło bramy krakowskiej.

Zarządowi głównemu podlegały wszystkie wyznania nietylko katolickie, ale i ormiańskie, prawosławne i żydowskie. Atoli w obrębie swej własnej narodowości rządzili się Ormianie, Rusini i Żydzi zupełnie autonomicznie. Główną i uprzywilejowaną rolę grała pod tym względem ludność ormiańska, licznie osiadła i prawie w zupełności z polską równouprawniona. Uciekając przed prześladowaniem Turków, rozbiegli się ci ruchliwi synowie wschodu po ziemiach ruskich i zawitali również do Lwowa, dokąd przynieśli z sobą wiele przepychu wschodniego i zamiłowania w kosztownych a pstrych szatach i drogocennych drobnostkach.

¹⁾ W mieście liczono stokilkadziesiąt rodzin²⁾ ormiańskich. Na przedmieściach, zwłaszcza krakowskiem, musiało ich być nierównie więcej, skoro obok katedry biskupiej posiadali jeszcze dwa kościoły i jeden monastyr.

¹⁾ Rozchody od r. 1510 do 1628 zestawione u Raspa I. c. str. 460 i 461. Por. księgi rachunkowe w oddziale III archiwum miejskiego.

²⁾ Por. str. 165 nader ciekawego rękopisu bibl. Ossolińskich I. 1646, skąd też najwięcej zaczerpnąłem szczegółów do charakterystyki Ormian lwowskich.

Uposażeni w przywileje, przez królów polskich im nadane, rządili się długi czas swemi własnymi prawami, w armeńskiej ich ojczyźnie obowiązującymi i w armeńskim języku spisanymi. O przełożenie ich na język łaciński postarali się dopiero wówczas, gdy im Zygmunt I uczynić to nakazał wskutek skarg i zażaleń mieszczan i rajców, ormiańskiego języka nie znających. Przekładu dokonano w r. 1518 i przedłożono go królowi, który zatwierdził go w roku następnym, zmieniawszy poprzednio i usunawszy niejedno, co nie odpowiadało już duchowi czasu i urzędów polskich¹⁾.

Pod wpływem otoczenia polonizowali się dosyć szybko i już w XVI stuleciu posługiwali się w piśmie obok ormiańskiego²⁾ i językiem polskim, wtracając tylko tu i owdzie wyrażenia wprost z ormiańskiego przejęte, atoli w potocznym życiu długo jeszcze przechowywali znajomość mowy ojczystej i tatarskiej i jeszcze w XVII wieku władali niemi należycie³⁾. Trwali też do r. 1629 niewzruszenie przy dawnym obrządku, ale mimo tego, jak już wyżej nadmieniałem, używali prawie równych przywilejów z wyznawcami wiary katolickiej, to jedno wyjąwszy, że nie wolno im było kupować ani posiadać kamienie w samym rynku. Ta tolerancya wychodziła miastu na dobre, bo rzutni i odważni Ormianie nie mało się przyczynili do jego wzrostu na polu handlowem. Oni to zapuszczali się w dalekie krainy wschodu, oni szli na czele karawan, sięgających nieraz dalekich krajów tureckich i tatarskich, oni wreszcie utrzymywali stosunki nawet z Persją zapomocą swych rodaków, z którymi w ojczystym języku i całkowicie odmiennym alfabecie porozumieć się umieli. To też jeszcze w r. 1649 majątek stukilkudziesięciu rodzin ormiańskich szacowano na 3,200.000 złp., przy czem Jan Warteresowicz miał prawie $\frac{1}{6}$ tej sumy, bo 600.000 złp.⁴⁾.

Życie społeczne Ormian lwowskich jednoczyło się koło ich katedry i jej przełożonego biskupa, który z natury rzeczy wywierał niemały wpływ na „wszelkie nacyi ormiańskiej“ zarządzenia, choć ta prowadziła z nim nieraz spory o dobra i dochody kościelne. Równocześnie z ludnością katolicką zbierali się corocznie na elekeyą w zabudowaniu do katedry ormiańskiej przytykajacem i wybierali tam dwunastu starszych, tworzą-

¹⁾ Por. rękopis biblioteki Ossolińskich l. 2117: (Prawa i artykuły Ormian lwowskich) tudzież rozprawę T. Bischoffa, *Das alte Recht der Armenier in Lemberg in Sitzungsberichte der Akademie der Wissenschaften in Wien, philosophisch-historische Classe* t. 40 z r. 1862, str. 255—302.

²⁾ Alembek l. c. str. 101.

³⁾ Cellarius l. c. 315, Alembek l. c. 101.

⁴⁾ Por. rkps. bibl. Ossolińskich str. 4 i 156. Suma 3,200.000 wynika z rachunku. Aby zebrać 1.600 złp. musiał każdy z Ormian dać 15 groszy od 1.000 złp. majątku.

cych niejako czwarty stan w mieście (*ordo seniorum nationis Armenae*) obok rajców, ławników i 40 mężów. Ci starsi składali również przysięgę na ręce starosty i dzielili między siebie czynności. Dwu było erek albo seriespochanami lwowskimi a dwu łuckimi, dwu dzierżyło pieczęć, dwu zarządzało ormiańskim szpitalem, dwu było prowizorami do odbierania czynszów z wydzierżawionego majątku gminy ormiańskiej i wreszcie dwu obierano gospodarzami czyli „lunarami“ i poruczano im ściąganie uchwalonych jasachów, czyli składek na cele publiczne. Erekpochanie lwowscy byli niejako burmistrzami ormiańskimi i zastępowali swych rodaków wobec rajców, ilekroć ci powołali ich na ratusz celem naradzenia się nad sprawami, całego miasta dotyczącymi, podczas gdy erekpochanie łuccy byli zapewne tylko prowizorami majątku przez Ormian w Łucku posiadanego, a może i przedstawicielami ich wobec magistratu łuckiego. Od r. 1653 zbierali się starsi każdego poniedziałku i czwartku na naradę, a gdy chodziło o sprawę ważniejszą, wówczas powoływano z dawien dawna wszystkich przedstawicieli nacyi ormiańskiej do oddania swego głosu. Ponieważ zaś nie zawsze to było możliwem, gdyż część Ormian, „szukając pożywienia“¹⁾ stale była nieobecna, przeto uchwalono wybrać 15 *ex tota communitate*, a z pomiędzy tych znowu wydział ze czterech złożony, który wspólnie z rajcami miał się naradzać w ważniejszych sprawach i reprezentować całą „nacyą“. Mieli też wreszcie Ormianie swój własny sąd (*Iudicium Armenorum, Armenicale*), w którym zasiadali starsi ormiańscy pod przewodnictwem ogólnego wójta miejskiego i w asystencyi pisarza sądu ławnickiego.

Rodzin ruskich liczone w samem mieście nie więcej nad 30—40 skupionych w ulicy ruskiej koło cerkwi wołoskiej i stauropigii, czyli bractwa zależnego wprost od metropolity carogrodzkiego. Na przedmieściach było Rusinów nierównie więcej, ale już zawsze mało w stosunku do innych narodowości. Stali oni twardo przy swej wierze i utrzymywali ciągle stosunki z Moskwą i Jassami, skąd nadchodziły ikony, ornaty i kielichy, tudzież większe lub mniejsze zasiłki pieniężne. Mimo tego siłą stosunków polonizm czynił i tu coraz znaczniejsze wyłomy, a prawie wszyscy zamożniejsi Rusini obok ruskiego władali dobrze i językiem polskim tak w mowie jak i piśmie²⁾. Doszło nawet do tego, że i akta stauropigialne spisywano częściowo po polsku, że i w listach między sobą nie innego tylko tego języka używano.

Stauropigia była ogniskiem społecznego życia ruskiego. Zarządzanie nią dostarczało niemałych zysków, bo bractwo miało przywilej wy-

¹⁾ Rkps. Ossol. 1646 str. 30.

²⁾ Charakterystycznym pod tym względem jest pamiętnik Kunaszcza, streszczony w Łozińskiego Patrycyacie str. 354—371.

łącznego drukowania liturgicznych i nabożnych ksiązek, rozchodzących się w tysiącach egzemplarzy po całej Rusi. Ścigano też z zaciętością każdego nawet Rusina¹⁾, który poważył się prowadzić drukarnię na własną rękę i ubiegano się skwapliwie o urząd starszego narodowości ruskiej. Mimo tego zarząd funduszków staupigialnych nie musiał być zawsze rzetelnym, skoro niejednokrotnie zarzucano sobie niewłaściwości pod tym względem. Spory o to i procesy w sądach miejskich i królewskich przez długie lata się ciągnące, tudzież sprzeczki z biskupem, duchownym swym przełożonym, są rzeczywiście ciemną stroną w życiu lwowskich Rusinów.

Położenie materyalne Rusinów nie musiało być tak złem, skoro najbogatsi z pomiędzy nich majątkiem rodziny polskie przewyższali i skoro pomimo stosunkowo małej liczby mieszczan ruskich było dosyć wielu takich, co liczyli się do najzamożniejszych w mieście²⁾. Odnosi się to zwłaszcza do Greków, którzy osiadając we Lwowie zasilali zastępy Rusinów, z którymi ich jedność wiary łączyła. Posiadali też Rusini *de facto* domy poza ulicą ruską, trudnili się handlem na większą skalę i należeli niekiedy do cechów, bo zwierzchność miasta czy umyślnie, czy nieumyślnie przymykała na to oczy i Rusinom tego zazwyczaj nie broniła. Atoli *de iure* nie wolno im było ani kupować kamienia poza ulicą ruską, ani warzyć piwa lub trudnić się sprzedażą innych napojów, ani wreszcie należeć do „cechów, rzemiosł wszelakich i bractw“³⁾. Również i co do handlu na większą skalę istniały dla Rusinów pewne ograniczenia, choć z całą ścisłością nie przestrzegane, nie mówiąc już nie o piastowaniu urzędów miejskich, do których później nie mieli także przystępu, podobnie jak Ormianie i Żydzi.

Sądząc bezstronnie musimy przyznać, że takie ograniczenia nie mogły nie boleć Rusinów, czujących się na własnej ziemi i ponoszących zarówno z innymi wszystkie ciężary publiczne. Nie pochodziło to jednakże z nienawiści narodowej, bo tej wówczas nie znano, ale z żarliwości religijnej i ówczesnych pojęć wyznaniowych, które mieszczaństwu przeważnie katolickiemu i do swej wiary żywo przywiązanemu nakazywały zachować miasto o ile możności wolnem od wpływu i mieszania się innych wyznań. Słuszności tego twierdzenia dowodzi okoliczność, że na

¹⁾ O procesie z Andrzejem Skolskim ob. Łozińskiego Patrycyat str. 344—349. Z innej strony pojęto i inaczej przedstawiono spór z Michałem Słozką w Omeliana Ogonowskiego, „Istoria literatury ruskoj“ Cz. 1. Lwów 1887, str. 167—168.

²⁾ Ob. summaryusz koekwacyi z r. 1656 w rękopisie bibl. Ossol. Nr. 1480 tudzież Łozińskiego Patrycyat str. 169 nstp.

³⁾ Obok innych źródeł por. Lustracyą lwowską l. c. str. 35 nstp.

drobnostki w zakres obrzędów religijnych wchodzące, zwracano szczególniejszą uwagę i np. podczas pogrzebu pozwalano Rusinom zapalać świece i dzwonić we dzwony cerkiewne dopiero wówczas, kiedy kondukt wstąpił w ulicę ruską. Zresztą ograniczeń tych nie wprowadzili, jak chce Zubrzycki, dopiero Polacy, bo one po większej części istniały już za czasów, kiedy we Lwowie akta urzędowe spisywano po niemiecku i kiedy Niemcy mieli stanowczą przewagę w mieście. Ormianie umieli się stać niezbędnymi w handlu ze wschodem i dlatego posiadali też i większe przywileje; Rusini mniej rzutni uzyskać ich nie zdołali, a nadto postępowaniem swoim nieszczerem i mało ufności w innych wlewajacem dolewali tylko oliwy do ognia, wiecznie tlejącego.

Żydów w mieście było stosunkowo niewiele, jak to już wyżej miałem sposobność nadmienić. Za to na przedmieściu krakowskiem mieszkała ich spora liczba, pod jurysdykcją starościńską. We dwóch synagogach miejskich rezydowali dwaj rabini, nie biorący zresztą żadnego udziału w rządach miasta. Wrodzoną li tylko obrotnością i przemyślnością umieli Żydzi obejść wszystkie ograniczenia i z biegiem czasu pozyskiwać od rajców coraz korzystniejsze dla siebie swobody handlowe. Kiedy zaś ich na czemś pochwyceno, co cechom niemałą szkodę przynosiło, to wówczas udawali się pod opiekuńcze skrzydła starosty albo zasłaniali się powagą wojewody lub innych magnatów.

Handlowi i rekodzielnictwu lwowskiemu szkodzili Żydzi od początku, bo powodowani niepomiarłą chęcią zysku dostarczali lichych wyrobów i dawali przez to powód do ciągłych skarg, tak ze strony mieszczan lwowskich, jakoteż kupców krajowych i zagranicznych¹⁾. To też nienawiść do nich poniekąd uzasadniona wzrasta ciągle i znajduje wyraz w dziełach lwowskich pisarzy, zwłaszcza że Żydzi usuwali się od obowiązku obrony miasta i ponoszenia ciężarów publicznych i unikając ciężkiej pracy, gonili za łatwym zarobkiem, jako lichwiarze, szynkarze i faktorzy, place i ulice Lwowa zalegający. Podsycała tę nienawiść i żarliwość religijna mieszczan i uczniów szkoły miejskiej i jezuickiej, dopatrujących się w każdym Żydzie potomka Judasza i Izraelitów, co Chrystusa niegdyś ukrzyżowali. Stąd przychodziło nieraz do krwawych rozruchów, w czym Lwów podobny tylko do innych miast krajowych i zagranicznych, gdzie to samo, ale z większą nieraz powtarzało się zaciętością.

We Lwowie „tumulty żydowskie“ Żydom nie zaszkodziły, jak nie zaszkodziły im i klęski, które w połowie 17 wieku dotknęły do żywego

¹⁾ Por. Łozińskiego złotnictwo str. 21 i 36, Patrycyat st. 191—195 i 322. Alembek l. c. str. 14. Zubrzycki na wielu miejscach etc. etc.

ludność chrześcijańska. Żydzi na złe czasy odpowiedzieli większem jeszcze wyrafinowaniem i tym zmysłem, który umie zawsze i do wszystkiego się zastosować. To też gdy ludność chrześcijańska upada, rośnie przeciwnie znaczenie Żydów i wzmacnia się ich liczba.

Ulice na przedmieściach, o ile nie należały do jurysdykcyi starosty, szlachty i duchowieństwa, miały osobnych wójtów i przysiężnych, podległych naczelnemu zarządowi miasta. Stanowisko przedmieszczan podobnem było do roli Rusinów w mieście osiadłych. I oni również nie mogli piastować godności miejskich ani warzyć piwa i miodu, nie mogli prowadzić handlu na szerszą skalę ani wykonywać robót rzemieślniczych poza granice nakreślone im przez cechy miejskie. Ograniczenia te jednak obchodzili często przedmieszczanie, a w razie ścigania ich przez cechy udawali się, podobnie jak Żydzi, pod opiekę starostów, którzy albo przyjmowali ich pod swą jurysdykcyą albo oświadczali, że robotę wykonano na ich zlecenie i użytek. Lustratorowie też przez sejm naznaczeni czynili chętnie starostom ustępstwa w tym względzie, utrzymując słusznie, że wskutek małej ilości należących do cechu artykuły żywności i wyroby rzemieślnicze nadzwyczaj są drogie, a skarb królewski traci na tem wiele, bo skromne opłaty pobierano wówczas nie od ilości wyrobów, ale od głowy wyrabiającego¹⁾. Zresztą trudnili się przedmieszczanie uprawą roli, sadownictwem i ogrodnictwem i wynajmowali się na robotników do robót publicznych lub przez mieszczan wykonywanych.

Z boku a równocześnie i ponad wszystkimi tymi stanami stał lwowski starosta, którego znaczenie jako naczelnika sądu grodzkiego zawsze było wielkie i wybitne. Z czasem stanowisko jego, przywilejami miastu udzielonymi uszczuplone, wzmoгло się jeszcze więcej w miarę upadku miasta i przechodzenia wszelkiej władzy w ręce szlachty polskiej, do której i on się zaliczał.

Lwów był miastem *par excellence* handlowem i kupieckim, bo skutkiem położenia geograficznego i przywilejów królewskich stał się miejscem składowem dla towarów, którego nie można było ominąć bezkarnie i które zaspokajało potrzeby nie tylko rozległej Rusi, ale także i księstw naddunajskich. Wszystko tu stało za ladą, od panów rajców aż do ubogiego mieszczanina.

¹⁾ Lustracya lwowska l. c. w ustępach odnoszących się do poszczególnych cechów.

Szczegółów wielu przytaczać nie potrzebuję, bo słowa szanownego autora *Patrycyatu*, wypowiedziane w jednym z najlepszych jego rozdziałów¹⁾, tkwią zapewne żywo w pamięci czytelników. Wystarczy więc znowu słów kilka.

Głównymi artykułami handlu lwowskiego były towary wschodnie, jak tkaniny jedwabne, kobierce i przeróżne korzenie, a obok tego wyroby sukienne i płócienne, skóry i futra, tudzież wino greckie i węgierskie. Nie mniej handlowano zbożem, które składano w obszernym szpi-chlerzu, specyalnie do tego urządzonym, dalej wołami, woskiem, miodem i popiołem wypalonym w puszczech bukowińskich i krajowych, a już prawdziwie sławnym był Lwów z handlu rybami suszonymi i solonemi, których w wielkiej ilości dostarczały liczne podówezas i sztucznie utworzone stawy Czerwonej Rusi. Pełno też było we Lwowie sklepów i pomniejszych kramów, a już w czasie jarmarków, z których najślawniejszy był na św. Agnieszkę (21 stycznia), roło się literalnie od tłumy kupujących, a wszystkie place większe i mniejsze zapełnione były szczelnie namiotami i budami przekupniów. Na plac boju wyruszali wtedy nawet aptekarze i księgarze, a Włosi, Niemcy i Węgrzy, Turcy, Tatarzy, Wołosi i Grecy przebywali we Lwowie przez dłuższy czas, zostając pod dozorem przysięgłego tłumacza i kilku jemu podwładnych „baryszników“. Wszystkie towary stemplowano i opłacano, przyczem na wiele wyrobów i artykułów żywności ustanowioną była już z góry cena oznaczona przez wojewodów²⁾ a także i rajców w porozumieniu ze starostą. Na odwrót jeździli Lwowianie na wszystkie okoliczne jarmarki, gdzie sprzedawali własne wyroby, lub pozbywali się zakupionych przez siebie towarów krajowych i zagranicznych.

Przemysł nie był znaczny. Miasto posiadało ludwisarnię, blichy płótna, kilka cegielni, a dalej „woskobójnię“ i kilka browarów i młynów. Nadto syciło miód, którego dostarczały liczne podówezas na Czerwonej Rusi pasieki i od czasu do czasu zdobywało się na jakąś nową gałąź przemysłu np. wyrób czapek, prowadzony na dość znaczną skalę w drugiej połowie szesnastego stulecia³⁾. Natomiast rzemiosła były liczne i dosyć rozwinięte. Rzemieślnicy łączyli się w cechy, do których stósownie do ich religijnego odcienia przyjmowano zazwyczaj tylko mieszczan katolików. Wszystkie cechy miały starszych czyli cechmistrzów, corocznie się odmieniających i swoją własną kasę czyli skrzynkę bracką,

¹⁾ L. c. str. 36 i nstp.

²⁾ Por. obok dat, którychby archiwum lwowskie mogło dostarczyć i analogiczną pracę Ferd. Bostla: *Taryfa cen dla województwa krakowskiego*. Archiwum komisji historycznej, t. V, str. 297—316.

³⁾ Łozińskiego *Patrycyat* str. 45.

a nierzadko także i osobne ołtarze lub nawet kaplice. Za zasadę przyjęto, że do cechu mogło należeć tylko dwudziestu¹⁾ członków, warstwy utrzymujących. Taka ściśle ograniczona liczba stała na przeszkodzie rozwijaniu się rzemiosł i dawała jak już wyżej poznaliśmy słuszny powód do skarg i narzekań na wygórowane ceny wyrobów i artykułów żywności i zbyt szczupłą ich liczbę²⁾.

Obok zasklepienia się cechów tamował rozwój handlu i rzemiosł i bezmyślny system cłowy, utrzymujący się ustawicznie w ziemiach dawnej Rzplitej polskiej, gdzie wolno było szlachcicom pobierać opłaty za lada mostek lub pozwolenie przejścia przez ich terytoryum. Jeden z takich drastycznych przykładów przytacza autor Patrycyatu na str. 57. Nie przyczyniało się do wzrostu handlowego i małe bezpieczeństwo dla kupców dalsze podróże odbywających. Często przepadały towary i ginęły całe karawany z ręki rabusiów i koczowniczych Tatarów. Nie dziwi więc, że kupiec nie mógł się zadowolić procentem urzędowym, przez papieża Klemensa VIII z 8 na 7 od stu zniżonym, lecz musiał szukać nierównie większego zysku, bo i ryzyko jego było nierównie większe jak dzisiaj. Potrzeba też było mieć znaczny kapitał, by przetrwać możliwe straty, co także w niemałej mierze przyczyniło się do wyrobienia się owego arystokratycznego ustroju rządów w mieście i do wytworzenia się owych patrycyuszowskich rodów, tak plastycznie w Patrycyacie przedstawionych, pomiędzy którymi najmożniejszą i najbardziej rozgałęzioną była rodzina śląska Scholz-Wolfowiczów, spokrewniona prawie ze wszystkimi więcej wpływowymi rodami w mieście.

Oświata ogółu, nie licząc jednostek, była wcale niewielką i w tym względzie opierając się na zebranych wskazówkach i datach, muszę stanowczo wystąpić przeciwko sądom i zdaniom, dziś powszechnie już wygłaszanym i zredukować je do właściwej miary.

Oznaką wyższej cywilizacji społeczeństwa są jego szkoły i instytucje naukowe. Jestto pewnik żadnej wątpliwości nie ulegający. Przyjrzyjmy się więc, jak pod tym względem stolica Czerwonej Rusi wyglądała.

¹⁾ Por. Lustracyą z r. 1570 l. c. str. 4, 6 i 7.

²⁾ Zresztą o cechach lwowskich da się to samo powiedzieć, co p. Władysław Stesłowicz napisał o krakowskich w gruntownej rozprawie, która niedawno wyszła p. t. Cechy krakowskie w okresie powstania i wzrostu. (Kwartalnik historyczny rocznik VI z r. 1892, str. 277—333).

Pierwszą szkołą we Lwowie dla katolickiej ludności była założona w r. 1400 i złączona z miejscową parafią przy kościele Panny Maryi Śnieżnej. Że taka szkoła, choć miała osobnego kierownika przez rajców mianowanego a miejscowemu plebanowi podwładnego¹⁾, nie wiele różniła się od zwykłych ówczesnych szkółek parafialnych, — tego zdaje mi się i udowadniać nie potrzebuję. Uznali to i sami rajcy, przeniósłszy ją w r. 1444 do kościoła i szpitala św. Ducha, a następnie w kilkanaście lat później do zabudowań kapitulnych, gdzie przetrwała wieki aż do czasów prawie najnowszych. Poddana nadzorowi kapituły i arcybiskupów, którzy jak Jan Demetryusz Solikowski na lekye nieraz przychodzili i odpowiedzi uczniów słuchali²⁾ i złączona ściśle z kościołem katedralnym, miała charakter czysto katolicki i przyjmowała tylko uczniów katolików, synów szlachty okolicznej lub mieszczaństwa lwowskiego.

Kierownikiem czyli „rektorem“ szkoły był magister lub przynajmniej *baccalaureus* promowany w Akademii krakowskiej. Rada miejska wyszukiwała go i własnym kosztem sprowadziwszy przedstawiała kapitule, której miał podlegać tak w sprawach kościelnych jak i zarządu szkoły się dotyczących. W razie nieposłuszeństwa lub niedbalstwa donosili o tem kanonicy rajcom miejskim i jeżeli trzykrotnie upomniany nie poprawił się, a urząd miejski nie postarał się o zastąpienie go innym, to kapitulę przysługiwało prawo karami kościelnymi zmusić go do ustąpienia z zajmowanego stanowiska.

Od r. 1514, w którym stanął układ między kapitułą a rajcami, zatwierdzony przez króla Zygmunta I, każdy rektor szkoły otrzymywał pierwszą opróżnioną kanonią i to z ramienia rajców lwowskich, którzy prawo nadania jej sobie zastrzegli³⁾. Wówczas przestawał być rektorem, a jego urząd obejmował inny magister lub *baccalaureus* i pełnił go tak

¹⁾ Obok innych zwracam uwagę na opartą na pierwszorzędnym źródłach broszurkę, wydaną koło r. 1765 przez Akademię krakowską, jako protest przeciwko usiłowaniom Jezuitów starających się o utworzenie własnej we Lwowie akademii. Tytuł jej brzmi: *Leopoliensis informatio super dubio utrum constet de iure quaesito universitatis Cracoviensis ad scholam metropolitanam Leopoliensem, uti et tuncquam coloniam suam academicam, nunquam in controversiam vocato*. (Biblioteka Ossolińskich Nr. 6517 fol.).

²⁾ Tamże str. 8, wyjęte ze Skrobiszewskiego *Vitae archiepiscoporum Leopoliensium*. Por. także Chodyniecki l. c. str. 422 i nstp.

³⁾ Prawa tego rajcy ściśle przestrzegali i zawsze kanonią rektorowi szkoły nadawali aż do r. mniej więcej 1723, w którym powodowani związkami pokrewieństwa i wbrew brzmieniu układu usiłowali po śmierci Jana Józefowicza nadać kanonią Michałowi Zdotorowiczowi, a nie rektorowi szkoły, Jakóbowi Zuczkieviczowi. Por. *Leopoliensis informatio* str. 15.

długo, dopóki z powodu śmierci poprzednika swego nie został kanonikiem, albo nie otrzymał jakiej korzystniejszej posady lub godności rajcy lwowskiego, co później również nierzadko się zdarzało. Wówczas dopiero mógł o sobie powiedzieć, że ma być zapewniony, bo jak długo był rektorem szkoły lwowskiej, to pobory jego były następujące:

1) Od kapituły rocznie 4 złp.;

2) Od zarządu miasta również tyle;

3) Z fundacyi Gabryela Rozena co roku 24 złp.;

4) Żydzi miejscowi z własnej inicjatywy płacili rocznie 20 złp., a przedmiejscy 9 złp. i 10 gr. pod warunkiem, że za to wolni będą od nagabywań i napadów ze strony studentów;

5) Wskutek nowego układu rajców z kapitułą, zawartego pod koniec 16 wieku, zobowiązał się zarząd miasta płacić rektorowi dodatkowo jeszcze 100 złp., aby zapobiec upadkowi szkoły, która skutkiem braku funduszy widocznie podupadać zaczęła; wreszcie:

6) Z fundacyi arcybiskupa Jana Zamojskiego wypłacała kapituła rocznie 30 złp.¹⁾

Razem cała dotacya rektora szkoły wynosiła rocznych 191 złp. i 10 gr., z których według brzmienia układu miał jeszcze utrzymać jednego pomocniczego nauczyciela ze stopniem *artium baccalaurei*. I rzeczywiście są wzmianki, że ubogo wyposażony rektor utrzymywał niekiedy jeszcze i pomocnika²⁾. Musiało to jednak wydarzać się bardzo rzadko, skoro on sam uprasza ciągle o polepszenie dotacyi i ucieka jak może najprędzej na korzystniejszą posadę. Dochodziły wprawdzie rektora jeszcze i datki i opłaty za naukę ze strony uczniów w niewiadomej wysokości, bo inaczej razem z pomocnikiem doprawdy i wyżyłby nie mógł, ale sądząc z kilku przygodnych wzmianek i to źródło dochodów było nieznaczne i do tego napełniało się bardzo nieregularnie. Nie zgrzeszymy zatem przeciwko prawdzie, jeżeli ośmielimy się twierdzić, że wyposażenie rektora było rażąco małe. Szczupłość jednak dotacyi przedstawi się nam jeszcze w jaskrawszych barwach, gdy sobie uprzytomnimy, że dochody roczne kanonika starszego liczono przeciętnie na 2.000 złp.³⁾ i że

¹⁾ Por. u Pirawskiego l. c. rozdział p. t. *Stipendium rectoris scholae*. str. 90.

²⁾ Por. nader ciekawą przedmowę do *Joannis Ursini: Gramaticae methodicae libri quattuor*. (Pierwsze wydanie Leopoli 1592, trzecie sporządzone przez Andrzeja Abreka w Zamościu r. 1640), tudzież Chodynieckiego historyę miasta Lwowa i opartą na niej notatkę w Michała Wiszniewskiego *Historji literatury* t. VI, str. 132. Powiedziano tam wyraźnie, że Jan Ursinus czyli Niedźwiecki uczył w szkole lwowskiej gramatyki wówczas, kiedy Jan Burski był rektorem. (Czy nie przeciwnie? Ob. *Leopoliensis informatio* str. 12).

³⁾ Por. moją przedmowę do Pirawskiego: *Relatio status*, l. c. str. 9—11.

tylż lub nawet jeszcze o 1.000 zł. więcej pobierał z kasy miejskiej każdy z rajców lwowskich.

Jeżeli więc w spisie kierowników szkoły lwowskiej, dochowany szczęśliwie do naszych czasów, choć nie w całości¹⁾, spotykamy w szesnastym wieku takie nazwiska jak prawnika i filologa Jana Tucholczyka²⁾, jak Grzegorza z Sambora i Pediana³⁾, jak wreszcie Jana Ursyna, którego gramatyka łacińska na szerokiej podstawie oparta prześcignęła o wiele gramatyki Piotrowskiego i Alwara⁴⁾, jeżeli więc na tak lichu wyposażonej posadzie spotykamy takich mężów, to czegoż to tylko dowodzi? Tylko tego, że w ówczesnych warunkach ludzie nauki nie mieli bytu zabezpieczonego i musieli się oglądać za jakąś posadą, jakie takie utrzymanie im dająca. Przekonanie moje zdaje się popierać i ta okoliczność, że według dochowanego spisu dostawali się na rektorów szkoły lwowskiej ludzie młodzi, którzy dopiero co nauki pokończyli. Była to więc

¹⁾ W *Leopoliensis informatio* str. 11—15. Uzupełniłby go należało wiadomościami z archiwum kapitulnego i miejskiego. Na razie podaję tu według niego nazwiska rektorów, uczących z końcem XVI wieku i za życia obydwu Zimorowiczów:

Wojciech Perlicki (*Albertus Perlicius*) promowany w Uniwersytecie krakowskim na magistra w r. 1575, został rektorem w r. 1578, a kanonikiem 1585.

Jan Niedźwiedzki (*Joannes Ursinus Leopoliensis*), magister r. 1593, przez trzy lata rektor szkoły lwowskiej, a następnie profesor w Zamościu, † r. 1613 (Adama Burkiego spis nie wymienia, był więc zapewne tylko nauczycielem pomocniczym).

Jan Baranowski, magister r. 1601, rektor, a później kanonik lwowski.

Tomasz Brzozowski (*Brozovius*) magister r. 1607, rektor 1608 r.

Sebastyan Latkowski (*Latkovius*) magister r. 1604, rektor 1615 r.

Wojciech Rumiński magister r. 1612, rektor 1619 r.

Erazm Głęboki *baccalaureus* r. 1623, został najpierw w r. 1626 rektorem szkoły lwowskiej, a dopiero w rok później (1627) promował się w Krakowie na magistra.

Piotr Maroszczyński magister r. 1634, rektor 1636, kanonik 1638.

Marcin Słonkiewicz magister r. 1637, rektor 1647.

Wacław Ostrożowski magister r. 1641, rektor 1649.

Stanisław Żelechowski magister r. 1648, rektor 1656, kanonik 1658. *

Jakób Mościcki magister r. 1658, rektor 1658, później rajca lwowski.

Jan Jakób Kozłowski magister r. 1668, rektor 1669, kanonik 1679.

²⁾ Wydał między innemi *Institutiones grammaticae* w Krakowie u Unglera 1533, tudzież elementarz dla dzieci, zawierający modlitwę pańską, pozdrowienie anielskie i skład apostołski po łacinie, włosku, polsku i niemiecku (zapewne do użytku młodzieży lwowskiej). Por. Wiszniewskiego, *Historia literatury* t. VI, str. 131.

³⁾ Por. Łoziński, *Patrycyat* str. 3.

⁴⁾ Przedmowa do gramatyki ściśle naukowa i pełna poważnych myśli, układ nader trafny, przekłady i tłumaczenie ich na język polski nieraz wzorowe, a registr autorów i dzieł zagranicznych, z których czerpał Ursinus, daje miarę rozległości jego studyów. Według Chodynieckiego (l. c. str. 488) i Wiszniewskiego (l. c. t. VI, str. 186) umiał też Ursinus doskonale po grecku i wydał nawet w tym języku dyalektykę zebrań z dzieł Arystotelesa.

ich pierwsza posada, którą jak najszybciej opuścić się starali. Zresztą szkoła widocznie upada, bo w 17 wieku nie ma już rektorów o głośniejszem nazwisku, a za to wnosząc ze spisu, są już i lata, w których nauka leży odłogiem, a rajcy napróżno się starają o pozyskanie jakiegoś magistra¹⁾).

Lecz idźmy dalej. Oto według wyżej wspomnianego układu naprawa budynku szkolnego należy wprawdzie do rajców, ale za to rektor oprócz nauczyciela pomocniczego ma jeszcze wyżywić i kantora, który uczy młodzież śpiewu i dyryguje chórem w kościele. Ma i on wprawdzie swoje dochody, ale te chyba na utrzymanie nie starczą. Zaledwie bowiem 18 złp. przychodzi mu rocznie z kapituły, od rajców i z fundacyi Jana ze Skazimierza i arcybiskupa Zamojskiego, oprócz groszy, jakie kapituła mu wyznaczy, lub kto dobrowolnie ofiaruje za kierowanie śpiewem podczas uroczystych mszy żałobnych i pogrzebów²⁾).

Kurs w szkole trwa trzy lata, a uczniowie według klas dzielą się *in primanos, secundanos et tertianos*³⁾. Obowiązkiem ich jest w niedziele i święta odśpiewać najpierw z brewiarza *Matutinum* czyli jutrznię, *laudes* i *primam*, a następnie śpiewać podczas rannej mszy zwykle o godzinie 8 odprawianej (*missa matura*), tudzież podczas sumy i nieszpórów. W dni powszednie lżejszy ich obowiązek, bo odśpiewują tylko modlitwy z brewiarza dwa razy dziennie, przed południem i wieczorem, a cztery razy na rok także i modlitwy za umarłych. Śpiewają też podczas mszy żałobnych i biorą udział w procesjach i obchodach pogrzebowych. Za to wspólnie z rektorem mają co tydzień w poniedziałek wolny wstęp do łaźni i pobierają wszyscy razem również co tydzień 6 groszy z kapituły, 10 groszy od żydów, a 2 złp. i 10 gr. z fundacyi Mieleckiego i Morawińskiego. Za odśpiewanie modlitwy o św. Krzyżu w piątek, tudzież za śpiew w kościele św. Ducha płaciła kapituła osobno 11 złp. rocznie, a podczas pogrzebów połowa sumy kantorowi ofiarowanej szła na ich korzyść.

Na śpiewie i odpowiednim udziale w procesjach zależało kanonikom i mieszczanom niemało, a kiedy w połowie 17 wieku wybuchł spór o założenie przez Jezuitów nowej Akademii we Lwowie, to przeciwnicy ich głosili powszechnie, że z powodu założenia szkoły jezuickiej cierpi wile *dignitas et splendor scholae metropolitanae*, bo wszystka zamożniejsza młodzież tam się przeniosła i zdobi obecnością swoją „partykularne“

¹⁾ Piotr Maroszczyński zostaje kanonikiem już w r. 1639, a następca jego Marcin Słonkiewicz obejmuje zarząd szkoły dopiero w r. 1648 i to aby ustąpić już po dwu latach.

²⁾ Pirawski l. c. w ustępie *Cantor*.

³⁾ Tamże w rozdziale: *Adolescentes scholae*.

Jezuitów procesye, uświetnia śpiewem ich mszę i pełni służbę ministrantów, podczas gdy nabożeństwa, urządzone przy katedrze przez naczelników kościoła, pozbawione są obecnie świetniejszego udziału młodzieży¹⁾. Nadto w układzie na 50 lat wcześniej z Jezuitami zawartym czytamy nawet wyraźnie, że Jezuita zobowiązują się nie stawiać przeszkód byłym uczniom szkoły katedralnej, ilekroć ci powodowani petyzmem dla swego dawnego przełożonego zechcą *ad voluntatem rectoris sui adesse*²⁾, zapewne by wziąć udział w śpiewie chóralnym lub służeniem do mszy przyczynić się do podniesienia okazałości nabożeństwa.

Czy wobec powyższych wskazówek można mówić o nauce na szerzą skalę prowadzonej? Zdaje mi się, że nie. Rektor i efemeryczny jego pomocnik ograniczali się do nauki czytania i pisania i główniejszych zasad z zakresu gramatyki łacińskiej. Wskazuje to, jak się zdaje, przede wszystkim skarga Ursyna, żalącego się na przykrości, których doznał z powodu chęci wprowadzenia nauki języka greckiego do planu szkolnego. Niekarna młodzież nie chciała się uczyć nowego przedmiotu, rajcy podnieśli niesłychaną wrzawę, bo trąciło to schizmą, a znakomity filolog i uczony musiał ustąpić i złożyć urząd rektora³⁾. Wskazuje to dalej jeszcze dobitniej i układ zawarty w r. 1608 między kapitułą i rajcami z jednej, a OO. Jezuitami z drugiej strony. W nim powiedziano wyraźnie, że odtąd Jezuita wstrzymają się od uczenia ortografii i etymologii czyli nauki pisania i pierwszych zasad gramatycznych i uczniów do tego tylko zdolnych odsyłać będą do szkoły katedralnej. Nawzajem zaś rektor tej szkoły odsyłać będzie do kolegium Jezuitów wszystkich tych uczniów, którzy nabrawszy już wiedzy elementarnej zechcą się kształcić dalej i obszerniej⁴⁾. Czyż wobec takiego zastrzeżenia potrzeba wyraźniejszego jeszcze świadectwa, aby nabrać wyobrażenia o rozmiarach nauki w szkole katedralnej lwowskiej?

Na kilku miejscach jest wzmianka o przedstawieniach scenicznych, urządzanych przez uczniów, a szanowny autor Patrycyatu, opierając się na słowach Herbesta, powiada (na str. 224), że „mieszczanstwo lwowskie spieszyło na nie tłumnie i przysłuchiwało się im ze zrozumieniem i rozkoszą... patrycyusz zaś Jarosz Zapała pod wrażeniem niektórych scen lub deklamowanych ustępów z poetów klasycznych nie mógł się wstrzymać od łez rzęsiстых“. Jakiej wartości były te komedye i dra-

1) Por. zwłaszcza *Leopoliensis informatio*, str. 9 i 10.

2) Tamże str. 6.

3) Przedmowa Ursyna, Chodyniecki i Wiszniewski l. c.

4) *Leopoliensis informatio*, str. 6.

maty łacińskie, wiemy dziś dokładnie z całego szeregu broszurek i rękopisów, przechowujących nam ich dyspozycją i argumenty. Tematy brano po większej części ze starego i nowego testamentu, więc były zrozumiałe i dla maluczkich. Grywano je u nas w Polsce we wszystkich szkołach, tu lepiej, tam gorzej, więc sądzić z nich o wartości szkoły nie można; grywano je też u nas niestety za długo i jeszcze wtedy, kiedy dramatyczna literatura zagraniczna wzięła już stanowczy rozbrat z nimi. Najdłużej podtrzymywali je OO. Jezuici tak u nas jak i za granicą, umyślnie, w dobrze pojętym celu, ale też już i w sprzeczności z duchem i kierunkiem czasu. Polskie zaś lub polsko-łacińskie i polsko-ruskie intermedya między aktami z odcieniem humorystycznym i nawet swywolnym w guście tych, jakie niedawno prof. Brückner Alexander na jaw wydobył¹⁾, te chyba do łez nikogo pobudzić nie mogły, a deklamacye z poetów klasycznych musiały się w szkole lwowskiej odbywać chyba bardzo rzadko i wśród szczególniejszych warunków, bo zresztą przeciętnie biorąc, przygotowanie uczniów nie było odpowiednie temu zadaniu. Natomiast posiadamy wszelkie dane do twierdzenia, że skargi Ursyna na niekarność i rozluźnienie młodzieży były aż nadto uzasadnione. Dowodzą tego jasno ustawiczne bójkі z mieszczanami, szlachtą i żołnierzami, z uczniami kolegium jezuickiego i z Żydami, którzy nawet za pomocą dobrowolnych ofiar pieniężnych od nich uwolnić się nie mogli. Nie wpływał też dodatnio na karność i oddawna istniejący zwyczaj, który pozwalał uboższym uczniom żebrac po kościołach i prywatnych domach i w czasie świąt spełniać obowiązki dzisiejszych naszych kołędników i otrzymywać za to pieniądze, kaszę, pieczywo lub inne artykuły żywności. Jak wiemy ze wzmianek o innych szkołach, było to wówczas czemś zupełnie naturalnem, a we Lwowie nawet tak zakorzenionem, że w układzie z Jezuitami zastrzeżono wyraźnie, iż kanonicy uczniom jezuickim, a Jezuici nawzajem katedralnym pozwolą podczas mszy zbierać jałmużnę na swe wyżywienie²⁾.

Z powyższych danych wynika jasno, że wszelkie pochwały, szkole lwowskiej wymierzane, należy przyjmować z największą ostrożnością i raczej przechylić się na stronę ujemnego o niej wyobrażenia. Kto chciał nabrać wyższego wykształcenia, ten musiał go szukać albo poza murami Lwowa albo we własnej samoistnej pracy. Katedralna bowiem szkoła ani ilością sił nauczycielskich, ani zasobami do dyspozycyi jej służącymi nie

¹⁾ *Lituanica i Polnisch russische Intermedien* w *Archiv für slavische Philologie* t. XIII, str. 212—236 i 398—417.

²⁾ *Leopoliensis informatio*, str. 6.

wystarczała dla potrzeb szlachty okolicznej i trzydziestotysięcznej miejskiej ludności. Uznawał to sam zarząd miasta, skoro już w r. 1565, a więc jeszcze w wieku XVI, polecił przy nauce uwzględniać i matematykę i język niemiecki i skoro postarał się o utworzenie nowej szkoły przy klasztorze OO. Franciszkanów. Działalność tej nowej szkoły mgła tajemnicy osłonięta, ale z pewnością nie musiała ona być lepszą od katedralnej, kiedy później za austriackich czasów przeniesiona do klasztoru OO. Dominikanów przemieniła się tylko w szkołę normalną, a nie w gimnazjum, podobnie jak to się stało i z jej poprzedniczką przy katedrze¹⁾. Ponieważ zaś w mieście innej już szkoły katolickiej nie było, bo nowicyaty u Franciszkanów, Bernardynów, a zwłaszcza u Dominikanów istniejące miały wyłącznie specjalne przeznaczenie: kształcić kleryków zakonnych i choć może dobrze celu swego dopinały, to jednak na wykształcenie ogółu mało wpływały²⁾, — przeto prawdziwem dobrodziejstwem dla miasta i okolicy było sprowadzenie Jezuitów do Lwowa przez arcybiskupa Solikowskiego, tego samego, który tak szkołą katedralną się opiekował i widocznie jej niedostatki uznawał. Sprowadzeni z końcem wieku XVI do Lwowa zabrali się Jezuici natychmiast lepiej do rzeczy. Na razie zadowalają się drewnianym budynkiem, ale z czasem przystępują do budowy wspaniałej świątyni i pozyskują dogodne umieszczenie dla konwiktów przy ulicy ruskiej³⁾. W jesieni r. 1608 następuje uroczyste otwarcie ich szkoły. Uczniów wstępuje do niej odrazu przeszło dwustu, a uczy dwu profesorów dla teologii moralnej i trzech dla humaniorów i gramatyki. Nie dziw więc, że liczba uczniów rośnie nader szybko, bo Jezuici nie szczędzą zabiegów i starania. Już w r. 1613 jest ich 550, a w r. 1630 około 700 szlacheckiego i mieszczańskiego pochodzenia, pomiędzy którymi dwunastu uboższych uczniów znajduje pomieszczenie w bursie, założonej w r. 1620 przez Kiślickiego Mikołaja, proboszcza w Zamościu, a syna wzbogaconego rzeźnika lwowskiego. W stosunku tym rosła widocznie liczba profesorów, skoro w kolegium przebywało początkowo tylko 6, a później 38—40 zakonników.

¹⁾ Rasp. I. c. str. 474, Chodyniecki I. c. str. 407.

²⁾ *Cellarius* I. c. str. 313. Pirawski I. c. str. 112 w ustępie o klasztorach Dominikanów, mających nawet we Lwowie osobny konwent pod wezwaniem Maryi Magdaleny, do kształcenia kleryków przeznaczony. Por. wyżej str. 32.

³⁾ Akta kolegium Jezuickiego przeszły podobno po jego zniesieniu z końcem XVIII wieku do Wiednia. Wiadomości o nich częściowo zebrał i od zagłady ocalał ks. Załęski Stanisław w artykule p. t. OO. Jezuici we Lwowie, (*Przegląd lwowski* z r. 1879 cz. II). Rozprawa ta miałaby jeszcze większą wartość, gdyby w niej było mniej stroniczości i szczegółów drobnostkowych, a za to więcej wiadomości o rzeczach ważniejszych.

Działalność Jezuitów dostatecznie znana. W siedemnastym wieku odstępują już niestety od początkowych, świetnych tradycji i stosując się do tego, co w Polsce górę bierze, nietylko przestają być dodatnim żywiołem, ale przyczyniają się niemało do upadku wykształcenia narodowego. We Lwowie nie było inaczej. Tak mamy prawo sądzić i z rozluźnienia karności u młodzieży, w ciągłych bójkach się objawiającego i z powolnego zanikania głośniejszych pisarzy i z panegiryczno-religijnego kierunku w literaturze¹⁾. Oświata we Lwowie rozszerzyła się wprawdzie widocznie na szersze warstwy ludności, ale równocześnie poszła i torem, na który wstąpiło prawie całe polskie społeczeństwo.

Nad wykształceniem dzieci i młodzieży ormiańskiej czuwała szkołka przy kościele tegoż wyznania istniejąca pod kierownictwem jednego magistra i jednego bakałarza, obieranych zazwyczaj z grona księży ormiańskich i pobierających na kwartał razem 10 złp. oprócz taksy opłacanej przez dzieci również co kwartału, ale w niewiadomej wysokości²⁾. Oczywiście już i z tego wnioskować można na małe rozmiary nauki, której sprytni i zmysłem handlowym obdarzeni Ormianie nigdy z poświęceniem się nie oddawali. Nie ma też między nimi ludzi uczonych, a ogłędę towarzyską zawdzięczają tylko podrójom do dalekich krajów i obyciu się z ludźmi. Księży dostarczało im urządzone na małe rozmiary seminaryum przy monastyrze św. Anny, zostające pod kierunkiem jednego z ojców duchownych, który za wynagrodzeniem 30 złp. rocznie uczył kleryków głównie śpiewu kościelnego.

Lepszą i na większą skalę prowadzoną była szkoła ruska, również trzyklasowa, przy bractwie stauropigialnem istniejąca. Zreorganizowana w r. 1585 i 1586 przez patriarchów Joachima i Arseniusa, kładła obok polsko-łacińskiego główny nacisk na naukę języka greckiego i słowiańskiego i wykształciła młodzież, która pod kierunkiem nauczycieli zdołała napisać gramatykę grecko-słowiańską (*Adelphotes*)³⁾. Jednakże czasy jej świetniejszego bytu trwały bardzo krótko. Już w kilkanaście lat po zreorganizowaniu szkoła znowu upada i nie przyczynia się do podniesienia poziomu oświaty między ludnością ruską, której popi nieraz tak biedni i nędznie uposażeni, że obok swego zajęcia oddają się rzemiosłom jak np. krawiectwu, gdyż inaczej wyżyłoby nie mogli.

¹⁾ Por. zresztą opis uroczystości z r. 1622 w rozdziele następnym.

²⁾ Rękopis bibl. Ossol. 1646, str. 76 nstp.

³⁾ Zubrzycki l. c. str. 211 i 221. Prof. E. Ogonowski l. c. (*Istoria literatury ruskij*) I, str. 154 nstp. Dr. Izydor Szaraniewicz: Jubilejnoje izdanie w pamiat' 300 litnoho osnowania lwowskoho stauropihijnskoho bratstwa. Lwów 1886, tudzież Jakóba Hołowackoho rozprawa umieszczona na str. 431—476 Zori hałyckoj, jako Album na r. 1860. (Lwów).

Że niewielkie były potrzeby duchowe przeważnej części ludności, wskazuje także i nierozwinięte drukarstwo. Mówi się wprawdzie wiele o drukarniach lwowskich, a Zubrzycki pod r. 1611 podaje ich aż 5, pomiędzy którymi 1 polska, 2 ruskie, 1 ormiańska i 1 żydowska, ale kto chce dokładniej rzecz zbadać, tego odrazu wprawi w zdumienie okoliczność, iż prawie wszyscy autorowie lwowscy drukują albo w Krakowie, albo w Zamościu, albo jeszcze w innem mieście, a nie we Lwowie. Skądżesz to pochodzić może? Przecież drukarnie powinni mieć pod bokiem. Zagadkę rozwiązuje bibliografia dra Estreichera, popierając w zupełności moje przedstawienie ¹⁾.

Ze wszystkich znaczniejszych miast dawnej Rzplitej Lwów może najpóźniej ujrzał w swych murach polską drukarnię. Założył ją dopiero w r. 1578 ruchliwy drukarz krakowski Szarfenberger Mikołaj ²⁾, a założył ją na to, aby zaniechać przedsiębiorstwa po kilku miesiącach. W trzy lata później popróbował interesu Szerbicz Paweł, ale przykład jego chyba był odstraszającym, bo minęło lat 11, zanim nowy drukarz odważył się wstąpić w jego ślady. Grunt wówczas zaczął już być widocznie podatniejszym, ale jeszcze ciągle trudy włożone nie opłacającym. Ostatnich dziewięć lat XVI wieku przedstawia walkę nadmiernych usiłowań z widoczną obojętnością mieszkańców. Istnieje wprawdzie drukarnia, ale w przeciagu lat dziewięciu kieruje nią aż trzech właścicieli: Garwolinus Maciej przez r. 1592, Bernard Maciej przez lat 7 i wreszcie Żelazo Paweł, który tylko w jednym r. 1600 książki wybijał. Potem znowu cisza przez lat 14 i dopiero w r. 1615 przerywa ją równocześnie aż dwu drukarzy, Małachowicz Wawrzyniec i Wolbramezyk Krzysztof, widocznie niedowierzający nikomu i nie mogący pojąć, jakto być może, że w 30-tysięcznym mieście nie zdoła się utrzymać ani jedna drukarnia. Niedowiarstwo odpokutowali wnet prawdopodobnie dotkliwą stratą, bo obydwaj jeszcze tegoż samego roku przestają drukować. Dopiero Szeliga Jan, który potrafił pozyskać tytuł typografa arcybiskupiego, zdołał się utrzymać przez lat 18 od 1618—1635. Po nim znowu oplakane są losy drukarstwa lwowskiego przez lat 10, wśród których czynny tylko Nowogórski Sebastian, wytłaczający księgi w r. 1642 i 1643. Wreszcie zainteresowali się drukarstwem OO. Jezuici, przyjawszy Nowogórskiego pod swe opiekuncze skrzydła. On to, a za nim Kaziowiecki, Krokoszyński

¹⁾ Por. także Chodynieckiego historią miasta Lwowa str. 409 nstp.

²⁾ Lufta Jana nie wspominam, bo jedno dzieło wytłoczone w jego drukarni nie wiadomo z którego roku pochodzi. Domyślać się tylko trzeba, że prawdopodobnie odnieść je należy do r. mniej więcej 1550, bo w r. 1549 drukuje Luft (widocznie Niemiec) w Królewcu.

i inni podtrzymują tak zwaną jezuicką drukarnię aż do r. 1760, ale oznaki życia jej słabe, a działalność wcale nieznaczną. Obok jezuickiej próbował w r. 1671 założyć drukarnię i ruchliwy Jakób Mościcki, ale po dwu latach wolał przenieść się do Krakowa, gdzie długo jeszcze był czynnym. Usiłowania Mielczewskiego czyli Malczewskiego Wojciecha, który zdołał wytrwać przez lat dziesięć (1684—1693) kończą wiek XVII. Drukarstwo lwowskie ustala się dopiero w stuleciu osiemnastym za panowania Augusta III, kiedy to z pierwszymi promieniami odrodzenia drukarnie, poupadawszy w małych miasteczkach, szukają dla siebie ognisk większych i przenoszą się do miast znaczniejszych.

Lepiej nieco było z drukarniami ruskimi we Lwowie. Istnieje przynajmniej jedna prawie bez przerwy przy cerkwi stauropigialnej i utrzymuje się od r. 1591 po koniec wieku XVIII, zawdzięczając byt swój wyłącznemu prawu wytłaczania książek cerkiewnych i religijnych. Przed nią próbował drukować głośny Iwan Fiedorowicz (w r. 1573), ale nie zdołał się utrzymać, a równocześnie z nią Andrzej Skolski, Michał Słoska¹⁾ i Bazyli i Szymon Sławińscy, to prowadząc nie źle interes na własną rękę, to znowu łącząc się z klasztorem św. Onufrego lub cerkwią św. Trójcy, gdy ich zanadto przycisnęła stauropigia procesem i pozwami sądowymi.

Tak się przedstawia owo sławione drukarstwo lwowskie. Czyż cyfry i daty nie przemawiają tu same za siebie? Choćbyśmy nawet przypuścili, że obraz na podstawie bibliografii Estreichera odtworzony jest niedokładnym i choćbyśmy za pewne przyjęli istnienie podwójnej ilości dzieł tam przytoczonych, to przecież stanu drukarstwa lwowskiego nawet stosunkowo pomyślnym nazwać nie możemy, zwłaszcza że stoimy wobec faktu inaczej nie wytłómaczonego: częstego drukowania dzieł autorów lwowskich po wszystkich innych miastach, ale tylko nie we Lwowie.

Reasumując powyższe dane, przychodzimy do przekonania, że z oświatą Lwowa nie było tak dobrze, jakby kto mógł sądzić po przeczytaniu wzmianek u współczesnych pisarzy, skłonnych do panegiryzmu, lub mniemać na podstawie barwnych obrazków w *Patrycyacie* p. Władysława Łozińskiego. A jeżeli tak jest, to czyż nie ma sprzeczności między tem nowem twierdzeniem, a tem, cośmy wypowiedzieli na początku niniejszego rozdziału? Nie, stanowczo nie. Lwów począł się rzeczywiście ruszać z końcem XVI wieku i brać żywy udział w naszej literaturze, ale nie skutkiem rozlania się oświaty na szerokie warstwy uboższej lu-

¹⁾ Por. ks. Omelian Ohonowski l. c. cz. I. str. 106 nstp. i 154 nstp.

dności, tylko wskutek spolonizowania się miasta i przetrwania po dwuwiekowej pracy polskiej kultury przez możliwe rody wzbogaconych patrycyuszów. Zarząd miasta wspierał wprawdzie rok rocznie dwóch uczniów w Akademii krakowskiej, wypłacając im po 10 złp. na kwartał i dopomagał nieraz osieroconym synom dostojników miasta, ale było to kroplą w morzu. Czynni i przedsiębiorczy patrycyusze lwowscy, sami przyzwyczajeni do odbywania dalekich podróży, nie przestawali na wykształceniu, jakiego nabrać było można w podupadłej Akademii krakowskiej, ale pozwalali synom udawać się do Niemiec i do Włoch i stamtąd przynosić z sobą światło, jak je przynosiła szlachta polska XVI wieku. I jak ruch szlachecki skutkiem różnych okoliczności ustał i nie mógł się u nas odrodzić, bo nie przeniknął jeszcze wszystkich warstw społeczeństwa w przeciwieństwie do Niemiec, Francji i Anglii, tak i ten z natury rzeczy do szczupłego terenu ograniczony ruch mieszczański przeminął dosyć szybko i nie pchnął literatury naszej na odmienną tory, bo jednostki nie znalazły jeszcze gruntu lepiej i głębiej uprawionego. Owszem stało się całkiem przeciwnie, lecz zupełnie zgodnie z naturalnym biegiem i porządkiem rzeczy. Jednostki osiadłszy w kraju przejąć się musiały z konieczności wyobrażeniami tu panującymi i już z początkiem XVII stulecia, jeżeli natrafimy w bogatych nawet nieraz prywatnych bibliotekach rękopisy ręką właściciela pisane, to spotkamy między nimi obok wyciągów z Kromera i miscelaneów najczęściej i *manuscriptum logicae* albo *logices*, a wiemy już dzisiaj, co to ma oznaczać. To powrót do scholastycznej dyalektyki ręką w rękę z kierunkiem przez Akademią krakowską reprezentowanym, tu zupełny upadek nauk przyrodniczych, których zastąpić nie może zwrot ku poezji sielankowej. A kiedy już zabraknie owych jednostek patrycyuszowskich, kiedy z upadkiem miasta podupadnie dobrobyt i handel i nie stanie już rodów przedsiębiorczych i bogatych, to wówczas nastanie ciemność, nieprzerwana żadnym błyskiem szlachetniejszym, gdyż do ludności u dołu i przedtem nie przeszła kultura w większej mierze, a teraz ona jęczy pod ciężarem okupów, podatków i bezładu społecznego. Natomiast już od początku XVII wieku będzie się coraz żywiej wzmagala żarliwość religijna, z wszystkim na Boga się spuszczałająca, której wyrazem są typowe pisma i panegiryki religijne, której objawem charakterystyczne testamenty, za pomocą mszy i fundacyi wstępu do nieba gwałtem się dobijające, i której wreszcie urzeczywistnieniem są klasztory męskie i żeńskie, licznie w XVII wieku powstające. I tak po Jezuitach podnosi się w r. 1597 klasztor Benedyktynów, w r. 1600 drugi Dominikanów, r. 1605 Klarysek, r. 1614 Brygitek i Karmelitów Bosych, a potem przybywają jeszcze w ciągu tegoż samego XVII stulecia Trynitarze, Karmelici trzewickowi, Teatyni, Bonifratrzy i Reformaci, Domi-

nikanie, Obserwanci i Augustyianie, Karmelitanki bose i trzewiczkowe, Bernardynki i Dominikanki. Liczba samych katolickich klasztorów, których 3 przedtem było, wzrosło w ciągu nie o wiele więcej jak jednego stulecia, nie licząc kościołów i kaplic, do dwudziestu¹⁾, gdy jednocześnie ogólna liczba ludności zmniejszy się o połowę. Inne wyznania nie objawiały pod tym względem tak żywej czynności, bo jedni tylko Żydzi rosli w liczbę, dostatek i znaczenie, podczas gdy Ormianie i Rusini coraz więcej zlewają się z polską ludnością.

Skutkiem odmiennego ustroju i odmiennych warunków bytu życie codzienne mieszczan lwowskich różniło się znacznie od dzisiejszego. Z nadejściem dnia otwierały się obydwie bramy i odzywały się najpierw dzwony z licznych świątyń i klasztorów. Wszyscy, kto miał tylko wolny czas, starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci spieszyli do kościoła na nabożeństwo. Najliczniej odwiedzana była katedra, gdzie każda ze znakomitszych mieszczek miała dla siebie wyznaczone miejsce do siedzenia, które prawem spadku przechodziło na córki, a nierzadko dostawało się w drodze kupna więcej dającemu. O lepsze miejsce formalnie ubiegano się wszelkimi siłami, a plotki, intrygi i swary miasteczkowe były tu na porządku dziennym²⁾.

Równocześnie otwierały się sklepy i kramy, a ludność ze wsi spieszyła tłumnie na targ. Roili się ciasne ulice od sprzedających i kupujących, wśród których spotykałeś ludzi różnego języka i różnej kondycji we właściwym sobie stroju narodowym.

Do kobiet należało gospodarstwo domowe i nadzór nad dziećmi. Czynniejsze i ruchliwsze dopomagały nadto mężowi w jego zajęciach kupieckich, a niektóre wdowy prowadziły nawet handel na własną rękę. Bogobojna zresztą i uczciwa białogłowa lwowska przy całej swej praktyczności lubi się stroić i popisywać kosztownościami, których, jeżeli może, posiada całe tuziny. Czy było w tem dużo smaku, pozwoliłbym sobie wątpić, bo do smaku trzeba wykształcenia, a tego ona nie miała. Nawet w przykładach przytoczonych przez szanownego autora Patrycyatu nie można się niczego więcej dopatrzeć, prócz skłonności do zbytku za młodu, a zmysłu praktycznego w latach późniejszych. Stosunek do

¹⁾ Por. zwłaszcza Chodyniecki l. c. str. 366—395, choć nie wszystkie daty tam przytoczone są prawdziwe.

²⁾ Pirawski l. c. (str. 96) w ustępie: *Loca et sedilia muliebria*.

męża bywał zazwyczaj przyjacielski i na miłości religii chrześcijańskiej oparty.

Dzieci uczęszczały do szkoły lub uczyły się w domu pod kierunkiem instruktorów, czyli tak zwanych inspektorów lub pedagogów, dostających z reguły całe utrzymanie i pewne drobne wynagrodzenie za swe trudy. Zwyczaj utrzymywania takich inspektorów był już wówczas nader rozpowszechniony, zapewne skutkiem niedostateczności szkół przed sprowadzeniem OO. Jezuitów i wielkiego zajęcia rodziców, którzy wiecznie zatrudnieni nie mogli się dziećmi opiekować tak, jakby tego byli pragnęli.

Mąż pracował w sklepie i warsztacie i kierował „czeladzią“, której byt znośny, bo bojaźń sądu ostatecznego i zasady religii chrześcijańskiej wywierały tu wpływ zbawienny, choć przykłady brutalnego postępowania i we Lwowie zdarzać się musiały, skoro nie brakło ich w Krakowie. Autor Szkiców historycznych w nader charakterystycznym i pełnym trafnych myśli ustępie przytacza z pamiętnika Jana Markowicza¹⁾, iż ten kupiec i mieszczanin krakowski przyjął był raz do służby chłopca, „co miał ramiona i żebra połamane, bo go przeszły pan w górę za ręce wiązał i na noc odchodził. Chłopiec chcąc się uwolnić, zębami się rozrywał i targając ciałem, żebra i ramiona wyłamał“.

Dostojnik miejski miał przedpołudnie zajęte posiedzeniami rady i sądów, a i wszystkim mieszczanom zabierały sądy niemało czasu przy rozwickłej procedurze polskiej, ciągłym odraczaniu terminów i ciągłych apelacyach do króla. Nie kończyło się prawie nigdy na dotrzymaniu terminu w sądach pierwszej instancji. Trzeba było nieraz jeździć do Lublina i Warszawy, tam kłaniać się i prosić dygnitarzy szlacheckich i przebywać całymi miesiącami poza domem, zwłaszcza, że żyłka pieniądza zaczęła się coraz lepiej zagnieżdzać i w organizmie mieszczaństwa polskiego. To też nie dziw, że koszta procesu przenosiły niejednokrotnie wartość przedmiotu spornego.

Lecz nie tylko sądy dawały powód do tego, że gospodarz domu bywał często tylko gościem w domu. Kupiec i rzemieślnik, a prawie wszyscy nimi byli, musiał co chwila jeździć na okoliczne i dalsze targi i jarmarki, aby spieniężyć swój towar, nie mówiąc już nic o dalekich podróżach na zachód i na wschód, gdyż te przedsiębiorali tylko kupcy więksi, handel na szeroką skalę prowadzący.

¹⁾ Dr. Ludwik Kubala: Szkice historyczne, serya druga w ustępie: Mieszczanin polski w XVII wieku, str. 305, (Lwów 1880). Pamiętnik tam streszczony jest o wiele więcej typowym niż Kunaszczaka w Patrycyacie p. Łozińskiego, lub Jana Golliusza, z którym nas zapoznał p. Józef Kallenbach w Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce t. VII, str. 81—129. (Kraków 1892).

Nawzajem miewano często gości, bo hoteli wówczas nie było i każdy zajeżdżał do znajomego. Jedną tylko kamienicę, własność miasta, wydierżawiali rajcy przedsiębiorcy z poleceniem utrzymywania w pogotowiu wszystkich pokoiów na pierwszym piętrze dla przybywających magnatów i stajni na dziesięć koni dla ich ekwipażów¹⁾. Oczywiście nie wystarczało to podczas większego napływu szlachty na roki sądowe lub z powodu innego wypadku i miasto na rozkaz starosty zobowiązane było do wyznaczania gospód w prywatnych pomieszkaniach. Że działały się przytem nadużycia, rozumie się samo przez się. Butna coraz więcej szlachta wyrabiała sobie nieraz u starosty asygnacyą na większe nawet mieszkanie i przebywała w niem wraz z całym swym dworem bezpłatnie, jak długo jej się podobało²⁾.

Wieczorem bramy znowu zamykano i życie kupiło się w kółku rodzinnem, gdyż gospody czyli szynki, utrzymujące alkowy dla gości, zażywały bardzo złej opinii, a beżennych było nie wielu. Nie mieć żony czyli „przyjaciela“ traciło despektem dla prawdziwego mieszczanina, a zarząd miasta nałożył już z początkiem XV wieku na takich ludzi podatek, ochrzczony nieklasycznym mianem „bykowego“.

Mieszkania o ciemnych nieco ale obszernych pokojach urządzone były odpowiednio do zamożności. W domu dostatnim nie zabrakło nigdy firanek nad łóżkiem, zegara kunsztownego, skrzyń z niepospolitą ilością bielizny i sukien damskich, klawikordu jakiegoś, całego nieraz arsenału broni zaczepnej i odpornej w postaci rozmaitych szabel, pistoletów, strzelb, przyłbic, pancerzy i zarękawic, a wreszcie i szafki z książkami, pomiędzy którymi najwięcej dzieł treści religijnej, tudzież autorów klasycznych i nieodzownych zbiorów prawa magdeburskiego i statutów koronnych.

W pożywieniu wielką rolę odgrywały korzenie, sprowadzane w wielkiej ilości, tudzież ryby, bo tych we Lwowie łatwo można było dostać. Postu, zwłaszcza wielkiego, przestrzegano ściśle, a Ormianie wstrzymywali się wówczas nawet od jedzenia ryb, na warzywach poprzestając³⁾.

Nie zaniedbywał też mieszczanin odwiedzania dość częstego łaźni, których było kilka w mieście, a z których najwięcej uczęszczaną była zbudowana tuż koło bramy halickiej.

Obraz zmieniał się w niedzielę i święta uroczyste. Wówczas wszystko od stóp do głowy wystrojone spieszyło najpierw do kościoła, by być na mszy, wysłuchać kazania, a przy okazji wziąć udział w procesjach,

¹⁾ Rasp. I. c. str. 455.

²⁾ Zubrzycki I. c. str. 202.

³⁾ Alnpek I. c. str. 101.

z wielką pompą odprawianych. Wszyscy też prawie należeli do jednego z bractw kościelnych, podówczas coraz bardziej się rozpowszechniających. Z początkiem wieku XVII, było ich dziesięć¹⁾, a z nich najdawniejszem i największego rozgłosu zażywającym założone w XV stuleciu bractwo Panny Maryi, czyli *confraternitas literatorum*, której członkowie ze szczególniejszem nabożeństwem obchodzili tak zwane „roraty“ w czasie adwentu, śpiewali godzinki na cześć Bogarodzicy i wydawali poezye, również chwałę jej opiewające.

W Wielki piątek, na Wielkanoc i podczas Zielonych świąt, a także i co tydzień w piątek odbywały się tłumne pielgrzymki do kościółka Znalezienia św. Krzyża, przy gościńcu janowskim leżącego, ponieważ według powszechnego mniemania odległość tego kościółka od ratusza miała się równać oddaleniu Kalwaryi od domu Pilata²⁾. Powbijane przy drodze słupy kamienne oznaczały stacye krzyżowe, a szeregi biczowników postępowały zwolna, smagając się wzajemnie po obnażonych plecach.

Po złożeniu należnej czci Bogu oddawali się mieszkańcy odpoczynkowi i jeżeli pora na to pozwalała, przebywali na przedmieściu, lub udawali się na dalsze i bliższe przechadzki, z których najwięcej ulubioną była już wówczas przechadzka na Wysoki zamek. Odwiedzano także i lokalności towarzystwa strzeleckiego (*confraternitas iaculatorum*), położone koło bramy krakowskiej, gdzie strzelano z łuku i bawiono się w kręgle, bo *confraternitas iaculatorum* miała wyłączny przywilej na utrzymywanie kręgielni we Lwowie.

Monotonne życie przerywały dość często ważniejsze wypadki. W kupieckim mieście był nim przedewszystkiem każdy przyjazd i odjazd karawany na wschód. Przy odjeździe zbierano się w Krzywczykach, żegnano się czule i odprowadzano oczami jeszcze długo odjeżdżających krewnych i towarzyszy. Zbliżanie się zaś z powrotem karawany do miasta sygnalizowano już naprzód i znowu spieszyli interesowani i nieinteresowani na trakt gliniański, aby ze łzami radości powitać powracających i dowiedzieć się nowych szczegółów o Turkach i Tatarach.

Od czasu do czasu odprawiał się uroczysty wjazd króla lub któregoś z najwyższych dygnitarzy i odbywał się z największą okazałością ingres nowomianowanego arcybiskupa. Dnie koronacyi królewskiej i wieści o zwycięstwach Rzplitej obchodzono również uroczysto: w katedrze

¹⁾ Pirawski I. c. w ustępie: *Confraternitates*.

²⁾ Pirawski I. c. w ustępie: *Ecclesia s. Crucis in suburbio Cracoviensi*, a dokładniej jeszcze B. Zimorowicz w dziełku: *Ecclesia s. Crucis in campis*, (Rkps. bibl. Ossol. 126, str. 191—193).

„solenne“ nabożeństwo i śpiew *Te Deum laudamus*, na wałach strzelano z dział, przed ratuszem wyprawiano rozmaite harce i turnieje, a na ulicach palono słomę i beczki smołą napełnione. To samo tylko w zmienionej nieco postaci powtarzało się na wiadomość o ogłoszeniu nowych świętych lub o zwycięstwie nad protestantami, bo *urbs catholicissima* niczego tak nie przestrzegała jak czystości wyznania i do nikogo nie miała takiej odrazy, jak do kacerzy i odszczepieńców. Lwowianin religii katolickiej przypatrywał się z politowaniem obrządkom Ormianina, czuł może niechęć do Rusina schizmatyka, a żywą odrazę do Żyda, ale mimo to wszystko stosunkowo do pojęć ówczesnych i postępowania innych miast był nawet w wysokim stopniu tolerantem. Jednym tylko protestantem pogardzał z obrzydzeniem i nie dopuszczał go do osiedlenia się we Lwowie. Kacarz i odszczepieniec był w pojęciu Lwowianina czemś najgorszem, czemś, co tylko na słuszną i sprawiedliwą śmierć zasługiwało.

W przeciwieństwie do tych wypadków radością całe miasto napełniających zjawiały się i dni trwogi i zgrozy. Półtew wprawdzie rzadko wylewała, choć i to się czasem zdarzało¹⁾ przy niskim stanie jej brzegów, ale za to bóg ognia srożył się dosyć często i wyrządzał przy prymitywnym sposobie ratowania nieobliczone szkody mieszkańcom. Nierównie jednak groźniejszym i prawie nieubłagany wrogiem było powietrze morowe²⁾. Z czasem, z upadkiem oświaty i nauk przyrodniczych, puszczone w niepamięć przepisy Umiastowskiego, to też zaraza znajdowała dosyć pokarmu w brudnych i ciasnych ulicach i grasowała z niesłychaną gwałtownością nieraz przez lat kilka z rzędu. Wszystkich opanowywały zwątpienie i rozpacz, a miasto wyludniało się jakby po najstraszniejszej klęsce. Zamożniejsi, którzy i w innych chorobach umieli już podówczas wyjeżdżać do Bardyjowa węgierskiego lub Szkła galicyjskiego, chronili się wtedy w góry lub po miejscach niezarażonych, biedniejsi odbywali pielgrzymki do Częstochowy i miejsc cudownych i gromadząc się tłumnie padali ofiarą ciemnoty.

Takim był Lwów z początkiem siedemnastego stulecia, kiedy to już Szymonowicz mieszkał z dala od niego, w Czernięcinie i Zamościu

¹⁾ Np. w r. 1514 i 1617, kiedy komunikacja na czołnach się odbywała. Cf. Zubrzycki l. c. str. 139.

²⁾ O przebiegu i skutkach morowego powietrza w Polsce opowiada dr. Ludwik Kubala w przepysznym obrazku p. t. Czarna śmierć (Szkice historyczne, serya II, str. 155—169).

i kiedyto jeszcze obaj Zimorowicze według słów Bartłomieja ¹⁾ z książkami i kajetami lub tabliczką pod pachą i z kałamarzem przez szyję i ramię zawieszonym, jak to widzimy u żaków na obrazach, spieszyli codzien- nie bądźto do szkół miejskich, bądźto w ogóle do miasta popod budujący się właśnie klasztor Bernardynów i przez bramę halicką, dwiema basztami obronną. Obrazek to wprawdzie nie wolny od barw przyémionych, ale natomiast o ile możności z prawdą zgodny. Zakończyć mi go chyba słowami autora Patrycyatu: „Badając życie i sprawy mieszczaństwa z dalszej epoki, ma się zarazem żal i radość odkrycia: że były czasy tak krótkie niestety, kiedy poza szlachtą a nawet obok znajdowało się w Rzeczypospolitej jeszcze coś, co było stanem czynnym i świadomym siebie, żywiołem i siłą ze wszystkimi warunkami społecznej misji“ (str. 2). Atoli „okragłym w sobie i dla siebie zwartym świat mieszczański pozostać w Polsce nie mógł, tak jak nie pozostał nim nigdzie wobec postępujących wymagań i interesów państwa jako całości; ale gdzieindziej dano mu czas zharmonizować się z całym społeczeństwem, pogodzić się z racją stanu, wejść w fundamentalną strukturę państwa i jeszcze pozostać sobą, choć nie wyłącznie dla siebie. W Polsce do tego nie przyszło; mieszczaństwo nasze niszczało, jak to widzimy specyallynie na lwowskiem, niszczało i od zaniedbania i od krzywdy, bo przez brak opieki, jak i przez otwarty ucisk zarówno, a niszczało właśnie w czasie, kiedy tak pomyślnie skończyło proces swojej czysto-polskiej krystalizacji“.

¹⁾ Por. koniec przedmowy w *Domus virtutis et honoris*.



JÓZEF BARTŁOMIEJ JAN ZIMOROWICZ (OZIMEK).

ROZDZIAŁ I.

Wychowanie i młodość (r. 1597—1624).

Miejsce urodzenia. — Materyalne położenie i zajęcie rodziców. — Ich wyznanie i właściwe nazwisko. — Rok urodzenia i imiona na chrzcie otrzymane. — Rodzeństwo. — Uczęszczanie do szkoły, korzystanie z nauki. — Uspokojenie młodzieńca. — Zawód palestrancki. — Miłość. — Miłość i niefortunne jej zakończenie. — Zwycięstwo katolicyzmu w Polsce i przestrzeganie czystości wiary we Lwowie. — Działalność Jezuitów. — Uroczystość na pamiątkę ogłoszenia beatyfikacji Ignacego Lojoli i Franciszka Ksawerego. — Ich wpływ na społeczeństwo lwowskie i Bartłomieja. — Cudowne wyratowanie z choroby. — Przewaga szlachty. — Rokosz Zebrzydowskiego. — Wyprawa na Moskwę. — Wojna z Turcją i nieudolność pod Chocimem. — Tatarzy. — Obleżenie ze strony Stądnickich i nadużycia szlachty i żołnierzy. — Konfederacje wojsk i straszna egzekucja. — Rozterki wewnętrzne. — Rok 1623: Morowe powietrze i pożar. — Zastugi Kampiana. — Ucieczka Bartłomieja. — Wpływ klęsk i stosunków na zmianę usposobienia).

Kolebką Zimorowicza była ulica Glinńska czyli Gliniańska, należąca podówczas do przedmieścia halickiego i położona w jednej jego części. Już wtedy Łyczakowem zwanej. Ciągąc się u stóp Wysokiego zamku, tudzież góry Lwiej i Wilezej, liczyła wraz z pozostałą resztą Łyczakowa około dwieście domów¹⁾ z kościółkiem św. Wawrzyńca i cerkwią św. Krzyża i z własnym zarządem, złożonym z wójta i kilku przysiężnych czyli starszych, podlegających, jakto już wspomniałem, naczelnej zwierzchności miasta. Północną jej stronę, południowe stoki gór zajmującą, zdobiły winnice i dworki zamożniejszych mieszczan, podczas gdy południową zapełniały domki rzemieślników i zagrodników przedmiejskich, pobudowane na gruntach i łąkach przeważnie do szpitala św. Ducha należących²⁾. Były to istne małe gospodarstwa ze wszelkiego rodzaju budyn-

¹⁾ Por. Zimorowicza, *Leopolis triplex* pod r. 1597 i *Viri illustres*. Na pierwszym miejscu mowa o dwustu domach zapewne na całej przestrzeni Łyczakowa, na drugim tylko o stu, tworzących prawdopodobnie właściwą ulicę przy trakcie gliniańskim położoną.

²⁾ Por. Inwentarz szpitala Ducha św. l. c.

kami gospodarskimi, ogrodami i sadami, zupełnie podobne do istniejących po dzień dzisiejszy po małych miasteczkach. Zabudowania tworzyły własność prywatną i przechodziły z ojca na syna, grunta zaś albo znajdowały się już również w ręku prywatnych właścicieli albo, co nierównie częściej się zdarzało, wynajmowano je za małą stosunkowo zapłatą od miasta lub zarządu szpitalnego.

W tejto ulicy Gliniańskiej w stronie bliższej miasta, przed kościołem św. Wawrzyńca, mieli i rodzice Zimorowiczów niewielką dziedziczną posiadłość, przytykającą do zagród dwu innych przedmieszczań: Mendlalińskiego i Tarnopolskiego¹⁾. Składały się na nią: zwykły domek przedmiejski z koniecznymi budynkami gospodarskimi na dziedzińcu, tudzież ciągnący się za nim ogród warzywny i sad owocowy. Wszystko w niewielkich rozmiarach, skoro później po spaleniu przedmieścia i spustoszeniu dokonaniem przez Kozaków i Tatarów sprzedał Bartłomiej cały plac pustką stojący za 140 złp.²⁾, a więc sumę w każdym razie nieznaną, choćbyśmy nawet wzięli pod uwagę, że wówczas skutkiem wyludnienia miasta i przedmieść cena gruntu spadła niepominiernie³⁾. Były wprawdzie na przedmieściu i mniejsze jeszcze posiadłości, za które i przed oblężeniem z r. 1648 nie płacono większej kwoty przy sprzedaży, jak ta, którą Bartłomiej otrzymał w czasie ogólnej klęski i po spaleniu wszystkich budynków gospodarskich, — ale były to już chaty ubogich zagrodników, do których Zimorowicze stanowczo nie zaliczali się. Na utrzymanie jednak rodziny i ta nieco większa posiadłość nie byłaby wystarczająca. To też zabiegliwi rodzice Bartłomieja, — a było im na imię Stanisław i Katarzyna⁴⁾, — donajmowali jeszcze od szpitala św. Ducha grunt przyległy, Ozimkowskim zwany, za który płacili około 6 złp. czynszu rocznego⁵⁾. Atoli nawet i tak rozszerzona poniekąd posiadłość nie byłaby stworzyła dla całej rodziny egzystencji znośnej i lepszej. Warunki jej bytu polegały zupełnie na czem innem, a gospodarstwo było tylko podrzędnem i pobocznem zajęciem ojca Zimorowiczów.

Przedmieszczanin Stanisław był z zawodu majstrem murarskim, należącym prawdopodobnie do cechu miejskiego⁶⁾ i chętnie nawet po-

¹⁾ Arch. m. Lwowa *ind. off. cons.* t. 67, p. 87, s. 36.

²⁾ Tamże.

³⁾ Wyludnienia i obniżenia się wartości majątków nieruchomości dowodzą nader liczne kontrakty kupna i sprzedaży, zapisane w księgach miejskich między r. 1649 a 1670.

⁴⁾ Arch. m. Lwowa *ind. off. cons.* t. 49, p. 1450, s. 1141 i t. 67, p. 87, s. 36.

⁵⁾ Inwentarz generalny szpitala Ducha św. l. c. str. 66. Inne grunta wymienione tam na str. 65, 67 i 69 nabył dopiero później sam Bartłomiej.

⁶⁾ Przedmieszczań przypuszczano również niekiedy do cechu, choć w niewielkiej ilości.

woływanym do współdziału przy budowie domów prywatnych i publicznych¹⁾. Rzemiosło go żywiło a nie gospodarstwo, rzemiosło zapewniło mu też byt przyzwoity, gdyż majstrów było niewiele²⁾ i majster ówczesny był czemś więcej jak dzisiaj. On akordował nieraz roboty ryczałtem i pobierał wynagrodzenie nie tylko dla siebie, ale także i dla swych pomocników³⁾. Jeżeli więc był rządnym i grosza nie marnował, to miał się nieźle, podobnie jak towarzysze jego z innych cechów. Że zaś takim był i ojciec obydwu naszych poetów, to zdaje się nie ulegać wątpliwości i wynika tak z owego donajmowania łanu do dziedzicznej posiadłości na przedmieściu, jakoteż i z tego, że miał środki do wykształcenia dzieci i pragnął, by zostały czem innem, niż sam był.

Rodzice Zimorowiczów, Stanisław⁴⁾ i Katarzyna małżonkowie, wyznawali religią rzymsko-katolicką i wszelkie baśnie o ich obrządku ormiańskim należałoby już raz przecie zarzucić i z podręczników usunąć. Polegają one tylko na fałszywym pojmowaniu końcówki „wicz“ i na bezmyślnem powtarzaniu raz popełnionego błędu⁵⁾, a zarazem są i smutnym dowodem, że można u nas długi czas pisać o jakimś autorze, nie obeznawszy się ze stosunkami, wśród których żył i nie przeczytawszy dokładnie utworów, które napisał. Dowodzić słuszności mego twierdzenia nie potrzebuję, bo znaczyłoby to dowodzić tego, co jest w oczy bijącym i jak słońce jasnym. Dla czytelników, mających jakie wątpliwości, zaznaczam tylko jeszcze raz wyraźnie, że w dawniejszym Lwowie nie mógł żaden Ormianin piastować godności ławnika i konsula, tudzież zwracam uwagę, że całe życie Bartłomieja i prawie wszystkie jego późniejsze utwory związane są jak najściślej z kościołem rzymsko-

¹⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1597: *Parentis mei opera multi lapides in divos facti, magna pars urbis intestinae in asbestinam versa atque incisa notis marmora publicis passim leguntur*. Późniejszy radca wyraża się tu obrazowo, jak zawsze, co dało powód ks. Barączowi do mylnego wniosku, że ojciec Zimorowiczów był rzeźbiarzem, nie mura-rzem. Akta miejskie (*ind. off. cons.* t. 41, p. 1450, s. 1141 i t. 67, p. 87, s. 36) urzędowe zwią- go po prostu *murator suburbanus*.

²⁾ Sądząc analogicznie z liczby członków w innych cechach, zapewne tylko 20.

³⁾ Por. np. ustęp o naprawie obudwu zamków w lustracyi starostwa lwowskiego z c. Z początkiem XVII wieku sam majster murarski zarabiał 15—20 groszy dziennie (1 fl. 25—1 fl. 70 na nasze pieniądze), pomocnicy o połowę mniej. Por. K. J. Heck: *Pobył Władysława IV we Lwowie*, l. c. str. 7.

⁴⁾ Zubrzycki wspomina pod r. 1625 o Pawle Zimorowiczu, który darował 200 złp. na rzecz szpitala św. Ducha i domyśla się w nim ojca Bartłomieja. Uwaga jego za-czerpnięta z rejestru ksiąg, sporządzonego w XIX wieku (Arch. m. Lw. ks. 360 p. 150), atoli widoczny tu błąd dyurnisty, który w pośpiechu napisał *Paulus* zam. *Stanislaus*. Akta miejskie nie znają żadnego Pawła Zimorowicza.

⁵⁾ Por. wstęp str. 4.

katolickim, że w jego dziełach a zwłaszcza w *Leopolis triplex* pełno wycieczek przeciw Ormianom i że wreszcie poeta w własnoręcznym teſtamencie zalicza się sam do najprawowierniejszych katolików¹⁾, nie mówiąc już nie o aktach sądowych, które również nie wiedzą nic o ormiańskim jego wyznaniu. Katolikiem też jest Zimorowicz od pierwszej chwili swego wystąpienia, a więc i rodzice wyznawali wiarę katolicką; załatwiali też rzeczywiście i oni nieliczne sprawy swoje przed urzędem radzieckim i nie stawali nigdy przed sądem ormiańskim. Zresztą nie powstałaby nawet żadna w tym względzie wątpliwość, gdyby był Bartłomiej nie zmienił swego pierwotnego nazwiska. Kwestya to jednak o wiele trudniejsza do rozwiązania i nierównie mniej jasna, niż sprawa wyznania, do jakiego obydwaj poeci należeli.

Kiedy Bartłomiej jako nowicyusz i młody palestrant występuje po raz pierwszy 14 maja r. 1624 przed sądem wójtowskim w imieniu ojca, kwitującego ubogą przedmieszczankę Bartoszową Powroźniczkę z zapłaćcenia 7 złp. i 15 groszy²⁾, wówczas spotykamy się z zjawiskiem niezwykłym dla znajdującego ówczesne zapiski sądowe. Akta miejskie, tak zawsze rozwlekłe i tak nigdy słów nie szczczędzące, wymieniają jedynie Bartłomeja po nazwisku, ojca zaś jego nazywają tylko po imieniu, choć podobnej zwięzłości prawie nigdy sobie nie pozwalają. W cztery lata później toczy się znowu sprawa przed sądem ławniczym³⁾ ze spadkobiercami Wojciecha Liska (Łyska)⁴⁾, czyli Liskowicza, tego samego przedmieszczanina z gliniańskiej ulicy, którego grunt przyległy do ozimkowskiego i do szpitala św. Ducha należący dzierżawił później Bartłomiej⁵⁾ i od którego krewnych nabył połowę domu Liskowskim zwanego⁶⁾. Poeta występuje tu z kolei jako zastępca prawny Stanisława Ozimka, murarza i oczywiście właściciela owego gruntu ozimkowskiego przy ulicy gliniańskiej położonego, przyczem w akcie nie ma znowu najmniejszej wzmianki, by między nimi istniał związek jakiegoś bliższego pokrewieństwa. Dopiero w aktach z r. 1643 i 1665⁷⁾ spotykamy się z zapiską, że ojciec Bartłomeja zwał się Stanisławem Zimorowiczem

¹⁾ Por. Materyały biograficzne i Arch. m. Lw. Od. II, fasc. 456.

²⁾ Arch. m. Lw. ind. off. adv. t. 20, p. 734, s. 764.

³⁾ Tamże ind. iud. civ. t. 31, p. 564, s. 246.

⁴⁾ Akt z r. 1624 nazywa go Albertus Liskowicz, ale pierwotne jego nazwisko brzmiało niewątpliwie Lisek albo Łysek. Por. Inwentarz szpitala św. Ducha l. c. str. 63, tudzież Arch. m. Lw. ind. off. cons. t. 33, p. 946, s. 633 i t. 38, p. 837, s. 349.

⁵⁾ Inwentarz szpitala św. Ducha, l. c. str. 66.

⁶⁾ Arch. m. Lw. ind. off. cons. t. 33, p. 946, s. 633.

⁷⁾ Tamże ind. off. cons. t. 49, p. 1450, s. 1141 i t. 67, p. 87, s. 36.



i był również murarzem przedmiejskim, zamieszkałym przy ulicy glińskiej. Taki dziwny zbieg okoliczności i taki niedokładny zrazu sposób wyrażania się rozwlekłych zresztą aktów sądowych musi nasunąć nam przypuszczenie, że mamy tu do czynienia z jedną i tą samą osobą i że Bartłomiej jak tylko dorósł do lat młodzieńczych¹⁾ i zakosztował większego nieco wykształcenia, zmienił rodzinne nazwisko Ozimek na milej dla niego brzmiące Zimorowicz. Przypuszczenie nasze nabierze jeszcze tem większej wagi, jeżeli zważymy, że końcówka „wicz” jest patronimiczną i że synowie np. Liska, Szymona i Wolfa zwali się powszechnie we Lwowie Liskowiczami, Szymonowiczami i Wolfowiczami. Wprawdzie stósownie do tego zwyczaju powinienby i Bartłomiej przezwąć się był Ozimkowiczem nie Zimorowiczem, ale ustalonej w tem normy nie było i do zmian w nazwisku nie przykładano podówczas takiej wagi jak obecnie. Ponieważ zaś dla ucha przyszłego poety brzmiało bez wątpienia nazwisko Zimorowicza nierównie przyjemniej niż Ozimkowicza, przeto naszemu przypuszczeniu nie stoi nic na zawadzie, a popiera je natomiast i ta okoliczność, że ojciec Bartłomieja był przedmieszczaninem i widocznie człowiekiem niskiego pochodzenia. Jako przedmieszczanina nazywano go raczej Ozimkiem, niż dłuższem mianem Zimorowicza, przyczem jednak nieprawdopodobnem się wydaje, żeby nadano mu tę nazwę od przebywania w czasie zimy poza obrębem murów miejskich, jakto przypuszczał już Wiszniewski na czterdzieści lat przedtem²⁾. Natomiast zwrócić mi należy uwagę, że nazwisko Ozimek jest ludowem w okolicy Myślenic. Jak więc ojciec Szymonowicza przybył z mazurskich Brzezin, tak i przodkowie Zimorowiczów pochodzili prawdopodobnie z okolic czysto polskich.

Przypuśćmy jednak, że tak nie było i że ojciec Bartłomieja zwał się od początku Stanisławem Zimorowiczem, to wówczas będziemy się musieli zgodzić na następujący dosyć dziwny i niewytłómaczony zbieg okoliczności:

1) Z początkiem XVII wieku mieszkało równocześnie przy ulicy Glińskiej dwu przedmieszczan, jeden Zimorowicz, drugi Ozimek.

2) Obu było na imię Stanisław i obaj trudnili się murarstwem.

3) Obaj wyznawali wiarę rzymsko-katolicką, bo gdyby tak nie było, toby jak zawsze w aktach urzędowych, nie omieszkanego uczynić odpowiedniej wzmianki.

¹⁾ Już w r. 1620 jako autor Żywotu Kozaków Lisowskich podpisał się B. Zmocz czyli Bartłomiej Zimorowicz.

²⁾ L. e. (t. VIII, str. 100). Por. wstęp str. 9.

4) Jeden z nich, mianowicie Zimorowicz¹⁾, zakupił grunt drugiego²⁾, i do aktów miejskich kontraktu tego wciągnąć nie dał.

5) Bartłomiej zaraz w początkach zawodu swego palestranckiego zastępował tak Zimorowicza jak i Ozimka, a pisarz sądowy odstąpił bez powodu od zwyczajnej normy postępowania i ojca jego wymienił tylko po imieniu, a nie równocześnie i po nazwisku.

Wszystko to oczywiście możliwe, ale czy równocześnie i prawdopodobne? Mnie się zdaje, że nie i że lepiej i słuszniej postąpimy, gdy pójdziemy za zdaniem przeze mnie powyżej wyrażonem³⁾. Kruszyć o to kopią i przywracać może nawet pocie jego rodzinne nazwisko nie ma potrzeby, skoro nam chodzi głównie o osobę pisarza i jego działalność społeczną i literacką, a nie o to, czy się nazywał tak lub inaczej.

Przyszedł na świat nasz poeta w dniu św. Bernarda opata, 20 sierpnia 1597 r.⁴⁾. Na chrzcie otrzymał trzy imiona Józefa, Bartłomieja i Jana⁵⁾, ale do późnej starości używał tylko jednego z nich, tj. Bartłomieja i dopiero na schyłku życia dołączył do niego i pierwsze właściwe imię i podpisywać się począł: *Josephus Bartholomeus Zimorowic*⁶⁾. Współcześni za przykładem zapewne rodziców zwali go również Bartoszem lub Bartłomiejem; dlatego i my nazywajmy go i nadal jak dotychczas i nie odступujemy od tego, co się już przyjęło i utarło powszechnie.

Bartłomiej był, zdaje się, dzieckiem pierworodnem. Po nim prawdopodobnie następowała siostra jego Agnieszka, która wyszła później za

¹⁾ Ojciec czy syn, to rzecz obojętna.

²⁾ Por. Inwentarz szpitala św. Ducha str. 66. Słowo „kupił“ odnosi się tam oczywiście do gruntu Łyskowskiego czyli Liskowskiego, przyczem domyśleć się trzeba, że Zimorowicz kupił tylko zabudowania gospodarskie i prawo odnajmowania od szpitala, które również chętnie nabywano z powodu niskiego czynszu, jaki zarządowi szpitalnemu zazwyczaj opłacano.

³⁾ Dodaję nadto, że p. Żegota Pauli posiada podobno nieznanym mi akt, usuwający wszelkie w tym względzie wątpliwości i dowodzący jasno, że ojciec poety zwał się Ozimkiem a nie Zimorowiczem.

⁴⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1597. Data roku wynika także i z testamentu Zimorowicza l. c. Ponieważ zaś Bartłomiej mógł być najlepiej poinformowanym o dniu swego przyjścia na świat, przeto upadają same przez się wszelkie twierdzenia o chwiejności daty jego urodzin.

⁵⁾ Por. testament l. c.

⁶⁾ Por. np. podpis pod epigramatami na herb Lwowa w *Leopolis triplex*. Syna też spółzalonego z czwartą żoną nazywał również Józefem, prawdopodobnie od swego właściwego imienia. Obok Zimorowic znajduje się i forma Zimorowicz, stósownie do ówczesnej już wymowy i pisowni.

piekarza Wrzeszczowicza¹⁾, tudzież młodszy o osiem lat Szymon, późniejszy autor *Roxolanek*. Rodzeństwo nie było więc licznem, a że w domu był dostatek mierny i przykład innych działał zachęcająco, przeto starzy Ozimkowie postanowili dzieci swe kształcić i zapewnić im lepszą jak sobie przyszłość.

Czule i rozrzewniająco ułożyła się scena oddania najstarszego syna na naukę. Prości i głęboko religijni rodzice odczuli ważność chwili i zaprowadziwszy Bartłomieja do niewykończonego jeszcze kościoła OO. Bernardynów i stanąwszy przed obrazem błogosławionego Jana z Dukli, zawiesili synowi przez lewe ramię kałamarz i tabliczkę i wręczyli mu pióro przez siebie samych zacięte²⁾. Kiedy się jednak ta scena odbyła i co potem nastąpiło, czy Bartłomiej uczęszczał do jednej z publicznych szkół miejskich, czy też uczył się w domu, o tem wszystkiem nie mamy żadnych wiadomości. Zapiski sądowe, do późniejszych lat życia Zimorowicza tyle szczegółów przynoszące, zaczynają się dopiero w r. 1624, a sam poeta nie wspomina nic o przebiegu i rozmiarach swego początkowego wykształcenia, choć o innych mniej ważnych sprawach nie zaniedbał nas przygodnie poinformować. Tyle jednak na pewne utrzymywać możemy, że Bartłomiej nie uczył się w świeżo właśnie otwartem kolegium Jezuitów, bo byłby nie omieszkiał wspomnieć o tem w kronice, przy opisie tak ważnej dla Lwowa uroczystości, jaką było otwarcie szkół jezuickich, skoro przy innych wydarzeniach umiał zawsze wtrącić stosowną o sobie wzmiankę³⁾. Natomiast prawdopodobniejszem jest o wiele, że uczęszczał do szkoły katedralnej⁴⁾ lub korzystał z nauki udzielanej mu w domu przez jakiegoś „inspektora“⁵⁾. Na więcej nie starczyło zapewne rodzicom funduszków, jak nie starczyło na pobieranie nauki choćby tylko przez krótki czas w Akademii krakowskiej lub Zamojskiej. Dowodzą

¹⁾ Arch. m. Lwowa *ind. off. cons.* t. 49, p. 1006 s. 755 i *Prot. dnorum iuris* *fid.* t. 46, p. 2184, s. 1267.

²⁾ Por. koniec przedmowy w *Domus virtutis*: *Qui me literulas primi docuere parentes, laevo loculos tabulasque lacerto mihi suspenderunt neve in utraque rasa tabula alpha strumosum, vel beta verrucosum titubante manu amplius ducerem, concinnatum per se calamus in conspectu tuo (sc. b. Joannis de Dukla) tradiderunt.*

³⁾ Por. odnośne wzmianki w *Leopolis triplex* pod r. 1615, 1623 i 1625.

⁴⁾ Do tego odnosi się może wyrażenie *in transitu ludī literarij* w *Domus virtutis* pod r. 1614, choć niezawodnie nierównie lepszem jest tłumaczenie tych słów, podane przeze mnie poniżej.

⁵⁾ Na udzielanie mu nauki elementarnej przez samychże rodziców wskazywałyby pozornie słowa *Qui me literulas primi docuere parentes*, 'powiadam jednakże tylko pozornie, bo jestto heksameter wyjęty z poematu łacińskiego i znany mi również, choć na razie nie przypominam sobie ustępu, w którym go czytałem.

tego *quarta pars matriculae incorporatorum universitati Cracoviensi*¹⁾ ab a. 1607—1642, tudzież i liczne panegiryki współczesne, układane na cześć wysokich dostojników lub laureatów wyższej szkoły w Zamościu, w których koledzy promowanych podpisywali się pod wierszami, za-
zwyczaj przez jednego z profesorów napisanymi²⁾. W obydwu tych źródłach nie ma wcale nazwiska Zimorowiczów.

Czy rozmiar w taki sposób pozyskanego wykształcenia mógł być znacznym, tego zdaje mi się nie potrzebuję bliżej objaśniać, jeżeli przywołamy sobie na pamięć, co mówiłem już poprzednio o lwowskiej szkole katedralnej i jeżeli zważymy, że rektorem jej od r. 1607—1615 był Tomasz Brozovius (Brzozowski)³⁾, człowiek niczem się nie odznaczający. Również i „inspektor“ czyli „pedagog“ domowy Bartłomieja nie mógł być niczem innym, jak zwykłym instruktorem i starszym uczniem, bo na opłacenie lepszego nie byłyby starczyły środki materialne rodziców Zimorowicza. Że tak też było a nie inaczej, tego dowodzi niezaprzeczenie i dokładniejsza analiza młodzieńczych utworów Bartłomieja, którą zajmujemy się z kolei w następnym rozdziele. Tymczasem zaś zaznaczam tylko wyraźnie, że horyzont wiadomości młodzieńca lwowskiego był nader ciasny. Nauczył się jedynie czytać i pisać, liźnął nieco z zasad niższej matematyki i obzajomiał się z katechizmem, tudzież kilku najbardziej znanymi pisarzami łacińskimi, a między nimi prawdopodobnie dokładniej z Eneidą Wergiliusza.

Ten mały zakres wiadomości mógłby był niewatpliwie Bartłomiej i nie ruszając się ze Lwowa rozszerzyć nieco, gdyby był posiadał naturę odmienną od usposobienia ówczesnej lwowskiej młodzieży. Synowie lwowskich kupców i rzemieślników w nauce się nie kochali, ale za to mimo całej pobożności skłonni do bójki i rwący się do korda, nie stornili od wesołej zabawy, a nawet hulatyki i szukali rozrywki w żartach i domorosłych a tłustych wierszykach. Przystaje do nich przedziwnie i nasz Zimorowicz.

Nie bez talentu zapewne i nie bez wrodzonej ciekawości, skoro jako chłopiec jeszcze przechodząc popod klasztor i kościół OO. Bernardynów starał się odcyfrować starożytny i trudny do odczytania napis

¹⁾ Rkps. biblioteki Jagiellońskiej I. 261.

²⁾ Takie panegiryki pisywano i wydawano przy wszystkich niemal szkołach tak u nas jak i za granicą istniejących. Zwróciłem też na nie szczególniejszą uwagę przy układaniu katalogu realnego biblioteki Ossolińskich, bo zastępują one poniekąd księgi immatrykulacyjne i utworzyłem osobny dział, który, o ile mi wiadomo, prowadzi dalej mój następca, p. Wilhelm Bruchnalski, i odda wkrótce do użytku publiczności.

³⁾ Por. wstęp str. 47.

na tablicy, przybitej ponad drzwiami tegoż kościoła i usuniętej dopiero w r. 1614 wraz z całą dawną świątynią i skoro tak dobrze go sobie zapamiętał, że umiał jeszcze w późnej starości powtórzyć z pamięci¹⁾, — nie bez chęci dalej wydobyć się z tego stanu, na który go zawód ojca skazywał, ale z tem wszystkiem bez widocznej skłonności do pracy umysłowej i nauki. Pobudką do niej był chyba wstręt do rzemiosła murarskiego²⁾ i widok innych zamożniejszych mieszczan, atoli zachęty nikąd nie miał, gdyż jako plebejusz nie obracał się w kołach patrycyuszowskich i widocznie nie znalazł żadnego opiekuna, kiedy obranie innego kierunku przypisuje wyłącznie swemu sprytowi, a nie możnemu dobroczyńcy. Sądząc nadto z jego porywczego charakteru, którego i w dojrzałym wieku nie pozbył się w zupełności, sądząc i z wyników analizy jego pierwszych utworów i słów, które sam wygłosił³⁾, musimy przyjść do przekonania, że szukać w nim należy młodzieńca podobnego do innych, krewkiego i zabawę nad naukę przekładającego, który wołał sobie bujać swobodnie pod opieką skrzydeł rodzicielskich i spędzać chwile wolne pod otwartym niebem lub szukać rozrywki w gronie rówieśników, niż zapoznawać się bliżej z dziełami drukowanymi.

Cóż z takim młodzieńcem począć było? Do jakiego zawodu mieli go rodzice przeznaczyć, kiedy nie okazywał chęci ani do rzemiosła ani do stanu kupieckiego? — Istniała jeszcze jedna droga, która mu przyzwoity byt zabezpieczyć mogła i odpowiedniejszą była do jego usposobienia. Wstąpił też na nią rzeczywiście młody Bartłomiej i doszedł po niej z czasem do wielkiego znaczenia i do najwyższych w mieście godności, o których zrazu mógł chyba tylko marzyć plebejusz z przedmieścia halickiego. Był nią zawód palestranta sądowego, korzystny nadzwyczaj dla ludzi młodych, talentem i wrodzonym sprytem obdarzonych.

Jak przy szlacheckich dawnych trybunałach i sądach grodzkich i ziemskich żywiła się cała rzesza prawników i palestrantów, dorabiają-

¹⁾ *Domus virtutis* pod r. 1614: *His peractis prisca aedicula hucusque intra ambitum recentis superstans diruta est, cum qua tabella etiam superliminaria characteris exoleto, literisque gibberis seu verius crurifragium passis inscripta periit. Nihilominus epigraphen illius puer adhuc in transitu ludii literarii saepius ipsa difficultate legendi illectus relegens memoriae impressam hucusque teneo huius modi:*

*Haec domus est Christi thalamus; quicumque subiisti
Tam sanctum limen, de pectore pellito crimen.*

²⁾ *Leo triplex* pod r. 1597: *Plus tamen Minervae, quam Lucinae me fateor debere. Haec enim in cunis immerito lapidatum ad latomias damnaverat, ut Pallus omnem lapidem movit, ut me de turba vulgi lapidei, quod Romae alterum populum fecerat, extraderet.*

³⁾ Por. odnośne ustępy z Sielanek i Roxolanek, przytoczone lub zacytowane w następnym rozdziale.

cych się nieraz okazałej fortuny majątkowej, tak i we Lwowie, nie mówiąc już nie o sądzie starościńskim, zatrudniały kancelarye obu pisarzy, radzieckiego i ławniczego, licznych podpisków i dyurnistów, składających się częściowo z ludzi, co później sami na własną rękę prowadzili procesy i stawali się zaprzysiężonymi obrońcami, zbliżonymi prawie zupełnie do naszych dzisiejszych adwokatów. Do nich przyłączył się teraz i młody Zimorowicz, wstąpiwszy najprawdopodobniej do kancelaryi Alberta Zimnickiego¹⁾, pisarza radzieckiego od r. 1616—1640²⁾. Tam to począł przepisywać przeróżne pozwy, dupliki i trypliiki, w jakie obfitowała ówczesna procedura sądowa i tamto dopiero zaznajomił się z prawem magdeburskiem i ustawami krajowemi. Czynność zresztą nie była zbyt natężającą i pozostawiała zawsze jeszcze wiele czasu wolnego do zabawy i rozrywek, w których jak wiadomo kochała się cała nasza palestra, spędzając dni w sądzie i przy kieliszku. Dogadzało takie życie i usposobieniu poety³⁾, który nie potrzebując pracować ciężko przy warsztacie lub za ładą, przez łatwość w składaniu tłustych i rubasznych wierszyków, tudzież przez wrodzony dowcip i humor, jaki tryska z jego pierwszych utworów, stał się zapewne wnet ulubieńcem wesołych towarzyszy.

Wśród takiego życia rozwinąć się musiał dosyć wczesnie i popęd naturalny i obudziła się miłość do nieznaney nam bliżej mieszcanki. Stosunek z nią trwał dłuższy czas i dodał nowego bodźca twórczości poetycznej młodego Zimorowicza, sprowadziwszy ją wyłącznie na pole poezyi erotycznej tak, iż słusznie mógł powiedzieć o sobie:

Żem lubo cicho szeptał, lubo śpiewał krzykiem,
Zawzdy się słyszeć dawał niewieściom językiem⁴⁾.

Nieznaną nam z nazwiska ta przewodnia gwiazda i przedmiot gorących westchnień poety. Zapewne była to jakaś lwowska patrycyuszka, która prawdopodobnie nie chciała odpowiedzieć równie gorącym uczu-

¹⁾ Wiadomości o tem nie mamy bezpośredniej, atoli powyższe przedstawienie jest niewątpliwie za prawdą zgodne, gdyż Zimorowicz zostaje w r. 1624 obrońcą czyli pełnomocnikiem sądowym, a jako taki musiał poprzednio odbyć odpowiednią praktykę. Podpiskiem pisarza ławniczego jest też i jego młodszy brat Szymon, jako wynika niezbicie z *Ind. off. cons.* t. 36, p. 1, s. 1. Przyjąłem również, że Bartłomiej pracował w kancelaryi pisarza radzieckiego a nie ławniczego, gdyż najpierw nieprawdopodobnem mi się wydaje, aby obydwaj bracia zatrudnieni byli w jednym i tym samym urzędzie, a powtóre, że na to wskazują ściśle stosunki, jakie Zimnickiego, jako później wykazemy, z Bartłomiejem wiązały.

²⁾ Por. zestawienie pisarzy radzieckich w *Viri illustres civitatis Leopoliensis*.

³⁾ Por. uwagę zamieszczoną na str. następnej.

⁴⁾ Por. sielankę II, w. 235 i 236.

ciem miłosnem, skoro później stosunek się zerwał i poeta nie dopiął upragnionego celu.

Smutnie więc zakończył się epizod miłości i wpłynął niewątpliwie niemało na usposobienie poety, czyniąc je poważniejszym i więcej dbałem o przyszłość. Jak długo jednak trwał stosunek miłosny, kiedy się rozpoczął i kiedy zakończył tego dokładnie oznaczyć nie możemy, bo sielanka druga, najważniejsze do tego wypadku źródło¹⁾, choć nie zostawia najmniejszej wątpliwości co do istnienia samego faktu, to przecież wyraża się zanadto pobieżnie i zanadto ogólnikowo. Z przytoczonych tamże okoliczności tyle tylko wynika niewątpliwie, że pierwsza poety miłość przypada na okres, w którym powstawały liczne jego erotyki, w którym urodził się i Żywot Kozaków Lisowskich i Testament Luterski. Są to więc mniej więcej lata 1620—1623. Poza rok 1623 stosunek miłosny prawdopodobnie nie przetrwał, gdyż straszny pożar i równie okropna zaraza, które właśnie w tym roku Lwów nawiedziły i Bartłomieja do ucieczki za Wisłę zmusiły²⁾, wstrząsnęły do głębi całym jego jestestwem i uczyniły go u schyłku wieku młodzieńczego poważniejszym i więcej dbałym o przyszłość. Nie wychodzą już bowiem odtąd z pod jego pióra utwory w guście Kozaków Lisowskich lub Testamentu Luterskiego, a natomiast rozpoczyna się inne życie, rozpoczyna się intratny zawód obrońcy sądowego. 14 maja r. 1624 występuje młody palestrant po raz pierwszy przed sądem wójtowskim w zastępstwie ojca, w powyżej wymienionej sprawie z Bartoszą Powroźniczką³⁾, a 7 października tegoż roku jest już zaprzysiężonym obrońcą prawnym i jako *causarum civilium ferendarius iuratus* broni przed sądem radzieckim Andrzeja Strzeleckiego przeciw Gabryelowi Langiszowi, Rusinowi i ruchiłowemu kupcowi lwowskiemu⁴⁾. Odtąd desek sądowych przez długie lata już nie opuszcza, odtąd cała czynność skupiona koło obowiązków nowego zawodu⁵⁾.

¹⁾ Odnośne wiersze znajdują się w większej części zestawione poniżej, w rozdziale następnym.

²⁾ Por. koniec niniejszego rozdziału.

³⁾ Por. wyżej str. 65.

⁴⁾ Arch. m. Lwowa *ind. off. cons.* t. 32, p. 1153, s. 778. Por. Łozińskiego, *Patrycyat* str. 321—323.

⁵⁾ Po rok 1629. w którym wstąpił w związki małżeńskie spotykamy Zimorowicza w aktach archiwum miejskiego obok dwu wyżej wymienionych wypadków (z 14 maja i 7 października r. 1624) jeszcze pod dniem 22 listopada r. 1624, 13 i 17 lutego, 6 i 14 maja, 6 czerwca, 30 lipca r. 1625, 10 stycznia, 11 marca, 15 maja, 15 i 19 czerwca, 23 i 30 października, 3 listopada 1626, 21 czerwca, 15 września, 15 października, 17 listopada r. 1627, 22 marca, 20 maja, 6 września i 4 października r. 1628. Istnieje więc

Czy zmiana była stanowcza? Tak niewątpliwie, atoli wszelkich nici łączących z dawnymi wspomnieniami prawdopodobnie od razu nie zerwano. Na to naprowadzają nas słowa samego Bartłomieja, w innym miejscu¹⁾ wyrzeczone, z których zdaje się wynikać, że stosunki z wesołym gronem palestrantów lwowskich ustawały tylko powoli, że poeta wstąpił zrazu na drogę życia kawalerskiego, choć to było wbrew zwyczajowi ówczesnemu i choć zapewne nie brakło zachęty w przeciwnym kierunku ze strony rodziców prostaczków. Obok wspomnień minionej miłości grała tu może rolę i resztką dawnej natury i ambicya poety, nie pozwalająca mu lada z kim wejść w związki małżeńskie. Upłynęło jeszcze lat kilka, zanim „ucieszny Rozymund“ połączył się z „nadobną Lilidora“.

W ten sposób epilog miłości przypada, mojem zdaniem, na koniec r. 1623 lub pierwsze miesiące r. 1624, kiedy to Bartłomiej po powrocie z za Wisły nie wstąpił widocznie znowu jako podpis do kancelaryi pisarza radzieckiego, ale począł się starać u zwierzchności miasta o zatwierdzenie go w charakterze zastępcy prawnego. Zatwierdzenie wnet nastąpiło, bo w maju r. 1624 jest jeszcze tylko zwykłym pełnomocnikiem ojca, a w październiku posiada już tytuł obrońcy w sprawach cywilnych. Z tą chwilą kończy się też pierwszy okres jego życia, a rozpoczyna się nowy, odmienny od poprzedniego.

* * - *

tylko dwie większe przerwy między 30 lipca r. 1625 a 10 stycznia r. 1626 i między 30 listopada tegoż roku 1626 a 21 czerwca r. 1627, z których pierwszą wypełnia ucieczka na wieś przed powtórna zarazą we Lwowie grasującą (por. *Leopolis triplex* pod r. 1625). Liczby odnośnych aktów powołane poniżej w rozdziale trzecim.

¹⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1629: *Hoc enim anno bivium Hercules ingressus callem ne invium, an viam tritam pedibus premerem, aleam ieci et quia sortes meae in manu Dei erant, cecidit mihi senio cani contrarius, qui idem, quod monas est. Itaque a semita, in qua iam pedem posueram, retro me egerunt comites monstrosi, alii calices colentes, quidam sepulchra dealbantes, nonnulli festucas aliis eximentes, denique plura pallia et barbae quam Theosophi in illa visi. Ocius ergo in viam popularem rediit sociamque viae eiusdem et vitae Catharinam Duchnitiam coelestis indolis virginem assumpsi...* Treść zupełnie jasna, jeżeli weźmie się pod uwagę obrazowe zawsze wysławianie się Bartłomieja: W tym bowiem roku nie wiedząc, jak Herkules na rozstajnej drodze, czy mam wstąpić na manowce, czy też pójść drogą utartą, rzuciłem kostki i za wolą boską wypadła mi szóstka, przeciwna jedynce, którą jako rzut najgorszy „psem“ nazywamy. Ze ścieżki, na którą już wstąpiłem był, spędzili mnie moi towarzysze potworni, to kielichy ubóstwiający, to żołądkowi (*sepulchrum* jak Ennius u Pryscjana p. 683 i Plautus w *Menechmach* 1, 2, 43) służący, to śmiecie innym z ust wyrrywający — jednym słowem raczej cynicy (*pallia et barbae* jak u Gelliusa *Noctes Atticae* 9, 2 i u Kwinktyliana *Instit. Orat.* 11, 1, 34), niż bogobojni filozofowie. Dlatego czem prędzej zawiróciłem na drogę powszechną i za towa-

Tyle tylko szczegółów prywatnej natury obok trzech niżej jeszcze wymienionych można podać do pierwszych lat życia Bartłomieja ¹⁾). Atoli biograf jego nie spełniłby zadania, gdyby nie uwzględnił równocześnie i wypadków historycznych ogólniejszego zakresu, które niewątpliwie wpłynęły zarówno potężnie na charakter Zimorowicza i ukształtowanie się jego twórczości literackiej.

Na szerokim widnokręgu dziejów współczesnej Europy i Rzpltej polskiej widzimy występującą reakcją, która w Niemczech doprowadziła do wojny trzydziestoletniej a u nas do stanowczego zwycięstwa kościoła katolickiego za panowania Zygmunta III. We Lwowie, w ściślejszej ojczyźnie Zimorowicza, spoczywają rządy duchowne w rękach trzech arcybiskupów, Jana Solikowskiego (r. 1581—1603), Jana Zamojskiego (r. 1603—1614) i Jana Andrzeja Próchnickiego (r. 1615—1633), z których każdy czynny i sam bogobojny ²⁾) czuwał troskliwie nad powierzoną sobie archidyecezą i pragnął utrwalić w niej religią katolicką i wytepić resztki herezyi, jeżeli się jeszcze gdzie ukryć umiały w jakim zakątku. Solikowski, ten sam który się tak szkołą katedralną opiekował, sprowadza w r. 1590 OO. Jezuitów do Lwowa ³⁾), a zwierzchność miasta ułatwia im nabycie domu w ulicy ruskiej, z zamiarem, aby wywarli wpływ na obok mieszkających Żydów i Rusinów ⁴⁾). Zakonnikom oddano do tymczasowego użytku kaplicę drewnianą, fundowaną przez mieszczanekę Hanslową, wprowadzono do niej uroczyscie i cały akt zakończono ucztą wspólną, podczas której bawiący jeszcze podówczas we Lwowie Szymonowicz wygłosił piękny wiersz łaciński, przechowany nam w pracy ks. Załęskiego ⁵⁾). W brudnej jednak i ciasnej ulicy wśród otaczających ich akatolików było Jezuitom nieswojsko i za szczupło. Zapragnęli więc placu obszerniejszego i za staraniem następcy Solikowskiego, arcybiskupa Zamojskiego, tudzież hetmana Stanisława Żółkiewskiego otrzymali dla

resztkę życia przybrałem sobie Katarzynę Duchnicównę, niebiańskich zalet dziewicę. — Tak pisał Zimorowicz pod koniec długoletniego żywota swego. Nie zrozumiał go Piwocki i całe miejsce zupełnie fałszywie przetłumaczył.

¹⁾ Wspomniane w *Domus virtutis* przy żywocie bł. Jana z Dukli *annales mei* nie są żadnym niedochowanym pamiętnikiem, ale tylko znaną kroniką miasta Lwowa, gdyż zamieszczony tamże życiorys błogosławionego zakonnika zgadza się dosłownie ze znajdującym się w *Leopolis triplex*. Wyrażenie *iuvenilis calamus* nie dowodzi czegoś przeciwnego, bo dla starca prawie osiemdziesięcioletniego pochodziło to jeszcze od młodzieńczej ręki, co napisał między 35 a 40 rokiem życia.

²⁾ Por. Pirawski, str. 46—50 i *Leopolis triplex* pod r. 1603, 1614 i 1633.

³⁾ Idę za zdaniem ks. Załęskiego l. c. str. 3 i nstp. Zimorowicz w *Leopolis triplex* opowiada całe zdarzenie pod r. 1591.

⁴⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1590 i 1608. Pirawski l. c. str. 113 i 114.

⁵⁾ L. c. str. 6.

siębie miejsce nierównie dogodniejsze, do klasztoru Franciszkanów i kościoła św. Ducha przypierające. Tam to uposażeni wnet w dochody z dziewięciu wsi rozpoczęli w r. 1608 budowę okazałej świątyni, a równocześnie, na razie jeszcze przy ulicy ruskiej, otwarli szkołę¹⁾, do której od razu, jak wspomniałem poprzednio, wstąpiło uczniów przeszło 200. W 20 lat później liczba wychowanków potroiła się a wpływ Jezuitów urósł do nieślychanej potęgi. Prawie bez współzawodników, bo istniejąca szkoła katedralna wiodła nędzny żywot a inne zakony nigdy sprostać im pod żadnym względem nie umiały, zawsze czynni i wytkniętego celu świadomi i zawsze przezorni i z danymi warunkami się liczący, oparli się przedewszystkiem na okolicznej szlachcie, choć nie szczędzili także zabiegów, by okazałością obchodów i licznymi kazaniami oddziaływać na umysły mieszczan i wzbudzić w nich jak największą żarliwość religijną. Celu też w zupełności dopięli a opis uroczystości urządzonych w r. 1622 z okazji beatyfikacji Ignacego i Ksawerego, w których bierze udział cała chrześcijańska ludność Lwowa, rzuca pełne światło i na środki przez nich używane i na grunt doskonale już przysposobiony. Przechował nam opis ich Węgier Albert Bałazy, podówczas uczeń najwyższej klasy we lwowskim kolegium Jezuitów i poświęcił rodakowi swemu Janowi Argentus, prowincyałowi towarzystwa Jezusowego najpierw w ziemiach Rzplitej polskiej a później w krajach do domu austriackiego należących²⁾. Opis to tak typowy i charakterystyczny, a szczegóły tak wiernie przez naocznego świadka odmalowane i tak pouczające, że przytaczam go tu w polskim przekładzie i prawie w całości, kładąc głównie nacisk na palenie heretyków *in effigie*, tudzież na rodzaj urządzonych igrzysk i sposób oddziaływania na masy za pomocą odprawianego z wielką pompą nabożeństwa i wspaniałych procesyj.

Z rana w niedzielę 19 czerwca 1622 r. otwarto świątynię Jezuitów przyozdobioną i wyścieloną prawie całkowicie dywanami i kobiercami, których w wielkiej części dostarczyła wdowa po hetmanie Stanisławie

¹⁾ Konwikt a przynajmniej część jego przeniesiono później również do zabudowań jezuickich, koło nowej świątyni wzniesionych.

²⁾ *Narratio epistolica Alberti Bałazy, philosophiae in Leopoliensi Societatis Jesu collegio auditoris, ad admodum reverendum patrem Joannem Argentum, societatis Jesu nuperime in Polonia praepositum provincialem, nunc in Austria visitatorem, in qua referuntur feriae post acceptum de ss. Ignatio et Xaverio in divos cooptatis nuncium institutae Leopoli, nobilissima totius Russiae Polonicae urbe anno Domini 1622. Jaroslaviae apud Joannem Szeligan.* k. nl. 12 in 4-o. Egzemplarz tej ciekawej broszurki znajduje się w bibliotece Ossolińskich pod l. 749. Por. i krótszy nierównie opis Zimorowicza w *Leopolia triplex* pod r. 1622.

Żółkiewskim. Ołtarz główny jaśniał od złota; w środku jego zawieszono obraz obu nowych świętych przedstawiający, o złożonych brzegach, otoczony szczerozłotymi kielichami i czarami, połączonymi za pomocą złotych łańcuchów, modnych podówczas we Lwowie. Czary i kielichy napełniono balsamem i olejkami wonnymi, a obok urządzono dwa jeszcze mniejsze ołtarze dla każdego z obu świętych osobno, w których umieszczono portrety św. Ignacego i Ksawerego, tak bogato i stósownie przez pobożne niewiasty perlami, złotem i klejnotami przyozdobione, „że skutkiem tego dorównały obrazom najświetniejszych mistrzów pędzla“¹⁾. Z zewnątrz czoło świątyni uwieńczono również kobierzami, na których z jednej strony widniały obrazy, cuda nowo kreowanych świętych apoteozujące, a z drugiej czytałeś tezy „z logiki Arystotelesa wyjęte, do chwały obydwu błogosławionych zastosowane i innymi zagadnieniami i sentencjami logicznymi okraszone“. Przy tezach widziałeś wizerunki Arystotelesa, Platona, Pitagorasa i Sokratesa; na ścianie między główną świątynią a budynkami szkolnymi poumieszczali uczniowie jezuickcy przeróżne emblematy i napisy, pomiędzy którymi, — dodaje autor naiwnie — było wiele i „ośmiolokciowej długości“²⁾.

Z uderzeniem godziny 10 według zegara włoskiego rozpoczęła się msza, celebrowana przez lwowskiego biskupa sufragana, ks. Tomasza Pirawskiego, po której ukończeniu sam arcybiskup Jan Andrzej Próchnicki zasiadł na krześle obok ołtarza wielkiego a obok niego stanęli rzędem kanonicy i wikarzy kapitulni, tudzież Dominikani, Franciszkani, Bernardyni i Karmelici bośi z zapalonymi świecami w rękach. Wystąpili następnie trzej Jezuici i podali arcybiskupowi do pobłogosławienia dwie chorągwie z damasceńskiego jedwabiu, suto złotem tkane, z wizerunkami obu świętych w stojącej postawie. Po pobłogosławieniu przez arcybiskupa wzniesiono je do góry i wśród radosnego płaczu wiernych i śpiewów kościelnych rozpoczęto wspaniałą procesję.

Na przedzie szli muzycy z przenośnym małym klawikordem; za nimi niesiono krzyż i chorągwie, a za temi postępowali zakonnicy i duchowni w odświętnych szatach. Pod baldachinem niósł przenajświętszy sakrament sam arcybiskup Próchnicki a tuż przed nim postępował ks. sufragan Pirawski. Po obu stronach z boku kroczyło 130 wybranych uczniów z zapalonymi świecami, a obok nich jeszcze 500 piechoty uzbro-

¹⁾ Jestto także szczegół charakterystyczny do ocenienia ówczesnego smaku Lwowian i Lwowianek.

²⁾ Na te szczegóły zwracam również baczność uwagę czytelników, podobnie jak i na wzmianki o przedstawieniach scenicznych. Charakteryzują one bowiem trafnie system nauki udzielanej przez Jezuitów.

jonej jak do boju. Pochód zamykali członkowie zarządu miasta i szlachta okoliczna a za nimi kłębił się i tłoczył różnobarwny tłum uboższej lub mniej wybitnej ludności. Rynek cały przystrojono w dywany, kobierce i ołtarze zbudowane na prędcie z rozkazu Marcina Kampiana, któremu rajcy urząd kierownika uroczystości powierzyli, a na wałach i w samym rynku ustawiono 80 armat i moździerzy, tak straszny huk wydających, że więcej wrażliwi „z przerażenia na ziemię padali ogłuszeni“. Wystrzałem z armat wtórowały organy wszystkich świątyń, tudzież trąby i rogi umieszczonych na wieży ratuszowej muzyków i okrzyki młodzieży szkolnej, w rozmaitych miejscach poustawianej i co chwila „do taktu“ z krzykiem wpadającej.

Wśród tego piekielnego hałasu, jaki czytelnik z łatwością wyobrazić sobie może i jaki charakteryzuje chyba społeczeństwo, na które tylko dzikie i silne wrażenia oddziałać zdołają, postępował zwolna pochód ulicą szewską czyli dzisiejszą trybunalską przez trzy połacie rynku: północną, wschodnią i południową, aż doszedł do rogu ulicy Halickiej i katedralnego kościoła, gdzie widniał huk tryumfalny, ofiarnością pobożnych wznieiony i w obrazy religijne przyozdobiony. Do katedry weszli tylko duchowni, mieszczenie chorągwie niosący i wybitniejsi goście; reszta tłumu pozostała poza jej obrębem, na cmentarzu przyległym lub pobliskich częściach miasta, aby następnie przyłączyć się znowu do pochodu, kiedy ten po wygłoszeniu polskiego kazania przez biskupa sufragana, odprawieniu mszy i zaintonowaniu hymnu *Te Deum laudamus* przez samego arcybiskupa, ruszył zachodnią stroną rynku i po raz wtóry ulicą szewską do kościoła OO. Jezuitów, wśród takiegoż samego bicia z dział, podobnego odgłosu instrumentów muzycznych i równych okrzyków młodzieży i ludności. U wstępu do kościoła pożegnali Jezuici arcybiskupa, który powrócił do katedry, pobłogosławiwszy przedtem wiernych, a następnie tak jego, jak i przybyłych magnatów i dostojników miejskich zaprosili na wspólną ucztę, do której przeróżnej dziczyzny dostarczyła szlachta a wina najwyszukańsze nadesłała rada miasta. Podczas uczty mówił Jezuita i magister humaniorów o zdaniu św. Ignacego: *ad maiorem Dei gloriam*, a po jej ukończeniu udano się wspólnie na nabożeństwo wieczorne. Równocześnie rozdali Jezuici w kolegium między biedaków 300 a rajcy na ratuszu 500 funtów chleba, poczem u schyłku już dnia okazało się na rynku 40 jeźdźców z ludności tak katolickiej jak ormiańskiej i żydowskiej i rozpoczęło popis, to walcząc ze sobą na kopie, to strzelając do tarczy, to znowu podnosząc włóczniami w pełnym galopie porzucone na ziemię czapki i kapelusze. Pięknie polerowany szyszak i pancerz tworzył nagrodę przez magistrat naznaczoną, którą otrzymał niewymieniony z nazwiska jeździec.

Tegoż samego dnia o godzinie 24 według włoskiego zegara, czyli naszej dziewiątej (?) z wieczora dwudziestu czterech pachołków podobnie ubranych wyprowadziło z więzienia ratuszowego manekin Aryusza heretyka, „przedziwnie zrobiony“ i włożywszy go na wołu, oprowadzało po rynku i heretykiem na czterech jego rogach obwieściło wśród nawoływań i okrzyków licznej gawiedzi. Następnie przywiązano go do krzesła i za pomocą sznurów z wieży ratuszowej spuszczonej poczęto w górę wyciągać, zapaliwszy poprzecznie masę ognistą, jaką był cały wypełniony. Jasnem światłem poczał się palić manekin w górę ciągniony, a kiedy zbliżył się do szczytu wieży, wówczas umieszczono go na żelaznej kracie i dozwolono spalić się w zupełności. Równocześnie sam szczyt wieży i okna domów i kolegium Jezuickiego zajaśniały od zapalonych świec i ogni a domorośli pirotechnicy popisywali się puszczeniem rakiet najrozmaitszego rodzaju. Illuminacya przeciągnęła się do drugiej (naszej jedenastej) godziny w nocy ku ucieście ludności miejskiej, która według słów Bałazego chciała w nowych świętych uczcić tępicielei wszelkiej herazy i rozkrzewicieli wiary katolickiej.

W poniedziałek 23 czerwca za danym z ratusza trąbami znakiem wyruszyło sześć oddziałów (*tribus*) z krzyżem i wizerunkami nowych świętych na czele od kościoła katedralnego do jezuickiego wśród śpiewania litanii na cześć Ignacego i Ksawerego ułożonych. U progu świątyni Jezuitów przyłączyli się do nich OO. Bernardyni, których „znakomity“ kaznodzieja ks. Augustyn wygłosił kazanie, wysławiając i podnosząc zasługi tak obu świętych jak i towarzystwa Jezusowego w ogóle. Później w samo południe (o godzinie 15-tej) rozdał magistrat znowu 500 funtów chleba między ubogich, podobnie jak i w sześciu następnych jeszcze dniach, a uczniowie *eloquentiae* czyli szóstej klasy kolegium jezuickiego urządzili sceniczne przedstawienie, polegające na tem, że na scenę wystąpili trzej ich koledzy, zalety trzech rodzajów¹⁾ wymowy w sobie personifikujący, którzy uczciwszy „heroiczne cnoty“ św. Ignacego ułożyli mu pomnik z liter „hieroglificznych“ czyli w sposób zagadkowy rzecz przedstawiających.

Przed wieczorem Walenty Samuel rajca i dowódzca oddziału wyprowadził na rynek trzy chorągwie pieszych i dwunastu jeźdźców na „koniach pociągowych“ a obok tego dwa woły ze złożonymi rogami i sześciu biało ubranych mężów z ogromnymi mieczami w ręku. Na dany znak rzuciły się „kohorty“ na siebie, usiłując bezskutecznie wydrzeć

¹⁾ Sc. *genus demonstrativum, deliberativum i iudiciale*, czyli γένος ἀποδεικτικόν, συμβουλευτικόν i δικαστικόν.

sobie wzajemnie sztandary. Następnie kazał Stancel zawiesić na sznurze dwie żywe gęsi i polecił jeźdźcom w biegu starać się im szyje odciąć. Zwyciężył jakiś czerstwy jeszcze starzec i dostał w nagrodę miecz pięknej roboty. Widowisko zakończył nadworny basista, odciaawszy głowę za jednym zamachem jednemu z wołów, za co też od magistratu otrzymał w darze 15 złp. Wreszcie znowu o godzinie 24 wyprowadzono z więzienia koło bramy krakowskiej manekin heretyka Nestoriusa, posadziwszy go na klaczy, twarzą do ogona. Sześciu zbrojnych otaczało manekin i obwieściwszy go kacerzem po wszystkich czterech rogach rynku, dopomogło do wyciągnięcia na szczyt wieży ratuszowej, gdzie go uroczystie spalono podobnie jak jego poprzednika Aryusza, podczas gdy równocześnie pirotechnicy zabawiali tłum puszczaniem nowych ogni sztucznych.

We wtorek, w dniu św. Alojzego Gonzagi, sześć innych oddziałów odbyło procesyę a Jezuici odprawili uroczystą mszę, podczas której nie omieszkano strzelać z dział, stojących na wałach miasta. Popołudniu na scenie umyślnie koło kolegium zbudowanej, wobec arcybiskupa, licznie zebranej szlachty i wszystkich stanów miasta przedstawiono kościół, jak tryumfuje wskutek nawrócenia ludów, Jezuitom osobiwszą łaskę okazuje i dla św. Ignacego i Ksawerego szczególniejszą część postanawia. O godzinie 22 przed ratuszem odbyła się wojskowa musztra pięciu oddziałów prowadzonych przez chorążego Melchiora Paskowicza, poczem dwunastu młodzieńców próbowało przeskoczyć fosę na osiem łokci szeroką. Po dłuższych usiłowaniach dwu z pomiędzy nich dokonało przepisanego skoku i otrzymało stósowną nagrodę, jeden rusznicę a drugi miecz krótki i zakrzywiony. We dwie godziny później wprowadzono na rynek smoka ogniem ziejącego i skałę ognistą z Orfeuszem na niej siedzącym i na lutni niby grającym, przyczem wewnątrz śpiewaka greckiego tak miało być sztucznie urządzone, że wydawało jakieś dźwięki do tonów muzycznych podobne. Tak smok jak i skała ku radości tłumów rozpadły się wnet i spaliły do szczytu a kolej przysłała teraz na innego heretyka, zatwardziałego Juliana apostatę. Wprowadzono go na rynek wspaniale ubranego, z berłem w rękę, koroną na głowie i w otoczeniu dwóch rabinów i dwu derwiszów tureckich, na swoją wiarę przeciągnąć go usiłujących. I jego również nazwisko obwieszczono ludowi na wszystkich czterech rogach rynku i wyciągnawszy w górę, spalono na owej kracie nielitościwej. Resztę widowiska wypełniły ognie sztuczne, których wielka rozmaitość dowodzi dość znacznego już wydoskonalenia ówczesnej pirotechniki. Rakiety to wylatywały tak wysoko w górę, że oczyma ich dosięgnąć nie można było, to wznosząc się i znowu opadając kończyły się gwiazdami, „ciała niebieskie światłością na chwilę przewyższającymi;“

to wreszcie pękały z wielkim łoskotem lub pełzając po ziemi z jednej strony rynku w drugą przelatywały. Żywiół ognia okazał się jednak wówczas bardzo łaskawym dla Lwowian, bo klęska pożaru nie nawiedziła tym razem ich rodzinnego miasta.

Podobnie jak poprzednio zaczął się i czwarty dzień uroczystości, na środę 22 czerwca przypadający. Przed południem procesya do kościoła Jezuitów prowadzona przez Karmelitów Bosych, którzy i mszę odprawili i podczas kazania przez usta Samuela Sikorskiego nie omieszkali wysławiać tak obu świętych, jak i zakonników towarzystwa Jezusowego; popołudniu na rynku ukazał się ruchomy Parnas na 15 łokci długi i nieco jeszcze wyższy, pomysłu jednego z uczniów „poetyki“. Ze szczytu Parnasu Fama ogłosiła światu sławę nowych świętych; poruszony tem Amfion uderzył w lutnię, dźwiękami w ruch wprawił górę parnaską, która rozpadłszy się na dwie połowy odsłoniła Muzy, na cześć świętych śpiewające. Zjawił się i Pegaz, który pazurami dobył z Parnasu źródła Aganippy, pojawiły się wreszcie i nimfy Dryady, które zarzuciwszy haki poruszyły całą tę ogromną maszynę.

Uczniom nie ustąpił pierwszeństwa i magistrat lwowski. O godzinie 22 nowy dowódca oddziału Jan Scholz, rajca, rozwinął na rynku cztery pieśze chorągwie, przed którymi ustawił się ogromny Etyop, na nosorożcu siedzący, a obok niego dwaj łuskowym pancerzem okryci rycerze na koniach. Między nimi a oddziałem ustawiono jeszcze i wóz, strzeżony przez dwóch woźniców odświętnie przybranych, na którym z przodu widziałeś całego wieprza, a z tyłu woła już ze skóry obranego. Pomiędzy wieprzem a wołem usadowili się rzeźnicy i krając mięso napełniali niem kiełbasy (*sic!*).

Na dany znak rozpoczęły się harce między owymi rycerzami i sześciu innymi pieszymi zapaśnikami. Jeździec, który drągiem przeciwnika po trzykroć z konia zepchnął, otrzymał w nagrodę woła, podczas gdy zwycięski piechur pocieszył się tylko mniejszej wartości wieprzem. Zapalono następnie nosorożca, którego wnet rozsadziły ukryte w nim prochy. Podobnemu losowi uległ i czarny mieszkaniec Afryki, ustąpiwszy z kolei miejsca biednemu Marcinowi Lutrowi, którego manekin komiecznie przybrany wydobyto o godzinie pierwszej czyli naszej dziesiątej przed północą z więzienia, wsadzono na żywego wieprza i poczęto oprowadzać po rynku, wśród pochodni i w towarzystwie dwunastu jeszcze zwolenników wyznania helweckiego, w czerwone szaty ustrojonych¹⁾. Z Lutrem pro-

¹⁾ Tak oddaję zwrot: *stipatus duodecim Helvetiis habitu rubro amictis*, choć może słowo *Helvetii* oznacza tu tylko Szwajcarów.

cedura musiała być też dłuższa. Na wszystkich czterech rogach rynku wytaczano przeciwko niemu formalne oskarżenie o herezyą i za każdym razem na śmierć skazywano. Dopiero potem ściągnięto go z wieprza, posadzono na krzesło i zapaliwszy, linami na szczyt wieży wyciągnięto. Długo pochodnia pod ramieniem umieszczona paliła się jasnym światłem, nie uszkadzając w niczem ubrania, aż wreszcie ogień skaził mu najpierw piersi i usta, „siedzibę i źródło wygłoszonych herezyi“, a następnie doszedłszy do ukrytych we wnętrzu prochów, przemienił w jeden popiół kunsztownie zbudowany manekin.

Następny czwartek rozpoczął się także procesyą do kościoła Jezuitckiego, poprzedzoną przez muzykantów nadwornych. Prowadzili ją i mszę odprawiali tak tego jak i następnego dnia OO. Dominikani, których przeor Celestyn Diszpot złożył w dwukrotnych kazaniach nowy hołd zasługom i cnocie obu świętych. O godzinie 23. czyli 8 wieczorem rajca Aleksander Ubaldini poprowadził na rynek cztery piesze kohorty i wóz przez trzy woły o złożonych rogach ciągniony. Na wozie mieściły się dwie ogromne beczki z piwem i wodą miodem zaprawioną; na pierwszej siedział niby Bachus, przypijający z garncowego kubka do żołnierzy i żegnający się z miastem, bo do niego nowych świętych wprowadzono; na drugiej grał fletnista przy wtórze innych muzykantów koło wozu postępujących. Za tym wozem jechał jeszcze inny z prózną beczką bez dna, o której posiadanie walczyło dwu ludzi, to wyskakując z niej, to chowając się znowu w jej wnętrzu. Pochód zatrzymał się wreszcie na rynku, gdzie zbudowano niby zamek, w którym umieścił się rzekomy Żyszka (Ziška) ze swoimi zwolennikami. Kohorty Ubaldiniego przystąpiły natychmiast do szturm, który według słów Bałazego nie wiele różnił się od rzeczywistego. Wśród odgłosu trąb i rogów, rżesistych wystrzałów z moździerzy i strzelb spalono tak wielką ilość prochu i wyrzucono na przeciwników taką mnogość rakiet i przeróżnego materiału wybuchowego, że tylko prawdziwemu przypadkowi zawdzięczać należy, iż nikt z walczących nie poniósł cięższego uszkodzenia. Wreszcie zdobyto zamek koło północy, ale nim zdołano manekin Żyszki wyciągnąć na wieżę ratuszową, rozszarpał go w kawałki rozwścieczony uroczystościami tłum, pozbawiwszy się w ten sposób sam widoku spalenia czeskiego kacerza.

Piątek 24 czerwca przeminął bez przedstawienia scenicznego i bez palenia heretyków *in effigie*. Po zwykłej procesyi zapragnęli rajcy wspólnym obiadem uczcić OO. Jezuitów i mimo protestów wymawiającego się rektora przysłali do kolegium najwyszukańsze potrawy i najlepsze wina i tak długo od próśb nie odstępowali, dopokąd nie zasiedli do stołu razem ze wszystkimi zakonnikami. Po uczcie miało się odbyć nader

skomplikowane przedstawienie sceniczne, urządzone przez uczniów filozofii, czyli klasy najwyższej. Z powodu jednak krótkości czasu nie można było wszystkiego przygotować i przedstawienie odbyło się dopiero o pięć tygodni później, w dniu św. Ignacego czyli 1 sierpnia tegoż roku. Wówczas to, aby uzmysłowić należycie publiczności smutek całego świata z powodu zgonu twórcy towarzystwa Jezusowego, wyjeżdżało siedmiu młodzieńców, siedem planet reprezentujących, na wózkach w górę po ogromnych drewnianych obręczach, z których niektóre miały aż 15 łokci średnicy i po oddeklamowaniu odpowiednich wierszy na cześć św. Ignacego spuszczało się następnie na dół ku wielkiemu przerażeniu widzów, drżących o życie nierozważnych śmiałków. Równocześnie i inni uczniowie wygłaszali wiersze na cześć świętego w rytmach starożytnych Greków i nowszych włoskich ułożone, przedstawiając to nieme żywioły, to ptaki do ogólnego chóru uwielbienia przyłączające się. Puszczano także rakiety, grano na trąbach, aż wreszcie wszystko, ziemia, góry i lasy poruszyły się do tańca, a leśni niby Satyrowie zakończyli uroczystość epilogiem, w którym wśród nateżonej uwagi słuchaczy opowiedzieli dokładnie, jakieto w swojej wędrówce obyczaję między dzikimi Indyanami przez Jezuitów rozpowszechnione widzieli i jak to uczniowie św. Ignacego nie ustają w usiłowaniach, by napoić cywilizacją nieokrzesanych dotąd całej ziemi mieszkańców.

Przebieg soboty był również spokojniejszy. Mszę odprawili Franciszkanin, a popołudniu w obecności kapituły i całego prawie kleru lwowskiego odbyły się w kolegium publiczne dysputy na temat zasług położonych przez obu świętych. Mówił nieznanego nazwiska Dominikanin i doktor teologii, tudzież kanonik Szymon Wędzicki, „obeznany dokładnie z literaturą hiszpańską, włoską i francuską“.

Nadszedł wreszcie 26 czerwca czyli dzień oktawy zainaugurowanej uroczystości. Mszę celebrował sam arcybiskup Próchnicki, a Franciszkanin Andrzej Giżycki wypowiedział kazanie, w którem jeszcze raz podniósł wymownie niespożyte zasługi świętych i wszystkich Jezuitów „ku wielkiemu zawstydzeniu runieniących się ze skromności ojców towarzystwa Jezusowego“. Podczas podniesienia dawano salwy z armat, po ukończeniu zaś mszy arcybiskup zasiadł do stołu z Jezuitami i wysłuchał łaskawie łacińskich oracyi uczniów, dziękujących mu uniżenie za współudział w uroczystościach, urządzonych na cześć nowo kreowanych świętych.

Popołudniu po niesporach najęci muzycy odegrali na wieży ratuszowej hymn dziękczynny *Te Deum laudamus*, poczem wieczorem zajaśniało od rzęsiстых ogni tak całe miasto, jakoteż i zamek Wysoki, na poblizkiej górze położony. Oprócz tego zapalano trzykrotnie na rynku sztucznie zbudowaną warownię, która za trzecim razem tyle ognia z siebie

wyrzuciła, że nawet Lwowian przyzwyczajonych już przez ośm dni do podobnego widoku w największy przestrach wprowadziła.

Przez cały tydzień podczas trwania uroczystości odpoczywały wszystkie pracownie i sklepy stały również zamknięte. Koszta poniesiono bardzo znaczne, skoro sami Jezuici wydali 4.000 złp. czyli mniej więcej 12.000 fl. w. a., pokrytych całkowicie ofiarnością pobożnych. Bałazy dodaje do tego, że Bóg widocznie sprzyjał przedsięwzięciom wiernych, kiedy nie było i żadnego wypadku znaczniejszego uszkodzenia kogoś i niebo dotychczas zasepione wypogodziło się w sam dzień rozpoczęcia uroczystości i przez cały ich przeciąg jaśniało czystym tłem lazuruwem.

Tak się odbyła i zakończyła we Lwowie pamiętna dla mieszkańców uroczystość, z niezwykłym przepychem obchodzona. Opisałem ją wiernie według źródła nieposzlakowanego, dla samego prowincyała Jezuitów przeznaczonego. Od dalszych uwag wierny założeniu wstrzymuję się w zupełności; następują one same i to w kierunku nie potrzebującym dokładniejszego wyjaśnienia. Społeczeństwo lwowskie, przypatrujące się z takim zajęciem paleniu kacerzy *in effigie*, miało być jeszcze z końcem tegoż roku 1622 świadkiem nierównie strasniejszego widowiska, bo spalania żywcem na stosie dwu ludzi o popełnienie świętokradztwa obwinionych¹⁾. Wniosku stąd żadnego nie wysnuwam i wypadków ze sobą nie łączę, ale w każdym razie był to rodzaj kary barbarzyństwo znamionujący. Praktykowano go wprawdzie i w innych krajach, ale u nas podobno najdłużej, bo jeszcze z końcem XVII stulecia.

Czy to wszystko odbiło się na usposobieniu Zimorowicza? Niewątpliwie że tak, skoro jeszcze w późnej starości pamiętce beatyfikacji obu świętych poświęcił w *Leopolis triplex* dłuższy ustęp i skoro w następnym zaraz roku wychodzi technacy zatrwajającą nietolerancją „Testament luterski“, wydany wprawdzie dopiero podczas pobytu Bartłomieja w Krakowie, ale napisany prawdopodobnie o kilkanaście miesięcy wcześniej, pod świeżem wrażeniem niedawno ukończonych uroczystości. Na dwa lata przedtem widział także Zimorowicz śpieszących na wojnę religijną z Czechami Lisowczyków, których charakterystykę znajdzie czytelnik w następnym rozdziale i poświęcił im również utwór osobny „Żywot Kozaków Lisowskich“, atoli poemat to jeszcze innego kroju, żartobliwy i humorystyczny, a sam wypadek widocznie drobnej stosunkowo wagi, skoro o przechodzie tych drapieżnych junaków nie ma najmniejszej wzmianki

¹⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1622: *Antequam annus ad metam deveniret, duo sacri-legi ad rogam damnati thermas piacularas adhuc vivi, quas illorum mystagogi negant, experti sunt.*

w kronice Zimorowicza. Natomiast o dwa lata tylko późniejszy „Testament Luterski“ tchnie, jakto niżej poznamy, tak straszną nietolerancją względem innowierców, że przemienia się w paszkwil, niegodny nazwy utworu literackiego. Żarliwość religijna i nietolerancja wzrastała więc widocznie stopniowo w autorze, a do zwiększenia się jej przyczynić się nadto musiał i wypadek z prywatnego życia Zimorowicza, który zaszedł w tymże samym pamiętnym roku 1622. Zapadł był 25-letni podówczas Bartłomiej na ciężką chorobę żołądkową i już po bezskutecznem wyczerpaniu wszelkich środków lekarskich życie mu się przykrzyć począł, a znajomi o zadaniu trucizny przebakowali, gdy krewkiemu ale zawsze pobożnemu młodzieńcowi przyszło na myśl ofiarować się bł. Janowi z Dukli. Polepszenie wnet nastąpiło, — więc wdzięczny Bartłomiej zawiesił później jako wotum koło obrazu świętego w kościele OO. Bernardynów następujący czterowiersz, na marmurowej tablicy wryty¹⁾:

*Hoc tibi pro secta carmen Duclane columna
Dedico, praesidium dulce decusque meum! ²⁾
Herba stat ut fragilis firmo subnixta colosso,
Sic ego vivo, tua dive levatus ope.*

Równocześnie za Zygmunta III przetworzyła się Polska w prawdziwą Rzplitą z królem na czele. Zwycięstwo monarchy w rokoszu Zebrzydowskiego nie przysparza mu wcale władzy, a nieszczęśliwa jego katolicko-dynastyczna polityka odstręcza serca wszystkich i ściąga na Polskę niejedną klęskę. Szlachta zazdrosna wobec króla o swe przywileje, nadużywając władzy uciska z jednej strony chłopów i mieszczan, a z drugiej popada sama w coraz większą zależność od magnatów, którzy stawszy się panami sytuacji żywią ambitne plany i mieszają się na własną rękę w sprawy państw postronnych. Odbija się to wszystko oczywiście i na Lwowie, a miarą wpływu wypadków na jego dzieje są odnośne opisy w *Leopolis triplex* i zawarta w nich trafna przeważnie i ogłędna charakterystyka.

Podczas rokoszu Zebrzydowskiego, który Zimorowicz po części słusznie ze stanowiska mieszczańskiego ocenia jako bratnią walkę w obro-

¹⁾ Por. *Domus virtutis* przy życiorysie Jana z Dukli, tudzież Materyały przeze mnie zebrane Nr. 38. i Rkps. bibl. Ossolińskich I. 125, str. 213.

²⁾ Por. Hor. carm. I. 1:

*Maecenas atavis edite regibus,
O et praesidium et dulce decus meum!*

nie praw i przywilejów, tylko rzekomo przez króla zagrożonych¹⁾, zbierają się stronnicy królewscy kilkakrotnie we Lwowie i za sprawą hetmana Żółkiewskiego zobowiązują się przysięgą do obrony Zygmunta III. Rajcy muszą również podobną przysięgę złożyć i utrzymywać stale piechotę, czuwającą nad bezpieczeństwem miasta, jakby nieprzyjaciół stał tuż pod bramami.

Współcześnie prawie na północy przy tronie carów moskiewskich rozgrywała się krwawa tragedia, w której wzięło udział i wielu mieszczan i wysłużonych wojskowych ze Lwowa, spodziewających się niemałego zysku z wyprawy i zwербowanych obietnicami Stanisława Bonifacego Mniszka, starosty lwowskiego i brata carowej Maryny. Nadzieja jednak przeważnie zawiodła, bo zamiast zysku wielu z uczestników znalazło śmierć na dalekiej obczyźnie i nie wróciło już więcej do domu. Mimo tego, gdy w r. 1611 nadeszła wiadomość o zdobyciu Smoleńska, miasto dało wyraz powszechnej radości i obok dziękczynnych modłów urządziło jeszcze i harce wojenne, podczas których jak w r. 1622 jedna strona broniła na rynku zbudowanej twierdzy, a druga przypuszczała szturm, w końcu pomyslnym rezultatem uwięzione.

Wojny szwedzkie Lwowa bezpośrednio nie dotyczyły, natomiast klęska cecorska i zabicie hetmana spadła jak piorun na jego mieszkańców i wywołała ogólne przerażenie. Przez rok też następny stolica Czerwonej Rusi gościła w swych murach najznakomitszych dostojników wojskowych i widziała liczne oddziały, strojno i buńczuczno pod Chocim spieszące. W lutym już przybył hetman Karol Chodkiewicz ze Stanisławem Lubomirskim, zastępcą do niewoli wziętego Stanisława Koniecpolskiego. Za nimi jak żórawie ciągnęły ustawicznie pomniejsze oddziały, zatrzymując się we Lwowie i modląc w kościele katedralnym, ciągnęły powoli i wozy pełne żywności i amunicji, dodając otuchy mieszkańcom, wyczekującym z obawą wyniku zapowiedzianej walki. Pierwszego sierpnia przybył królewicz Władysław z doborową piechotą niemiecką; miasto całe wyruszyło na jego spotkanie i poza obrębem murów przedstawiło mu swoją siłę zbrojną, do której wliczała się i zaimprovizowana jazda, przeważnie z Ormian złożona. I królewicz ruszył następnie do obozu,

¹⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1606: *Hoc anno fatalis catastrophae Poloniae quatefecit. Nobilitas, quae contra Tartaros quotidie eos in vinculis ducentes ad arma concurrere debuerat, contra regem, imaginarium libertatis suae insidiatorem, syncretismum excitavit, quem magno motu biennio egit, nec nisi:*

*„Fraterno postquam maduissent sanguine campi“
tristi epologo finivit.*

a zaraz nazajutrz po jego odejściu ukazały się na niebie łuny pożarne i doszły do Lwowa wieści o blizkich zagonach tatarskich. To Kantymir Murza palił okoliczne włości i niemałego strachu Lwowian nabawił¹⁾, zwłaszcza że z pod Chocima nieraz całymi dniami żadnej wiadomości nie było. Tak żyli mieszkańcy między trwogą a nadzieją, dopóki 5 października i sam król wreszcie nie nadciągnął, przyjęty mową łacińską przez rajcę Marcina Kampiana i obdarzony podarunkami, na jakie miasto stać było. Obecność króla, w niższym zamku mieszkającego, uspokoiła umysły, tem bardziej, że i szlachta prowincyi ruskiej ściągnęła się tłumnie do Lwowa i pospolite ruszenie z Małopolski stanęło wreszcie, choć zapóźno, pod jego murami. Zapóźno, gdyż niedługo potem nadbiegł goniec, który doniósł o zawarciu możliwie korzystnego pokoju i trwożnym oczekiwaniom mieszczan lwowskich stanowczy kres położył. Dzięki czynne i szczere modły w kościołach lwowskich zakończyły niepewność sytuacji, ale nowym wrażeniom jeszcze końca nie było. Obrazek zmienił się teraz, bo zamiast wspaniale wjeżdżających zwycięzców powracały niedobitki wynędzniałe od głodu i chorobami strawione. Administracya wojskowa nie troszczyła się o nie, a pieniędzy nie było w skarbie Rzplitej. To też ci obrońcy ojczyzny ginęli marnie po podsieniach, lub trzęsąc się od zimna i głodu stawali przy drzwiach kościołów, prosząc litościwych o jałmużnę. Tak trwało dopóty, dopóki miasto nie wstąpiło w obowiązki rządu i niedobitkami nie zajął się energiczny Kampian i nie opiekowali się mieszczanie. Ponieważ szpitala dla chorych nie było, przeto sami mieszkańcy rozebrali żołnierzy między siebie i gościli ich i żywili tak długo, dopóki nie powróciły im dawne siły. Pomoc jednakże przyszła, zdaje się, za późno, gdyż pomimo niej zmarło około 2.000 ludzi, na lepszy los zasługujących.

Wojna chocimska odwróciła od Lwowa grożące niebezpieczeństwo i wywołała liczne panegiryki, do których zalicza się i Zimorowicza „Pamiętka wojny tureckiej“, wszelako wynik jej nie powstrzymał napadów tatarskich, od dłuższego już czasu w całą prowincyą godzących. Niemal co roku ponawiali ci rabusie swe łupieżcze wycieczki, niszcząc dobrobyt ludności i uprowadzając tłumy niewolników, a rady na to nie było, bo szlachta i hetmani zadowalali się ściganiem uciekających i odbijaniem jasyru i łupów zabranych. Czasami i to się nawet nie udawało, jak w r. 1620, kiedy po klęsce cecorskiej Tatarzy rozbili obóz tuż pod Lwowem, a nasi w niewielkiej liczbie z brzaskiem dnia na nich napadli.

¹⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1622, choć według pracy dra Józefa Tretiaka napad Tatarów przypada na czas późniejszy.

Z początku przerażeni Tatarzy nie śmieli placu dotrzymać, ale kiedy zdobywcy, między którymi sporo było i mieszczan lwowskich, zamiast ścigać uciekających rzucili się do plądrowania obozu, wówczas zawrócili się nieprzyjaciele i oskoczywszy rozprószonych i plądrujących większą ich część trupem położyli lub w niewolę uprowadzili.

Więcej niż wytworzona przez Tatarów niepewność komunikacyi, szkodził handlowi lwowskiemu ucisk ze strony szlachty i bezrząd w kraju, objawiający się tak we wspomnianym już poprzednio bezrozumnym systemie cłowym, jakoteż bójkach i bezprawiach żołnierzy, tudzież jawnych gwałtach na mieszczanach popełnianych. Przykładów dosyć już i w tym okresie; przytaczam z nich tylko drastyczniejsze.

W r. 1597 podpici żołnierze z gołymi pałaszami napadają na przechodzących, a gdy ci się chronią na cmentarz katedralny, przesładują ich i tam. Za mieszkańcami ujmują się wówczas uczniowie szkoły katedralnej i przemógłszy żołnierzy, ćwiczą ich różgami i wtracają do więzienia szkolnego. Na wiadomość o tem zbiegają się inni żołnierze i domagają się od rektora Jana Baranowskiego wydania sprawców zniewagi. Równocześnie zbierają się i mieszczanie i stają po stronie uczniów i byłoby niewątpliwie przyszło do krwawej utarczki, gdyby nie przeszkodziła jej wielka ulewa, którą na szczęście niebiosa zesłały.

W r. 1606 doznaje Lwów formalnego oblężenia ze strony rodziny Stadnickich, a to z następującego powodu. Wrzała dłuższy czas walka między Drohojowskim a Stadnickimi nie tylko na słowa, ale na miecze. Napadali na siebie wzajemnie i staczali krwawe utarczki, w których poległ Tomasz Drohojowski, starosta przemyski. Za zabitym ujął się Felix Herbot i pochwyciwszy z kolei Stanisława Stadnickiego, uwięził do Lwowa i trzymał dłuższy czas w więzieniu. Uwolniony wreszcie za wstawieniem się możnych panów Stadnicki nie puścił bezkarnie wyrządzonej mu zniewagi, ale połączywszy się z bratem swoim Adamem, kasztelanem kaliskim, w półtora tysiąca zbrojnych podstąpił pod Lwów i żądał wydania Herburta, który schronił się był do zamku niskiego. Kiedy zaś starosta i rajcy na to zgodzić się nie chcieli, odcieśli Stadnicy miastu dowóz żywności i trzymając je przez 15 dni w oblężeniu, poczynili niemałe szkody na przedmieściach. Wreszcie wdał się w to arcybiskup Zamoyski i na prośby rajców skłonił Stadnickich do odstąpienia od miasta.

W trzynaste lat później, w r. 1619, wydarzyła się inna, nie mniej charakterystyczna sprawa. Opisał ją Zimorowicz w kronice Lwowa i opowiedział obszerniej autor *Patrycyatu*¹⁾, którego słowa niechaj mi wolno

¹⁾ L. c. str. 106—107.

będzie na tem miejscu przytoczyć: „Szlachcica Niemiryca za popełnienie gwałtu publicznego w mieście (znieważenie nieznaney nam z nazwiska mieszczanki) pojmano i stawiono przed t. z. *iudicium compositum* za burmistrzostwa Bartłomieja Uberowicza. Jakkolwiek puszczony bezkarnie, Niemirycz poprzysiągł zemstę burmistrzowi, który jego, szlachcica, śmiał ująć przez cepaków miejskich, wsadzić do więzienia i stawić na ratuszu i zemstę też zuchwale wykonał. Uberowicz, trzymając w dzierżawie miejski folwark Skniłówek, przemieszczał tam czasem. Otóż pewnej nocy ktoś zajechał do dworku i prosił pokornie o nocleg. Uberowicz otworzył i w tej chwili został uchwycony, skępowany i na konia rzucony. Była to sprawka Niemiryca, który pojmanego starca uwiózł z sobą. — Gwałt ten wywołał niesłychane oburzenie w mieście, ale byłby uszedł bezkarnie, gdyby nie rajca Jan Julian Lorencowicz, który uprosiwszy sobie od księcia Zasławskiego, wojewody braclawskiego, rotę wojska, przechodzącą właśnie przez Lwów, rzucił się z nią w pogon za Niemiryczem, dopędził go trzy mile za Zasławiem, Uberowicza odbił, samego szlachcica okuł i na zamek zasławski odstawił. Wielki był tryumf we Lwowie, gdy Lorencowicz wrócił z uwolnionym starcem, ktorego już opłakano. Uradowane miasto udarowało i wybawcę i wybawionego: Uberowiczowi dano w dożywocie część dochodu z wagi miejskiej, a synowi jego stypendyum z fundacyi Łojeckiego; Lorencowicz otrzymał dom w rynku na lat dwadzieścia, a nadto z inicjatywy Kampiana doznał uroczystej owacyi wszystkich „stanów i narodów“ miasta, zgromadzonych w ratuszu i, jak się wyraża ks. Jozefowicz, *more civitatis Romane antiquo* otrzymał wieniec obywatelski *ob civem servatum*. Chcąc upamiętnić zdarzenie i jego bohatera, kazał Kampian wykuć pomnik z kamienia, który ciekawi i dziś jeszcze oglądać mogą; jestto lew trzymający tarczę z herbami Rzeczypospolitej i Lwowa, a wśród nich umieszczony był niegdyś wieniec laurowy, w którym mieścił się napis: *Ioanni Iulio Lorencowicz senatus populusque Leopoliensis*“.

Powyższe przykłady wystarczają, aby dojść do przekonania, że ówczesny mieszczanin lwowski musiał już czuć głęboko swoje poniżenie wobec panującego w Rzplitej stanu. Straszniejszymi jednak dla niego jeszcze były konfederacye wojsk zaciężnych, ponawiające się niemal po każdej przez Polskę prowadzonej wojnie. Nie omijają one i Lwowa i wy rządzą mu w tym czasie trzykrotnie niemałe szkody. W r. 1603, 1612 i 1622 niezapłacone wojska obierają sobie Lwów za podstawę strategiczną, gospodarują po domach i dopuszczają się niejednego nadużycia. Zjeżdża wreszcie komisya z ramienia rządu wyznaczona, przychodzi do pertraktacyi i zaspokojenia skonfederowanych, — ale tu nie koniec jeszcze cierpieniom mieszczan, bo w skarbie zwykle zabraknie pieniędzy i resztę

muszą dołożyć kupcy lwowscy w towarach i gotówce, aby przez to uwolnić się raz od gorszego ucisku ze strony zbuntowanych żołnierzy.

Najcięższą dla miasta była konfederacya z r. 1612, zawiązana przez żołnierzy z wyprawy moskiewskiej wracających, która przeciągnęła się aż do roku następnego i skończyła się uroczystem spaleniem aktów konfederacyi w lwowskim kościele katedralnym. Spalenie aktów nie było jednak jeszcze epilogiem tego wpływu, jaki owa pamiętna wojna na stosunki lwowskie wywarła. We dwa lata później, w r. 1615, zgromadziły się na Czerwonej Rusi resztki uczestników wyprawy i pod wodzą niejakiego Jana Karwackiego obsadziwszy drogi poczęły rozbijać i rabować na dobre. Rozbojom położył kres dopiero sam hetman Żółkiewski przez rozbicie watahy i pojmanie jej głównych naczelników. Pojmany stawiono przed sąd i czterech z nich ukarano straszną śmiercią: whiciem na pal i ćwiertowaniem. Egzekucya odbyła się we Lwowie na polach położonych między cerkwią św. Jerzego a kościołem św. Krzyża i wzbudziła zgrozę i litość w widzach, między którymi znajdował się i 18-letni podówczas Zimorowicz ¹⁾. Karwackiemu wyszedł pal przez szyję, Kęckiemu przez ramię; obaj skończyli wśród strasznych męczarni, podniesieni na pałę wysoko do góry. Członki dwu innych, Ścibora i Surmy, po ćwiertowaniu przybito do zbudowanych w tym celu bram — aby postrach wzbudzały i wszystkich od podobnego postępku odstraszały.

Takieto stosunki oddziaływały na miasto z zewnątrz — a wewnątrz? Wewnątrz widzimy rozterki między nieszczanami a przedmieszczanami o utworzenie z przedmieścia halickiego nowego miasta, zupełnej swobody na równi z metropolią zażywającego, widzimy właśnie i proces o nadużycia władzy, prowadzony zu dworem między rajcami a ludnością, właściwego udziału w rządach nie biorącą. Cześć tego opowiedział autor *Patrycyatu* ²⁾, głównie na podstawie z humorem napisanych *Kłopotnych Jana Alembeka*. Pomimo jednak komicznych nieraz wyrażań *Alembeka* była to istna i smutna tragedia, skoro trwała długie lata i Zimorowicz aż trzykrotnie do niej powraca ³⁾ i skoro wiemy dokładnie, że panowie rajcy mieli rzeczywiście przedewszystkiem swój własny interes na oku, a na dolę warstw niższych mało zwracali uwagi. Wygrał też zarząd, bo o zmianach w administracyi nic nie słyszymy, ale było to zwycięstwo *Pyrhusowe*, gdyż upieranie się przy złej formie do-

¹⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1615: *palis per ima adactis transfixi iamque semineces sursum sublevati luctuosum spectaculum circumstantibus, quorum pars eram, exhibuerunt, praesertim cum priori sedem faucis occupasse, alteri ex humero eme.sisse viderent.*

²⁾ W rozdziale czwartym.

³⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1602, 1604 i 1607.

tychczasowej gospodarki musiało z konieczności pogarszać położenie materialne całej ludności i wytwarzać coraz bardziej niezdrowe stosunki społeczne, nawet przy zwykłym biegu rzeczy, nie mówiąc już nie o zbliżającej się szybko katastrofie, której niejako wstępem i zapowiedzią był pamiętny a zarazem straszny dla Lwowa rok 1623, kiedy to i mór i ogień uderzyły w jego mury i wstrząsły podstawą bytu jego mieszkańców.

Karmelita Duratius zaniósł z sobą z Krakowa morowe powietrze, które rozszerzyło się wnet z niesłychaną gwałtownością po całym mieście, znajdując korzystne dla siebie warunki w brudnych ulicach miejskich. Pot zimny, gorączka, sennaść, ociążałość ciała, ból głowy, drżenie kolan, czerwoność oczu, wymioty nieustanne i gorzkie, oddech ciężki i kaszel, pragnienie wielkie, gorycz w ustach i słoność w gardle, a niekiedy i język czarny i wrzody na ciele, — oto symptomy tej strasznej choroby¹⁾, która jak zmora niewidzialna zaciężyła nad miastem. Ustał handel, ustały wszelkie zajęcia, rozprzegły się i zerwały wszystkie węzły ludzkość ze sobą łączące. Kto tylko mógł, uciekał w góry lub do miejsc niezarażonych, a ci co przykuci do ziemi musieli pozostać, ci unikali siebie wzajemnie jak ognia i woleli raczej w domu zostawać i z głodu przymierać, niż wyjść na ulicę, lub zająć się czemkolwiek. Piekarze przestali chleb wypiekać, a rzeźnicy mięso sprzedawać. Głód i drożyzna powstały więc równocześnie i kroczyły równomiernie z tem straszmem widmem, co nie znało żadnej litości i żadnych względów i gdyby nie wioski okoliczne, gdyby nie pobliskie Winniki, z których artykuły żywności można było sprowadzać, nie byłby nikt utrzymał się przy życiu. A na tę zmorę nie było żadnego lekarstwa. Ówczesna medycyna we Lwowie, raczej zabobonna niż na jakiegokolwiek naukowej podstawie się opierająca, nie знаła żadnego środka i błędziła tylko w labiryncie niedorzecznych praktyk, przez łatwowiernych ludzi podawanych, a przez takich lekarzy jak Jan Alembek z równą łatwowiernością przyjmowanych²⁾.

¹⁾ Ob. Notatki lekarza w czasie morowego powietrza r. 1623 we Lwowie. Ate-neum wydawane przez J. I. Kraszewskiego, Wilno 1852, t. 2, str. 209—225. Wydawca nie znając ówczesnych stosunków lwowskich odczytywał fałszywie nazwiska osób. Lekarzem i autorem tych notatek jest ten sam Jan Alnpek, czyli Alembek (nie Alrzpek), który pisał Księgi Kłopotne. Podczas zarazy umarła mu żona Anna Scholzówna (nie Golezówna), tudzież córka Katarzyna i kilku z czeladzi. Palec Boży dotknął go więc tak samo jak jego przeciwników, tylko nieco później od tamtych. Por. Łozińskiego P-atrycyat str. 140—142. Ważne też wiadomości do ocenienia rozmiaru zarazy podał B. Zimorowicz w *Leopolis triplex* pod r. 1623, tudzież i w innych swoich pismach późniejszych.

²⁾ Notatki Alembeka dostarczają niemało na to dowodów, świadczących bardzo smutnie o jego wiadomościach lekarskich. Na szczególniejszą uwagę zasługuje środek

W tym czasie, którego okropność nadarmobym się siłą opisać, w tych strasznych tygodniach, podczas których grabarze upadali ze znużenia skutkiem ciągłej i nieustannej pracy, pozostał na stanowisku i przytomności umysłu nie stracił tylko jeden, jedyny człowiek. Był nim energiczny i żelaznej woli Marcin Kampian, ten sam, który zajął się o rok wcześniej niedobitkami wyprawy chocimskiej. Jego to zbiegli rajcy zamianowali dyktatorem, jemu to, jak ongi za czasów rzymskich, powierzono nieograniczoną władzę i nieograniczoną swobodę działania. Kampian nie zawiódł też położonego w nim zaufania i w tym czasie ogólnego rozprężenia, kiedy 20.000 ludzi śmierć znalazło¹⁾, dotrwał do końca na swoim stanowisku. Zawsze czynny i zawsze na nogach, od świtu do zmierzchu, robił co tylko mógł i uprzątał trupy, sprowadzał żywność, karał złoczyńców i czyścił miasto. On to uratował resztki mieszkańców od zagłady i zasłużył sobie tym jednym czynem na lepszy los, niż go później spotkał.

Młody Bartłomiej uciekł podówczas wraz z innymi aż za Wisłę i skorzystał z pobytu w Krakowie, wydrukowawszy tam dwa swoje utwory: „Testament Luterski“ i „Pamiętkę wojny tureckiej“. A kiedy powrócił pod rodzinną strzechę, musiał być świadkiem innego jeszcze nieszczęścia, jakie w tym okropnym roku Lwów nawiedziło. Rozsrożył się z kolei żywioł ognia i pochłonął przeszło tysiąc domów na obydwu przedmieściach²⁾, a między tymi i świątynie katolickie Panny Maryi Śnieżnej, św. Jana Chrzciciela, kościół i klasztor Benedyktynek, dwie cerkwie, Woskresenia i Paraskewy i dwa monasteria, ruski i ormiański³⁾. Nie-

podany przez jednego z długoletnich grabarzy, a więc, według wyobrażenia Alembeka, osobę kompetentną. Autor zanotował go też troskliwie, ale ja przytoczyć nie mogę i to ze względów — przyzwoitości. Miałem pod ręką i przeglądałem kilka książek medycznych niemieckich lekarzy z XVII stulecia; ale, choć wiem, co by dzisiaj sądzić można o środkach terapeutycznych tamże podanych, to przecież podobnie potwornego głupstwa w nich nie znalazłem. Czyż wobec tego można powtórzyć za autorem Patrycyatu (str. 123 w drugim wydaniu), że Alembek powrócił z podróży do Włoch „z szeroką wiedzą, z niepospolicie wyrobioną inteligencją, z wyższą ambicją obywatelską i naukową?“

¹⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1623, choć ta liczba albo grzeszy przesadą albo nie odnosi się tylko wyłącznie do samego miasta Lwowa.

²⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1623: *Domus enim utrusque suburbii prope mille ducentae incendio fortuito consumptae sunt pleraeque peste infectae et exhaustae*. Liczba możliwa (por. Wstęp str. 33) i Zubrzycki, odnosząc pożar z niewiadomego mi powodu do jednego tylko przedmieścia krakowskiego, zupełnie niesłusznie walczy z Zimorowiczem.

³⁾ Zubrzycki (str. 259 wydanie z r. 1844) spiera się po raz wtóry całkiem niesłusznie z autorem *Leopolis triplex*, twierdząc, że nie było we Lwowie cerkwi św. Spasa i Anastazyi, bo w oryginalne łacińskim niema wzmianki o cerkwi św. Anastazyi, ale tekst brzmi: *his pro appendice delubra etiam Russica addita sunt: Salvatoris anastasis (Zmartwychwstania), Parasceve et duo monasteria murata Graecorum Armenorumque*.

zwykłemu rozszerzeniu się ognia sprzyjało głównie to, że skutkiem wydłubienia miasta zabrakło rąk do gaszenia, a część domów stała pustką. Czy i domek Zimorowiczów zgorzał, niewiadomo. Prawdopodobnie jednak że nie, skoro Bartłomiej nie o tem nie wspomina.

Lwów po tych dwu klęskach wyglądał jak ruina. Wszędzie zgłiszcza i wszędzie ślady dopiero co przebytej zarazy. Trzeba było usilnej pracy i znacznego zasobu energii, aby miastu dawną postać przywrócić i wszystko na dawne tory sprowadzić. Mieszczanie i przedmieszczanie pracy w rzeczywistości nie żałowali i powoli rany zablizniać się poczynaly, w czym znowu Kampian niespożyte zasługi położył, pożyczając miastu pieniędzy, choć na dobry procent, i zatrudniając ludzi biednych przy podjętych robotach publicznych. Czy jednak uczyniono co dla odwrócenia na przyszłość podobnego nieszczęścia i czy klęski tak straszne nie obniżyły jeszcze i tak nie wysokiego stopnia oświaty? — Zakazano w r. 1624 z polecenia królewskiego budować domy bliżej niż w odległości 400 łokci od warowni miasta i wystawiono w katedrze ołtarz św. Rocha, aby uprosić sobie łaskę tego patrona chorych i zarazem przebłagać niebiosą za grzechy popełnione¹⁾. Równocześnie po niedawnem skazaniu na stos dwu świętokradców, spaleni na dwadzieścia lat przedtem fałszerza monety i ćwiertowaniu rozbójnika Olszowskiego²⁾, szarpiano teraz z kolei rozpalonymi hakami ciało niejakej Agnieszki Klimunkiej za to, że męża otruła i ścięto ją potem wraz z Andrzejem Langem, młodym subjektem aptekarskim, który jej trucizny dostarczył. Taka nowa straszliwa egzekucya naprowadza mimowoli na przypuszczenie, że społeczeństwo lwowskie stawalo się coraz przystępniejszem dla objawów barbarzyństwa.

Nie potrzebuje też prawie szerzej uzasadniać, że klęski r. 1623 i wyżej wymienione stosunki społeczne wryły się głęboko w wrażliwą duszę młodzieńczego Zimorowicza, skoro, jak już przy sposobności nadmienilem, umiał je jeszcze w późnej starości opisać szczegółowo z pamięci³⁾. Wpłynęły też niewątpliwie i na ukształtowanie się charakteru poety i jak uroczystość beatyfikacyi Ignacego i Ksawerego podnieciła w nim żarliwość religijną, tak opowiedziane dopiero co szczegóły w połączeniu z dojrzewającym wiekiem sprowadziły zmianę usposobienia i wyrobiły ten hart duszy i tę męską energią woli, która charakteryzuje

¹⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1624.

²⁾ Tamże pod r. 1602 i 1603.

³⁾ Część ostatnią kroniki od r. 1597—1633 opisał Zimorowicz bezpośrednio przed śmiercią, jakto wynika z jego własnych słów pod r. 1597 wypowiedzianych.

późniejszą działalność tego mieszczanina, umiającego zawsze z niewzruszoną równowagą umysłu znieść wielkie nieszczęścia i upokorzenia i zastosować się do danych warunków. Przechód od wesołości młodzieńczej do rozwagi i sprytu poważnie myślącego męża odbywał się z pewnością powoli i stopniowo, ale mimo tego za granicę pomiędzy pierwszym a drugim okresem przyjąłem właśnie r. 1623 i 1624, gdyż i we Lwowie zaszły bezpośrednio przedtem najdonioślejsze wypadki i w życiu prywatnym doznał Bartłomiej zawodu w miłości, jeżeli już jego ubóstwiana umarła podczas pamiętnej zarazy. Jest też w rzeczywistości Zimorowicz zupełnie innym w latach następnych jako pisarz i jako człowiek prywatny. Utwory wydane w r. 1620 i 1623 mają znamiona stanowczo je od późniejszych odróżniające, a wesoły młodzieniec pod niejednym względem staje się niepodobnym do poważnego ojca rodziny i ruchliwego adwokata — gospodarza.

ROZDZIAŁ II.

Utwory młodzieńcze, przeważnie humorystyczne.

(Wierszomania i jej przyczyny. — Panujące kierunki literackie. — Jakemu kierunkowi Zimorowicz najpierw ulega? — Naturalny rozwój talentu poety. — Utwory drobne, swywolne i przeważnie miłosne. — Ich czas powstania i charakterystyka. — Żywot Kozaków Lisowskich. — Lisowczycy, ich wyprawy i charakterystyka. — Lisowczycy w literaturze polskiej: Karmanowski, Pieśń nieznanego autora, Dembołęcki. — Charakter poematu Zimorowicza i jego dyspozycja. — Brak artystycznej ręki. — Dowcip i humor. — Obrazy i porównania. — Technika rytmiczna. — Testament Luterski. — Geneza i dyspozycja. — Czem jest właściwie ten utwór? — Analiza wiadomości i zapatrywań autora. — Wartość estetyczna. — Pamiątka wojny tureckiej. — Jej jedyny egzemplarz rękopiśmienny. — Brak warunków eposu i ogólna charakterystyka. — Rzekomy Zbiór praw ormiańskich — Zakończenie).

Znajdujemy się w wieku, w którym każdy nieco intelligentniejszy Polak starał się dosiąść Pegaza. Wierszomania ogarniała powoli coraz szersze koła szlacheckie i mieszczańskie i stawała się równocześnie i rozrywką i potrzebą. Miscellanea wiejskich polityków, karty zapisane ręką palestrantów ówczesnych i pamiętniki mieszczan, nieraz tak naiwne i taką miłą prostotą tchnące, kryją do dzisiaj w swem wnętrzu płody domorosłych poetów, ciekawe i interesujące jako objaw panujących przeoko-

nań, ale zarazem najczęściej i śmieszne i przygnębiające, bo pozbawione wszelkiego piękna artystycznego. Nie mogło też być inaczej, — tak przynajmniej pouczają nas dzieje literatury europejskiej.

Kiedy warunki bytu jakiegos narodu zdrowe i świeżością nowego kierunku ożywione, kiedy w społeczeństwie tak szczęśliwie ułożą się stosunki, że powstać mogą ludzie, którzy, ogarniając szerszy widnokrąg, popchną literaturę na nowe tory i wydadzą utwory i artystycznie piękne i pełno nowych myśli przynoszące, — wówczas niema miejsca dla pismaków i choć, jak ów wierszokleta Horacemu¹⁾, narzucać się będą społeczeństwu niedorośli autorowie i krażyć jak ratellici koło nowego słońca, nie pojmując należycie jego ożywczych promieni, choć dzienniki i czasopisma hołdując nowemu prądowi otworzą na oścież wrota niedojrzałym ich utworom, to jednak poważniejsi w narodzie odwrócą się od nich i przeciwstawiają im krytykę spokojną, opartą na wzorach mistrzów, a ogół społeczeństwa powstrzyma się od wstąpienia w ślady tych ostatnich, uznając swoją nieudolność po przeczytaniu tego, co otrzymał w darze od znakomitych mistrzów słowa. I dzisiaj jeszcze, choć dawno już minęły warunki pomyślnego rozwoju dla poezyi, i dzisiaj jeszcze żyjemy pod wpływem niedawno zgasłych wielkich poetów i orlemu lotowi młodego pokolenia, pełnego młodzieńczej fantazyi, ale pod niejednym względem niedomagającego, przeciwstawiamy słowa krytyki rozważnej i wskazując na wzory nieposledniej wartości udowadniamy, że skrzydłom młodzieńczych autorów brak przestronności, brak już tej energii, co zdolna ich wznieść wysoko na przestworza i rzucić światu pod nogi nowy widnokrąg myśli. Ale kiedy skończy się wpływ owych wielkich mistrzów, kiedy smak artystyczny i poczucie piękna głęboko upadnie, a zacznie się liczenie głosek i szukanie rymów, — to wówczas nikt nie powstrzyma całej falangi powołanych i niepowołanych od spróbowania sił swoich, to wówczas każdy uczuje się zdolnym do tworzenia poematów, a ten tylko osiągnie sławę, kto okaże niezwykłą biegłość i pocznie jak Teokryt²⁾ wierszem szesnastogłoskowym, a skończy czterosylabowym, lub kto potrafi jak w łamigłowiec tak słowa uporządkować, by czytając wzdłuż i wszerz, w lewo i prawo, na krzyż, można otrzymać imię i nazwisko opiewanego przez poetę męża. Wówczas poezya przestaje już być poezją, a za to staje się sztuką dostępną dla ogółu, do

¹⁾ *Horatius Qu. Fl. Satirarum I. 9.*

²⁾ Sławny ojciec poezyi idylicznej jest zarazem i znamieniem upadku poezyi. Jego *Syrinx*, prawdziwa sztuczka metryczna, zaczyna się dwoma pełnymi hexametrami, a kończy się wierszem, złożonym z czterogłoskowego słowa.

której potrzeba tylko pewnej biegłości w stylu i pewnego ćwiczenia i dowcipu w układzie. — Tak było w starożytności, tak w Niemczech i Francyi, we Włoszech i Anglii, — tak też było i u nas.

Nie wdając się w bliższe ocenienie faz i typów tej częściowo domorosłej, a częściowo opartej na wzorach zachodnich i szerokie koła producentów ogarniającej poezyi XVII wieku, muszę przecież zaznaczyć, że trzy w niej przejawiały się kierunki: panegiryczny, religijny i, że takbym nazwał, swywolny, jako wpływ ówczesnych wyobrażeń i potrzeb duchowych i jako wynik upadku zmysłu artystycznego i zarazem pośrednia przyczyna dłuższego jego trwania.

Wzmagająca się ciągle służalczość i zależność od warstw wyższych, tak w górze od magnatów, jak i w dole od skupionych w sobie rodzin patrycyuszowskich, wymagała ustawicznie panegiryków, ułożonych ku uczczeniu nowych godności, imienin, zaślubin i przyjścia na świat nowego krwi potomka. Ponieważ zaś raz wytworzone stosunki nie zmieniły się już przez czas dłuższy, przeto i panegiryzm utrzymywał się czas niemały i nie dopuszczał nowego zwrotu w literaturze, bo odpowiadał w zupełności potrzebom społeczeństwa.

Rosnąca również żarliwość religijna Polaków żądała ciągle nowych pieśni nabożnych, opiewających chwałę istot wyższych. Autorowie więc ówcześni nie wahali się ich bezustannie dostarczać, a społeczeństwo nie odczuwało już nieudolności formy, ale za to odczuwało żywo ich potrzebę i zadowalając się dostarczaniem mu pieśniami popierało tem samem ciągle ich powstawanie i mnożenie się.

Obok tego pragnął jednak naród i innych utworów. Ludzie byli zawsze ludźmi i mieli wesołe swoje chwile i bawili się i śmiali, tem żywiej i serdeczniej, im umysł ich był wolniejszy od pracy intelektualnej i im większą odczuwali potrzebę ubawienia się w wesołym gronie towarzyszy. Tej znowu potrzebie szedł na rękę ów kierunek humorystyczno-swywolny, nie szczycący się wprawdzie lekkością i zgrabnością formy, ale za to nie pogardzający wyrażeniami jędrnemi i wprost z życia wziętymi, a równocześnie niejednokrotnie i płaskimi i wprost niesmacznymi. I ten kierunek utrzymał się również długo, — tak długo, jak trwała przesadna chęć do wesołego i hulaszczego życia.

Takieto prądy literackie wiały w Polsce ówczesnej; że inaczej i we Lwowie nie było, tego dowodzą drukowane utwory lwowskich pisarzy, dowodzą i niezapisane karty w księgach grodzkich i miejskich, na których kopista umieszczał westchnienia do Wenery i Amorka, tudzież wiersze treści nieobyczajnej, światła dziennego nigdy ujrzyć nie mające, — przerywając sobie w ten sposób nudne wciąganie do aktów rozmaitych pozwów i pism spornych. Dowodem tego także i sam Bar-

łłomiej Zimorowicz, który, jak będę się starał wykazać, jest najlepszym i klasycznym typem wiedzy i cywilizacji ówczesnego zamożnego Lwowianina.

Jakiemuż więc kierunkowi począł nasz poeta najpierw hołdować? Na podstawie danych w poprzedzającym rozdziale nie powinniśmy pod tym względem być w wątpliwości. Rozwój młodzieńca we Lwowie wyrosłego i wychowanego musiał być ściśle zależnym od otaczających go warunków, musiał być naturalnym i istniejącymi stosunkami wytlómaczonym. Gdyby bowiem było inaczej, gdyby w tym rozwoju było coś nienaturalnego, coś, czego byśmy na podstawie danych premis wytlómaczyć sobie nie mogli, to wówczas i przedstawienie nasze byłoby prawdopodobnie mylnem. Tak jednakże nie było. Młody Zimorowicz przeszedł najpierw alembik owej rubasznej swywoli, aby potem uleść z kolei kierunkowi panegirycznemu i religijnemu, do dojrzałego wieku nierównie więcej przemawiającemu.

Na pierwociny swego młodzieńczego talentu rzuca światło sam poeta, sktytykowawszy je później w drugiej sielance¹⁾ surowo, ale zupełnie zgodnie z sądem, jakibyśmy wydać mogli na podstawie dotychczasowego przedstawienia. Nie można wprawdzie pedantycznie ważyć wszystkich wypowiedzianych tam słów, nie można każdego tam znajdującego się wyrazu uważać za szczegół wzięty wprost z życia Bartłomieja, jak to czynią nieraz w zapale nazbyt skrupulatni lub drobiazgowi krytycy, bo poeta niewątpliwie niejedno wyrażenie dodał dla upiększenia wiersza, bo tu i owdzie poszedł tylko za wzorem swych poprzedników²⁾, ale mimo to obraz uzyskany w ogólnych rysach będzie bezsprzecznie trafny, gdyż zgadza się całkowicie z wnioskami, jakibyśmy wysnuć mogli ze znanych nam szczegółów.

Wyszktałcenia należytego Bartłomiej nie miał, z Szymonowiczem nie wiązały go żadne bliższe stosunki, a innego poety, któryby na jego

¹⁾ Że przez Miłossą rozumieć należy samego poetę, o tem wspominał już Zagórski Franciszek (l. c. por. str. 5), a dowiódł August Bielowski (l. c.). Od siebie dodaję tylko, że podane tam szczegóły zgadzają się zupełnie z wiadomościami o Bartłomieju, czego nie omieszkam jeszcze bliżej zaznaczyć poniżej przy rozbiórce Sielanek. Obok tej sielanki por. także *Dziwosłab w Roxolankach* w. 79—112, gdzie te same szczegóły wyrażono w sposób krótszy i zwięźlejszy.

²⁾ I tak np. w uściepie, który w tem miejscu mam głównie na myśli, wiersze II, 178—180 przypominają Wergiliusza *Ecl.* V. 13—14, a wiersze II, 207—210 są reminiscencją Szymonowicza *sielanek* III, 105—108 i Wergiliusza *Ecl.* X. 52—54.

umysł potężnie mógł oddziaływać, podówczas już we Lwowie nie było. Do składania więc rymów skłonić go tylko mogły: coraz bardziej rozwielmożniająca się wierszomania i młodzieńcza krewkość umysłu, tudzież wrodzony dowcip, które mu kazały nie pozostawać w tyle za wesołymi towarzyszami i popisywać się również podobną pracą. Analogicznie do tego powiada sam o sobie poeta:¹⁾

Żaden mistrz nie uczył mię rytmem słów nkladać,
 Ale sam ledwim umiał prostym szermem gadać,
 Słysząc przy godownicznych stołach trefne noty,
 Pojąłem kilka wierszów dość prostej roboty.
 Te ustawicznie w głowie jeły mi się marzyć,
 Żem się też ich podobnych pokusił kojarzyć.

Później przybyła jeszcze i miłość do owego bliżej nam nieznanego dziewczęcia i skłoniła go do uderzenia w akord miłosny. Ona mu to była źródłem parnaskiem i ona to rozpałała tlejące w nim uczucia i pragnienie poezyi. Sztuka rymowania — bo tak ją jeszcze nazwę — przysła sama i z wesołego młodzieńca uczyniła zakochanego poetę:²⁾

A gdym je (sc. wiersze) w osobności długo w nocy klecił,
 Kupido mi niewielki małą głównią świecił,
 I tą podpalił chcący czyli nieobacznie
 Żagiew, która już tłała w sercu mem nieznacznie,
 Żagiew gorących chęci pełną z przyrodzenia,
 Z łada iskry podniety bliską i płomienia.
 Dopiero, — jako gdy to do skrytej ciemnice
 Przyniesie niespodzianie zapaloną świecę —
 W głowie mi zajaśniało, żądze zapalone
 Rozświeciły się; oczy, zrzuciwszy zasłonę
 U jednego dziwczęcia lichego na czele
 Wyczytały do wierszów służące fortele.
 Wargi jej Hypokrenem nieprzebranej wody,
 Parnasem zdały się być rozkwitłe jagody.
 I tak gdy jej³⁾ pilnuję, swych nie strzegę oczu,
 Zostałem rymodziejem zgoła po warkoczu.

Miłość a raczej popęd miłosny, młodzieńczemu wiekowi właściwy, odniósł z czasem zupełne zwycięstwo i ogarnawszy całe jestestwo Bar-

¹⁾ Sielanki II. 183—188.

²⁾ Tamże II. 189—204.

³⁾ Tak czytać należy według pierwotnego wydania, a nie „je pilnuję“, jak mają późniejsze edycje, bo to byłby błąd gramatyczny.

tlomieja, zepchnął inne tematy na drugi plan. Pieśń jego obracała się odtąd jak w zaklętym kole tylko koło podwiki i Kupidyna tak,

Żem — mówi poeta — lubo cicho szeptał, lubo spiewał krzykiem,
Zawżdy się słyszeć dawał niewieściom językiem,
Tusząc sobie, że przez te francymerne baśnie
Imię swe białej ¹⁾ Rusi najlepiej objaśnię.

Wszystkie te pieśni, tak „przy godownicznych stołach“ ²⁾ stworzone, jakoteż i „w samotności pisane“ ³⁾, a „koło miłości się obracające“, były to prace młodzieńcze, płody niedojrzałego jeszcze umysłu. Powstały one najpóźniej między 20 a 25 rokiem życia, w każdym zaś razie jeszcze przed zostaniem obrońcą sądowym, skoro je mógł nazwać „ledwie nie dziecinnymi“ ⁴⁾. Tego jednak ostatniego wyrażenia nie trzeba równocześnie brać w dzisiejszem pojęciu rzeczy i zarazem naznaczać granicy wcześniejszej, jak rok dwudziesty życia, bo najpierw dwakroć starszemu Zimorowiczowi ⁵⁾ mogły się dziecinnymi wydać utwory, z młodzieńczego okresu jego żywota pochodzące, bo powtórne wzbrania nam tego powolniejszy rozwój talentu Bartłomieja. Wprawdzie umysły bogato od natury wyposażone rozwijają w 25 roku życia już o wiele wybitniejszą czynność, ale najczęściej jest to rozwój anormalny i gorączkowy, podczas gdy u tego lwowskiego mieszczanina wszystko, tak przyrodzone zdolności, jak otoczenie i sposób wychowania, składały się na to, by żywot jego szedł utartą drogą naturalnego, ale też równocześnie i znacznie powolniejszego rozwoju.

Te wszystkie pieśni, jako utwory młodzieńcze i to pisane wśród powyżej skreślonych warunków, odznaczały się zapewne nieudolnością i pretensjonalnością formy, a przytem były tłuste, pieprzne i swywolne. Nieudolność formy wybaczal im poeta i w późniejszym wieku, ale nie mógł wybaczyć myśli płaskich i niemoralnych. Pobożny jego umysł wzdrygał się później na samo wspomnienie, że coś podobnego mogło wyjść z pod jego pióra, a stopień oburzenia charakteryzują wyrazy, zgodne wprawdzie z literackimi wyobrażeniami wieku, ale nie mniej

¹⁾ Piszę małą literą, bo przecież poeta odnosi to przedewszystkiem do kraju w którym żył i przebywał, a ten nigdy nie nazywał się Białą Rusią. Wyras „biały“, oznacza tu raczej tyle co świetny, białych mieszkań pełny, tak jak dzisiaj jeszcze mówimy: białe Węgry.

²⁾ I. c. II. 185.

³⁾ I. c. II. 189.

⁴⁾ Sielanki II. 177.

⁵⁾ Sielankę drugą tworzył Zimorowicz w 50 roku życia. Por. w. 239:
„Aż kiedy w piąty snopek kłosa moje wiąże“.

przeto tak jędrne i dosadne, że ich i Krzysztof Opaliński byłby się nawet nie powstydział:

Nawet¹⁾ teraz samemu sobie ganię srodze,
 Żem tak kiedy rozpuścił fochom moim wodze.
 Jako gdy kto tobaką dymną mózg podkurzy,
 Że się mu rozum zaćmi, fantazyja wzburzy,
 Choć ładaco blazgoni, choć jako wieprz krząka,
 Rozumie, że na lutni Galotowej brząka;
 Skoro się zaś wyszumi, dopiero żałuje
 Błędów przeszłych, karze je w sobie i strofuje.
 Nie inaczej Pafijczyk głowni swojej wrzawą
 Baczenie mi zaślepił smrodliwą kurzawą,
 Żem jak w odmęcie chodził nie tam, gdzie mi radził
 Rozum, ale kędy mię śleporód prowadził.

Tak przyganiał poeta w późniejszym wieku swym młodzieńczym utworom, ale nie taki sąd wydawali o nich młodzi jego i weseli towarzysze. Im musiały się podobać te wybryki Zimorowiczowskiego humoru i dowcipu, skoro poeta może powiedzieć: ²⁾

Com ja z myśli wyrzucił jak nikiemne śmieci,
 To chwytacie dla siebie i dla waszych dzieci.

i skoro choćby nawet ze znaczną przesadą może włożyć w usta Leszkowi: ³⁾

Nie masz tego sioła,
 Nie masz biesiady, ani ślubnego obiadu,
 Kędyby nie spiewano pieśni twego składu.
 Odzywają się w starych i nieletnich ustach,
 A nawet pastuszęta po gęstych zapustach,
 Pasiecznicy po borach, owczarze koszarach
 Najczęściej je na dudkach grają i fujarach.

Rozrywali je więc sobie i śpiewali wszyscy i wszędzie, a najczęściej przy biesiadach, wesołego humoru nie pozbawionych. Do nas jednak nie doszły, z małą zapewne szkodą dla literatury, z nieznaczną i dla charakterystyki poety, który późniejszymi dziełami na większe uznanie zasłużył, bo natomiast przechowały się z tego czasu szczęśliwie dwa podobne im utwory, choć zapewne jeszcze szlachetniejsze, skoro god-

¹⁾ Sielanki II. 219—230.

²⁾ Tamże II. 217—218.

³⁾ Tamże II. 170—176.



nymi druku je uznano. Są nimi „Żywot kozaków Lisowskich“ z r. 1620 i „Testament Luterski“, wydany w r. 1623. Oneto zastępują nam owe luźne i tłuste wiersze, w przystępie swywoľnych lub miłosnych zapędów pisane, — rzucając niemało światła na widnokrąg wyobrażeń i wiadomości zdolnego, ale rozpustnego i podówczas jeszcze mało do nauk przykładającego się młodzieńca.

Lisowczycy zawdzięczają pośrednio swe powstanie i organizacyą tej samodzielnej polityce polskich magnatów, która po daremnych próbach reformy organizmu państwa jest z jednej strony charakterystycznym znamieniem poniżenia władzy królewskiej, a z drugiej wyrazem przewagi możnowładców i rozprężenia wewnętrznego Rzeczypospolitej. Obok nieszczęśliwej Mołdawii, głównej areny dla polityki polskich magnatów, nadarza się z początkiem XVII. wieku sposobność do działania i na innej widowni. Sprawa Dymitrów, popierana przez zakon Jezuitów i króla, przysła teraz na porządek dzienny, a panowie litewscy i polscy nie omieszkali jej wyzyskać w swym duchu. Nadzieja łupu wabiła z Polski chmary awanturniczego żołnierza, plądrującego i niszczącego przestronne carstwo północne, w czem niemałą rolę odegrał Aleksander Józef Lisowski, podkomendny najpierw Jana Piotra Sapiehy, starosty uświackiego, a następnie Chodkiewicza i królewicza Władysława.

Lisowski, szlachcic z Pomorza pochodzący, a potem na Litwie osiadły, brał najpierw żywy udział w wyprawach wołoskich Jana Potockiego, później walczył pod Chodkiewiczem przeciw Szwedom, a w roku 1623 Zebrzydowskiego przyłączył się do malkontentów, za co skazany został na banicję. Następnie widzimy go walczącego na czele dwustu kozaków po stronie pierwszego Dymitra, któremu do końca wiernym pozostał. Atoli główna jego działalność przypada dopiero na czasy drugiego Dymitra samozwańca, kiedyto na czele kilku do kilkunastu tysięcy jezdnych przebiegał wzdłuż i wszerz całą Moskwę, niszcząc i rabując głównie dla swej własnej korzyści. Ze zgrozą wspominają kronikarze moskiewscy o tym niezrównanym i nieustraszenym śmiałym partyzancie, który dotarł do Wołgi i Uralu, do Finlandyi i niemało do morza Łodowatego. Tylko nadzwyczajna szybkość w obrotach, śmiałe natarcie, a w razie klęski i szybkie również zebranie się, tłómaczą nam możliwość podobnie zuchwałych wypraw, które strachem nieprzyjaciela, a podziwem rodaków przejmowały.

Oddział Lisowskiego tylko w części i z początku składał się z właściwych Kozaków. W przeważnej liczbie, a później nawet wyłącznie,

złożony był z awanturniczych duchów szlacheckich i mieszczańskich, z których każdy służył jako towarzysz i miał przy sobie kilku tak zwanych ciurów czyli sług. Kozakami zwali się prawdopodobnie od rodzaju uzbrojenia i gatunku broni, zbliżonego do lekkiej jazdy kozackiej i od tego, że z początku przynajmniej rdzeń oddziału tworzyli rzeczywiście kozacy dońscy z Rzezania. Wspólność celów zebranych tu razem niespokojnych żywiołów sprawiła, iż oddział nie rozwiązał się po śmierci Lisowskiego, lecz przyjąwszy od swego założyciela imię Lisowczyków czyli kozaków Lisowskich, obrał sobie za dowódcę Stanisława Czaplińskiego, szerzącego dalej dzieło zniszczenia, rzekomo w imię i w obronie wojsk polskich.

Sława awanturniczego i zuchwałego oddziału przeszła wnet do Polski i dotarła do najodleglejszych jej zakątków. Lisowczyków zaś samych wspólność trudów i niebezpieczeństw razem przebytych przywiązała do tego sztandaru, pod którym tak długo walczyli i z którym po zebraniu obfitego łupu tak łatwo rozłączyć się nie chcieli. To też gdy padły ostatnie strzały i pokój zawitał do strapionej krainy północnej, nie rozeszli się Lisowczycy spokojnie do domu, lecz idąc za często ponawianym przykładem cudzoziemskich rot zaciężnych, przekroczyli w zbitej masie granicę Rzeczypospolitej i domagali się żołdu, który im się prawnie nie należał. Gdy zaś rząd królewski nie miał chęci do zaspokojenia ich urojonych pretensyi, ani też możliwości z powodu zwyczajnej pustki w skarbie, wówczas zaprawiony na rabunkach w kraju nieprzyjacielskim żołnierz nie wahał się targnąć na dobra królewskie i prywatne i prowadził dalej w ojczyźnie to, w czym się za granicami jej tak znakomicie wykształcił. Sypały się też skargi i procesy do trybunałów, do króla i hetmana Żółkiewskiego i już powolne ramię sprawiedliwości Rzeczypospolitej byłoby może dosięgło wojowniczych junaków, gdyby ich obawa wojny tureckiej nie była przed niem zasłoniła. Groziło właśnie wielkie niebezpieczeństwo ze strony potężnej podówczas Porty Otomańskiej, znoszącej dotychczas statecznie niefortunną politykę Zygmunta III, sprzeczne z jej interesami mieszanie się magnatów polskich w sprawy wołoskie i łupieżcze napady Kozaków Zaporoskich; zbliżały się już oznaki owej burzy, która w kilka lat później miała zagrozić wschodnim krajom granicom. Dlatego hetman Żółkiewski jak z jednej strony chciałby był ukarać niesfornych obrońców, tak z drugiej przewidując burzę, oglądał się za środkami obrony i wobec szczupłości sił zbrojnych nie chciał pozbywać się pomocy tak doświadczonych wojowników. Broili więc Lisowczycy jakiś czas bezkarnie, a tymczasem wybuchła wojna trzydziestoletnia, a z nią nadarzyła się dla naszych Kozaków sposobność do nowych wypraw wojennych.

Prawy syn kościoła Zygmunt III. pragnął bardzo dopomóc cesarskiemu sprzymierzeńcowi w zgnieceniu nienawistnej mu reformacyi. Nie mogąc jednak wystąpić czynnie wobec zabiegów czeskich i nieprzychylnego otwartej wojnie usposobienia szlachty, dozwolił przynajmniej cesarzowi wolnego zaciągu w Polsce. Któż zaś do niego nadawał się bardziej, jak nie gotowy oddział zwyciężkich dotąd Kozaków Lisowskich? To też gdy poseł cesarski, Michał Adolf hr. Althann przybył do Polski celem poczynienia zaciągów żołnierskich, wpłynął sam król na to, iż Lisowczycy przyjęli propozycye podane im przez Althanna i hr. Jerzego Humanaya, zbiegłego z Węgier stronnika cesarskiego, i w ten sposób równocześnie i dogodził swoim osobistym zapatrywaniom i pozbył się z kraju żołnierza, przysparzającego mu niemałych kłopotów.

Przebywający podówczas na Podolu Lisowczycy nie dali długo na siebie czekać. We wrześniu roku 1619 ruszają przez Lwów do województwa krakowskiego, a stamtąd spieszą różnemi drogami do stolicy naddunajskiej. Wyparci najpierw z Węgier przez Bethlen Gabora, wracając nie bez obfitych łupów do Polski i następnie w r. 1620 przebijają się zwycięsko przez Śląsk, Morawy do Wiednia, gdzie nowy ich wódz Hieronim Kleczkowski ma charakterystyczną i pełną przechwałek mowę do cesarza. Za głównym oddziałem ciągną tą samą drogą coraz nowe partye i choć wielka ich część wycięta przez Czechów nie dochodzi do zamierzonego celu, to jednakże innym udaje się przekraść i zniszczyć po drodze to, co z łatwością zniszczyć się dało.

Za przybyciem do obozu cesarskiego nie połączyli się wszyscy z Kleczkowskim i nie poddali się pod władzę następcy jego Rusinowskiego, ale wszczęli kłótnie i zamieszki, które skłoniły cesarza do tego, że część ich, nie chcąc się przyłączyć do głównego oddziału, wyprawił na wschodnią granicę dla obrony przed Bethlen Gaborem. Główny zaś oddział, przydzielony do armii cesarskiej pod wodzą Karola hr. de Boucquoi i Henryka hr. de Dampierre, operował przeciw Czechom i brał udział w bitwie pod Białą Górą 9 listopada r. 1620.

W kilka miesięcy później opuszczają Lisowczycy służbę cesarską, by na wezwanie króla i hetmana walczyć w obronie ojczyzny pod Chocimem, lecz po skończonej wyprawie zaciągnięci powtórnie przez cesarza wracają znowu w r. 1622 do Niemiec i tam jeszcze długi czas walczą przeciwko protestantom i Szwedom w różnych okolicach Rzeszy Niemieckiej.

Ogólnej liczby Lisowczyków dla ciągłego przypływu i odpływu dokładnie oznaczyć nie można. Najprawdopodobniej było ich razem z ciurami około 10.000, wyłącznie samej kawalerii, dla lekkiego uzbrojenia przydatnej szczególnie do podjazdów i służby w przedniej straży.

Wodzowie cesarscy przeznaczali ich też rzeczywiście przeważnie do takiej służby, a Lisowczycy wywiązywali się po większej części dobrze z poruczonego im zadania. Karności za to w ich obozie nie było, chociaż nader surowe były prawa, które sobie sami postanowili i jakim każdy towarzysz poddać się był powinien. Walcząc w obronie religii katolickiej, odznaczali się nietolerancją dla protestantów, których nienie za swoje uważali. Ale nie tylko protestantom dali się dotkliwie we znaki; cierpiały od nich i polskie województwa, gdy się gdzie w którym obozem rozłożyli, cierpiały miasta i wsi wierne cesarzowi, gdyż Lisowczycy żołdem się nie zaspakajali. Biada miastu nieprzyjacielskiemu, które nie miało dostatecznej załogi, by się przed nimi obronić, biada protestantowi, który dostał się w ich ręce, a nie miał się czem od śmierci wykupić, bo anioł zniszczenia szedł przed znakami oddziału Lisowskiego. Później zwłaszcza, gdy w powtórnej służbie u cesarza przeszli całe Niemcy aż do Renu i dalej, gdy ludność zapoznała się bliżej z polskimi posiłkami, później na wieść o ich zbliżaniu się bito na gwałt we dzwony, zamykano bramy, a wojska udzielnych i sprzymierzonych nawet z cesarzem książąt towarzyszyły im w pochodzie, by bronić poddanych od tych żądnych łupu sprzymierzeńców. Wprawdzie gonienie za zdobyczą należało do ówczesnego systemu wojennego. Wojska Wallensteina żywiły się i utrzymywały same, a sława Kroatów w łupieniu przeszła do potomności. I jakżeż bowiem mogło być inaczej, kiedy pieniędzy w skarbie cesarskim było niewiele, a długoletnia wojna zmuszała do utrzymywania znacznych sił zbrojnych? Zaprzeczyć więc niepodobna, że sami Niemcy niszczyli swój własny kraj, lecz że nasi Lisowczycy w łupieniu dorównywali Wallonom i Kroatom, — to także nie ulega wątpliwości.

My dzisiaj oddzieleni od czasu ich działania dwoma przeszło wiekami, upatrywaliśmy do niedawna w tych junakach bohaterów, roznoszących sławę oręża polskiego po całej Europie i uwiecznionych nawet w sztuce przez jednego z najznakomitszych malarzy europejskich, Pawła Rembrandta. Lecz jak już niejednokrotnie z pewną nawet boleścią rozstać się musieliśmy z rozpowszechnionymi złudzeniami, tak i w tym wypadku wypadło nam koniecznie zmodyfikować nasze wyobrażenia. Hr. Maurycy Dzieduszycki podjął się pierwszy tego zadania i przedstawił nam Lisowczyków w świetle nie wypoetyzowanem, ale rzeczywistem¹⁾, i to w dodatku w tym czasie, kiedy to pod wpływem dawniejszej szkoły przywykliśmy jeszcze byli do barw różowych, dumę naszą przyjemnie łechtających.

¹⁾ Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków skreślił Maurycy hr. Dzieduszycki t. I i II. Lwów 1843.

Stanowisko Dzieduszyckiego określają najlepiej następujące jego słowa: ¹⁾ „Tę więc część dziejów, której nikt dotąd nie wyjaśnił, dotknąć usiłowałem i wyznać muszę, że niemało w tem moja miłość własna ucierpiała. Bo gdy wielu pisarzów tak są szczęśliwi, że zaspokajając przywiązanie do ojczyzny, piękną tylko stronę jej dziejów wykładają, ciemniejsze lub całkiem zakrywając lub w znośnem ukazując światło, na mnie prawda nieubłagana niejedno mniej korzystne dla rodaków wymoże zeznanie, które nie historii niniejszej sama z siebie wysnuje. Gdyby odwaga, wytrwałość, czujność, nieoglądanie się na żadne niebezpieczeństwa, słowem, zalety żołnierza jedynymi były wielkości warunkami, toby Lisowczyków między największych ludzi policzyć należało..... Ale niestety wyuzdanosć, swawola, niekarność, często i okrucieństwo z fanatycznym złączone uniesieniem, skaziły owe dary przyrodzenia i losu i większą część ujmującego obrazu kirem żałobnym pokryły“.

Zapatrywanie swoje poparł autor argumentami historycznie uzasadnionymi; toteż z czasem musieliśmy się pozbyć miłych dla nas wyobrażeń i zgodzić się natomiast na to, że stanowisko Lisowczyków w Rzeczypospolitej było od pierwszej chwili ich powstania anormalne. Wyrósłszy i wzmógłszy się w liczbę z powodu zbiegu przyjaznych dla nich okoliczności, służyli początkowo celom ambitnych magnatów i w ich imieniu, a właściwie dla zdobyczy, szerzyli niepotrzebnie takie dzieło zniszczenia, że sprawie tem tylko zaszkodzili i szybszą reakcją u nieprzyjaciela wywołali. Następnie wypowiadają posłuszeństwo swym władzom przełożonym i jak szarańcza niszczą kraj, którego byli synami. Zewsząd pobierana ta drużyna miesza się wreszcie w walki postronne, wbrew przekonaniu narodowej większości, a, niszcząc i plądrując pobratymcze kraje, nie przyczynia się wcale do zjednania dobrej sławy dla naszej karności i cywilizacji.

Lecz jakież przedstawia Lisowczyków współczesna literatura nasza? Jakie wyrazy ma dla nich ten wiek tysiąca coraz liczniejszych panegirystów, nie szczędzących słów pochwały nawet dla miernoty?

Ci, którzy doznali od nich jakichś krzywd i widzieli naocznie spustoszenia, jakie we własnym kraju podczas pokoju poczynili, ci nie szczędzili zapewne słów oburzenia dla hulaszczego i przed bezprawiem nie wzdrygającego się życia tej łupieżczej drużyny. Obok licznych pozwów i skarg do sądu wniesionych, pozostał nieomylny ślad takiego oburzenia we współczesnych dwu wierszach Olbrychta Karmowskiego pod tyt.: „O Lisowskich i konfederackich żołnierzach“

¹⁾ Tamże, t. I, str. 5 i następne.

i „List do Lisowczyka“¹⁾. Do żywego widocznie dotknięty autor nazywa bez ogródki postępowanie Lisowczyków rozbojem a ich samych przyrównywa do dzikich zwierząt, wiecznie nienasyconych i wiecznie krwi chciwych. Nikt wobec nich nie jest bezpiecznym, ale najwięcej drżać musi człowiek ubogi, gdyż Lisowczycy litości nie znają i znajdują wszystko, choćbyś w ziemię schował. Nie zaznają też za to miłosierdzia na strasznym sądzie Bożym, gdzie ich z pewnością nie minie wieczne potępienie.

Inni Polacy byli pobłażliwsi, bądźto dlatego, że sami żadnych krzywd od nich nie doznali, bądźto, że widzieli innych skonfederowanych żołnierzy tak samo postępujących, jak Lisowczycy. U tych sława Lisowczyków rosła z dnia na dzień i przygłuszała inne niekorzystne o nich wieści. Szczególnie odkąd wstąpili w służbę cesarską, w obronie wiary katolickiej, odtąd pozyskali sobie serce nieprzyjanych protestantom osób. Wprawdzie nie opłaciło się pisać panegiryków, bo Lisowczycy byli to ludzie niezanożni, którzy sami pragnęli tego, czego by panegirysta potrzebował i którzy, nawet wzbogaciwszy się, pozbywali się zazwyczaj w lekki sposób majątku, do którego tak łatwo doszli. Atoli ślad uwielbienia przechował się mimo to w „Pieśni o cnych Lisowczykach“²⁾ nieznanego autora, prawdopodobnie duchownego, który wysiłał się na to, aby towarzyszy i następców Lisowskiego samymi pochwałami obsypać. Krótki to zresztą rymowany panegiryk bez żadnej większej wartości, napisany tuż przed bitwą pod Białą Górą w r. 1620 i zdradzający, że autor słyszał tylko o czynach Lisowczyków z opowieści, ale im samym należycie się nie przypatrzył³⁾.

Do tego samego obozu należy nader ciekawy i w całym tego słowa znaczeniu charakterystyczny utwór ks. Wojciecha z Konopad Dębołęckiego p. t. „Przewagi Elearów polskich, co ich niegdy Lisowczykami zwano“⁴⁾. Jestto ten sam autor silnie egzaltowany

¹⁾ Przytoczone przez Dzieduszyckiego l. c. tom I. str. 921 i tom II. str. 287 i następne.

²⁾ Pieśni (sc. dwie) o cnych Lisowczykach albo pogrom Czechów i Kalwinistów przez Lisowczyki roku 1620 różnymi czasy raz po raz ośm razy. Egzemplarz tej broszurki na lichym papierze i niewyraźnym gotykiem drukowanej, znajduje się w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego.

³⁾ Więcej o tym utworze wiadomości podałem w poniżej przytoczonym wydaniu B. Zimorowicza Kozaków Lisowskich na str. 11—13.

⁴⁾ Przewagi Elearów polskich, co ich niegdy Lissowczykami zwano, które czynili przeciwno heretykom za czasów Ferdynanda II. cesarza i Zygmunta III. króla polskiego w latach od 1619 aż do 1623, krótko na prędce zgromadzone przez Poznań r. 1623 i 1630, następnie dla wielkiej oryginalności przedrukowane w Puławach

i już zupełnie prądem panegirycznym owiany, który zajmował się pisanem historii świata przedpotopowej (*Historia antediluviana*) doprowadzonej przez niego do 370 lat po potopie; ten sam autor, który wydał: „Wywód jedynowłasnego państwa świata“¹⁾, jeden z najdziwaczniejszych pomników piśmiennictwa naszego z czasów jego upadku i poniżenia. Jako kilkoletni kapelan Lisowczyków, poznał ich i przypatrzył się im dobrze. Prowadził nawet pamiętnik, w którym zapisywał wszystkie ważniejsze wypadki, ale zgubił go w górach śląskich²⁾ podczas powrotu do Polski.

„Przewagi Elearów“ napisał więc z pamięci i ze swego stronniczego stanowiska podniósł pod niebiosa Lisowczyków, z heretykami walczących, a wszystkie ich przywary i wybryki okrył płaszczykiem niewiary i pobłażliwości, bo nie godzi się, zdaniem autora, obwiniać tych, których Bóg sam powołał ku obronie kościoła, choć im „listów zapowiednich“ do tego nie dawał³⁾. Słowem, jestto panegiryk prozą pisany, ale zarazem i utwór widocznie poczytny, skoro go w krótkim czasie dwa razy wydrukowano. Widocznie wzrastała sława Lisowczyków w miarę, jak wymierali ci, co własnymi oczyma na ich łupiestwa patrzyli, w miarę, jak pozostawało tylko echo czynów przez nich dokonanych. Toteż nie dziw, że już z końcem XVII stulecia woła w uniesieniu Wacław Potocki: ⁴⁾ „Nie rodzi polska knieja dzisiaj takich Lisow!“, nie dziw, że i późniejsi nabrali tak pięknego o Lisowczykach wyobrażenia i że trzeba było aż Działuszyckiego, aby błędnym zapatrywaniom raz koniec położył.

*

*

*

r. 1830 i w bibliotece Turowskiego. Kraków 1859. — Słowo Elear oznaczało w Polsce harcowników, wyprzedzających oddział główny i nadawało się dlatego w zupełności do bliższego określenia Lisowczyków, przeważnie w przedniej straży służbę pełniących. Dębołęcki jednakże w nadaniu im tej nazwy nie kierował się takimi względami, ale innym dziwnym wywodem, zamieszczonym w jego dziele na str. 26—31.

¹⁾ Wywód jedynowłasnego państwa świata, w którym pokazuje ks. Wojciech Debolecki z Konojad, Franciszkan, doktor teologii św. a generał społeczności wykupowania więźniów, że nastarodawniejsze w Europie królestwo polskie lubo scythyckie samo tylko na świecie ma prawdziwe successory Iadama, Setha i Iapheta w panowaniu świata od Boga w raju postanowionym y że dlatego Polaki Sarmatami zowią. A gwoili temu y to sie pokazuje, że ięzyk Słowieński pierwotny iest na świecie. Nie gań aż przeczytasz. Za pozwoleniem y przywileiem Iego Królewskiej Mości po przeyrzeniu na to wysadzonych theologow y historykow. W Warszawie w drukarni Iana Rossowskiego typographa Krola I. M. roku pańskiego 1633.

²⁾ Por. dedykacyą dzieła str. 3.

³⁾ Por. str. 23 i 24.

⁴⁾ Poczet herbów z r. 1696 k. 106.

Jakżeż wobec tych zdań zachował się Zimorowicz? Czy rzucił na Lisowczyków gromy świętego potępienia i grozy, czy też podniósł ich jak inni pod niebiosą i obsypał szczodrymi pochwałami? — Ani jedno, ani drugie nie odpowiadało przekonaniu wesołego podówczas i do wszelkiej pracy poważniejszej niezdolnego młodzieńca. Nie doznał od Lisowczyków żadnej cięższej krzywdy, aby na nich miał żółć swą wylewać, a równocześnie i przypatrzył się im zanadto dobrze, gdy z Podola przez Lwów na zachód się udawali, i żył jeszcze pod zbyt świeżem wrażeniem wiadomości o ich drapiestwie, by miał się rozczulać nad ich brawurą i być ślepym na przywary a nawet okrucieństwa. On musiał ich raczej pojąć ze strony lepiej do jego ówczesnego usposobienia się nastrajającej, ze strony komicznej i śmiesznej, z powagą obrońców wiary nie licującej, do której Lisowczycy nie mało mu mogli dostarczyć barw tak swoim kosterstwem i hulaszczem życiem, jak i niedbałością o wygląd zewnętrzny i skłonnością do kradzieży i przesadnych przechwałek. To też z tych, które się dochowały, utwór jego „Żywot Kozaków Lisowskich także i potyczki ich szczęśliwe“¹⁾, mógł zostać tylko tem, czem rzeczywiście jest, t. j. poematem satyryczno-humorystycznym, bez poważniejszego zakroju, ale i odmiennym w zupełności od zjadliwych wierszów Karmanowskiego i panegirycznej pracy Dębołęckiego.

Stanowisko Zimorowicza określa zaraz na wstępie drugi z kolei drzeworyt, nibyto herb Kozaków Lisowskich przedstawiać mający. Na nim widzimy przedewszystkiem Lisowczyka na beczce siedzącego i obejmującego prawą ręką naczynie w kształcie garcowej blaszanki z otwartą pokrywą, a lewą przychylającego do ust kufel widocznie jakimś ognistym nektarem napełniony. Po prawej jego stronie stoi Mars podobny do towarzysza pancernego z tarczą w prawej ręce, ze strzelbą w lewej (*sic*) i z szablą przypasaną do boku, po lewej zaś stronie Afrodyta w małej tylko części suknią z lekka narzuconą okryta, trzymająca

¹⁾ „Żywot Kozaków Lisowskich także i potyczki ich szczęśliwe“, wydano roku pańskiego 1629. Jedyne egzemplarz tego dziełka miał w ręku hr. Maurycy Dzieduszycki i kazał sporządzić z niego staranną kopią, która dochowała się szczęśliwie między rękopisami biblioteki Ossolińskich, podczas gdy oryginału drukowanego już mnie nie udało się odszukać. Z tej kopii sporządziłem nowe wydanie („Żywot Kozaków Lisowskich“, poemat Józefa Bartłomieja Zimorowicza ocenił i wydał Korneli Juliusz Heck. Sprawozdanie z czynności zakładu narodowego im. Ossolińskich za rok 1886 i w osobnej odbitce we Lwowie 1886 str. 35) i zaopatrzyłem je w potrzebne objaśnienia i przydłuższy wstęp, z którego przejąłem do niniejszej monografii tło historyczne (str. 3—9) z małymi ale koniecznymi poprawkami; reszta uległa całkowitej przemianie, stósownie do zmienionych obecnie poglądów moich.

w lewej ręce strzałę, a w prawej serce ogniem palające. Poniżej w przygrywce wstępnej czytamy następujące wiersze:

Otóż zacni junacy pobratyma macie,
Na baryle siadł sobie jak w majestacie.
Mars stoi, jako giermek, dodaje mu rady,
Żeby się miał do wojny częściej i do zwady.
Arcyksiężna zaś z Cypru rozkoszy mu chwali
I ogniem przeraźliwym serce jego pali.
On na to czyli nie dba, czyli być upitym
Woli, niżli wszetecznym abo więc zabitym,
Spytajcież go samego. Ja o tem nie mówię;
On wam, skoro ten kufel spełni, wnet odpowie.

Tego ironiczno-humorystycznego tonu, w jaki odrazu na wstępie uderzył, nie opuszcza już poeta prędko i zacząwszy właściwy poemat następną, dosyć dowcipną parafrazą Enejdy Wirgiliusa:

Mężów walecznych śpiewam, których Mawors krwawy
Z dyamentu ukował dla swojej zabawy,
Wławszy na nie potyczki i gęste zwycięstwa,
Dziedzicami poczynił je swojego męstwa.

walczy dalej humorem i ironią aż do końca pieśni trzeciej, kreśląc równocześnie ważniejsze Lisowczyków przywary drastycznymi i pełnymi komizmu barwami. I tak pieśń pierwsza, „Ćwiczenia kozackie“, poświęcona ich zawadyactwu i kosterstwu, druga, „Prawa kozackie“, opowiada o skłonności do pijaństwa i hulaszczem życiu, a trzecia, „Obyczaje ciurów kozackich“, zajmuje się głównie niepospolitym talentem do kradzieży ciurów czyli sług kozackich. W żadnej jednakże poeta nie posługuje się bronią oburzenia lub grozy, lecz wszędzie ten sam ironiczny zakrój, co każe się śmiać, ale nie oburzać. Dopiero w pieśni czwartej, „Potyczki kozaków Lisowskich“, przynajmniej z początku, poznać inny poważniejszy nierównie nastrój, ale już nie satyryczny, tylko, wbrew naszemu oczekiwaniu zbliżony do epicznego. Poeta, zwracając się do Lisowskiego i podnosząc jego dzielność i śmiałość wyprawy, nastraja lirę poważniej, bo widocznie nie chce łączyć imienia szerokiej sławy podówczas zażywającego wodza z sądem, jaki wydał o innych towarzyszach całego oddziału. Ten poważniejszy nastrój utrzymuje się jeszcze częściowo i w dalszym toku pieśni, gdzie mowa o walce z Tatarami; przyczem poeta ma zapewne na myśli tylko tę część oddziału, która złożona była z właściwych Kozaków, obeznanych dobrze z Tatarami. I ten bój widocznie za świętym był dla mieszczanina lwowskiego, by mógł o nim w lekki sposób opowiadać. Powaga zatracą się

dopiero z końcem pieśni czwartej i ustępuje znowu miejsca ironii, kiedy wypadło jeszcze wspomnieć o walkach Lisowczyków z Węgrami, Czechami i protestantami. Całość zamyka rozmowa Kiwajła i Iwana, dobrze do pierwotnego tonu się nastrajająca i umieszczona pod ryciną, wyjętą z „Gadek Arystotelesa“¹⁾, wydanych poraz pierwszy w Krakowie u Unglera jeszcze w r. 1535.

W krótkim tym poemacie, którego całość wynosi zaledwie 182 wiersze, nie ma naśladownictwa wspaniałego wzoru, jaki Zimorowicz mógł mieć w klasycznych satyrach Horacego; bo z utworów wieszcza wenuzyńskiego czytano podówczas w szkołach przeważnie tylko ody, lepiej zaprawiające do pisania wierszy pochwalnych: nie ma także i tej artystycznej dłoni, która nie nazywa wszystkiego po imieniu, lecz utrzymując czytelnika w naprężeniu, każe mu się niejednego domysleć; nie ma wreszcie i komicznych i pełnych intrygi sytuacji, których rozwiązanie sprawia tem większe wrażenie na czytelniku. Tu wszędzie i dyspozycya i środki których poeta używa, są nader proste, gdyż większe wymagania przechodziły siły mało jeszcze wykształconego młodzieńca. Cały poemat składa się po większej części z samych par wierszowych, zawierających w pierwszym wierszu jakąś sentencją lub wymienienie zalety, a w drugim opowiadanie, jak się względem niej zachowali Lisowczycy. Powtarza się to od początku do końca i staje się wreszcie zbyt jednostajnem i zbyt nużącym.

Mimo jednak brak staranniejszej artystycznej kompozycyi, nie powiedziałbym, by poemat był bez wartości, lub czytał się nieprzyjemnie. Jest w nim przecież coś, co dodaje mu wagi i wpływa na wywołanie pewnego wrażenia: a tem jest spora doza rodzimego i swojskiego humoru i dowcipu, opierającego się przeważnie na zwrotach z życia i potocznej mowy wziętych, którym, jeżeli się lepiej przypatrzymy, musimy przyznać wiele komizmu i plastyczności. Jak Jowialski Fredry sypie jakby z rękawa przeróżne przysłowia i bajeczki, tak młody Zimorowicz wydaje się jakby skarbnicą zwrotów z otoczenia przejętych. Widocznie nie zamykał się poeta w domu i nie ślęczał nad książką, ale, jak to już poznaliśmy poprzednio, żył w wesołym gronie towarzyszy,

¹⁾ Karta O₇ verso. (Por. wiadomość podaną przez Franciszka Křčka w „Kwartalniku historycznym“ z r. 1891 str. 427). Ponieważ zaś i pierwszy szablonowy drzeworyt, na naczelnej stronie umieszczony, pochodzi z kroniki Bielskiego i nie nadaje się nawet do poematu Zimorowicza, gdyż przedstawia walkę pancernych z Turkami, przeto otrzymujemy dowód, że i „Żywot Kozaków Lisowskich“ drukowany był w Krakowie, choć tego na tytule nie wyrażono.

od których umiał przejąć niejednen wyraz trafny i niejednen frazes oryginalnie pomysłany¹⁾. Niestety w tem gonieniu za dosadnymi wyrażeniami nie zawsze umie Zimorowicz zachować należyta miarę i schodzi już w tym pierwszym poemacie kilkakrotnie do zwrotów zbyt rubasznych i zbyt poziomego lotu, czyli, innymi słowy: miał młody Bartłomiej dosyć warunków na poetę satyrycznego, miał wiele dowcipu i tę szczęśliwą naturę, która z łatwością śmieszności u drugich odkrywa, ale nie miał mistrza, któryby go na właściwą drogę nakierował, i nie miał tego, co się zowie głębszem wykształceniem i co nieodzownie potrzebne do wykonania prawdziwie artystycznego obrazu.

Słuszności ostatniego twierdzenia dowodzi także i dość ciasny widnokrąg, w którym zawierają się wszystkie obrazy i porównania. Oto, obok powyżej wymienionych zwrotów, przejętych z życia codziennego, a stosunkowo jeszcze najudatniejszych²⁾, znajdują się chyba tylko wspomnienia z ukończonej co dopiero szkoły³⁾, tudzież wiersze na pewną znajomość muzyki naprowadzające⁴⁾. Mieszczanina nadto poznać z porównania Kozaków Lisowskich do rozmaitych rzemieślników, dobrze we Lwowie znanych i dość licznie tam osiadłych⁵⁾, a wesołego wreszcie młodzieńca z kilkakrotnego, lekkiego i trafnego opowiadania o grze w kostki⁶⁾ i użyciu ognistych napojów⁷⁾.

Ulubiona tak później przez poetę gra słów i antyteza występuje tu jeszcze w bardzo niewinnej i dowcipnej formie, która, jako uzasa-

¹⁾ Przytaczam ważniejsze: Pismo po gębach kreślili, obuchem perswadują, poczujesz z ruski miesiąc, pójdzieć aż w pięty, boki kijem mażą, pulsy zdrowym macają, i strzyże i goli, fara chuda, po łbu pukać, w odpowiedzi chodzą, przeżegna się pałaszem, zakrzywisz nań palec, wisieć moja głupia ręka, na śróć puściwszy, dostał guza (w miejscu poważnem niestosownie umieszczone), na oko widzi, za łeb odwodzili, zatykali gęby, leciały na ziemię jako grad zęby itd. itd.

²⁾ Zawierają się między wymienionymi w poprzedniej uwadze; dodać do nich porównania: i młodec obaczy jak kot o północy, Boże igrzysko, pobijają ich, żeby się nie rozsychali, jako magnes żelazem grosze nimi władną, do nieba porobili mosty itd. itd.

³⁾ Rogate syllogizmy, żaden retor tak prędko nie poruszy człeka, skoro się roz-wiedzie z swymi argumenty.

⁴⁾ Por. szczególnie wiersze I. 33—36:

Potem na koncert idą, fugle miasto fugi,
Miasto taktu latają toczone maczugi.
Stąd jedni solmizują albo też pauzują,
Drudzy się kontrapunktem z oburącz częstują.

⁵⁾ Jakoto smuklerzy I. 17, bednarzy III. 27 i krawców III. 29. Dodać do tego jeszcze należy balwierzy I. 19, cyrulików i doktorów II. 30, III. 17.

⁶⁾ Por. szczególnie II. 45—56.

⁷⁾ Na kilku miejscach, ale szczególnie we wstępie i w II. 11—24.

dniona i od przesady wolna, może wyrzucić nawet pożądane wrażenie¹⁾.

Dostateczna znajomość języka łacińskiego wynika z miejsc kilkunastu, ale śladu wpływu autorów starożytnych nie można się jeszcze nigdzie dopatrzyć, prócz w owej parafrазie znanego powszechnie początku Enejdy Wergiliusza. Poeta przyswoił też sobie elementarne wiadomości z mitologii starożytnej, jak to wynika ze wzmianek o Marsie i Afrodycie, pojętych ze stanowiska i gustu ówczesnego, tudzież zapoznał się z językiem małoruskim, zapewne nie na podstawie studyów i nauki, ale tylko w skutek osłuchania się w mowie okolicznego ludu²⁾.

Poemat powstał w bardzo krótkim czasie, obmyślany i napisany od jednego rzutu, najprawdopodobniej w miesiącu sierpniu lub wrześniu r. 1620, pod wpływem nadchodzących z Czech cudownych wieści o męstwie i brawurze Lisowczyków³⁾. Ten pospiech i nieznajomość warunków prawdziwej poezji sprawiają, że autor powraca bez potrzeby do tej samej myśli⁴⁾ i odznacza się jeszcze większą niedbałością w rymowaniu, niż Rej⁵⁾, choć między nim a Rejem żyli i pisali tacy, jak Kochanowski i Szymonowicz, którzy polską technikę rytmiczną doprowadzili już do dosyć wysokiego stopnia rozwoju. Zimorowicz chwytając w pośpiechu każdy nasuwający się mu rym, a jeżeli takiego nie znajdzie w mowie ojczystej, to wówczas tworzy sobie formy jak nibyto zruszczone: budzie⁶⁾, lub każe łacińskiemu *memento mori* rymować się z polskiem: nie ufaj w doktory⁷⁾. Jednej tylko średniówki przestrzega ściśle, zapewne pod wpływem reguł ustalonych w tym względzie przez poprzedników. W jego trzynasto-zgłoskowym wierszu

¹⁾ Por. zwłaszcza: „Od medcu wzięła naprzód imię medycyna“ (II. 23) i „mowi głupi nie mądrymu“ I. 29.

²⁾ Usterek jak: Nemcom i Nemeow w rozmowie Iwana i Kiwajły, nie należy prawdopodobnie przypisywać nieświadomości Zimorowicza, lecz raczej położyć na karb ówczesnej pisowni i niedołężnego druku.

³⁾ Por. rozmowę końcową i brak wszelkiej wzmianki o bitwie pod Białą Górą stoczonej 9 listopada 1620 r.

⁴⁾ Odnosi się to szczególnie do opowiadania o skłonności do kradzieży ciurów kozackich w pieśni trzeciej, gdzie mowa o niej trzykrotnie z początkiem, w ciągu i na końcu pieśni.

⁵⁾ Nienaturalnych rymów w „Żywocie Kozaków Lisowskich“, jest 20% ogólnej liczby, podczas gdy u Reja tylko 15%. Por. wstęp do mojego wydania „Żyw. Koz. Lis.“ I. c. str. 21, tudzież Wilhelma Bruchnalskiego: „O rymie w poezji polskiej do Jana Kochanowskiego (Muzeum z r. 1885, str. 462—474 i 511—529).

⁶⁾ Zamiast małoruskiego: bude, które miałyby się rymować z: ludzie III. 1 i 2.
⁷⁾ III. 29 i 30.

słowo zawsze kończy się ze siódmą stopą, po której przeważnie wypada i średniówka, choć nie brak także i przestanków podwójnych¹⁾.

W trzy lata po żywocie Kozaków Lisowskich ujrzał światło dzienne Testament Luterski żartownie²⁾ napisany. Wydany w Krakowie³⁾, podobnie jak i utwór poprzedni⁴⁾, dochował się do nas tylko we dwóch egzemplarzach⁵⁾ i dlatego wymagał koniecznie powtórzenia edycji, nie jako utwór literacki, bo pod względem estetycznym nie ma żadnej wartości, ale jako wyraz choć przesadzony opinii ówczesnych sfer mieszczańskich i nader ważne źródło do skreślenia dokładniejszej charakterystyki autora, który później i życiem i dziełami zasłużył przecież na bliższe z nim zapoznanie się⁶⁾.

Na niewielką całość składają się najpierw cztery wiersze łacińskie i 18 polskich, zastosowanych do dwu rycin, przejętych z M. Bielskiego: „Żywoty filozofów“, w wydaniu tegoż samego Unglera, w Krakowie r. 1535⁷⁾. Następuje potem prozą pisana Przedmowa zboru witemberskiego, opisująca śmierć Lutra i jego dziwacznie pomyslane i wprost niesmaczne przygody podczas podróży do piekła i witanie się z dyablami, tudzież Początek⁸⁾ testamentu, zawierający w 134 wierszach przedrzeźnianie przykazań, jakie niabyto Marcin Luter miał zostawić dla ewangelickich pastorów. Kończy wszystko Na-

¹⁾ Por. wstęp do mojego wydania l. c. str. 22.

²⁾ W wydaniu mojem (nie wolnem niestety od dosyć licznych pomyłek drukarskich, wynikłych skutkiem niemożności przeprowadzenia dokładniejszej korekty), wydrukowano mylnie: „żartobliwie napisany“, co też niniejszem prostuję.

³⁾ Cracoviae anno domini 1623 in 4-to, kart 6.

⁴⁾ Por. uwagę na str. 109.

⁵⁾ W bibliotece uniwersytetu warszawskiego i prywatnym a bogatym księgozbiorze hr. Zygmunta Czarnieckiego w Rusku koło Poznania.

⁶⁾ Podnoszę tu umyślnie, że ten jedynie cel miałem na oku, gdym Zimorowicza Testament Luterski przedrukował w „Przewodniku naukowym i literackim“ z r. 1890. str. 888—905. Stanowisko swoje wobec utworu zaznaczyłem dobitnie we wstępie do wydania i nie oszczędziłem mu nazwy paszkwilu. Dlatego skargi i rekryminacje, podniesione ze strony ewangelików, były zupełnie nieuzasadnione. Z uwag, znajdujących się tam we wstępie, przytaczam większą część, zmieniawszy tylko oczywiście to, co zmienić należało.

⁷⁾ Por. Franciszek Krćek l. c. str. 427.

⁸⁾ Może więc to tylko urywek z dłuższego poematu, który Zimorowicz zamierzał napisać.

grobek Luterski, a właściwie stek najobelżywszych wyrazów, na jednym nagromadzonych miejscu.

Taką jest dyspozycja tego krótkiego ulotnego pisemka, wymierzonego bezpośrednio przeciwko sławnemu twórcy reformacji. W poprzednich rozdziałach umyślnie rzuciłem tyle światła i na żarliwość religijną mieszczan lwowskich i na uroczystość opisaną tak szczegółowo przez Bałazego, aby udowodnić, że duch nietolerancji, zwłaszcza wobec protestantów, wkraść się już głęboko w serca mieszkańców Lwowa i że Jezuici od samego osiedlenia się w stolicy Czerwonej Rusi dokładali wszelkich usiłowań, by wzbudzić fanatyzm religijny i skierować go przeciw innowiercom. Pamiętając o tych danych i o całym sposobie wychowania młodego Zimorowicza, można było już z góry być przekonany, że znajdziemy dużo zjadliwości i uszczypliwości w tem jego pisemku polemicznym, które zapewne powstało albo pod wpływem wieści o zwycięstwach armii cesarskiej, albo pod wrażeniem wyżej wspomnianego obchodu religijnego, urządzonego na niewiele miesięcy przedtem. Atoli broszurka późniejszego rajcy lwowskiego przechodzi nawet wszelkie pod tym względem obliczenia i dostarcza nam nowego jaskrawego dowodu, że namiętności młodzieńca nie uszlachetniło ani nie złagodziło ożywcze źródło większego wykształcenia.

Wacław Aleksander Maciejowski, który najpierw podał dokładniejszą wiadomość o „Testamencie Luterskim“, nazwał go „zbiorem tłustych żartów i płaskich dowcipów“. Jest to jednak określenie jeszcze za łagodne i za pobłażliwe, bo tej broszurce Zimorowicza należy się w całej pełni miano pamfletu i paszkwilu. Już czterowiersz łaciński na pierwszej zaraz karcie umieszczony i znajdujące się tamże słowo, ze brzmienia do wyrazu *mentum* podobne, usposabiają nas niechętnie dla utworu. Ale cóż dopiero mówić o całym zbiorze wyrazów obelżywych i prawdziwie karczemnych, których tu ze względów przyzwoitości nie przytaczam, a które spotkasz tam na niejednym miejscu ¹⁾. Nie należę wcale do przesadnych romantyków, pokrywających wszystko idealnem rzeczy przedstawieniem, rozumiem i wiem też dobrze, że poczucie smaku i estetycznego piękna jest względne i zmienia się z biegiem czasu i ze zmianą stosunków, ale mimo to wszystkiego wiem też dobrze, że pod względem przyzwoitości jest pewna granica, poza którą nikomu wykroczyć nie wolno. Mógł sobie Arystofanes i Plautus w swych przesławnych komediach powplatać w opowiadanie wyrazy, nie licujące z naszym poczuciem piękna, mógł Szekspir i niejeden z nowszych pisarzy użyć dra-

¹⁾ Na ważniejsze z nich zwróciłem uwagę w mojem wydaniu I. c. str. 890.

styczniejszych słów, bo uczynili to w sposób zręczny, wśród sytuacji pełnej rozmaitych wrażeń, ale umyślne nagromadzenie obelżywych wyrazów potępiano zawsze, potępiają i dzisiaj.

Zaznaczywszy tak dobitnie swoje stanowisko, mógłbym już poprzestać na tem, gdyby nie obowiązek autora monografii, który mi każe wejść głębiej w dany utwór i dostarczyć pełniejszych rysów do charakterystyki pisarza i społeczeństwa, które widocznie również solidaryzowało się z tendencją broszurki, skoro pomimo jej gwałtowności ówczesną surową cenzurą nie zaciężyła nad nią żelaznem ramieniem i nie skazała jej na zagładę, jak tyle innych nierównie niewinniejszych utworów.

Autorowie wszelkich paszkwilów i pamfletów dadzą się podzielić na dwie odrębne kategorie: jedni, powodowani nienawiścią, zmyślają i przekręcają fakta wbrew swemu własnemu przekonaniu, drudzy przedstawiają je wprawdzie umyślnie w drastyczniejszych barwach, ale równocześnie wierzą sami przynajmniej po części w to, co do publicznej podają wiadomości. I tu więc i tam tendencja ta sama, ale stanowisko zupełnie odmienne, bo w pierwszym wypadku autor może mieć w duszy przekonanie nawet wprost przeciwne wygłoszonemu przez siebie, podczas gdy w drugim razie zapatrywania jego i wiadomości, w paszkwilu wypowiedziane, są mniej więcej te same. Że do tej drugiej kategorii zaliczyć należy i Bartłomieja, wynika jasno tak ze stosunków, w jakich się wychował, jak i z osobistego jego charakteru. Mając zaś to na pamięci, musimy w dalszej konsekwencji wysnuć stąd wniosek, że to, co nam o Lutrze opowiada, będzie jego własnem nabytem przekonaniem, przedstawionem tylko w dosadniejszych i jaskrawszych barwach. A jakież to jego w główniejszych rysach opowiadanie?

Oto kłamstwo i lubieżność są godłem nauki Lutra. Sam mistrz ma dyabłów na usługi i ze wszystką swą bracją znajdzie też w piekle wieczne potępienie. Dyabły całują się z nim nawet i z przybycia jego do piekła tak niewymownie się cieszą, że ku uczczeniu tej pamiętnej chwili sprawiają olbrzymią stypę, podczas której nie zaniedbują się sownie winem uraczyć. Twórca reformacyi ma dalej pazury i nosi ogromną perukę i wielką śpiczastą brodę. Sumienie przygłusza za pomocą wódki, a do żony jest tak lubieżnie przywiązany, że przy śmierci najwięcej mu żal rozłączenia się z nią. — „Ministrowie“ luterscy, zajadli na katolików, biorąc przykład z mistrza, zajmują się szczególnie rozmnażaniem potomstwa i dbają przede wszystkim o ciało, dobrze sobie jedząc i pijąc; grzechów się nie obawiają, powierzone sobie owieczki ze skóry odzierają i są zaciętymi przeciwnikami czystości, postu i biczowania.

Takie to zapatrywania wygłaszał jeden z ówczesnej młodzieży lwowskiej, nie poruszając równocześnie wcale dogmatów i zasadniczych różnic reformacyi. Widocznie wiary protestanckiej sam nie studyował, ale znał ją tylko ze słuchu i z opowiadania innych ludzi. A nie obalają tego twierdzenia słowa, zdające się okazywać większą znajomość wewnętrznych urządzeń innowierców, gdyż wiadomość o wybieraniu sobie zwierzchników, tudzież wyrazy takie, jak *superintendent*, zbór witebberski i Filip Melancton, którego Zimorowicz z rozmysłu Melankhechtem czyli czarnym pacholkiem nazywa¹⁾, — zbyt były powszechnie znane, aby z nich jakiś przeciwny wniosek wysnuć można, a innych wiadomości niema w broszurze jego.

Przez dalszą analizę tego, co na potępienie zasługuje i przez przeciwstawienie sądów, dochodzimy do wniosku, że autor odebrał religijne wychowanie, postu w płótki przestrzegał i na biczowników patrzył z prawdziwym uwielbieniem. Dyogenes, jako poganin, znajduje się oczywiście w piekle, a Judasz jest typem największego grzesznika. Niemców Zimorowicz nie lubi i wierzy w dyabły i opętanie ludzi przez nich. Atoli dyabły „Testamentu Luterskiego“ nie są to istoty straszne i potężne, ale raczej wesołe i śmieszne. Czarnej barwy, z ogonem, o dwu lub więcej rogach, lubią wino, wznoszą przy uciecie toasty na cześć „dyabłowic“, wchodzą z ludźmi w przymierze, ale i pojedynkują się z nimi i mogą zatonać lub zamarznąć, jak każdy śmiertelnik. Zapewne, przydał im wprawdzie autor dla humoru niejedną humorystyczną cechę, ale mimo to z pod tej osłony przebija się wizerunek dyabła, nader podobny do tego, jaki nieznany autor nakreślił nam nie tak dawno w warszawskim „Ateum“²⁾.

Niektóre zwroty okazują znajomość pisma św., a słowa z rzymskiej mowy przejęte i wzmianki o Charonie, Cerberze i Dyogenesie ponownie stwierdzają poprzednie, choć jeszcze niewielkie, obeznanie się z mitologią i literaturą starożytnych. Zna też Zimorowicz i język niemiecki, choć nader powierzchownie i zapewne tylko z obcowania z Niemcami, jak tego dowodzi dziwaczne przekręcanie wyrażeń i słów niemieckich, któremi posługuje się umyślnie celem wywołania tem większego śmiechu.

Pod względem estetycznym mieszanina ta prozy i wierszów nie ma, jak powiedziałem; najmniejszego znaczenia. Brak jej przedewszystkiem tego, co powinno było stanowić główną jej zaletę, tj., że się tak wyrażę,

¹⁾ Podobnie jak już w „Żywocie Kozaków Lisowskich:“ P. IV, str. 31.

²⁾ Zeszyt styczniowy z r. 1889.

szlachetnego humoru. Człowiek śmieje się i usposabia wesoło tylko wtedy, gdy wśród odpowiednio wytworzonej sytuacji spostrzega dwa sprzeczne pojęcia, dowcipnie ze sobą złączone, gdy słyszy coś zupełnie przeciwnego temu, czego się spodziewał. A śmieje się tem serdeczniej i staje się tem weselszy, im dowcipniejsza jest cała sytuacja i im prawdopodobniejsze zjawisko, którego się nie spodziewamy. Stosownie do tego dobry komik i humorysta musi się przede wszystkim starać o wytworzenie odpowiedniej dowcipnej sytuacji i o uprawdopodobnienie zjawiska. Tymczasem w „Testamencie Luterskim“ nie można dostrzedz podobnego starania się. Zwroty humorystyczne mają tu działać na czytelnika mocą sprzeczności z powszechnie znanymi zasadami wiary katolickiej i zwyczajami każdego prawdziwego chrześcijanina. Atoli wrażenia stosownego nie wywierają, bo grzeszą nieprawdopodobieństwem sytuacji i zbyt wielką przesadą wyrażen. Wrodzone każdemu poczucie smaku musi wystąpić przeciw takim niedorzecznościom, jak oba tam opowiedziane pojedynki Lutra z dyablami, lub zwroty: ogień *charitatis* pół węża mu opalił, kwaśnemi i słonemi łzami się zalewał, brodę nasiekiem ociesać, lub pomysł, że kawalkatorowie czyli ujeżdżacze koni leczyli Lutra podczas choroby, jak szkapę go obalili i tępna we włosach szukali, lub wreszcie to wszystko, co nam autor o chciwości i lubieżności protestantów opowiada. Nie mówię już tu nic o innym rodzaju wywołania wrażenia komicznego zapomocą nagromadzenia zelżywych wyrazów, bo co o tem myślę, już wyżej nadmienilem. Natomiast prawdziwie dowcipnych zwrotów bardzo niewiele. Najudatniejszymi są jeszcze może: uzbrajanie się Lutra jak rycerza w kirys przed pojedyńkiem, nazywanie dekalogiem dzbana, z którego codziennie pijał, bo dziesięć kwart węgł wchodziło, przemawianie do duszy, nim pić rozpoczynał, zostawienie dobrych uczynków w tłumoku nad brzegiem i wreszcie powątpiewanie, jakoby w piekle pomimo wiecznego ognia mógł być jeszcze jaki dyabeł surowym.

Ślady plastyczności i obrazowości nieznaczące¹⁾. Przenośnie i porównania schwyczone albo znowu z życia zwykłego, codziennego, albo przejęte z Pisma Świętego i gospodarstwa domowego i wiejskiego, któremu Zimorowicz od młodości mimowolnie się przypatrywał. Artystycznej budowy nie ma prawie żadnej, technika rytmiczna prawie równie zaniedbana, jak w „Żywocie Kozaków“²⁾, a język nie wolny już od słów z łaciny żywcem wprowadzonych³⁾ i użytych częściowo dla rymu i iro-

¹⁾ Por. wstęp do mojego wydania l. c. str. 892 i nstp., gdzie na str. 894 w. tekstu 2. z dołu zam. „mowy poetycznej“ czytaj „mowy potocznej“.

²⁾ Ob. tamże str. 895.

³⁾ Por. tamże str. 894.

nii, a częściowo gwoźli poczynającemu się na dobre kierunkowi makaronicznemu. — Jednem słowem, w porównaniu z „Żywotem Kozaków Lisowskich“ nie tylko że nie doszukać się najmniejszego postępu, ale raczej stwierdzić chyba należy cofnięcie się wstecz, które przypisać wypadnie tak dalszemu trwaniu w nieuctwie, jakoteż ślepej nienawiści i fanatyzmowi.

Swobodne bez troski bujanie Zimorowicza przerwał szczęk oręża i odgłos walki, która się odegrała pod Chocimem, niedaleko od granic czerwonoruskiej prowincyi. Powszechnego zainteresowania się nią i powrotu wojowników z wyprawy dotknąłem obszerniej w poprzednim rozdziale. Tu więc chyba wypada powtórzyć mi tylko jeszcze raz, że, choć zwycięstwo nie było tak zupełnem¹⁾, jakby to z poematów Potockiego i Krasieckiego można wywnioskować, to przecież wrażenie jego było potężne tak w kraju, jak i za granicą. Potrzeba było wyteńczyć wszystkie siły, aby odeprzeć tego wroga, równie silnego, jak i strasznego dla całej wschodniej i południowej Europy. Wyteżono je i odparto nieprzyjaciela nie tylko liczbą, ale i postrachem walczącego. Teraz więc z kolei uczucie dumy mogło słusznie zawładnąć sercem każdego Polaka i wpoić w niego usprawiedliwione całkiem przekonanie o potędze własnej ojczyzny, która zmusiła do odwrotu najpotężniejszego z monarchów europejskich i nie dozwoliła mu postawić stopy we właściwych Polski granicach²⁾. To też kiedy otrząśnięto się ze smutnego wrażenia, jakie na naocznym świadku mógł wyrzeć widok wracającego z wyprawy wygłodzonego i wynędzniałego wojska i kiedy nadeszły wieści o uniesieniu, z jakim w całej Europie chrześcijańskiej przyjęto wiadomość o zniweczeniu planów pychy nadętego Osmana, wówczas pod wpływem walki za wiarę i w obronie kościoła katolickiego posypały się opisy prozą i wierszem, wysławiające dzielność i moc oręża polskiego³⁾. Do nich przyłączył się także i utwór Bartłomieja z tego samego roku, co i Testament Luterski, p. t. „Pamiętka

¹⁾ Por. Józefa Tretiaka: *Historja wojny Chocimskiej* (Lwów 1889), rozdział ósmy str. 171—196.

²⁾ Tylko posiłkujący Tatarzy zapuszczali się głęboko na Podole; sam padyszach przeprowadził się podobno tylko raz na drugą stronę Dniestru, aby się przekonać, czy stamtąd nie możnaby skuteczniej poprowadzić działań zaczepnych. Cf. Tretiak l. c. str. 175 nstp.

³⁾ Por. bibliografią Estreichera i Tretiaka l. c. str. 2.

wojny tureckiej, w roku 1621 od polskiego narodu podniesionej i szczęśliwie za łaską i dobrodziejstwem miłego Boga dokonanej, odnowiona i do druku podana w Krakowie 1623 r. in 4-o str. 20“.

Z podanego tytułu wynika, że jest to utwór nieco dłuższy od poprzednich i odmiennego zupełnie kierunku. Bentkowski, który miał go niewątpliwie w rękę, podał nam pierwszy dokładniejszą o nim wiadomość i wyraził się¹⁾, że „wiersz czysty i pełny, myśli szlachetne, wyraz czasem szumny“. Zresztą, nikt go już później nie widział i nikt czegoś więcej powiedzieć nie umiał, bo ten sam zawistny los, który prawie wszystkie utwory Zimorowicza dochował nam tylko w bardzo nielicznych egzemplarzach, uczynił i z „Pamiętki“ prawdziwego kruka białego, nieprzystępnego dla nikogo z badaczy. Nadaremnie też i ja szukałem go po wszystkich większych bibliotekach i na próżno udawałem się do właściciela bogatego księgozbioru w Szczorsach, gdzie miał się znajdować jedyny egzemplarz tego poematu²⁾. Odpowiedzi ze Szczors nie otrzymałem i nie liczyłem też na nią wiele, gdyż przyszedłem do przekonania, że według wszelkiego prawdopodobieństwa i tam go już niema obecnie. Biblioteka bowiem Jagiellońska posiada między rękopisami³⁾ opis bibliograficzny druków polskich, znajdujących się w prywatnym księgozborze hr. Chreptowiczów, sporządzony w r. 1826 przez Jana Gw. Styczyńskiego, w którym nie ma najmniejszej wzmianki o „Pamiętce wojny tureckiej“. Jeżeli więc spis jest dokładny⁴⁾, to nie było jej tam już z górami przed sześćdziesięciu laty, a więc nie o wiele później od r. 1814, w którym wyszła Bentkowskiego: „Historia literatury polskiej“.

Wobec takiego stanu rzeczy, sądziłem już, że Pamiętka zaginęła dla nas, przynajmniej na razie, gdy oto p. Żegota Pauli przed niewielu miesiącami oświadczył mi, że posiada odpis z egzemplarza, który niegdyś Dembowski sprzedał podobno do biblioteki hr. Baworowskiego we Lwowie⁵⁾. Odpisu udzielił mi p. Pauli na bardzo krótki czas do przejrzenia, gdyż zamierza z niego sam skorzystać i do wiadomości publicznej podać. Zanim

¹⁾ L. c. t. I, str. 348.

²⁾ Według Bentkowskiego l. c. t. I, str. 349 i prywatnych informacji, udzielonych mi łaskawie przez dra Estreichera.

³⁾ Rękopis l. 2721.

⁴⁾ Na pewne nie śmiałybym tego utrzymywać, bo dołączony do rękopisu list Styczyńskiego z 9 grudnia 1843 r. zdaje się wskazywać, że i polskich druków wszystkich nie przejrzano i w spisie nie wykazano.

⁵⁾ Stwierdzić tego niepodobna, bo biblioteka hr. Baworowskiego nie posiada żadnych inwentarzy i jest na razie tak dobrze jakby nieprzystępna. Zresztą wiadomość samą otrzymałem po moim wyjeździe ze Lwowa, tuż przed oddaniem do druku niniejszej części monografii.

jednak to nastąpi, niechaj mi wolno będzie powiedzieć kilka słów o utworze na podstawie, choćby przelotnego, tylko z nim zapoznania się¹⁾.

Było to zupełnie naturalne, że młody Zimorowicz przyłączył się do ogólnego chóru uwielbienia. Potęga otomańska godziła przedewszystkiem w miasto Lwów, którego radość po odparciu nieprzyjaciela, choć zakłócona widokiem niedobitków, musiała być prawdziwie szczerą i wielką, skoro odniesione zwycięstwo odwracało od niego gróźę obłężenia, a może i zdobycia. Powaga też chwili dziejowej zdolną była do poskromienia przynajmniej na krótki czas swywolnych zapędów coraz więcej dojrzewającego młodzieńca i mogła w nim obudzić pragnienie popisania się i na polu poważniejszej poezji, zwłaszcza że chodziło tu o walkę z niewiernymi, okoliczność, której niepodobna przeoczyć u twórcy „Testamentu Luterskiego“. Atoli, czy siły domorosłego poety mogły sprostać zadaniu? Zdaje mi się, że stanowczo nie.

W czwartej pieśni „Żywota Kozaków Lisowskich“ mamy próbkę tego, do czego muza Bartłomieja zdolną była na polu poważniejszej poezji, a próba ta wypadła słabo, nawet bardzo słabo. Podobnie stało się z „Pamiętką wojny tureckiej“. Choć ważność chwili mogła wzniecić w poecie większe i silniejsze natchnienie, to przecież brak znajomości lepszej formy artystycznej i brak chęci do dalszej pracy nad sobą sprawił, że młody poeta nie zdołał napisać lepszego i wszechstronniejszego eposu.

Autor, opisawszy najpierw pobieżnie ale szumnie pole bitwy pod Chocimem i oddziały wojsk polskich i tureckich, przechodzi z kolei do dziejów samejże walki i kresli wypadki chronologicznie, dzień za dniem, przy czem korzysta widocznie albo z pisanej relacji, albo z opowiadania nader szczegółowego świadków naocznych, skoro umie powiedzieć, kiedy i którego dnia poległ bohaterską śmiercią każdy z rotmistrzów lub znakovitszych towarzyszy. Taki sposób opowiadania złożył się oczywiście na utwór, który nikogo zadowolić nie potrafi. Nie ma bowiem warunków eposu, aby na czytelniku wywrzeć korzystniejsze wrażenie i nie przedstawia znowu większej wartości dla historyka, który z nim, jako z poematem, wiele liczyć się nie może.

Zimorowicz nie posiada najmniejszego wyobrażenia o plastycznem ugrupowaniu i przedstawieniu przedmiotu i nie umie rzucić światła jaśniejszego na pojedyncze wybitniejsze epizody. Wszystkie szczegóły trak-

¹⁾ Egzemplarz Dembowskiego, a za nim i odpis p. Paulego nie mają karty tytułowej. Jestto jednakże niewątpliwie utwór Zimorowicza, bo format i ilość kart (dziewięć bez tytułowej in 4-o) zgadzają się z opisem Bentkowskiego, a styl i właściwości poematu świadczą, że utwór ten pochodzi z początku siedemnastego stulecia, i potwierdzają również wyobrażenie, jakie możemy mieć o pierwszych poetycznych próbach Bartłomieja.

towane równomiernie, jakby w kronikarskiem opowiadaniu i wszędzie widoczne silenie się poety, któremu skrzydeł nie dostaje. Bentkowski powiada wprawdzie, że „wiersz czysty i pełny“, ja jednak, choć dokładnie nie rozumiem, co ostatni epitet ma oznaczać, nie mógłbym i tego przyznać poematowi. Trzynastozgłoskowy jego wiersz tylko w niektórych miejscach jest więcej potoczysty, a zresztą przeważnie „pełny“ po większej części niezręcznie wtrąconych aluzji do powszechnie znanych i elementarnych szczegółów z mitologii starożytnej i nadto nie wolny od wyrazów dobrych tylko w mowie potocznej, ale tu dziwnie smutno odbijających od zwrotów szumnych i przesadnych. Dostyć liczne porównania i obrazy obracają się zawsze w kole zjawisk tylekrotnie już przez innych pisarzy nierównie plastyczniej przedstawionych i skutkiem swojej nienaturalności i napuszystości nie mogą wywrzeć na czytelniku korzystniejszego wrażenia. Jednem słowem wszędzie widać nieumiejętną rękę, która porwała się na wielkie dzieło, ale wykonać go nie umiała.

Wśród powodzi szczegółów do pamiętnika stosownych, ale poematu epicznego niegodnych, wyróżnić i podnieść należy ustęp jeszcze stosunkowo najpiękniejszy, opiewający obszerniej wycieczkę Tatarów z pod obozu Chocimskiego na Podole. Historia nas poucza, że i wtedy zebrali Tatarzy plon bogaty i wiele brańców i branek w jasyr uprowadzili. Świadomość tego porusza żółć gniewu w poecie i, wywołując większe natchnienie, wydobywa z ust jego dosyć ostrą skargę na nieudolność hetmanów i ramienia Rzplitej, które nie umiało powściągnąć tych dzikich najeźdźców i narażało na szwank całą naszą pracę kolonizacyjną. Zresztą do charakterystyki autora nic nowego nie przybywa. Ten sam zawsze nieuk Zimorowicz, który wiersze z łatwością tworzy, ale o warunkach poezji i wykończonej formie artystycznej ma bardzo małe i niewyrobione jeszcze pojęcie. Na uwagę większą zasługuje chyba tylko przypisanie w tytule odniesionego zwycięstwa szczegółniejszej łasce Bożej, tudzież dodanie na końcu słów, z poematem zupełnie się nie wiążących: „Samemu Bogu, w Trójcy świętej jedynemu, niechaj będzie wieczna cześć i chwała na wieki nieskończone, amen“. Stwierdzą one bowiem ponownie poruszoną przezemnie już poprzednio okoliczność, że z młodzieńczymi wybrykami Zimorowicza szła w parze i wielka jego żarliwość i bogobojność, jako wynik jego wychowania i całego ówczesnego otoczenia.

Tak więc około 550 wierszy, składających się na „Pamiętkę wojny tureckiej“, nie nazwałbym poematem epicznym, ale raczej zaliczyłbym do rzędu rymowanych panegiryków, szlachetniejszych wprawdzie i celem i wyborem tematu, ale ze względu na formę podobnych do całych seitek tych utworów, które wykazać może nasza literatura z wieku XVII. „Pamiętka“ nie wzbogaci osobnym typem polskiego piśmiennictwa i nie

odmieni w niczem charakterystyki Zimorowicza, choć ją p. Żegota Pauli wydobędzie z ukrycia.

* * *

Bibliografowie nasi opowiadają nam jeszcze¹⁾, że Zimorowicz pozostawił nadto jakiś zbiór praw dla Ormian a ks. Sadok Barącz donosi²⁾, że Zimorowicz był „notaryuszem prawa ormiańskiego“ (*sic!*) i że istnieją „księgi jego wprawną ręką pisane“, które ks. Barącz widział, a których „duże litery i pismo równe znamionują człowieka porządnego i z żelazną wytrwałością pracującego“. Wszystko to jednak polega na mistyfikacji i nieznanomości stosunków ówczesnych.

Wspomnieliśmy już poprzednio, że w r. 1518 z rozkazu Zygmunta I dokonano przekładu praw ormiańskich na język łaciński i uczyniono je w ten sposób zrozumiałymi i dla polskiej ludności. Przekład rozpowszechniono w licznych odpisach³⁾, a w r. 1601, aby cały zbiór uczynić jeszcze więcej dla ogółu przystępnym, przetłumaczono go z łacińskiego na język polski i przepisano nader ozdobnie. Otóż ta bardzo ładna i staranna kopia polskiego praw ormiańskich wydania przechowała się w rękopisach biblioteki Ossolińskich⁴⁾, lecz oczywiście nie może pochodzić z ręki Zimorowicza, bo ten w r. 1601 liczył zaledwie cztery lata. Bajka o zredagowaniu praw przez Zimorowicza urosła zapewne stąd, że w tymże rękopisie już o wiele później zamieszczono na kartach 134—137 dwa przywileje, nadane mieszkańcom Lwowa przez papieża Syxtusa VI i króla Jana Kazimierza, wyjęte z Bartłomieja *Viri illustres civitatis Leopoliensis*, jak tego dowodzi znajdująca się pod nimi notatka: *Haec duo privilegia excerpta sunt ex libro, cui titulus: Viri illustres civitatis Leopoliensis metropolis Russiae, collecti per Bartholomaeum Zimorowicz, consulem Leopoliensem. Leopoli in typographia M. Iacobi Mościcki academici anno Domini 1671.*

* * *

Reasumując powyższe dane, spostrzegamy, że czynność literacka Bartłomieja z tego okresu życia nosiła na sobie wszelkie znamiona płodów młodzieńczego wierszoklety. Nietolerancki zwłaszcza dla protestantów, bez większego wykształcenia i polotu fantazyi, ma tylko wiele rodzimego i swojskiego dowcipu i humoru, którego jednak nie umie użyć należyście, gdyż mu brak wyrobionego smaku i tego poczucia piękna, które nie dopuści wyjść poza granice ręką artystyczną zakresłone. Nie przeszedłszy jeszcze pod opieką ojcowską ciężkich doświadczeń w życiu, próbuje ko-

¹⁾ Dr. Władysław Wisłocki l. c. str. V.

²⁾ L. c. str. 405.

³⁾ F. Bischoff l. c. powiada, że mógł korzystać z 10 rękopisów, do tej pory w Galicji przechowanych.

⁴⁾ Nr. 2.117: Prawa y artykuły Ormian lwowskich z łacińskiego języka z rozkazy panów starszych ormiańskich pilnie na polski przetłumaczone roku panskiego 1601 in *Martio*.

chać się zawzięcie i pisze wiersze najpierw swywolne i miłosne, a następnie humorystyczne i zjadliwe. Kiedy się zaś przerzuci na pole poważniejszej epiki, to stworzy coś takiego, co raczej przypomina kierunek panegiryczny, w jaki rzeczywiście popadł zaraz w następnym okresie życia.



ROZDZIAŁ III.

Wiek męski (r. 1624—1646).

(Dalszy rozwój stosunków poprzednio opowiedzianych. — Interdykt i proces z arcybiskupem Próchnickim. — Walka z Kampianem. — Synod ruski. — Ormianie unitami. — Wypadki analogiczne. — Przyjęcie i pobyt Władysława IV we Lwowie — Zarządzenia króla i ich skutki. — Złowroga cisza. — Zimorowicz mieszczańskim lwowskim i obrońcą sądowym. — Klientela i stosunek do Siedmiradzkiego i Kampiana. — Materyalne położenie. — Małżeństwo z Katarzyną Duchnicówną i spowinowacenie się z wybitniejszymi rodzinami w mieście. — Nieszczęścia w życiu rodzinnem. — Zajęcia Bartłomieja i wzrost majątku. — Possessionatus. — Wybuchy dawnej krewkości. — Usunięcie się w zacisze domowe i powrót do działalności publicznej w charakterze pisarza urzędu radzieckiego. — Zakupno winnicy. — Śmierć matki i siostry. — Proces z Wrzeszczowiczem, Marszewskim i Bryknerem. — Dostąpienie godności ławnika).

Dzieje Europy w tym czasie wypełnia w przeważnej części tocząca się podówczas z nadzwyczajną zaciekłością wojna trzydziestoletnia. Polska bierze w niej tylko bardzo mały i pośredni udział przez drapieżnych Lisowczyków. W Polsce zresztą zapełniają najpierw ten okres ostatnie lata panowania Zygmunta III i jego niefortunnej polityki wewnętrznej i zewnętrznej, a we Lwowie dalszy rozwój stosunków w pierwszym rozdziale opowiedzianych, przerywany tylko od czasu do czasu wypadkami donioślejszego znaczenia, pozostającymi z wytworzonym położeniem w ścisłym i naturalnym związku. Do tych wypadków ważniejszych, wpływających na losy całego miasta, ograniczę się i ja w mojem opowiadaniu.

Na rok 1624 przypada ów głośny, z wielkiem rozgoryczeniem prowadzony spór miasta z arcybiskupem Próchnickim, w którym obie strony nie wyszły bez szwanku wskutek zanadto surowych środków, przez duchownego areypasterza użytych. — Istniał we Lwowie, jak nam już wiadomo, szpital św. Ducha wraz z kościołem tegoż imienia, którego dobrami i dochodami zarządzali osobni prowizorowie, z grona rajców wy-

bierani i do składania rachunków przed zwierzchnością miasta zobowiązani¹⁾. Ponieważ jednak szpital połączony był z kościołem i wszystkie tego rodzaju instytucje uważano w owych czasach za kościelne i pod opieką duchowieństwa zostające, przeto od niepamiętnych czasów rościli sobie prawo także i arcybiskupi lwowscy do wglądania i kontrolowania rachunków, składanych przez prowizorów. Było to i uzasadnionem i po niekąd nawet dobrem, gdyż rajcy, na siebie nawzajem łaskawi, nie wglądali z całą ścisłością w czynności kolegów i patrzyli przez palce na wszelkie w zarządzie niewłaściwości. Natomiast arcybiskup, jako zdala stojący, mógł być w tym względzie surowszym, a że posiadał i jurysdykcją duchowną, więc bali się go rajcy i odmawiali mu statecznie prawa mieszanego się do administracji dóbr szpitalnych.

Tak trwało jakiś czas, dopóki arcybiskupi więcej łagodni nie chcieli stawiać kwestyi na ostrzu miecza. Kiedy jednak na stolicy zasiadł Jan Zamoyski, człowiek i sam uczciwy i o prawa i dobro powierzonej sobie archidiecezyi nadzwyczaj dbały, wówczas zażądał stanowczo przedłożenia rachunków i opierającym się rajcom karami kościelnymi zagroził. Ustąpili tym razem rajcy, poczuwając się częściowo do winy i widząc, że arcybiskupowi chodzi rzeczywiście tylko o uporządkowanie dochodów szpitalnych. Stało się więc po woli Zamoyskiego, a ściśle przeprowadzenie kontroli wyszło szpitalowi na dobre, gdyż zarejestrowano przy tej sposobności dokładnie wszelkie dochody szpitala²⁾. Nie tak ułożyła się sprawa w kilkanaście lat później.

Zarząd miasta, nagradzając zasługi Kampiana i zapewniając procent od zaciągniętej u niego pożyczki, puścił mu w r. 1623 w dzierżawę wieś Skniłówek, nabytą dla szpitala w r. 1607 i przytykającą do dóbr arcybiskupich. Energiczny i rzutki Kampian starał się majątek jak najlepiej wyzyskać i popadł z tego powodu w konflikt z Próchnickim, który, jak i poprzedni arcybiskup, widziałby był chętnie, żeby wieś przyłączoną została do sąsiednich jego posiadłości. Próchnicki, dotknięty postępowaniem rajców, zażądał w odwet przełożenia rachunków z administracji szpitala, a gdy rajcy nie chcieli uczynić zadość temu żądaniu, widząc w tem wyraźnie osobistą pobudkę i nie chcąc ubliżyć Kampianowi, stojącemu właśnie u szczytu potęgi, zagroził nawet klątwę kościelną. Rajcy jednak groźby się nie zlekli i, za radą pisarza Zimnickiego i prywatnego obrońcy Magdaleńskiego, odwołali się do trybunału królewskiego, utrzymując, że pretensye arcybiskupa są urojone, a sprawa nie należy do sądu

¹⁾ Por. str. V, przedmowy w trzecim zeszycie źródeł pomniejszych I. c.

²⁾ Por. Pirawski I. c. str. 104 i 105.

duchownego. Wtedy Próchnicki groźbę wykonał i, obłożywszy kłatwą Kampiana, pięciu innych czynnych rajców (Erazma Syxta, Melchiora Wolfowicza, Jakóba Scholza, Marcina Korzeniowskiego i Hieronima Waydolta), tudzież obu prawnych doradców, kazał tę kłatwę z kazalnicy ogłosić. Tak surowy środek oburzył do żywego większą część ludności miasta, zostającej pod świeżem wrażeniem niespożytych zasług Kampiana i, kiedy jeden z kanoników począł rozkaz arcybiskupa wykonywać, powstał w katedrze rozruch niebывały: rzuceno się na ambonę, ściągnięto z niej kapłana i poczęto się odgrażać przeciw arcybiskupowi, który, ulegając namowie kilku zapalczywszych księży, chwycił się teraz środków jeszcze ostrzejszych i, rozszerzywszy kłatwę do trzech najwięcej zaangażowanych ławników, rzucił równocześnie interdykt na całe miasto. Dla większego postrachu zrzuceno świece z kazalnicy na ziemię, bito we dzwony jak podczas pogrzebu, a następnie wszystkie kościoły zamknięto i służbę Bożą odprawiać w nich zaprzestano. Była to kara straszna i jeżeli jeszcze w połowie XVIII stulecia szlachcie bał się rzucenia kłatwy ze strony proboszcza, to wówczas we Lwowie u ludności na wskrós katolickiej interdykt wywołał nadzwyczaj przynębiające wrażenie. Zaprzestano, powiada Zimorowicz ¹⁾, odprawiania mszy świętej, nie chrzczono dzieci, nie udzielano ślubu i nie grzebano umarłych przy asystencyi duchowieństwa. Na twarzach wszystkich rozpacz i smutek. Prerażeni więc rajcy udają się na sejmik, który się właśnie odbywał w Sądowej Wiśni i proszą kilku możnych panów o wstawienie się za nimi u arcybiskupa. Nie odmówili poparcia Jan Daniłowicz, wojewoda ruski, Jan Sobieski, starosta krasnostawski i Stanisław Mniszek, starosta lwowski, ale więcej niż ich prośby podziały na arcybiskupa przedstawienia szlachetniejszej części duchowieństwa, wykazującego, że lud, widząc kościoły przez 15 dni zamknięte, poczyną tłumnie do cerkwi uczęszczać. Dał się więc Próchnicki przebłagać i cofnął interdykt pod warunkiem, że rajcy, ławnicy i kolegium 40-tu mężów prosić go będą na klęczkach o przebaczenie i podczas pierwszej mszy za pokutę leżeć krzyżem na ziemi w czasie podniesienia. Wypełnili rajcy te upokarzające warunki, ale zniewagi sobie wyrządzonej nie darowali i wytoczyli arcybiskupowi proces przed nuncyuszem papieskim ²⁾. Nuncyusz sprawę rozstrzygnął na korzyść miasta, uwalniając rajców od składania rachunków z administracyi wszel-

¹⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1624. Więcej szczegółów u Józefowicza l. c. *sub eodem anno*.

²⁾ *Commissio et processus nuntii apostolici ratione hospitalis s. Spiritus cum illustrissimo archiepiscopo* znajduje się wymieniona między książkami biblioteki Zimorowicza. Por. wydany przezemnie inwentarz rzeczy i dzieł l. c. str. 15.

kiego majątku gminnego. Uparty jednak Próchnicki apelował do papieża i dopiero kiedy z Rzymu otrzymał wskazówkę, że proces przegra, bo komisya, z biskupów krakowskiego i kamienieckiego złożona, po przeprowadzeniu śledztwa przełożyła nieprzychylny dla niego wniosek, wówczas to dopiero ustąpił i, wszedłszy z rajcami w układy, wyrzekł się w r. 1626 wszelkich pretensyi do rządzenia szpitalem lub kontrolowania rachunków.

Tak zakończył się ów pamiętny zatarg o Skniłówek, a zakończył się smutnie dla stron obojga, skutkiem nierozważnego postąpienia arcybiskupa i poduszczania go przez kilku ludzi, powszechnej pogardy potem zażywających¹⁾. Ze strony arcybiskupa było to zawsze nadużycie władzy, że z pobudek tym razem prywatnej przeważnie natury chwycił się tak surowych środków wobec ludności na wskrós katolickiej i że, popychany wygórowaną ambicyą, domagał się poniżających dla miasta warunków i doprowadził ostatecznie do własnego upokorzenia. Wyszli też źle i rajcy, bo musieli udawać się po opiekę aż do możnych panów, ponieśli znaczne koszta na prowadzenie procesu i doznali niemalej zniewagi, choć niejednokrotnie przedtem złożyli dowody wielkiej żarliwości religijnej. Najgorzej jednak odbiło się to na szpitalu św. Ducha, gdyż odtąd jego dobra, wobec istniejącego we Lwowie systemu gospodarki gminnej, zdane zostały prawie wyłącznie na sumiennosc prowizorów i ich towarzyszy urzędu radzieckiego.

W trzy lata później w r. 1627 rozpoczął się i odegrał inny dramat. Była nim zacięta walka z owym wszechwładnym Marcinem Kampianem, który zapomocą energii i kapitału doszedł z czasem do takiej potęgi, że można go było nazwać słusznie dyktatorem miejskim. Pierwsze strzały w tej walce padają ze strony Erazma Syxta, niedawno przedtem razem z swym przeciwnikiem kłatwą obłożonego. Po nim ośmielają się i inni, aż wreszcie podnosi się całe miasto, zrzuca Kampiana z godności rajcy lwowskiego i wytacza mu proces o nadużycie władzy i niesumiennosc w administracyi. A choć go sam król bierze w opiekę i restytuje dwukrotnie w godności, to przecież ubóstwiany niedawno burmistrz, który uchronił miasto od ostatecznej zguby, upada i ginie w r. 1629, opuszczony prawie od wszystkich; dodajmy jednak, że ginie z godnością i wielkim pozostaje nawet w upadku.

Szczegółów tej walki ciekawej i charakterystycznej nie opowiadam, bo wątek zatargu bystro uchwycił i obu Kampianów, ojca i syna, zu-

¹⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1624: *Ceterum, qui hanc tunicam Christi in consutilem sciderunt... maerore animi intra triennium contabuerunt. Nomina illorum hucusque apud probos inter mala verba habitant.*

pełnie trafnie scharakteryzował szanowny autor Patrycyatu¹⁾. Do jego też malowniczego przedstawienia odesłać mi chyba wypada łaskawego czytelnika i z swojej dołączyć tylko skromną uwagę, że może pochodzenie Kampianów należałoby jeszcze dokładniej zbadać²⁾. Choć bowiem i ja nierównie większy zasób energii przypisuję naszym pokrzyżowanej rasy mieszczanom, niż czysto polskiej szlachcie rolniczej, to przecież te obie iscie posągowe postaci bezwzględnych i wszelkimi sposobami do majątku dążących doktorów wydają mi się jakby były przeszczepione z innej narodowości — jakiej? — nie chcę rozstrzygać.

W tymże samym roku, w którym przedsiębiorczy Kampian *morsu invidiae perivit*, widział Lwów w swych murach władków i panów ruskich, zebranych skutkiem polecenia królewskiego dla ostatecznego załatwienia unii i przyciągnięcia do niej tak obu biskupów, przemyskiego i lwowskiego, jakoteż i bractwa staupigialnego. Zjazd był liczny; metropolita unicki, sześciu władków, przewodniczący zjazdu Aleksander książę na Zaslaviu i Ostrogu, tudzież książę Puzyna i inni możniejsi panowie ruscy, którzy przeszli już na unię, brali w nim udział, ale dysunitów niewielu tylko pospieszyło na wezwanie królewskie do Lwowa. Cały tydzień trwały kazania, dysputy i uroczystości przy żywym udziale całej ludności miasta Lwowa, — rezultatu jednak nie było żadnego, bo schizmatycy trwali upornie przy swoim i unii przyjąć nie chcieli. Charakterystycznym też na zawsze dla postępowania Polaków pozostanie argument, jakiego schizmatycy użyli, gdy im Smotrzycki korzyści nowego obrządku przedstawiał: „Potrzeba to waszmościom wiedzieć, iż dyabeł nie tak bardzo straszny, jak go malują^{4 3)}. Pili tu widocznie do niebezpieczeństwa, jakie im ze strony króla i Polaków grozić mogło i wydali tem samem najlepsze świadectwo dawnej Rzplitej naszej. Poniżano w niej wprowadzić innowierców i dokuczano im, ale do brutalnych gwałtów Polacy nigdy się nie zerwali.

Tak zjazd władków ruskich przeminął bez skutku, natomiast Ormian lwowskich, podlegających dotychczas patryarsze eczmiadzińskiemu, jeszcze w tym samym roku 1629 pozyskano dla obrządku zachodniego. Przyjechał mianowicie w r. 1626 patryarcha ormiański Melchizedech do Lwowa i za pewną sumę pieniężną powierzył godność biskupią Mikołajowi Torosowiczowi, wbrew intencjom *nationis Armeniae* i mimo za-

¹⁾ Str. 83—114.

²⁾ Pochodzili z Koniecpola czyli Nowopola, własności Koniecpolskich. Dawniejsi pisarze jak Rasp, Zubrzycki etc. wywodzili nazwisko od Neufeld, które według nich przełożono później na *Novicampianus*, *Campianus*.

³⁾ Słowa te przytacza sam Zubrzycki l. c. str. 270.

biegi najmożliwszej podówczas rodziny Hołubowiczów. Ormianie lwowscy odpowiedzieli na to wypowiedzeniem posłuszeństwa nowemu biskupowi, a ten, widząc, że na stolicy utrzymać się nie zdoła, prosił Zygmunta III o opiekę i oświadczył się z gotowością przyjęcia unii i uznania zwierzchnictwa papieskiego. Król uradowany zgodził się na to chętnie, Torosowicza w godności biskupiej zatwierdził i wezwał rajców lwowskich, by mu wszelkiego użytyli poparcia. Po takim poparciu ze strony królewskiej Torosowicz już się nie zawahał i w kilka dni po wyjeździe władcyków ruskich 24 października 1629 r. przyjął uroczyste wiary katolicką. Ormianie jednak od razu przemocy nie ulegli, lecz kościół zamknęli i biskupa doń nie puścili. Wówczas wmieszał się w sprawę magistrat, opornych uwięził i Torosowicza w tryumfie do kościoła wprowadził. Powoli też zwycięstwo przechyliło się na stronę biskupa i jego zwolenników i po licznych zatargach, procesach i nawet bójkach ustalił się nowy obrządek we Lwowie tak, że we dwadzieścia lat później z dawnych schizmatyków tylko nieliczne resztki pozostały.

Do tych wypadków w najogólniejszych rysach opowiedzianych dodać należy jeszcze fakty, analogiczne zupełnie do opisanych w pierwszym już rozdziale. W r. 1625 nowa zaraza choć w nierównie mniejszych rozmiarach nawiedziła Lwów i zmusiła znowu Żimorowicza do ucieczki na wieś¹⁾. W pamiętnym śmiercią Kampiana, zjazdem władcyków i unią Ormian roku 1629 obchodzi miasto uroczyste beatyfikacją Andrzeja Korsyna, a w roku następnym nowa konfederacja wojska niepłatnego zmusza Lwów do okupienia się gotówką i towarami. Wreszcie we dwa lata później zaniepokoiła mieszkańców zacięta bójka między uczniami szkoły jezuickiej i katedralnej, jako nowa ilustracja coraz niezdrowszych stosunków. Bójki takie zdarzają się później coraz częściej i dowodzą wielkiego rozluźnienia się karności u młodzieży, jakoteż nierozumnej rywalizacji obu szkół. Nadto awantura, o której mowa obecnie, zakończyła się bardzo smutnie, bo nie tylko, że kilku z młodzieży śmierć w niej znalazło, ale jeszcze i przełożeni szkół w obronie swych zwierzchniczych praw wystąpili z ambony wrogo przeciw magistratowi, kiedy ten zabójców pokarał więzieniem. — Zresztą najazdy tatarskie powtarzały się w tym czasie niemal rokrocznie, a napad z r. 1624 dał oprócz tego powód do bójki ulicznej we Lwowie, która omal że nie przybrała większych rozmiarów i nie skończyła się zabiciem dwu szlachciców. Kiedy mianowicie hetman Stanisław Koniecpolski począł ścigać wracających ze zdobyczą Tatarów, ci wycięli starszych i osłabionych brańców i, zostawivszy dzieci na polu otwartem, uszli do siebie z dobo-

¹⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1625.

rowym tylko jasyrem. Hetman dzieci na wozach do Lwowa odesłał, a magistrat wystawił je na widok publiczny i pozwolił każdemu zabrać sobie jedno na wychowanie. W trakcie tego rozpuścił ktoś pogłoskę, że przekupiony przez żydów pacholek szlachcica Łahodowskiego chce im sprzedać jednego dorodnego chłopca. Tłum tą wiadomością poruszony nie pozwolił chłopca zabierać, a kiedy pacholek pomocy pana wezwał i ten z krewnym Magdaleniskim i liczną czeladzią nadbiegł, rozpoczęła się bójka, w której za interwencją rajcy Hepnera skończyło się wreszcie tylko na pobiciu obudwu szlachciców, ale sam Hepner wmieszania się swego omal życiem nie przeplacił.

Wśród takich to okoliczności skończyły się rządy Zygmunta, a niedługo potem i arcybiskupa Próchnickiego († r. 1633). Nastąpił we Lwowie nowy arcypasterz Stanisław Grochowski (1634—1645), a w Polsce objął rządy Władysław IV, w którym początkowo wielkie nadzieje pokładano. Nadzieje też zrazu ziszczać się zdawały. Moskwa zwyciężona musiała zawrzeć niekorzystny dla siebie traktat polanowski (27 maja 1634 r.), a prawie równocześnie hetman Stanisław Koniecpolski z małymi stosunkowo siłami gromi Tatarów budziackich pod Sasowym Rogiem (4 lipca 1633) i odnosi nie mniej świetne zwycięstwo pod Paniowcami nad Abazym-baszą i jego turecko-wołoskimi zastępami (22 października 1633). Toteż, kiedy nadeszła wiadomość, że następcą Osmana, sułtan Amurat VI, przyjął groźnie posła polskiego Aleksandra Trzebińskiego i począł się gotować do wielkiej wyprawy na Polskę, wówczas sejm, pod świeżem wrażeniem odniesionych dopiero co zwycięstw, oświadczył się z gotowością do podjęcia wojny i polecił rozpisać nowe zaciągi, a wojsku, wracającemu z wyprawy moskiewskiej, zdążyć w pospiesznych marszach na południowe kraju granice. Król sam, chcąc, jak niegdyś pod Chocimem, wystąpić w obronie całego chrześcijaństwa, zajął się gorliwie przygotowaniami wojennymi i zjechał w tym celu umyślnie do Lwowa, aby być bliżej widowni przyszłej rozprawy z niewiernymi. Przyjęcie, jakiego tu doznał Władysław IV, dozwala mi społeczeństwo lwowskie odsłonić z weselszej, dotychczas nietkniętej przezemnie strony i scharakteryzować dziecięce przywiązanie mieszczan do króla i tę ich naiwną a przytem i praktyczną naturę. Dla tego nie waham się rzucić jaśniejszego światła na ten ciekawy i charakterystyczny epizod, zwłaszcza, że łączy się on z wypadkami ważnymi do dalszych dziejów miasta i wiąże się bezpośrednio z Zimorowicza *Vox Leonis*¹⁾.

¹⁾ Powyżej podany szkic jestto ustęp ze wspomnianej już l. c. (ob. str. 16 i 64) mojej rozprawki, zmieniony tylko w kilku drobnych i nieznaczących rysach. Źródła, na których się opieram, znajdują się w tejże rozprawie przytoczone i dlatego ich ponownie na tem miejscu nie przytaczam.

Pożądana i drogą dla mieszczan lwowskich była osoba każdego króla, a cóż dopiero Władysława IV, w którym przy obiorze tak wielkie nadzieje pokładano. Król dla nich ojcem i panem, król dla nich obroną i uświęconą, niemal boską osobą, dla której najżywszy szacunek mieć należy, choć ramię jego nie zasłania już przed rozmaitemi nadużyciami możniejszych stanów. Gdy zawita w bramy miasta, to prawdziwe święto dla jego mieszkańców, do którego odpowiednio trzeba się przygotować. Nie dziw więc, że i teraz wieść o zamierzonym przyjeździe Władysława IV poruszyła do głębi wszystkich mieszkańców Lwowa i skłoniła naczelny zarząd miasta do zgotowania mu przyjęcia różnego nieco od tego, jakie my obecnie panującym urządzać zwykliśmy.

Na pierwszą zaraz wiadomość postanowiono przedewszystkiem zająć się urządzeniem bramy wjazdowej. W tym celu już 12 września, a więc na dwa tygodnie przed przybyciem króla, poczęto za pomocą wyłomu w murze zrobionego rozszerzać bramę krakowską koło „cekhausu“ czyli zbrojowni miejskiej, aby ustawić tam łuk tryumfalny, czyli „portyk“ lub *arcus triumphalis*. Wśród tej roboty przybył 16 września Bogatko, stanowniczzy królewski i stanął gospodą u Alberta Zimnickiego, owego w r. 1627 wyklętego pisarza miejskiego. „Oficyalistę“ królewskiego trzeba było sobie ująć podarunkami i sutem przyjęciem, „aby panów mieszczan gospodami nie angażował“. Mieszczanie lwowscy byli już do tego przyzwyczajeni, że nie darmo nie przychodzi i że pieniądz to najlepszy środek, trafiający najpewniej do przekonania tak pana jak i sługi. To też „z rozkazania panów radziec“ „zabiegając, aby miastu w dysponowaniu gospod ciężkości nie czynił“, dano mu zaraz „pieniężną stacyą“ i „podejmowano żywnościami“, póki król nie przyjechał. „Mięso, kury, pieczenie, ryby, chleb, jarzyny i przeróżne korzenie“ były na jego rozkazy, a miasto zapłaciło nawet za pół garnca wina, którem go „wyczęstował“ niejaki p. Rychnowski. Nadto gdy wszystkich podarunkami obdarzano, wpłynęło i do jego kieszeni 100 złp. „*pro contentatione* według dawnego zwyczaju“.

Za przybyciem stanowniczego zabrano się jeszcze raźniej do przygotowań. Posłano do proboszcza w Janowie i zarazem sekretarza królewskiego, celem bliższego „naradzenia się nad sposobem przyjęcia“ i zaczęto wybijać ściany z kamienicy Korniaktowskiej, późniejszej królewskiej¹⁾, do Szembekowskiej i Bernatowiczowskiej²⁾. Na pierwszym pię-

¹⁾ Dzisiaj Rynek I. 6. Jest to ta sama kamienica ks. Poniuskiego, na której w r. 1883 przybito tablicę pamiątkową na cześć pobytu w niej Jana III Sobieskiego.

²⁾ Dziś Rynek I. 7 i 8.



trze tych trzech w ten sposób z sobą połączonych kamienie urządzono pokoje dla króla i jego najbliższej rodziny. Okna stąd wychodziły na południowo wschodnią część rynku, który w ogóle, jak wspomniałem, nie przedstawiał się zbyt uroczno. Oprócz kramów, kramików i bud, koryta rybne, słoma i rozmaitego rodzaju śmiecie zalegały przed przyszłym mieszkaniem Władysława IV. Wszystko to teraz usunięto na czas pobytu króla, a lwa kamiennego, herb miasta wyrażającego, pomalował na nowo Stanisław malarz za skromną sumę 7 groszy polskich. Miał jednakże ów Stanisław¹⁾ i korzystniejszą robotę. Na wieży ratuszowej wznosił się jeszcze inny mniejszy lew, „lewkiem“ przezwany. Koło niego wybudowano teraz małe rusztowanie, z którego „Matys“ cieśla miał powiewać chorągwią srebrem haftowaną, a zdobną w herby Rzplitej i rodziny Wazów. Malowanych herbów do niej jak i do innych jeszcze chorągwi, potrzebnych podczas uroczystego wprowadzenia Władysława IV do miasta, dostarczył również ów Stanisław.

Równocześnie postępowała praca i nad wykończeniem portyku, którego przystrojenia podjął się przedsiębiorca Anzelm Świątkowicz za 100 złp., nie wliczając w to roboty ciesielskiej i murarskiej. Z zadania wywiązał się szybko, ale nienawistny wiatr „psował“ ustawicznie płótna i rajcy musieli je nowemi zastępować. Kiedy zaś wiatru nie stało, to znowu hajduki pańów dopuszczały się rozmaitych psot, aż wreszcie zapobiegła wszystkiemu miejska straż nocna, której osobnym rozkazem polecono czuwać nad dziełem dowcipu lwowskiego. Podobny los spotkał był i „emblemata“, drukowane częścią na papierze białym, częścią zaś na białej i ceglastej materyi jedwabnej, kitajką lub taftą zwanej. Już były w zupełności gotowe, kiedy okazało się, że drukarz (Jan Szeliga) się pomylił. Musiano mu je zwrócić i za wydrukowanie innych nowych 6 złp. zapłacić.

Następnie należało się zająć wynajęciem odpowiedniej orkiestry, której pielegnowaniu ówczesny Lwów nie oddawał się widocznie ze szczególniejszem zamiłowaniem. Mieszkał w nim wprawdzie muzyk Orzeł, który za „pół talara lewkowego“²⁾ ułożył w tym celu „echo *correspondens*“, ale właściwej, nawet skromnej orkiestry nie było. „Słało się“ więc po nią do Żółkwi i przywiozło w wigilię królewskiego przyjazdu. Nieliczna to była grupa muzykantów, kiedy zmieścili się na jednej „furmance“ i podobna w zupełności do naszych małomiasteczkowych, kiedy

¹⁾ Może identyczny z Stanisławem Drier, którego przytacza autor (Władysław Łoziński) Malarstwa cerkiewnego na Rusi w „Kwartalniku historycznym“, T. I, str. 200.

²⁾ Według ówczesnego kursu 1 złp. 7½ gr.

za trzy dni zajęcia zadowolili się 20 złp. „Spróbowali“ najpierw „grania na ratuszu“, a kiedy próba się udała, miasto dało im „kontentację“ 2 złp. i 10 gr. „aby pilni byli przyjazdu Króla JMci“. Oprócz tego umieszczono na wieży ratuszowej trębaczy, których obowiązkiem było trąbić podczas wjazdu króla na rynek, zatoczono działa na wały, aby strzałami armatnimi powitać upragnionego monarchę, postarano się o kosztowne podarunki i niezrozumiałą dla nas ilość ryb, korzeni, fig, i rozynek i zakupiono wreszcie odpowiednią ilość wina.

W wyobrażeniu ówczesnych ojców miasta brakło jeszcze jednej rzeczy, o którą koniecznie postarać się należało. Król dla nich był przede wszystkim osobą poświęconą i pomazańcem boskim, a jako taki nie może chodzić inaczej jak pod baldachinem umyślnie do tego sporządzonym. To też uproszono proboszcza od św. Ducha, aby za odpowiednią zapłatą pozwolił „pasamonom“ sporządzić baldachin w kościele jego pieczy powierzonym i nie szczędzono kosztów, aby całość wypadła okazała i godnie osoby królewskiej.

Nadszedł wreszcie 26 września, dzień „szczęśliwego przyjazdu Króla JMci“. Część dygnitarzy miejskich i dostojników szlacheckich i duchownych z miasta i okolicy wyjechała daleko poza Lwów, aby przywitać królewskiego gościa. Roje szlachty, mieszczan i ludu wiejskiego zaległy blanki murów i ulice miasta i przedmieścia krakowskiego, a drugie tyle ciekawych skupiło się w oknach lub przyłączyło się do procesyi, mającej poprzedzać pochód tryumfalny.

Wybiła właśnie na „całym“ zegarze dwudziesta druga godzina, czyli nasza czwarta (?) z południa, kiedy król wraz z dwoma przyrodnimi braćmi, Janem Kazimierzem i Aleksandrem Karolem, w otoczeniu dworu i senatorów zbliżył się do bram miasta. Zagrzmiały działa, odezwały się dzwony, a muzyka umieszczona na rusztowaniu obok łuku tryumfalnego zagrała jak mogła najgłośniej.

Na kilkanaście kroków przed bramą wjazdową wysiadł Władysław IV z powozu i mógł się teraz dokładniej przypatrzeć łukowi tryumfalnemu, na cześć jego wzniesionemu. Środkową część łuku tworzył „konterfekt wojny moskiewskiej“, zapewne nowe arcydzieło malarskie Stanisława. Naokoło obrazu wisały herby Wazów, Rzplitej, niektórych województw i miasta Lwowa, otoczone „emblematami“ przeróżnej treści i barwy. Wszystko to okalała wielka ilość chorągwi, powiewających w powietrzu i mieniących się barwami narodowymi.

Na widok zbliżającego się króla wyszli przed bramę wjazdową oczekujący go rajcy, a ówczesny burmistrz Maciej Hayder, jeden z najzamożniejszych mieszczan lwowskich, po dłuższej przemowie przywitał dostojnego gościa chlebem i solą i wręczył mu klucze miasta, złożone

na „szkarłatnym adamaszku“ i związane sznurkami z jedwabiu i szychu¹⁾. Król odpowiedział łaskawie i wśród nieustannego bicia z dział, okrzyków ludności i odgłosów muzyki, odgrywającej owo „echo *correspondens*“, przeszedł powoli przez łuk tryumfalny i zbliżywszy się do oczekującego go z procesją duchowieństwa, wstąpił pod baldachin atlasowy, suto złotem tkany i na przodzie orłem Rzplitej i koroną królewską ozdobiony. Wśród śpiewów kościelnych ruszył cały pochód zwolna ku rynkowi, gdzie „Matys“ cieśla powiewał z wieży ratuszowej chorągwią z „bagazyi ceglastej“, a trębacze głośnie trąbieniem „wszem wobec“ oznajmiali, że do miasta zawitał najwyższy dostojnik państwa polskiego. Stawiając na rynku nie udał się Władysław wprost do mieszkania, lecz choć drogą znużony wstąpił razem z całym otoczeniem najpierw do kościoła katedralnego i dopiero następnie po odśpiewaniu *Te Deum laudamus* podążył wraz z królewiczami do pokoiów dla siebie przeznaczonych.

Nazajutrz stawili się u króla rajcy miejscy i przynieśli na „karmazynowej tafcie“ bogate dary w upominku. Królowi ofiarowali dwa złote dzbany z nakrywkami wartości 1.212 złp. czyli mniej więcej naszych około 3.000 fl., a królewiczom dwa złote kredensy również z nakrywkami za 462 i 366 złp. Równocześnie zaproszono dostojnych gości na wspaniałą ucztę, która kosztowała 800 złp. i odbyła się w pomieszkaniu Marcina Groszajera, późniejszego rajcy i obrońcy Lwowa z r. 1648.

O kuchnię królewską miało miasto także staranie; oprócz sześciu wołów i jednej beczki wina dostarczało kilkakrotnie nader znacznej ilości wszelkiego rodzaju ryb, jakich tylko na Rusi Czerwonej dostać było można. Kiedy zaś król z powrotem do Warszawy odjeżdżał, to osobnym wozem prowadzono za nim w podarunku od miasta jeszcze jedną beczkę ryb, sześć kamieni wyziny czyli ikry wyzowej i dwa kosze fig i rozynek.

Pamiętali mieszczanie i o senatorach razem z królem przybyłych, których również ująć sobie należało. Kazanowskiemu, podkomorzemu koronnemu, dostał się w udziale koncerz złocisty, a ks. Gębickiemu, sekretarzowi wielkiemu, cztery pary kosztownych kobierców; Fredro, podkomorzy przemyski, otrzymał dwie pary podobnych kobierców, a Chrzanowski Jakób, pisarz skarbowy, bliżej nieoznaczony złoty upominek wartości 112 złp. Oprócz tego obdarzono ich winem równie jak i Jakóba Zadzika, kanclerza koronnego i innych, a kiedy odjeżdżali, to podobnie jak za królem szły za nimi osobne wozy pełne ryb, kawioru, fig i rozynek.

¹⁾ Mieszanina naśladująca złoto lub srebro.

Cały miesiąc przebywał Władysław IV we Lwowie;¹⁾ a w czasie tym zaszły wypadki doniosłego znaczenia tak dla całej Polski jak i dla samego miasta Lwowa. Z początku mieszczanie obok chwil radosnych mieli i smutne, gdyż widzieli wozy naładowane amunicją i innymi przyborami wojskowymi, spieszące na wschód, do armii zostającej pod rozkazami Koniecpolskiego i przypatrywali się mustrze nowo zaciągniętych sił zbrojnych. Widmo tureckie, odparte u samych granic przed trzynastu laty, zaciężyło znowu nad Lwowem i Rzplitą, zwłaszcza że rozmaite sprzeczne wieści dochodziły do uszu mieszkańców, oczekujących łada dzień ważnych wypadków dziejowych. Niedługo jednak tak trwać miało, bo oto koło 5 października nadbiegł goniec z listami oznajmującymi, że Turcy pod wpływem zawartego z Rosją pokoju zgodziła się na dość upokarzające dla siebie warunki, zobowiązawszy się do wycofania Tataarów budziackich z stepu białogrodzkiego i ukarania śmiercią sprawcy niepokojów, Abazego baszy, choć rozkaz uduszenia go sprawić miał sułtanowi niewymowną boleść. Nadto przyznała Turcy Polsce wpływ na obsadzenie gospodarstw Wołoszczyzny i Mołdawii i pozwoliła jej na zatrzymanie fortec nad Dniestrem, zrzekając się równocześnie sama utrzymywania większej załogi w twierdzach, po prawym brzegu tej rzeki położonych.

Wiadomość o zawarciu pokoju przyjął król niechętnie, bo wymknęła mu się z ręki sposobność wystąpienia w roli obrońcy całego chrześcijaństwa, ale mieszczanie lwowscy odetchnęli całą piersią i dali wyraz swej radości przez nowe salwy z dział, modły dziękczynne po kościołach, bicie we dzwony i palenie ognisk po ulicach.

Powszechną radość mieszczan mąciły wieści o nieszczęściu w łonie rodziny królewskiej. Królewicz Jan Kazimierz zachorował wnet po przyjeździe na ospę, która niezatarte ślady pozostawiła na zawsze na jego obliczu. 25-letni Kazimierz leżał odosobniony pod opieką wyznaczonych do jego pielęgnowania sług, gdyż prócz lekarza nikt nie śmiał narażać się na groźne niebezpieczeństwo. Jeden tylko królewicz Aleksander nie chciał brata opuścić i odwiedzając go podczas choroby osładzał mu chwile osamotnienia. Pod jego opieką podnosił się Kazimierz powoli z ciężkiej niemocy i 27 października był już na tyle zdrowym, że mógł towarzyszyć królowi w powrocie do Warszawy. Atoli Aleksander przypłacił życiem miłość braterską, bo zaraziwszy się od niego zapadł sam na ospę i umarł w drodze na dziewięć mil od Warszawy, przeżywszy zaledwie lat 20.

¹⁾ Odjechał dopiero 27 października. Por. kronikę ruską w Naukowym Sborniku z r. 1867. str. 276,

Bawiący we Lwowie król potwierdził miastu przywilej Zygmunta III na pobieranie sztukowego. Spieszyły też do niego cechy z prośbą o zatwierdzenie swych praw, prosili i rajcy o wygotowanie nowego dekretu, uznającego i utrzymującego w mocy wszystkie dawniejsze nadania i prawa, przyznane przez poprzednich królów mieszczanom lwowskim. Władysław nie zwlekał z położeniem podpisu na wygotowanych dokumentach, których musiało być nie mało, kiedy „JMei Pan Rudawski, pisarz dekretów“ otrzymał *pro contentatione* 100 złp.

Równocześnie z wygotowywaniem dokumentów wytoczyła się przed króla inna nierównie ważniejsza sprawa. Jeszcze za Zygmunta III, zaraz z początkiem XVII stulecia, upośledzeni w przywilejach przedmieszczanie z dzielnicy halickiej postanowili odłączyć się od metropolii i zanieśli prośbę do króla o pozwolenie założenia osobnego miasta, które na cześć królewicza miało otrzymać nazwę Władysławowa. Król sądząc, że w ten sposób uda się mu rozszerzyć niewystarczające już podówczas obwarowania niedogodnie pod względem strategicznym położonego Lwowa, w zasadzie zgodził się na żądanie przedmieszczan i wyznaczył osobną komisją, mającą się zająć wytyczeniem nowych, nierównie rozleglejszych fortyfikacji. Komisya, nie licząc się z ilością domów i ludności, pociągnęła przyszlą linią fortyfikacyjną w tak wielkich rozmiarach, że siły niebardzo znacznego miasta nie byłyby żadną miarą wystarczyły do skutecznej obrony tak znacznie rozszerzonych wałów. Zanieśli więc protest rajcy lwowscy i po kilkuletnich usiłowaniach udało się im przeprowadzić, że najpierw ścięziono o wielc zakresloną linią fortyfikacyjną, a następnie w r. 1607 zesłano dla bliższego zbadania sprawy znakomitego inżyniera Aurelego Passaroti'ego, który oświadczył się wprost przeciw zakładaniu w tem miejscu rozleglejszej twierdzy, utrzymując, że Lwów z wyjątkiem Wysokiego zamku jest tak niekorzystnie położony, iż stanowczo do żadnej fortyfikacji się nie nadaje.

Orzeczeniem Passaroti'ego ubito sprawę na czas dłuższy i dopiero w r. 1634 podnieśli ją na nowo przedmieszczanie haliacy i skorzystawszy z pobytu króla we Lwowie, zanieśli znowu prośbę do niego o założenie osobnego miasta, które teraz z kolei zwać się miało Kazimierzem. Król widząc naocznie niekorzystne położenie dotychczasowych fortyfikacji, nie licząc się wcale z danymi warunkami, zapragnął koniecznie rozszerzenia miasta i przystał również na prośbę przedmieszczan. Wyznaczono znowu osobną komisją wojskową, która włączywszy do obrębu przyszłego miasta okoliczne wzgórza, wytyczyła linią fortyfikacyjną na 4.896 sążni czyli 9 kilometrów długą. Był to oczywiście wielki nonsens, gdyż szlachta z zasady nie udzielała żadnych pieniędzy na wznoszenie twierdz, a zasoby 30-tysięcznego miasta były absolutnie niewystarczające do wy-

konania tak wielkiego dzieła. Zresztą chcąc bronić skutecznie tak rozległej linii, trzeba było przynajmniej 12—20 tysięcznej załogi¹⁾, której nie wystawiłoby z pewnością samo miasto i na którą przy istniejących podówczas warunkach zaledwie cała Rzplita z trudnością zdobyćby się mogła. Bronili się więc powtórnie rajcy przeciw tak niedorzecznemu przedsięwzięciu, ale król upierał się przy swoim. Robotę rozpoczęto kopaniem rowów i sypaniem wałów w dzielnicy Łyczakowskiej, a rajcom nakazano dostarczać codziennie 6 pieszych i 12 ciągłych robotników z pobliskich wiosek, do miasta należących. Podkopało to do szczytu na pół jeszcze znośne i niezależne stanowisko osadników wiejskich, bo rajcy chcąc i wezwaniu królewskiemu zadosyć uczynić i równocześnie nie zaniedbać uprawy gruntów, nakazali im zamiast dwu cztery dni w tygodniu odrabiać. Osadnicy oparli się temu i zanieśli żałobę do króla, powołując się na dawne przywileje i zwyczaje. Żałoba ich jednakże odniosła skutek wręcz przeciwny. Władysław IV, ponieważ tu chodziło o fortyfikacyą, zniósł dawne ich przywileje i przyznawszy zupełną słuszość rajcom przemienił tem samem dotychczasowych osadników w chłopów *glebae adscriptos* i do czterech dni robocizny w tygodniu zobowiązanych. Gromady oczywiście takiemu orzeczeniu nie chciały się poddać. Powstały po wsiach rozruchy, które stłumiono przemocą, a wyznaczona przez króla komisya, złożona z arcybiskupa Grochowskiego i referendarza koronnego Remigiusa Zaleskiego skazała naczelnika buntu na śmierć, a resztę opierających się na kłode i chłostę postronkami. Tak sam król dopomógł do tego, aby uciskany przez szlachtę stan mieszczański począł jak jego zwierchnicy²⁾ uciskać z kolei podwładnych sobie chłopów. Choć bowiem później, przekonawszy się o niedorzeczności przedsięwzięcia, zaniechano robót fortyfikacyjnych, to przecież rajcy poddanych od dłuższej robocizny nie uwolnili. W ten sposób i tu, jak i na całej Rusi Czerwonej wytworzył się żywioł niezadowolony, który czekał tylko sposobności, by zrzucić z siebie nienawistne jarzmo.

Zresztą po odjeździe Władysława IV zapanowała cisza złowroga, przerywana tylko to bójkami ulicznymi lub protestami Ormian schizmatyków, to znowu wiadomościami o buntach kozackich na Ukrainie, jako zapo-

¹⁾ W ówczesnych czasach w normalnych warunkach przestrzegano zasady, aby załoga liczyła przynajmniej tylu żołnierzy, ile kroków w obwodzie miała linia fortyfikacyjna. Ponieważ zaś na 1.000 sążni idzie 2,500 kroków, przeto do obrony nowego Lwowa trzeba było przynajmniej 12.240 ludzi.

²⁾ Wiadomo z historii naszej, że chłopów przemieniono w *glebae adscriptos* już w XVI stuleciu. Szczegółów do stosunków pańszczyźnianych w okolicy miasta Lwowa dostarcza Lustracya starostwa lwowskiego z r. 1570 l. c. str. 57—59.

wiedzią zbliżającej się burzy, która na długi czas do szczytu podkopać miała i tak już podupadający dobrobyt mieszkańców Lwowa.

Wśród takichto stosunków i okoliczności przemijał Bartłomiejowi wiek męski, w którym dobijał się dopiero znakomitszego na bieg wypadków wpływu, sam jeszcze nań nie nie wpływając¹⁾.

Wspomnieliśmy przy końcu rozdziału pierwszego, że Zimorowicz został w r. 1624 obrońcą sądowym, zaprzysiężonym i uznanym urzędownie. Z tą godnością łączyła się kwestya inna, kwestya uobywatelenia czyli pozyskania praw i przywilejów mieszczanina lwowskiego. Dotychczas bowiem był tylko przedmieszczaninem halickim, a jako taki nie mógł ani żadnej godności w mieście piastować, ani też nikogo przed sądem miejskim zastępować. Kto mu do tego dopomógł? Zapewne przede wszystkim własny spryt i własne zdolności, ale obok tego i wpływowi dobrodziej, którego nazwiska nie zapomnieliśmy nam podać Zimorowicz. Był nim bardzo bogaty i przez samego króla nadzwyczaj ceniony złotnik-jubiler, a później rajca lwowski, Mikołaj Siedmiracki²⁾. Bez wyższego wykształcenia, ale niepospolicie biegły w swoim rzemiośle, zwiedził całą niemal Europę i jak inni rozszerzywszy w ten sposób drogą doświadczałą zakres ogólnych wiadomości i wiedzy fachowej, doszedł do najwyższej w mieście godności i stał się niemal wyrocznią w kwestyach jubilerskich dla lwowskich towarzyszy.

Jakie powody mogły zbliżyć młodego podówczas Zimorowicza do siedemdziesięcioletniego prawie złotnika³⁾, bliżej niewiadomo. Dla nas zresztą wystarczy, że był to ze strony Siedmirackiego stosunek wielkiej życzliwości dla wybijającego się plebejusza, skoro jak się wyraża obrazowo Bartłomiej i muzy jego przedmiejskie obywatelstwem obdarzył i umożliwił mu małżeństwo z bliską krewną swej żony⁴⁾.

Uzyskawszy obywatelstwo lwowskie, mógł Zimorowicz już bez przeszkody oddać się zajęciom obrońcy sądowego i doradcy prawnego. A było to zajęcie nader intratne i zyskowne. W kupieckim Lwowie prawie każdy z mieszczan miał co chwila z sądem do czynienia, to zawierając kontrakt kupna i sprzedaży, to ścigając dłużników, lub dochodząc do-

¹⁾ Poniżej podane szczegóły opierają się przeważnie na stukilkudziesięciu aktach archiwum miejskiego, które podam wraz z wielu innymi do publicznej wiadomości, gdy ogłoszę część drugą monografii.

²⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1630 i Wł. Łoziński: *Złotnictwo lwowskie* str. 65--66.

³⁾ Umarł w r. 1630 *plus quam septagenarius*.

⁴⁾ *Leopolis triplex* l. c.: *Musus quoque mens civitate, me affinitate sua donavit*.

znanej od przeciwnika krzywdy. A że kupcy i rzemieślnicy, podobnie jak dzisiaj, na prawie się nie rozumieli, przeto na każdym niemal terminie upraszali o odroczenie sprawy, aby pójść do prawnika i z nim się naradzić, jakby to najlepiej na zarzuty przeciwnika odpowiedzieć. Weszło też w zwyczaj, że sąd z reguły na dylacją zezwalał i we dwa dni dopiero później jawił się pozwany lub oskarżyciel z nowymi argumentami i nowymi wywodami, spisany na przyniesionej ze sobą refutacyi, duplice, tryplice i kwadruplice. Często też kupiec sam się na terminie wcale nie pojawiał, ale mianował wprost obrońcę pełnomocnikiem swoim i zastępcą prawnym i wkładał nań obowiązek pilnowania rozpoczętej sprawy. Takie pełnomocnictwo zapisywano w księgach sądowych skrupulatnie, z wyraźnem nadmienieniem, czy obrońca miał pryncypała tylko w pewnej sprawie zastępować, czy też we wszystkich wogóle, jakie w jego imieniu przed sądem toczyć się miały.

Odpowiednio do takiego postępowania nie znamy wprawdzie wszystkich pism, które Zimorowicz ułożył, bo nie możemy zawsze oznaczyć, kto ich autorem, ale za to wiemy dokładnie, kto go pełnomocnikiem ustanowił i na podstawie tego możemy wytworzyć sobie dość jasne wyobrażenie o rozmiarze i rodzaju jego klientów.

Od r. 1624—1628 tj. w pierwszych pięciu latach czynności adwokackiej, przerwanej tylko ową ucieczką na wieś podczas zarazy w r. 1625, występuje Zimorowicz przed sądem, o ile stwierdzić możemy, ogółem 24 razy ¹⁾ i to prawie wyłącznie w czyjemś innem a nie swoim imieniu. Wspomnieliśmy już powyżej, że po raz pierwszy zaprawia się w wymowie jeszcze jako człowiek prywatny, kiedy 14 maja 1624 r. zastępuje ojca w sprawie z ową Bartoszką powroźniczką. Następne pismo pochodzi już od niego jako *ingenui causarum civilium ferendarii iurati* i dotyczy procesu dwu Rusinów: Strzeleckiego z Langiszem. Zimorowicz w obrobie pierwszego przedkłada duplikę, po polsku i niedołącznym jeszcze stylem pisaną, bez docinków i oratorskich ozdób, podówczas w powszechnem użyciu będących. Po Strzeleckim przychodzi kolej na ruchliwych Ormian, którzy zaszczycają Zimorowicza pełnem zaufaniem i tworzą najliczniejszą

¹⁾ Por. Arch. m. Lw. Od. V. *Ind. off. adv.* t. 20 p. 734 s. 764, p. 1200 s. 1292, p. 1341 s. 1426, t. 21 p. 219 s. 241, p. 797 s. 801, p. 825 s. 838. *Ind. iud. civ.* t. 31 p. 564 s. 246 i p. 699 s. 330. *Ind. off. cons.* t. 32 p. 1153, s. 777, t. 33. p. 123 s. 96, p. 946 s. 633, t. 34 p. 18 s. 13, p. 247 s. 167, t. 35 p. 1386 s. 848, t. 36 p. 345 s. 253, p. 1164 s. 714. *Ind. iud. Arm.* t. 10 p. 588 s. 528½, 706 s. 615, p. 794, s. 697, p. 830 s. 717, p. 943 s. 784, p. 952, s. 790, p. 956 s. 795, tudzież Od. II. fasc. 116 Nr. 8. Może być, że zapiszek więcej by się jeszcze znalazło, choć ja ich tylko tyle odszukałem, gdyż za wyczerpanie materiału wcale nie ręczę.

jego klientelę. Szymon Kostiwicz, Krzysztof Tomanowicz, Zacharyasz Ohanowicz (trzykrotnie), Elżbieta i Zofia Serebkowicz, Toros Torosso-wicz, Zacharyasz Jakubowicz czyli Zachnowicz i Krzysztof Piotrowicz, to mianują go pełnomocnikiem do niektórych tylko spraw, to liczą się do stałych jego klientów, których zastępuje on nawet w czasie ich nieobecności, jak np. Kostiwicza, gdy tenże wyjechał za towarami aż do Torunia.

Obok tych Ormian i ojca we wspomnianej już sprawie z Liskowiczami¹⁾ broni nadto Bartłomiej i biedniejszych mieszczan jak Wawrzyńca Piszczy-muszyca, Bazylego Buineckiego i Pawła Pełki, kuśnierza lwowskiego. Ze znaczniejszych osobistości mianuje Zimorowicza pełnomocnikiem tylko jego były przełożony Albert Zimnicki, pisarz urzędu radzieckiego, tu-dzież Jan Alnpek czyli Alembek, z dawnego trybuna obecnie spokojny rajca lwowski. Wreszcie znajduje w nim rzecznika i opuszczony od wszystkich dyktator, Marcin Kampian, wobec którego Zimorowicz nigdy nie postępował dwulicowo, jakto powiedziano mylnie w Patrycyacie na podstawie nienależycie zrozumianego aktu²⁾. Pismo sądowe, na które się

¹⁾ Por. wyżej str. 65.

²⁾ Szanowny autor Patrycyatu wyrządził Bartłomiejowi prawdziwą krzywdę, umieściwszy w swoim dziele na str. 96 następujący ustęp: „Nawet Bartłomiej Zimorowicz, taki podówczas jeszcze mały i taki pokorny, który później w historii swojej chwalić się będzie przyjaźnią Kampiana i nazwie go „kolumną miasta“, „szczęściem Lwowa“, „konsulem nadludzkim“, nawet i ten poeta nie boi się już teraz lwa, owszem występuje przeciw niemu jako rzecznik przed sądem ławniczym“. „Ten poeta“ był rzeczywiście podówczas pokornym, bo innym być nie mógł, gdyż i znaczenia jeszcze nie miał i stanowiska pracą się dobijał, — ale Kampiana, do którego zbliżył się zapewne dopiero podczas procesu, oceniał zawsze sprawiedliwie i trafnie i wygłosił o nim zdanie zupełnie podobne do charakterystyki, jaką podał nam szanowny autor Patrycyatu. Przecież własne to Zimorowicza słowa (*Leopolis triplex* pod r. 1629): *Verum ego, qui... Campianum domesticę introspectarem, non irem in fitias, vitia eum, ut sunt humana, habuisse, verum illa praegravibus in publicum factis redemisse; delatores autem magnitudinem eius allatrantes multa vitia Campiani, nullam autem virtutis illius umbram possedisse ausim firmare*. Tak pisał Zimorowicz jako starzec przeszło siedemdziesięcioletni i odpowiednio do tego postępował w nierównie młodszych latach. Przytaczam tu umyślnie odnośny ustęp z aktu, na którym autor Patrycyatu się opiera, aby interesowani przekonąć się mogli naocznie, iż słuszność po mojej stronie: Arch. m. Lw. Od. V. *Ind. iud. civ.* t. 31, p. 699 s. 330. *Iudicium criminale bannitum Leopoli feria 4 ante festum Nativitatis b. Mariae Virginis proxima a. 1628 legitime celebratum est (6 Septembris)*. Przy końcu aktu czytamy: *Et in continenti famatus Stanislaus Stęcel, vicesgerens communitatis, cum assistentia famatorum Alberti Surzyk, Ioannis Karcz, Stanisłai Dobieszowski, Alberti Boczkowicz, Iakobi Niewczas, Nicolai pistoris, Nicolai Kaczorkowicz, Bartholomei Szymonowicz, Hieronymi Brynnik, Bartholomaei Chmiel, Valentini Pilecki, Mathiae ephippiarii et aliorum 40 virorum, którzy się naprzód protestowali nomine totius civitatis na p. doktora Campiana: convellit iura civitatis et consuetudines antiquitus sacrosancte ob-*

autor powołuje, dowodzi owszem czegoś wręcz przeciwnego, dowodzi, że Zimorowicz w owej pamiętnej walce stanął po stronie ubóstwianego przez siebie męża i choć niewiele mu dopomógł, bo sam nie miał jeszcze większego znaczenia w mieście, to przecież postąpił jak człowiek uczciwy i nie sprzeniewierzył się nigdy dawniejszemu swemu przekonaniu.

Klientela Zimorowicza nie była więc zbyt rozległą, nie była jednak i małą jak na debiutującego dopiero obrońcę, który widocznie okazał i zdolności dosyć i sprytu niemało. Rośnie też szacunek u ludzi, zwiększa się i dobrobyt Bartłomieja, skoro w r. 1627 może już rymarzowi Szymonowi Karcewiczowi pożyczyć 150 złp.¹⁾ i skoro już w połowie r. 1625 zwie się *patricius Leopoliensis* i kupuje od spadkobierców Grzegorza Łyska za 100 złp. domek przy ulicy Gliniańskiej, wprawdzie nieznacznym i drewnianym, ale za to do gruntów jego ojca przypierający²⁾. W pojęciu ówczesnych mieszczan lwowskich brakło jeszcze Zimorowiczowi towarzyszek życia i trzeba też było obejrzeć się za nią, zwłaszcza że wrażenia młodocianej miłości dawno już przeminęły, a nowe stanowisko wymagało zastosowania się do wymagań społeczeństwa, wśród którego poeta żył i pracował. Poszedł mu w tem znowu na rękę dobroczyńca jego Siedmiracki i skojarzył małżeństwo z powinowatą swoją Katarzyną Duchnicówną, córką Anny Długoszówny i złotnika Szymona Duchny Dymideckiego³⁾. Wesele odbyło się 28 lutego 1629 r., a jako

servatas, prout daturos se promiserunt in copia. Przytem się deklarowali i opowiedzieli, że stoją przy propozycji p. doktora Sixta *iuxta protestationem ab eo factam contra dominum Campianum et eius puncta*, iż chcą *coniuncta manu* z p. doktorem Syxtem *indicare iniurias civitatis* i tę sprawę pocztą prosekrować *nomine publico*, chcąc *una cum instigatore ab officio consulari obtento, ingenuo Bartholomaeo Zimorowicz, causarum ferendario* do tej sprawy *in quolibet termino comparere et eam prosequi*. Ponieważ Zimorowicz nigdy nie był instygatorem miasta, przeto słowa od *ingenuo* do *ferendario* można uważać tylko za *dativus*, zawisły od czasownika *comparere*, a z tego wynika, że w chwili, kiedy Kampiana prawie wszyscy opuścili, „pokorny“ Bartłomiej podjął się jego obrony i zaliczał się do jego nader nielicznych zwolenników.

¹⁾ Por. *Ind. off. cons.* t. 35, p. 1386 s. 848 i t. 36, p. 1164 s. 714.

²⁾ Por. przytoczony już powyżej akt w *ind. off. cons.* t. 33, p. 946, s. 633 z datą 30 lipca 1625 r. Mała cena i brak przy słowie *domus* przydawki *lapidea* dowodzą dostatecznie, że był to domek drewniany woźnicy i przedmieszczanina halickiego.

³⁾ Nazwisko Duchny Dymideckiego daje mu p. Wł. Łoziński w *Złotnictwie lwowskim* str. 61—62. Co do przytoczonych szczegółów por. uw. 5. na str. 140 i *Leopolis triplex* pod r. 1629, gdzie Bartłomiej nazywa żonę: *Catharina Duchnicia*, jakto wynika z tekstu przechowanego w rękopisie biblioteki Ossolińskich l. 1876, podczas gdy inny rękopis tegoż ząkładu (l. 125) ma zepsutą lekcję: *Catharina Diutinicia*. Od tej zepsutej lekcji pochodzi Piwockiego (w przekładzie kroniki) Duktynicka, która następnie przeszła do wszystkich życiorysów i podręczników. Katarzyną Duchnicówną zwą ją też wyraźnie wszystkie

epithalamium na cześć oblubieńców służyły znane Roxolanki pióra młodszego Szymona Zimorowicza ¹⁾).

Wskutek tego małżeństwa, nie mówiąc już nie o posagu, bez którego, przynajmniej w skromnych rozmiarach, nie obeszło się, (por. uw. 5) spowinowacił się Zimorowicz z wybitniejszymi rodzinami w mieście i utworzył sobie drogę do przyszłych godności. Teś Szymon Duchna i syn jego Marcin ²⁾ byli zamożnymi i znanymi we Lwowie złotnikami. Nadto siostra tej pierwszej żony Zimorowicza, Anna Duchnicówna wyszła za kupca Antoniego Massary'ego, właściciela kamienicy w rynku położonej ³⁾, a ciotka, Jadwiga Długoszówna, wdowa po złotniku Balczerze czyli Baltazarze Strzeżkowiecu, była żoną wspomnianego już kilkakrotnie dobroczyńcy Bartłomieja, jubilera-złotnika Mikołaja Siedmiradzkiego ⁴⁾.

Wybór był zresztą i pod innym względem szczęśliwy. Katarzyna Duchnicówna, sądząc z rozmaitych wskazówek, to prawdziwa mieszcza Lwowska: niewielkiego wykształcenia, ale za to uczciwa, rządną i gospodarną, umiała pozyskać sobie przywiązanie męża, skoro ten oplakuje ją w osobnej sielance, nazywa *sanctae indolis et memoriae matrona* i jeszcze po latach wielu wzdycha do jej miłej postaci ⁵⁾, choć po jej

dotyczące akta miejskie jak *ind. off. cons.* t. 41, p. 69, t. 43, p. 80, t. 45, p. 1207, t. 54, p. 1255 i t. 55, p. 665. Imię i nazwisko teściowej i teścia Zimorowicza przechowały nam akta archiwum lwowskiego w *ind. off. adv.* t. 22, p. 1874 tudzież *ind. off. cons.* t. 43, p. 80, s. 50 i 51, podczas gdy *ind. off. adv.* t. 22, p. 2227, zawiera kilka błędów w oznaczaniu stosunku pokrewieństwa między Bartłomiejem a Duchnicami i Massarymi, które popełnił widocznie kopista protokół spisujący.

¹⁾ Tytuł edycji pierwotnej brzmiał: „Roxolanki to iest ruskie panny na wesela B. Z. z K. D. przez Simeona Zimorowicza Leopoli roku panskiego MDCXXIX dnia XXVIII lutego we Lwowie wprowadzone, a teraz światu świeżo pokazane roku pańskiego 1654“. Z tym tytułem por. wiadomość podaną przez samego Bartłomieja w *Leopolis triplex* pod r. 1629

²⁾ Marcina Duchnica nie ma w spisie złotników u p. Wł. Łozińskiego, zwą go jednak wyraźnie *aurifex* i *aurifaber* dwa akty sądowe w *ind. off. cons.* t. 43, p. 80, s. 50 tudzież s. 51.

³⁾ Por. również *ind. off. cons.* t. 43, p. 80, s. 50 i 51, tudzież liczne akty, o których mowa będzie jeszcze poniżej

⁴⁾ Por. Wł. Łoziński: Złotnictwo lwowskie str. 66 i *Leopolis triplex* pod r. 1630.

⁵⁾ Por. *Leopolis triplex* pod r. 1629 i początkowy ustęp w drugiej części testamentu Zimorowicza: *Quattuor amplexans genitalia corpora mundus per totidem elementarias nuptias tetrastegam fecit* (Pisał to Zimorowicz w r. 1666, żonaty po raz czwarty, a w dziesięć lat później u schyłku życia miał się jeszcze ożenić po raz piąty z Katarzyną Krupińską, szlachcianką i dwukrotną wdową), *ideo singulo eius penetralia omnino delineanda sunt mihi. Primum itaque basi eius lapidem supposuerat Catharina Duchnicowna, sanctae indolis et memoriae matrona. Haec ut posthumis etiam querimoniis fores praecluderet, omnium bonorum, quaecunque cum ea venerant mihi, ordinatione mutua haeredem ex asse dixit me scripsitque. Proinde hucusque nomen eius apud me in benedictione.*

śmierci jeszcze kilkakrotnie z innemi podzielił łożę małżeńskie. Ze słów też Zimorowicza poznać z łatwością, że łączyła ich ze sobą nie miłość gorąca, ale to ciche przywiązanie, które wypływa ze wzajemnego szacunku i staje się osłoda w ciężkich chwilach pożycia małżeńskiego. A było tych chwil niemało i u obojga Zimorowiczów.

W cztery miesiące po ślubie doszła Bartłomieja wiadomość o śmierci ukochanego brata w Krakowie, dokąd udał się był młodzieńczy jeszcze autor *Roxolanek* zapewne celem zasięgnięcia porady u lepszego lekarza. W rok później umiera dobroczyńca Zimorowicza Siedmiradzki¹⁾, a w kilka lat potem schodzi prawdopodobnie z tego świata i stary ojciec Ozimek²⁾, tak że z rodziny Bartłomieja zostaje przy życiu tylko jego matka i siostra, Agnieszka Wrzeszczowiczowa. Równocześnie żona traci siostrę, Annę Massarową³⁾.

Więcej jednak nierównie niż zgon młodego brata, starego opiekuna, tudzież ojca i szwagrowej dotknęła boleśnie Bartłomieja śmierć czworga małych dzieci, którymi obdarzyła go pierwsza małżonka⁴⁾. Był to cios okropny, — okropniejszy jeszcze rozmiarami i kilkakrotnem powtarzaniem się, bo godził w serce ojcowskie czterokrotnie, dopóki mu nie wydarł całego potomstwa. On to tłómaczy nam dalszą zmianę w usposobieniu poety, on wstrząsnął potężnie całym jego jestestwem. I trzeba było prawdziwie żelaznej woli i wielkiego zasobu energii, by wszystko przetrwać i nie oddać się rozpacz. Taką wolę i taką energię okazał w rzeczywistości ten zahartowany na nieszczęściach rodzinnego miasta mieszczanin. Ujrzawszy się na świecie sam z oddaną małżonką tylko, opuścił na chwilę ręce i na dwa lata zniknął nam z widowni, ale później złożywszy, jak mu religia nakazywała, swoje cierpienia Bogu na ofiarę, rzucił się napowrót w wir wypadków i rozwinął jeszcze większą działalność, jakby chcąc zapomnieć o wszystkim, co go tak żywo i boleśnie dotykało.

Kiedy śmierć dzieci nastąpiła, dokładnie nie wiadomo, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa przed r. 1638, gdyż właśnie w tym i następnym roku znika nam Zimorowicz z widowni, a w r. 1640 wychodzą dwa najpiękniejsze jego utwory religijne. Nadto, jak niżej poznamy, bierze Bartłomiej w r. 1643 siostrzeńca na wychowanie, a mniej

¹⁾ *Leopolis triplex* pod r. 1630.

²⁾ W aktach po r. 1640 występuje tylko 'matka uxor olim *Stomislai muratoria*.

³⁾ Por. akta przytoczone poniżej na str. 143.

⁴⁾ Por. Sielankę II, w. 2—26. Pisał ją Zimorowicz koło r. 1645, odzyskawszy równowagę umysłu, atoli i wtedy jeszcze właśnie ze wspomnianego tam poddania się wyrokom boskim wieje niekłamana rozpacz, która przed kilku laty szarpała serce poety.

więcej we dwa lata później pisze już uspokojony sielanką drugą¹⁾, w której boleść doznaną z powodu śmierci dziecię usiłuje złagodzić filozoficznym rozumowaniem. W ten sposób dziewięć lat pierwszych pożycia małżeńskiego (r. 1629—1637) odróżnia się stanowczo od następnych, a oświeca je znowu 53 aktów przechowanych prawie wyłącznie w księgach lwowskiego archiwum miejskiego²⁾.

Z początku oddaje się Zimorowicz z podwojoną energią obowiązkom i zajęciom patrona sądowego³⁾. Do klientów jego i w tych latach zaliczają się przedewszystkiem lwowscy Ormianie, a więc Krzysztof Augustynowicz, Urszula Zadikowiczówna, Krzysztof Axantowicz, Mikołaj i Szymon Awedykowicze, Krzysztof Tomanowicz, Szymon Balowicz, Kirkor Hołubowicz i Łazarz Krzysztofowicz czyli Dawidowicz. Równocześnie mnożą się klienci z innych sfer tak mieszczańskich, jak i duchownych, a nawet szlacheckich. Giestko, Jan Burynowski, powroźnik Jakób Szeliger, przedmieszczanin Jan Czech, krawiec Marek Kąkolnicki, oto szeregi mniej znanych osób, które powierzają swe sprawy Zimorowiczowi obok takich jak mieszczanin Zygmunt Groszwaier, kupiec, ławnik i kawaler złotej ostrogi Bartłomiej Maiernicki⁴⁾, szlachcic Jakób Greliński, tudzież Andrzej Czołhański, pełnomocnik Aleksandra Bałabana, starosty trembowelskiego, Wilhelm Kieyth, chorąży w pułku piechoty pułkownika Butlera i Krzysztof Janicki, proboszcz z Międzyborza. Sława i zaufanie do ruchliwego obrońcy wzrasta widocznie ciągle, skoro pod jego opiekuńcze skrzydła udają się nawet kupcy zamiejscowi, jak Ormianin z Turcji Owanis Allibarowicz, mieszczanin z Drohobycza Bazyli Zankowicz, Włoch (czy krakowianin?) Rafał Delpacy w sprawie z Robertem Bardinellim i wreszcie kupiec krakowski Juliusz czyli Dziuli Attavanti (Attawanty), który mu najwięcej daje do czynienia. Zimorowicz jest też opiekunem dzieci zmarłego mieszczanina lwowskiego Mrykotowicza i jeździ nawet w r. 1634 w sprawach miasta do Warszawy, aby tam przed sądem kró-

¹⁾ Ustalenie tej daty należy do drugiej części niniejszej monografii.

²⁾ Arch. m. Lwowa. *Ind. off. cons.* t. 37. p. 1452, t. 38. p. 837, 1152, 1285, 1915, t. 39. p. 1236, t. 41. p. 69, 921, 1117, t. 42. p. 90, 251, 269, 310, 783, t. 43, p. 80, s. 50 i 51, p. 552, t. 45. p. 1048, 1207. *Ind. off. adv.* t. 21. p. 1308, 1432, 1704, 2211, 2287, t. 22. p. 390, 564, 614, 787, 1318, 1351, 1667, 1754, 1874, 2009, 2227, 2304, 2330, t. 23. p. 49, 749, 762. *Ind. iud. civ.* t. 32. p. 1436, 1453, 1478, *Ind. iud. Arm.* t. 11. p. 277, 1214, 1215, 2054. *Prot. dnorum. iurisfid.* t. 46, p. 65, 465 i 519, tudzież Od. II, fasc. 256 Nr. 105, Arch. lw. aktów grodzkich i ziemskich *Ind. castr. Leop.* t. 382. p. 611, t. 386. p. 1421, t. 387. p. 1841.

³⁾ Tytuł Bartłomieja brzmi: *ferendarius*, lub *patronus* albo *prolocutor causarum civilium Leopoliensium iuratus*.

⁴⁾ Ob. Łozińskiego Patrycyat str. 81.

lewskim prowadzić proces z arcybiskupem i Ormianami lwowskimi¹⁾, a rajcy na drogę każą mu wypłacić 100 złp. Wreszcie prowadzi sprawy teściowej, Anny z Długoszków Duchniny²⁾, odbiera i wydaje jej trzecią część majątku spadłego na nią po zmarłej córce Annie Massarowej³⁾ i zastępuje ją w sądzie w procesie z służącą Reginą Formanką, która Massarego i teściową Zimorowicza oskarżyła o zatrzymanie jej należności za służbę, przyczem między nim a obrońcą oskarżycielki, Stanisławem Kunickim przychodzi do żywej wymiany zdań⁴⁾.

Taka wyteżona czynność zapewniała dostatnie utrzymanie rodzinie Zimorowicza i wpłynęła na zwiększenie dotychczasowego majątku. Zimorowicz z początku pożycza niewielkie sumy przedmieszczanom z ulicy Gliniańskiej i ubezpiecza je na gruntach dłużników z widocznym zamiarem rozszerzenia szczupłej posiadłości dziedzicznej. I tak w r. 1630 otrzymują od niego Łukasz Lissek (Łysek) i Katarzyna Młochowa 80 złp., które ubezpieczają na gruntach poza Łyczakowem leżących⁵⁾. W r. 1632 Elżbieta, wdowa po organiście Grzegorzu Gomołce, pożycza od Bartłomieja 40 złp., które spłaca we dwa lata później, przyczem widocznie skarżyła się na ciężkiego wierzyciela, skoro za jego powodem wsadzono ją do więzienia miejskiego i wypuszczono dopiero po złożeniu oświadczenia, że nie będzie nigdy rozsiewała pogłosek dobrej sławie Zimorowicza uwłaczających⁶⁾. Wreszcie krewny poprzedniej, przedmieszczanin Melchior Grygłowicz albo Gomołkiewicz, nie może uiścić się z długu zaciągniętego u Zimorowicza w kwocie 50 złp. i sprzedaje mu trzecią część sadu na przedmieściu halickiem położonego⁷⁾. Szereg tych drobnych spekulacji finansowych kończy nabycie w r. 1638 za 160 złp. trzeciej części sadu, należącego do wspomnianej co dopiero powyżej organistiny, Elżbiety Gomołkowiczowej, która widocznie zapomniała o owym uwięzieniu jej za przyczyną Zimorowicza i weszła z nim w nowe stosunki⁸⁾. Nabyta część sadu, szeroka na 28 łokci, ciągnęła się od uliczki

¹⁾ Arch. m. Lw. Od. II, nr. 105. Jestto autograf Zimorowicza, na którym *per abusum* podpisał się *notarius civitatis Leopoliensis*, choć tytuł ten począł mu przysługiwać dopiero od r. 1640.

²⁾ Por. *Ind. off. adv.* t. 22, p. 1874 i 2227.

³⁾ *Ind. off. cons.* t. 43, p. 80. Według prawa magdeburskiego dwie trzecie majątku spadło na męża Antoniego Massarego, a jedna trzecia napowrót na matkę.

⁴⁾ Arch. m. Lw. *Ind. off. cons.* t. 42, p. 310 i Arch. lw. aktów gr. i ziem. *Ind. castr. Leop.* t. 386, p. 1421.

⁵⁾ *Ind. off. cons.* t. 38, p. 837.

⁶⁾ *Ind. off. adv.* t. 22, p. 1351, 2330, *ind. off. cons.* t. 42, p. 783.

⁷⁾ *Ind. off. adv.* t. 22, p. 1754 i *ind. off. cons.* t. 41, p. 69.

⁸⁾ *Ind. off. cons.* t. 45, p. 1207.

złotej czyli Strumilki do uliczki Skotnickich i przypierała bezpośrednio do ogrodów Zimorowicza, choć zapewne nie dziedzicznych, tylko później dokupionych.

Nierównie znaczniejszej od powyższych operacyi finansowej dokonał Bartłomiej w r. 1635 przez zakupienie od teściowej za 2.000 złp. części kamienicy Hynkowskiej czyli Massarowskiej, położonej w rynku i spadłej na nią po śmierci wspomnianej już wyżej Anny Massarowej¹⁾. Zimorowicz całą kwotę wypłacił gotówką i miał już na tyle kapitału, że do ogólnej sumy zabrakło mu tylko 400 złp., które wypożyczył od bractwa św. Anny na 7 $\frac{1}{2}$ %²⁾. Wskutek tego nowego i znacznego nabytku stał się Bartłomiej jeżeli nie *bene natus*, to przynajmniej *possessionatus* i choć w zakupionej części kamienicy nigdy nie zamieszkał³⁾, to przecież jako jej właściciel mógł odtąd zaliczać do zamożniejszych mieszczan lwowskich w całym tego słowa znaczeniu. Tak spełniła się część jego marzeń, a urzeczywistnienie reszty nie dało również długo czekać na siebie. Zanim jednakże do tego przejdziemy, musimy się na-przód zająć dwoma innymi wypadkami, z których jeden zwłaszcza do-wodzi jasno, że pomimo dojrzalszego wieku i przeróżnych doświadczeń odzywała się jeszcze od czasu do czasu w Zimorowiczu dawna krewka natura i dawna żyłka młodzieńcza, skłonna do awanturniczych i gwałtownych ekscesów.

W rok po śmierci starego Siedmiradzkiego zjawia się syn jego Jan, doktor prawa, przed wójtem miasta i oskarża Zimorowicza, „że on dnia wczorajszego (16 października 1631 r.) o godzinie trzeciej w noc do kamienicy wpadł i czeladnika swego tamże przez piwnice wprowadził i wszedwszy *armatus* z kordem, z pistoletem i z krótką ruszniczką strzelał w kamienicy w progu, czuwając na zdrowie moje *hora insolita et tempore nocturno*, nie kontentując się przeszłym ekscesem, że nie o chłopca pogębkował, zdespektował, także mnie samemu na ucziwe nastąpił i na zdrowie odpowiada“. Ile prawdy jest w tem oskarżeniu, niewiadomo, bo obrona Zimorowicza do naszych czasów się nie przechowała. Akta milczą i nie podają wcale dalszego przebiegu procesu. Stąd wniosek, że zapewne przyszło do dobrowolnej ugody i Bartłomiej ze względu na pa-

¹⁾ *Ind. off. cons.* t. 43, p. 80. Co do położenia kamienicy por. także *ind. off. cons.* t. 49, p. 474 i *ind. ind. civ.* t. 34, p. 1936.

²⁾ *Ind. off. cons.* t. 43, p. 552. Natomiast *domum Staweckie vulgo dictam et in suburbio... Halickie vocato ante portam Cracoviensem... sitam*, kupił Zimorowicz od OO. Bernardynów nie dla siebie, ale dla szwagra Wrzeszczowicza. Por. *ind. off. cons.* t. 41, p. 1117 i *prot. dnorum. iurisd.* t. 46, p. 2184.

³⁾ *Ind. off. cons.* t. 50, p. 1669,

⁴⁾ *Ind. off. adv.* t. 22, p. 614.

mieć dobroczyńcy swego burzę zażegnał, ale mimo to wszystko, jestto akt charakterystyczny, stwierdzający prawdziwość przysłowia, że natura ciągnie wilka do lasa.

Innego rodzaju był drugi wypadek, który zaszedł w pięć lat po pierwszym. W jakiejś sprawie z Ormianinem Danielem Hołubowiczem, bronionej przez Zimnickiego i Zimorowicza, zapadł w sądzie grodzkim wyrok niekorzystny dla obydwu¹⁾. Obaj mieszczenie nie umieli ukryć swego oburzenia i znalazłszy się razem „w sądowej izbie radzieckiej“ wykrzykiwali z gniewem, Zimnicki, że pisarz sądu grodzkiego „dekretowi pociągnął piórka za dekretami“ a Zimorowicz że „dekret miał być w lesie uczyniony i naleziony“. Oskarżeni przeczą stanowczo podobnej insynuacyi, powołują na świadka woźnego radzieckiego i rzucają cień na charakter powodu, przypominając, że Hołubowicz „niedawno za swoje potwarliwe obietta i uszczypliwe pisma przeciwko sławetnym Krzysztofowi Zacharyaszowiczowi i Stefanowi Mikołajowiczowi, także *ad instar protestationis* wydane, przez dekret Krola Imci siedzeniem cały tydzień w więzieniu ratusznem i deprekacyą publiczną pokarany jest“. Może też być, że mają słuszość, choć z całą pewnością tego utrzymywać nie możemy, bo akta i tym razem nie podają dalszego toku procesu, — ale z tem wszystkiem właśnie z gwałtownej i uszczypliwej obrony poznać ich równie porywcze usposobienie.

Z latami pod wpływem przebytych doświadczeń niknęła powoli porywczosć Zimorowicza, który na jakiś czas, jakto już zauważyłem, cofa się w zacisze domowe i o dziwo! w r. 1638 i 1639 w zapiskach miejskich wcale się nie pojawia. Powód do tego niewątpliwie częściowo w śmierci czworga dzieci, a częściowo w pozyskaniu innych warunków do życia. Bartłomiej, dorobiwszy się większego kapitału, porzuca zawód obrońcy sądowego na zawsze i oddaje się teraz z kolei tak gospodarce na zwiększonym znacznie majątku, jakoteż i pracy nad własnem wykształceniem. Czytanie klasyków i studia historyczne uprzyjemniają mu teraz wolne chwile a wypadki w mieście i z jego życia prywatnego pobudzają na nowo uspioną twórczość literacką. Kiedy zaś, nie przerywając w ten sposób ułożonego trybu życia, powróci znowu do publicznej działalności, to zaraz z pierwszego napotkanego aktu, ujrzymy widoczny znak odniesionego tryumfu. Ten syn murarza i ten dawny przedmieszczanin na dorocznej elekcji dygnitarzy miejskich dostępuje 22 lutego 1640 r. godności pisarza urzędu radzieckiego, przekazanej mu przez rajców po śmierci Alberta Zimnickiego²⁾. Rajcy wprowadzają go natych-

¹⁾ Arch. lw. akt. gr. i ziem. ind. castr. Leop. t. 387, p. 1841.

²⁾ Ind. off. cons. t. 48, p. 238 i Od. III ks. 28 pod r. 1640.

miast w urzędowanie i oddają do dyspozycji kamienicę Stanowską czyli Budkowską, we wschodnim rogu ulicy szewskiej, dzisiejszej trybunalskiej, położoną, w której z dawien dawna mieściła się kancelarya pisarzów radzieckich¹⁾. Płaci z niej Zimorowicz tylko 150 złp. czynszu rocznego, a i te nie idą do kasy miejskiej, ale bywają obracane na nieodzowne i konieczne „reparacje“.

Nowe obowiązki spełnia Bartłomiej ku zadowoleniu przełożonych rajców, skoro ci wnet do swego grona go przyjmują²⁾; wywiązuje się z nich także i ku powszechnemu zadowoleniu publiczności, kiedy tylko raz spotyka go zarzut umyślnego niewydania aktów na rzecz Doroty Kisiołkowej, a i z niego unie się Zimorowicz oczyścić w zupełności³⁾.

Z dostąpieniem godności pisarza wzrastają znowu dochody Bartłomieja. Salaria czyli honorarya za wciąganie i wydawanie licznych aktów musiały wystarczać na opędzenie kosztów kancelaryi, ale pozostawiały zapewne i znaczną nadwyżkę, gdyż w r. 1644 nabywa od miasta na własność winnicę Hazowską czyli Osmolskiego; położoną „w ulicy za strzelnicą“ u stóp Stefanowej góry⁴⁾. Cena kupna wynosiła 950 złp., z których 250 płaci zaraz przy zawarciu kontraktu, a od pozostałych 700 zobowiązuje się dawać rocznego czynszu 50 złp.

Do nowo nabytej winnicy przenosi się poeta na mieszkanie i urządza się w niej jak może najprzyjemniej. Poprawia budynki, które zastał, stawia nowe i nie zaniedbując obowiązków pisarza radzieckiego i gospodarki na obok leżącym dawniejszym majątku, oddaje się z zamiłowaniem uprawie winnej latorośli. Zresztą między r. 1640 a 1645 nie doznał Zimorowicz gwałtowniejszych wzruszeń, choć i w tych latach życie mu całkiem spokojnie nie upływało. W r. 1644 umiera mu matka, zapisawszy poprzednio cały majątek jednemu synowi⁵⁾, gdyż córka jej Agnieszka Wrzeszczowiczowa zesła z tego świata jeszcze w r. 1640⁶⁾. Osierocony przez wszystkich Bartłomiej chciałby przynajmniej wziąć jed-

¹⁾ *Ind. off. cons.* t. 48, p. 696.

²⁾ Aktów, w których Bartłomiej występuje jako pisarz w imieniu magistratu, lub które wydaje na żądanie strony zo swoim podpisem, znajduje się oczywiście bardzo wiele, jak np.: Arch. m. Lw. Od. I, *fasc.* 26, *fasc.* 38, nr. 1, *fasc.* 162, nr. 20. *Prot. dnorum iurisd.* t. 46, p. 1835. Rękopis zakładu nar. im. Ossolińskich l. 2594 k. 7 i autograf tegoż zakładu l. 2424 etc. etc.

³⁾ *Ind. off. cons.* t. 49, p. 1383 i *ind. off. adv.* t. 25, p. 442.

⁴⁾ Oryginał kontraktu w arch. m. Lw. Od. III ks. 193, str. 31—35 a dwie kopie tamże Od. II, *fasc.* 185, nr. 6 i *fasc.* 502 nr. 1.

⁵⁾ Por. *ind. off. cons.* t. 49, p. 1450, przyczem zauważyć należy, że przedłożenie testamentu do oblatowania pozostaje zazwyczaj w związku z śmiercią testatora.

⁶⁾ *Ind. off. cons.* t. 49, p. 973.

nego ze siostrzeńców na wychowanie i wytacza proces szwagrowi o nie-sporządzenie inwentarza majątku pozostałego po żonie i o nieodpowiednie wychowywanie odumarłych przez matkę dzieci. Szwagier piekarz broni się jak może, ale urząd radziecki przyznaje słusność Bartłomiejowi i nakazuje Wrzeszczowiczowi, by sporządził inwentarz i oddał jednego chłopca wujowi, który go lepiej potrafi wyżywić i wychować¹⁾.

Obok tego spotykamy w aktach tylko protest Zimorowicza przeciw przedmieszczanom, którzy uszkodzili mu grunta należące do winnicy, kopiąc rowy i sypiąc wały fortyfikacyjne²⁾, tudzież czytamy o dwu dłuższych procesach, prowadzonych w sprawie kamienicy Massarowskiej, jeden ze szlachcicem Albertem Marszewskim, a drugi z kupcem Stanisławem Bryknerem. Szlachcic Albert Marszewski rościł sobie prawa do tej części kamienicy Massarowskiej czyli Hynkowskiej, która niegdyś należała do jego matki Zofii z Umienia Hynkowej i zdaje się, że sprawę wygrał, ale bez szkody Zimorowicza, który utrzymał się w całości przy swoich prawach³⁾. Natomiast Bryknerowi chodziło o dług w kwocie 378 złp. 19 gr., który nieboszczka Massarowa zaciągnęła u niego. Brykner żądał zupełnie słusznie, aby stosownie do podziału majątku jedną trzecią część zapłacił Bartłomiej, a dwie trzecie mąż zmarłej Antoni Massary. Atoli dawny obrońca innych umiał sprawę odwlekać utrzymując, że długu sam nie zaciągał, część posiadaną kamienicy zakupił za własne pieniądze i z majątku szwagrowej nie miał najmniejszego pożytku. Proces ciągnął się dłuższy czas, a kiedy po rozmaitych rodzajach *affectationum*, *exceptionum*, *contradictionum*, *impugnationum*, *reimpugnationum*, *confutationum* i *appellationum* zapadł w sądzie ławniczym niekorzystny wyrok dla Bartłomeja, wówczas przyciśnięty przez Bryknera zwraca się sam przeciw szwagrowi Massaremu, żąda od niego inwentarza majątku pozostałego po zmarłej i sprowadzą komisją „panów wiernych“, aby udowodnić, iż dach na kamienicy zepsuty a belki na strychu pobutwiały od zaciekającej wody. To poskutkowało. Przestraszony szwagier wchodzi z Zimorowiczem w umowę i godzi się na zapłacenie prawie całego długu, tak że Bartłomiej przyczynia się do tego tylko drobną kwotą 26 złp. 4).

Wśród takich to okoliczności i takiego krzątania się koło zwiększenia majątku nadszedł r. 1646 a z nim i nowy tryumf dla Zimorowi-

1) *Ind. off. cons.* t. 49, p. 973 i 1.006. *Prot. dnorum iurisd.* t. 46, p. 2189.

2) *Ind. off. cons.* t. 50, p. 1151.

3) *Por. Ind. iud. civ.* t. 34, p. 1936, 1938, 1939, t. 35, p. 121, 137, 171, 232 i 255.

4) *Por. Ind. iud. civ.* t. 34, p. 2014, 2017, 2019, 2032, 2034, 2042, 2047, 2066, 2073, 2076 i 2079; t. 35, p. 741, 764, 766 i 818 (s. 476 i 477); *ind. off. cons.* t. 49, p. 474, *prot. dnorum, iurisd.* t. 46, p. 2018, t. 50, p. 456 i *libri resign.* t. 10, p. 160.

cza. Na elekeyi odbytej w dniu 22 lutego w miejsce Pawła Dominika Hepnera, którego posunięto na godność konsularną, wybrano Bartłomieja ławnikiem miejskim z pozostawieniem mu dotychczasowego urzędu pisarza radzieckiego. Na tem kończy się drugi okres w życiu poety, bo choć dopiero we dwa lata później dostąpił gorąco przez siebie upragnionej godności rajcy lwowskiego, to przecież już jako ławnik zaliczał się odtąd do najwyższych dostojników miasta i nielicznej garstki patrycyuszów mieszczańskich, kierujących sprawami stolicy Rusi Czerwonej.

ROZDZIAŁ IV.

Panegiryki i poezye religijne.

(Nowe pobudki. — Łacińskie utwory prozaiczne. — Kierunek panegiryczno-religijny. — *Vox Leonis*, jego geneza i tok myśli. — Powstanie i warunki dobrego panegiryku. — Trudność utrzymania się w zakreślonych granicach. — Zalety utworu i zapatrywania polityczne Zimorowicza. — Wady i ujemne strony. — Wnioski na rozmiar samoistnej pracy autora. — Dwa panegiryki religijne: *Ecce Deus, ecce homo*: Geneza i dyspozycja. — Zawisłość od wzorów starożytnych i jej przyczyna. — Brak ciepła i odmienne wyobrażenia literackie. — *Advocatus mundi*: Sprzeczność z poematami religijnymi autora i upadek pod względem formy i treści. — Wytłómaczenie tych objawów. — Łacińska proza Zimorowicza i jej charakterystyczne znamiona. — Przesadne i nieumiejętne szafowanie tropami i figurami retorycznymi. — Poematy religijne; ich geneza i znaczna wartość literacka. — *Jesus, Maria, Joseph*. — Bezpośredni powód napisania. — Połączenie pieśni w jedną całość i tok myśli. — Symetryczna budowa wszystkich części. — Leoniny i niesłuszne ich lekceważenie. — Kilka słów o metryce Zimorowicza. — Zawisłość od pieśni kościelnych i naturalność uczucia. — Hymny na uroczyste święta Bogarodzice Maryej: Podobne warunki powstania. — Niejednolitość utworu. — Świadection Bieżanowskiego. — Czy Hymny przekładem tylko? — Wpływ Kochanowskiego. — Ogólne uwagi. — Zakończenie. — Zimorowicz pośrednikiem między dwiema epokami).

Przełom w życiu Zimorowicza pozostawił niezatarte ślady i w jego twórczości literackiej. Wśród czynności palestranta lwowskiego, zajęcia się gospodarstwem i pracy nad swoim wykształceniem odpoczywała muza Bartłomieja przez lat dziesięć i trzeba było dopiero nowych pobudek, by powstały nowe utwory. Takimi zaś pobudkami był pamiętny

¹⁾ Por. arch. m. Lw. Od. III ks. 28, pod r. 1646,

dla Lwowa przyjazd Władysława IV i strata dzieci, która religijnie wychowanego poetę do większej jeszcze żarliwości popchnąć musiała. W przeciągu więc dalszych lat ośmiu ukazuje się w druku aż pięć jego nowych utworów, a wszystkie odmiennie już zabarwione, wszystkie panegiryczno religijne, bo z dawniejszymi swywołnymi pod wpływem zmienionych stosunków nastąpił stanowczy rozbrat, a kierunek religijny i panegiryczny poczynął w literaturze stanowczo przeważać. Nie ograniczył się też autor obecnie do mowy ojczystej, ale zapragnął popróbować swych sił i w języku uczonych i całej ówczesnej inteligencji, w języku, który w literaturze pod wpływem studyów klasycznych utrzymywał jeszcze statecznie przewagę nad mową rodzinną, choć w życiu codziennem ustępował jej z konieczności pierwszeństwa. Zaznajomił się z nim Zimorowicz już dokładnie i własną pracą przyswoił sobie ten niezbędny zapas wiadomości z literatury starożytnej, jakim tu i owdzie według ówczesnego smaku popisać się należało. Mógł więc mieć otuchę, że sprosta nowemu zadaniu, zwłaszcza, że przebył już rodzaj próby ogniowej, tworząc jako palestrant niejedno pismo sporne w języku łacińskim. Wymagania wprawdzie tu i tam były odmienne. Łacina sądowa miała w pogotowiu pełno starych i utartych frazesów, które łatwo było opanować, a gdzie nie dopisał język łaciński, tam można było sobie pomóc wyrazem polskim lub z polskiego ukutym, podczas gdy tu silić się trzeba było na zwroty i okresy poprawnie budowane. Zawsze jednak przez częste używanie języka łacińskiego w sądach miejskich nabierało się wprawy i śmiałości do wystąpienia na szerszem polu, zwłaszcza że z powodu dłuższego czasu przy tworzeniu literackiego utworu temat można było swobodniej obmyśleć i spokojniej opracować. Nie zawahał się przeto Bartłomiej i wystąpił w r. 1633 najpierw z krótką łacińską mową *Ecce Deus, ecce homo*, pozostającą jeszcze w niewolniczej zależności od dzieł literatury rzymskiej, a następnie w rok później z panegirycznym utworem *Vox Leonis*, śmielszym w porównaniach i mniej zawiśłym od autorów starożytnych, ale z tematu podobnym do wydanej poprzednio Pamiętki wojny tureckiej. Z powodu tego pokrewieństwa myśli zajmujemy się też najpierw rozbiorem *Vox Leonis*, a to tem więcej, o ile że wcześniejsze od niego *Ecce Deus, ecce homo* łączy się znowu ściśle z trzema później wydanym utworami.

*

*

*

Chwila, w której goniec przywiózł do Lwowa radosną wiadomość o szczęśliwem odwróceniu grożącego niebezpieczeństwa i zaniechaniu kroków nieprzyjacielskich przez Turków, była rzeczywiście uroczystą i bar-

dziej nawet imponującą, niż kiedy przed trzynastu laty o niezdobyty obóz chocimski skruszyła się potęga i natarczywość młodego sultana. W jednym roku upokorzone cesarstwo północne i po raz wtóry zabezpieczony pokój ze strony wszechpotężnej porty Otomańskiej, która zgodzić się nawet musiała na warunki dla niej mniej korzystne i mniej jej pysze odpowiadające. Nie dziw więc, że po raz wtóry piersi każdego Polaka wypełniły się poczuciem dumy i potęgi, nie dziw, że poraz wtóry ozwał się chór panegirystów, w którym nie zabrakło i Zimorowicza. Bartłomiej wprawdzie jako mieszczanin nie służy piórem ku chwale ówczesnych potentatów i nie zniża się nigdy do opiewania radosnych wypadków w patrycyuszowskich rodzinach lwowskich, — ale tu chodziło o co innego, tu chodziło o moralne zwycięstwo krzyża nad półksiężycem, o uczczenie króla, którego panowanie tak świetnie się zapowiadało, a z którym go jak wszystkich mieszczan łączyła nie sympatyi i niekłamanego szacunku. Do złożenia zaś hołdu Stwórcy wszechświata i koronowanej osobie pomazańca boskiego, — był zawsze ochoczy, a cóż dopiero w tak poważnej chwili, gdy odgłos tryumfu i zapewnionego bezpieczeństwa rozległ się ponownie wśród murów lwowskich i odbił się rozgłośnem echem po całej Polsce.

Przyniosł więc w darze, co przynieść mógł. Na natchnioną odę nie stać go jeszcze było; może czas był za krótki, aby mógł sprostać zadaniu, a może wolał posłużyć się językiem łacińskim i czuł sam wyrażnie, że w tej mowie pomimo kilkuletniej pracy nie zdoła jeszcze złożyć wierszy poważnej chwili powagą myśli i formy odpowiadających. Zresztą miał gotowy wzór w utworach innych współczesnych pisarzy, a że widnokregiem myśli nie wznosił się ponad nich w sposób uderzający, przeto nie namyslał się zapewne długo i w *Vox Leonis*¹⁾ dał nam prozą na-

¹⁾ *Vox Leonis magno regi Polonorum Suecormque Vladislao IV, semper augusto ubique foelici triumphatori, ob pacem bello, gloriam pace ab effero Moscho, atheo Turca recuperatam, Leopoli MDCXXXIV, die XX Octobr. per Bartholomaeum Zimorovic oblata. Ex officina typographica Joannis Szeligae archiepiscopalis typographi anno Domini 1634 k. 12, in 4-o.* Jeden egzemplarz tego dziełka znajduje się w wyżej już wspomnianej bibliotece hr. Zygmunta Czarnieckiego, a drugi w publicznej cesarskiej bibliotece w Petersburgu. Por. litografowany *Correctur-Bogen des Katalogs der Russica in der kaiserlichen Bibliothek zu St. Petersburg* str. 1.000 nr 224 (Petersburg 1860). Na podstawie egzemplarza znajdującego się w posiadaniu hr. Czarnieckiego sporządziłem moje wydanie p. t. „Pobył Władysława IV we Lwowie w roku 1634 i Józefa Bartłomieja Zimorowicza *Vox Leonis*“ w sprawozdaniu c. k. gimnazjum lwowskiego Franciszka Józefa za r. 1887 i w osobnej odbite. Lwów 1887. Z obszerniejszego wstępu dołączonego do tegoż wydania przytaczam niejedno, choć rozbiór samego dziełka uległ radykalnej przemianie w niniejszej monografii.

pisany panegiryk, co prawda lepszy i bardziej natchniony niż inne tego rodzaju współczesne utwory, ale zawsze tylko panegiryk.

Po rycinie przedstawiającej herbowy snop Wazów, ozdobiony trzema koronami i podtrzymywany przez dwa lwy, z godła Rusi i Lwowa przejęte, następuje krótki wstęp, w którym autor uprasza króla, by dozwolił się uczcć Lwowianom w chwili, gdy za jego staraniem okręt skołatanej Rzeczypospolitej zawinął szczęśliwie do portu. — Snop Wazów — powiada dalej autor, stosując się do ówczesnego zwyczaju nawiązywania każdego panegiryku do herbu opiewanej osoby — przyniósł Zygmunt III z nieurodzajnej, kłakolem akatolicyzmu porosłej Szwecyi i przekazał Władysławowi, a ten ozdobił go potrójną koroną: polską, rosyjską i dziecięcą szwedzką. Polacy powierzyli mu wszystko, wolność i bezpieczeństwo, sławę otrzymaną po przodkach, rodzinę i dobytek — i słusznie, bo Władysław już przedtem dowiódł zwycięskimi wojnami, że na koronę w zupełności zasłużył. Ale oto Bóg mu jeszcze jedną nową ukazuje w oddali¹⁾. Siegnij więc po nią Władysławie i idź, dokąd Cię przeznaczenie wzywa i prowadzi!

Polska od wieków otoczona nieprzyjaciołmi. Od lat też tysiąca pięćdziesięciu i czterech nie ustają Polacy w walce o własną wolność, jak nie ustawali ich przodkowie sarmaccy, których rzymski pisarz Florus nazywa nie znającymi nigdy pokoju barbarzyńcami. Polacy wśród walki złączyli się w jedno ciało, zrosili w organizm o najpiękniejszej postaci i stali się przedmurzem Europy chrześcijańskiej. Przeszło nad nimi wiele już burz i piorunów, ale trudy mimo tego jeszcze nieskończone. Z północy i południa grozi jeszcze ciągle niebezpieczeństwo. Czuwajmy więc wszyscy i złączmy się pod chorągiew niezwycięzonego króla, który świeżo zadał nowy potężny cios wrogom.

Dozwolono temu tureckiemu potworowi pod niegościnnym Kaukazem wylęgłemu rozsiaść się w Europie, dozwolono mu bezkarnie zająć Grecyą i krzyż o ziemię powalić. Zachciało mu się więc następnie i Sarmatów podbić i w Polskiej krwi pragnienie ugasić, ale usiłowania jego tyle razy już w niwecz obrócono, że nie pozostało mu nic innego, jak chwycić się drogi podstępny, z której tak łatwo nie zejdzie. Miejmy się przeto na baczności, bo oto nowy Osman nam zagraża, nowy potwór straszniejszy i bardziej krwi chciwy, niż inne. Dzięki ci Władysławie, że starłeś jego pychę, żeś zmusił go do proszenia o pokój! Z tobą wszystkie nasze duchy opiekuńcze, z tobą wszyscy święci polscy i wszyscy dzielni królowie nasi! A żeś tego nowego sławnego czynu dokonał tu

¹⁾ Koronę cesarzy bizantyńskich.

we Lwowie, gdzie tylu innych królewskich twych poprzedników ustaliło przewagę oręża polskiego nad naszymi ustawicznymi nieprzyjaciółmi, przeto nowa stąd chluba dla miasta, któremuś przywrócił pokój, a z nim i poszanowanie dla ustaw, poszanowanie dla sprawiedliwości, tego jedynego puklerza słabszych i podwładnych.

Taką jest treść i takim tok myśli w tem ulotnem, prozą napisanem, łacińskiem pisemku, które jak wyżej nadmienilem w formę panegiryku ujęte odróżnia się przecież stanowczo od innych nader licznych w piśmiennictwie naszym podobnych utworów literackich.

Na nazwie panegiryku spoczywa niesłusznie kłątwa bez zastrzeżenia, jako postrach dla młodzieży i całego nowego pokolenia. Słuszna ona i uzasadniona tylko wobec późniejszych bezmyślnych dziwolągów literackich, ale całkiem nieodpowiednia dla panegiryku w ogóle, który jako osobny typ i oddzielna gałąź literatury pięknej ma takie samo prawo do obywatelstwa, jak każde inne dzieło ducha ludzkiego. Ojcem jego przecież sławny Isokrates, żyjący za czasów Platona i Arystotelesa, Ksenofonta i Demostenesa, kiedy Grecya miała jeszcze dosyć sił żywotnych i kiedy literatura jej wykazywała jeszcze utwory niespożytej siły i natchnienia. Dzieła Isokratesa pełne szlachetnych myśli i pod względem formy walczące o lepsze z dziełami pierwszorzędných stylistów ateńskich, czytano też chętnie i podziwiano na równi z utworami innych sławnych autorów i mowców greckich. I nie bez słuszności, bo choć były oznaką wyjałowienia niwy poetycznej, bo choć powstać i utrzymywać się mogły tylko z powodu zaniknięcia prawdziwych narodowych talentów poetycznych, to przecież mistrzowskim stylem olśniewały wszystkich i wielbiąc jedynie to, co uwielbienia było godnem, zastępowały poniekąd podniosłe hymny z minionej przeszłości i miały stanowczą przewagę nad nieudolną formą wyłaniających się jeszcze tu i owdzie adeptów nieszczęśliwego Parnasu. Jeżeli więc mimo to nie bez racji potępiono później naśladowców Isokratesa i cały ten przez niego do życia powołany prąd literacki, to odnosić się to tylko może do wypaczenia pierwotnej myśli i obniżenia się poziomu do śmiesznych i przesadnych a licznych i tuzinkowych kreaacyi tych pisarzy, co niby postępując drogą przez mistrza wskazaną starali się przypodobać i wkraść w łaskę możnych miast i ich potężnych naczelników. Tak zresztą później być musiało wobec coraz większego upadku i rozstroju i wobec natury samego panegiryku. Jeżeli bowiem w jakimkolwiek innym utworze nie łatwo autorowi zachować należytą miarę i właściwą granicę, to w panegiryku napotyka on na jeszcze większe trudności, bo tu nieodpowiednie z odpowiedniem styka się bezpośrednio, graniczy tylko o miedzę. Kiedy bowiem panegiryk ma odpowiedzieć zadaniu, to trzeba, by odnosił się tylko do ważnych wypadków dziejowych

i uwielbiał mężów rzeczywiście uwielbienia godnych, by autor, nie szukając pomocy w retorycznych sztuczkach i frazesach, w natchnionym i podniosłym stylu wypowiadał swe myśli powagą formy i treści z poważną chwilą licującą, nie popadając równocześnie w przesadę lub napuszystość. Że zaś takich ludzi i wypadków zawsze nie zbyt wiele, że w braku ich autor musi z konieczności podnieść skalę o jeden ton przynajmniej i brak rzeczywistych danych zastąpić sztuczną retoryką i poniżeniem przeciwników, przeto w ostateczności schodzi się do tego, co nasza literatura przy nienaturalnej zawistości sfer niższych od wyższych w tak bogatej mierze przedstawia. Nie wynika jednak bynajmniej z tego, by wszystko w czambuł potępić wypadło. Należałoby raczej oddzielić śmiecie, zdrowe ziarno przygłuszające, i z szeregu dobrze mi znanych dziwołagów wydobyć raz nareszcie to, co czytowane chętnie przez ówczesne społeczeństwo illustrowałoby znakomicie jego przekonania i uczucia i zarazem nie byłoby jeszcze koniecznie wyrazem upadku i poniżenia literatury. A czy do tego zaliczyćby można i *Vox Leonis* Zimorowicza? Tak, przynajmniej częściowo.

Chwila była rzeczywiście potężną i godną uwielbienia. Autor chwycił za pióro nie aby unosić się nad radosnem wydarzeniem w jakiejś możnej rodzinie, ale aby opiewać wypadek całą jego ojczyznę żywo obchodzący, aby przyozdobić skroń pierwszego w państwie człowieka, który jak się zdawało ujął ster rządów w energiczną i umiejętną pravicę. Natchnienie też Zimorowicza prawie nigdy nie opuszcza i widne w całym prawie utworze. Obok niego głęboka miłość miasta rodzinnego i ojczyzny, jej przeszłości i terażniejszości, jaśnieje tu niemal na każdej stronie i dochodzi do szczytu w ustępie, w którym autor napomina współziomków, by nie spoczywali na laurach zwycięstwa, ale czuwali ciągle i bez ustanku, gdyż pełno jeszcze niebezpieczeństw, gdyż u wrót stoją bez przerwy nieubłagani nieprzyjaciele¹⁾. To bezwarunkowo jasna karta w dziejach naszego mieszczaństwa, odbijająca przedziwnie od prywaty niektórych magnatów, poświęcających nieraz dla własnych osobistych widoków najżywotniejsze interesa całego społeczeństwa.

Nie mija się też autor z rzeczywistością, gdy w podniosłych wyrazach mówi o świetnem powołaniu religii katolickiej i wielbi nowego króla polskiego. Głęboką wiarę wyssał z piersi matki i wyniósł z najbliższego otoczenia, szacunku zaś dla królów, tych naturalnych sprzymierzeńców mieszczaństwa polskiego, nauczył się od innych

¹⁾ Por. str. 39 mojego wydania.

współziomków, starających się napróżno uchronić od coraz większych uroszczeń z dnia na dzień potężniejącej szlachty. Szacunek ten przelewa teraz na wszystkich królów polskich, a w szczególności na Władysława IV, choć — nie zaniedbujmy tego dobitnie zaznaczyć — rozporządzenia jego z czasu pobytu we Lwowie, nie licząc się z rzeczywistością, nie uwzględniały potrzeb upadającego miasta.

Z głębi też piersi płyną mu wyrazy, gdy pocznie mówić o dzielności przodków i sławie znakomitych wodzów polskich¹⁾, choć ci należą do wrogiego mu szlacheckiego obozu, a już jako mieszczanin całą duszę nam otworzy, gdy przejdzie do uwielbienia pracy pokojowej i jej błogich skutków dla poszczególnych jednostek. Jego odezwa do sprawiedliwości, zamierającej wśród wrzawy wojennej i budzącej się napowrót do życia z nastaniem ery pokojowej²⁾, brzmi jak cicha i łagodna skarga na niemoc ustaw krajowych i liczne nadużycia szlachty i patrycyuszów lwowskich. Zamilkła, powiada Bartłomiej, wśród odgłosów trąby wojennej sprawiedliwość, podpora tronu każdego monarchy, i okazała napowrót swe oblicze dopiero wtedy, gdy siostra jej, spokojność publiczna, powróciła do Polski pod osłoną pancerza Władysławowego. Nowe jej okazanie się przeszkodzi wyzyskiwaniu urzędów na niekorzyść rządzonych, nowe jej wystąpienie sprawi, że zli ludzie nie będą mogli ufać sędziom więcej, niż brzmieniu ustawy, że prawo nie pozostanie, jak dotychczas, martwą literą.

Wśród takich warunków mógłby *Vox Leonis* należeć do lepszych utworów Zimorowicza, gdyby znowu nie pośpiech w tworzeniu, gdyby nie zbytne przejęcie się ówczesnym sposobem pisania. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wiadomość o zawarciu pokoju z Turkami nadeszła do Lwowa z początkiem października w r. 1634 i jeżeli utwór nie miał się minąć z przeznaczeniem swoim, to musimy wierzyć autorowi i przypuścić, że go rzeczywiście doręczono królowi w dniu 20 października 1634 r. przed wyjazdem jego ze Lwowa. Zaledwie więc dwa tygodnie czasu miał Zimorowicz do napisania i wydrukowania utworu, wprawdzie niewielkiego, ale ozdobionego jeszcze nadto wspomnianą już wyżej ryciną. Był to w każdym razie za krótki przeciąg czasu do przetrwania rzuczonych na papier myśli; pośpiech musiał się uwydatnić w nienależycie ugrupowaniu przedmiotu i luźnem nieraz przechodzeniu z jednej myśli do drugiej, jakto już poznać z krótkiego streszczenia, podanego przeze mnie powyżej.

¹⁾ Por. str. 39, 43, 47, 49, 50 i 51.

²⁾ Por. str. 55.

Równocześnie nie zadowolili się autor stylem wprowadzie podniosłym, ale przecież wolnym od nienaturalnych sztucznych frazesów, lecz hołdując ówczesnemu smakowi zapragnął przyozdobić utwór wszelkiego rodzaju sztuczkami krasomowczemi, które na nas dzisiaj chyba ujemne wrażenie wywierają, ale podówczas były modnemi i zapewne nie pozostawały bez wpływu na czytelnika¹⁾. To doprowadziło go do napuszystości w formie i przesady w treści i zepchnęło na drugi plan właściwe zalety utworu.

Wzmiankę o złotej wolności (*aurea libertas*)²⁾, tudzież twierdzenia, jakoby Polska posiadała najszczytniejszą formę rządu, zwracającą oczy całej Europy na siebie³⁾, położyć jeszcze należy na karb osobistego przekonania autora, nabytego w szkołach i utrwalonego pod wpływem rozmów codziennych, atoli na innych miejscach niepodobna nie widzieć silenia się na tendencyjne przedstawienie rzeczy, choć ówczesna chwila nastreczała mu dosyć materiału, by z prawdą mijać się nie potrzebował. Autor nie ma dość słów pochwały dla dzielności oręza polskiego, pomimo że Tatarzy prawie corocznie tysiące ludu w jasyr uprowadzali, autor uniesiony zbyttem zapalem panegirysty przedstawia umyślnie cały szereg wypadków w świetle fałszywym⁴⁾ i podnosi czyny, których na innem miejscu później zganić nie omieszkał⁵⁾. Równocześnie przesadna żarliwość religijna, nie wspólnego nie mająca z powyżej nadmienioną głęboką wiarą syna kościoła katolickiego, popycha go do wyrażen nienawiścią przesiąkłych i niegodnych utworu literackiego. Jedyne prawowierny cesarz niemiecki zasługuje w jego oczach na wszelki szacunek⁶⁾, wobec innych zaś monarchów nie ukrywa się wcale ze swą niechęcią. Protestancka Szwecya, prawosławna Rosya, tudzież szczególnie muzułmańska Turcya otrzymują pełno obelżywych przydomków, z którymi by dzisiaj nikt nie odważył się wystąpić, ktoby nie chciał popaść w sprzeczność z ustawami państwa. Kto nie pojmuje dokładnie, jak mogli carowie rosyjscy dopominać się ukarania pisarzy za obrażające ich wyrazy, ten niechaj przeczyta liczne ustępy w *Vox Leonis*, odnoszące się do Turcyi i jej dwu sułtanów: Osmana i Amurata. Cały szereg obelżywych epitetów pomieścił tam Zimorowicz, aby

¹⁾ O figurach krasomowczych mówię obszerniej poniżej na str. 163 i nstp.

²⁾ Ob. str. 35.

³⁾ Str. 37: *Formae suae elegantia omnium gentium oculos in se convertit.*

⁴⁾ Por. uwagi w mojem wydaniu na str. 43, 47 i 54.

⁵⁾ Ob. tamże uwagę 2 na str. 46.

⁶⁾ Por. str. 36: *Maiestatem quoque Romanam cunctis adorandam gentibus feritate sua delibaverat.*

wzbudzić pogardę dla Turków, o których można było pisać, co się komu podobało, bo byli wyznawcami znienawidzonego i wrogiego dla chrześcijan mahometanizmu.

Obok tych zapatrywań autora i wskazówek odnoszących się do charakterystyki utworu, ważne są dla nas ustępy, rzucające światło na rozmiar i zakres samoistnej pracy Zimorowicza, która uwydatniała się głównie w dwóch kierunkach: czytaniu klasyków starożytnych i studiach nad dziejami ojczystego kraju.

Lektura pisarzy rzymskich postępowała dosyć szybko i pozostawiała widoczne ślady w utworach Zimorowicza, który bądźto przytacza całe zdania z przeczytanych niedawno dzieł, bądź też używa tylko zwrotów i słów, tkwiących mu jeszcze świeżo w pamięci. Podobna analiza, możliwa jedynie przy wielkiej ilości podręczników leksykalnych w filologii starożytnej, pozwala nam śledzić stopniowy rozwój wykształcenia poety i rozwiązuje nam niejedną zagadkę, której w braku pewniejszych źródeł wyjaśnićbyśmy nie zdołali.

Postępując tą drogą dochodzimy do wniosku, że oprócz Cyserona, którego stara się naśladować w budowie okresów, znane już były Zimorowiczowi dzieła Juliusa Florusa i C. Pliniusza starszego¹⁾, a prawdopodobnie także i Terentiusza Varrona i Horacego²⁾. Nad wszystkimi jednak góruje wpływ Enejdy Wergiliusza, z której poeta wyjmuje żywcem to pojedyncze słowa, to nawet całe zwroty³⁾. Szczególnie opis wędrówki Eneasza po Hadesie, tak pięknie przez Wergiliusza opisany, musiał mu dobrze utkwąć w pamięci, skoro najliczniejsze cytaty odnoszą się właśnie do księgi szóstej Enejdy.

Skrzętną też była praca Zimorowicza w kierunku dziejów ojczystych, jakto okazuje się dobitnie z licznych wiadomości historycznych, zaczerpniętych prawie wyłącznie z kroniki Kromera, z której wyciąg posiadał nawet we własnej bibliotece⁴⁾. Nie były to oczywiście studia historyczne, lecz tylko rozczytywanie się w kronice nader w Polsce rozpowszechnionej, ale rozczytywanie się pilne i staranne, skoro pomimo pośpiechu w tworzeniu mógł Zimorowicz popisać się wiadomością tytu faktów historycznych, ile ich jest w *Vox Leonis*. Kromerowi wierzy też

¹⁾ Por. wstęp w wydaniu mojem str. 22.

²⁾ Por. tamże str. 35, tudzież zwrot na str. 39: *Dulce et decorum est pro patria mori* (Hor. Carm. III. 2. 13) etc.

³⁾ *Brevia et syrtis praetervecta* (str. 33. *Verg. Aen. I, 111*), *lubet vitam pro laude pacisci* (str. 39, *ibidem V, 230*), *bella, horrida bella* (str. 36, *ib. VI. 86*). *I pede fausto, quo te fata vocant* (str. 36, *ib. VI, 96 i 147*), *illustres animas* (str. 39, *ib. VI, 752*).

⁴⁾ Por. wydany przezemnie Inwentarz rzeczy i dzieł l. c. str. 14.

Bartłomiej na słowo i zaczyna historią Polski od r. 550 po Chr. (str. 36), wspomina o Lechu założycielu i Krakusie (str. 51) i broni Sarmatów przed zarzutami Florusa, bo widzi w nich protoplastów narodu polskiego (str. 36). Wiadomości o wypadkach z czasu panowania Stefana Batorego i Zygmunta III wyjął zapewne Bartłomiej z pism ulotnych lub przytoczył na podstawie opowiadania ludzi jeszcze żyjących.

* * *

Inny zupełnie był powód do napisania *Ecce Deus, ecce homo*¹⁾, niewielkiej mowy²⁾ o meście Chrystusa Pana. Powstała ona prawdopodobnie pod wpływem śmierci pierworodnego dziecięcia Zimorowiczów i religijnych rozmyślań, jakim się wszyscy mieszkańcy Lwowa w czasie wielkiego postu oddawali.

W umyśle Bartłomieja tkwiło od dzieciństwa wiele pierwiastku religijnego, utrwalającego się i potężniejącego wraz z wiekiem i wzrostem katolickiej żarliwości mieszczan lwowskich. Onto już raz nakłonił krewkiego młodzieńca do wyszydzenia i znieważenia pismem Lutra i jego zwolenników. Onto i teraz, w czwartym roku pożycia małżeńskiego, skłonił poważniej już myślącego męża do szukania ratunku u Boga i powierzenia mu swego smutku i strapienia, kiedy prawdziwie bolesny cios ugodził w jego serce ojcowskie.

Na końcu mowy znajduje się wydrukowana aprobata ze strony Jana Baranowskiego, archidyakona wikaryusza dla spraw duchownych, generalnego oficera kapituły i censora książek w archidiecezji lwowskiej, który dozwala drukiem ogłosić tę mowę o meście Pańskiej, napisaną przez „znakomitego“, jak się wyraża, „autora“ (*ab authore egregio*), Bartłomieja Zimorowicza. Datowaną aprobatą we Lwowie 20 marca 1633 r., a więc w dniu przypadającym tegoż roku na niedzielę kwietnią czyli palmową, tj. w wigilię wielkotygodniowych godzin i rozmyślań, obchodzonych z całą żarliwością przez liczne bractwa lwowskie. Z tego zaś wynika, że Zimorowicz pragnął Bogu przynieść w ofierze dziełko nabożne i chwale Chrystusa Pana poświęcone i rozdać je między znajomych w tym czasie, kiedyto, jak wspominałem we wstępie (str. 59)

¹⁾ *Ecce Deus, ecce homo pro nobis passus, mortuus et sepultus. Leopoli anno Domini 1633 k. 6 in 4-o.* Jedyne egzemplarz przechował się w bibliotece hr. Z. Czarnieckiego. Z niego sporządziłem nowe wydanie w 3. zeszytach *Pomniejszych źródeł do dziejów literatury i cywilizacji polskiej w XVI i XVII stuleciu*. Stryj 1891, str. 31—41.

²⁾ Mową nazywa to dziełko sam Zimorowicz i aprobujący książkę (*orationem de passione domini nostri Jesu Christi*) kanonik Baranowski. Por. str. 40 i 41 mojego wydania. Jestto więc utwór identyczny z cytowaną przez bibliografów naszych i jakoby w polskim języku napisaną: Mową o meście Chrystusa Pana, z tegoż r. 1633.

szeregi na pół obnażonych biczowników dążyły wśród chłosty i wzajemnego smagania się do kościółka znalezienia św. Krzyża przy trakcie tanowskim położonego. Że zaś do tego zmanifestowania głębokiego żalu i skruchy obok przykładu, jaki miał w żarliwości tłumów, przyczyniły się także i jakieś bliżej nieokreślone strapienia, to zdaje się niewątpliwie wynikać ze słów samego autora, który porównując swoje własne cierpienia z bólami Chrystusa, zwraca się wprost do siebie z wyrzutem i wypowiada następujące słowa: Ciebie troski niepokoją, a oto ów przeżywszy wszelkiego rodzaju przykrości, upada sam z omdlenia, aby natomiast tobie przyrzec szczęście i spokój wieczny. Ciebie smutek gnębi, a oto z jego boku wytryska ciecz zbawienie przynosząca, która ma ci pierwotną siłę przywrócić. Ciebie nieszczęście dotyka, a ów przecież otwiera najskrytsze skarby hojności serca swego, bylebyś ty tylko dostąpił mienia twójego¹⁾. Miał więc poeta jakieś strapienia i zgryzoty umysł jego przynębiające. Ponieważ zaś równocześnie nie ma innych śladów i wskazówek ani w aktach, ani utworach Bartłomieja i ponieważ przeciwnie wszystkie dane przemawiają raczej za tem, że w materyalnem jego położeniu następowała ciągła zmiana na lepsze i że Duchnicówna była mu wierną i kochającą małżonką, przeto nie można tych słów prawdopodobnie odnieść do czego innego, jak do owej wzmianki w Sielankach o stracie czworga po kolei dzieci, z których zapewne jedno lub dwoje umarło jeszcze przed r. 1633.

Taką według wszelkiego prawdopodobieństwa była geneza tego również ulotnego pisemka, ubranego w formę mowy łacińskiej i złożonego z dwóch oddzielnych części, tj. przedmowy (*Iudices Christiani*) i właściwego tekstu (*Christus patiens*). Autor uprzytomniając katolikom uroczysty obchód dnia owego, w którym Chrystus przez Piłata skazany poniósł śmierć męczeńską z ręki rozjuszonych prześladowców, wzywa najpierw wszystkich chrześcijan, by w wydawaniu wyroków unikali nienawiści i chęci zysku i kierowali się zawsze tylko sprawiedliwością, a następnie oświadcza, że chce dotknąć tylko główniejszych punktów męki pańskiej, bo przebieg jej cały przedstawia zanadto niezmierny materyał, by mógł się pomieścić w ramach zamierzonego utworu. Nie

¹⁾ Jestto wolny przekład łacińskiego ustępu l. c. str. 39: *Tu sollicitudinibus angaris, ille omnibus molestiis devoratis languore contabescit, tibi tranquillitatem prosperitatis pollicetur. Tu aegrimonia conflictaris, ille latices saluberrimos ex singulis membris elicit, quorum ope pristinis viribus restituaris. Tu fortuna adversa laboras, ille thesauros magnificentiae suae usque ad abdita cordis repagula recludit, ut accessionem facultatum tuarum adipiscaris.* Że słowa te odnoszą się do Zimorowicza, a nie do ludzi w ogóle, dowodzi treść poprzedzającej stronicy poczynawszy od zdania: *Ego vero quotiescunque arcana haec supremi consilii mysteria pensiculate mecum examino.*

będzie się też wahał w opowiadaniu zapożyczyć u najznakomitszych mistrzów pióra, bo choćby, mówiąc słowami Wergiliusza¹⁾, miał sto ust i języków, to przecież nie zdołałby opisać wszystkich mąk i cierpień, jakie Chrystus przechodził. Następują potem rozmyślenia nad pojedynczymi szczegółami męki Pańskiej, przybrane w szatę retorycznych wykrzykników, zapytań i odpowiedzi, kończących się wyznaniem, że powodem męczarni Chrystusa my sami, niegodni słudzy jego. Naśladować więc chce autor tę ofiarę za grzechy nasze i godnym się jej łaski okazać; pragnie też i dla Maryi część wieczną zachować, bo i ona skutkiem przewinień naszych tak strasznych w osobie syna męczarni zaznała, bo i ona do wody niepospolitej dobroci względem nas złożyła.

Cała ta powyższa treść przedstawiona w słowach i zwrotach żywcem przepisanych z biblii starego i nowego testamentu, tudzież ksiąg pierwszych Liwiusza i mów Cyclerona, nowych dwóch autorów, których dodać należy do wiazanki pisarzy starożytnych znajomych Zimorowiczowi, nie wspominając już nic o szóstej księdze Enejdy Wergiliusza, o której potężnym wpływie na umysł Bartłomieja, widocznym i z tego krótkiego utworu, mówiliśmy już poprzednio przy rozbiórce *Vox Leonis*. Szczególnie mowy Cyclerona przeciw Katylinie, pełne krasomowczego talentu, sprawiły na pocie głębokie wrażenie i pobudziły go do naśladowania, przechodzącego w jednym miejscu w parafrazę²⁾. Oryginałem i własnem Zimorowicza jest tylko zastosowanie zapożyczonych zwrotów do Chrystusa, tudzież połączenie pojedynczych zdań i okresów, zdradzające jeszcze laika, nie władającego dobrze językiem łacińskim. Stąd przechód z jednej myśli do drugiej niejednokrotnie nieodpowiedni i naciągany, a obok prawdziwych pereł rzymskiej prozy klasycznej są wyrazy i zwroty barbarzyńskie, przez późniejszych pisarzy średniowiecznych lub samego Zimorowicza ukute³⁾. Jednem słowem występuje wszędzie obok niewolniczej zawisłości od wzorów starożytnych i nieumiejętna jeszcze ręka pisarza, który sięga po pierwsze wawrzyny na polu, dotychczas przez siebie nietkniętem. Doprowadza nas to do przekonania, że nie ważność przedmiotu, jak powiada autor, ale bojaźń nieodłączna od pierwszego wystąpienia, była przyczyną tak wielkiego zapożyczenia się u starożytnych mistrzów słowa. Zimorowicz postąpił sobie zupełnie tak, jak postępuje młody filolog, gdy mu wypadnie napisać pierwszą dysertacyą łacińską. Odbiło się to oczywiście na treści i obniżyło znacznie wartość całego utworu.

¹⁾ Enejda ks. VI, w. 625 i nstp.

²⁾ Por. l. c. str. 38.

³⁾ Por. uwagi w mojem wydaniu, do których możnaby dodać jeszcze cały szereg niezwykłych wyrażań.

Znając przekonania poety, musimy przypuszczać, że wierzył głęboko w to, co napisał, atoli samo *Ecce Deus, ecce homo* nie może wywrzeć na nas podobnego wrażenia. Zimorowicz parafrazując klasyczne wzory i siląc się na sztuczne zwroty i figury krasomowcze, pozbawił równocześnie swój utwór znamienia prawdy i rzeczywistości i odjął mu ożywcze tchnienie religijnego ciepła i z serca płynącego uczucia. Na darmo tam szukać będziemy owej naiwnej wiary, przemawiającej do nas prostotą wyrażenia i siłą i mocą niespożytego przekonania, — zastąpiło ją bowiem sztuczne nagromadzenie wyrazów, jakby przemocą w treści wcisniętych. Utwór Zimorowicza mógł nawet odpowiadać chwili i czynić zadosyć wymaganiom ówczesnych Polaków, atoli bezwzględnie wzięwszy nie ma on zalet, jakie napotykaemy w dziełach znakomitych pisarzy kościelnych, nie ma i tego, co podziwiamy tak bardzo w oryginalnych mowach pierwszego mowcy rzymskiego. To nie mowa, ale raczej szkolne ćwiczenie lub deklamacya nader zbliżona do owych *laudationes* i *declamationes*, które wygłaszano w pierwszych wiekach cesarstwa rzymskiego, kiedyto mowcom odebrano już możność wystąpienia na *forum* przed ludem, wśród krzyżujących się namiętności rozmaitych stronnictw i przeróżnych wrogich sobie żywiołów. I ich deklamacye, parafrazujące Cyserona i dawniejszych mowców ateńskich, podobały się słuchaczom i zyskiwały nawet ich poklask, bo zmieniły się wyobrażenia i przetworzyły stosunki na niekorzyść praw i sądów przez świetną tradycyę przekazanych. I Zimorowicza *Ecce Deus, ecce homo* trafiło zapewne do smaku lwowskiego otoczenia, bo nasze społeczeństwo z XVII stulecia stało się nader podobnem w przekonaniach literackich do epigonów owych pisarzy ze złotej doby klasycznej literatury rzymskiej.

* * *

W dziesięć lat później podczas wielkiego postu r. 1642 powrócił Zimorowicz jeszcze raz do tego samego tematu, zapewne z podobnych powodów. Wówczas to bowiem wychodzi z druku *Advocatus mundi*, (Obronca świata)¹⁾, nowy łaciński prozą napisany panegiryk, który sam

¹⁾ *Advocatus mundi ad perillustrem et admodum reverendum dominum dominum Stephanum Wydźga, praepositum, canonicum Leopoliensem, per Bartholomaeum Zimorowicz, civitatis Leopoliensis notarium, scriptus. Cracoviae ex officina typographica Francisci Caesarii anno Domini 1642. K. nl. 20 in 4-o.* Odwrotną stronę karty tytułowej tudzież dwie następne strony zajmuje przedmowa dedykacyjna do Stefana Wydźgi, datowana we Lwowie 15 marca 1642, na następnych zawiera się właściwy tekst bez jakiegokolwiek nagłówka. Ostatnia strona (40) wolna, nie zadrukowana. Egzemplarz tego wydania dawniej w mojem posiadaniu znajduje się obecnie w zbiorach zakładu nar. im. Ossolińskich.

autor opowiadaniem (*narratio*) przezwiał¹⁾. Osobiste stosunki poety były wtedy już zupełnie odmienne i kazałyby przypuszczać, że ten nowy utwór stanie nierównie wyżej od poprzednio wymienionej pierwszej próby w języku łacińskim. Bartłomiej, już podówczas pisarz miejski, znajdował się w sile wieku i dochodził do zenitu literackiej twórczości. Nieustanną pracą rozszerzył widnokrąg swej wiedzy, uzupełnił luki swego wykształcenia i wydał niedawno przedtem dwa poniżej omówione utwory, należące do najlepszych dzieł, jakie z pod jego pióra wyszły. Język łaciński przyswoił sobie w zupełności i władał nim tak biegle, jak polskim, — wszystko to warunki, każące się nam domyślać, że z nowym utworem w całej pełni liczyć się nam wypadnie. Tymczasem, rzecz dziwna ale całkiem wytłómaczona, *Advocatus mundi* jest najgorszem Zimorowicza dziełem, nie zasługującym nawet na to, by je powtórnie przedrukowywać.

Podobnie jak w *Ecce Deus, ecce homo* przechodzi Zimorowicz po przedmowie dedykacyjnej do Stefana Wydźgi, kanonika lwowskiego, wszystkie grozą przejmujące szczegóły męki Pańskiej od pojmania Chrystusa w ogroju aż do śmierci jego na krzyżu i kończy znowu opisem bólu, jakiego św. Marya na ten widok doznawała. Do każdego szczegółu dodane zawsze rozmyślenia, jakby z kazalnicy wygłoszone na temat ludzkich grzechów i niegodziwości, tudzież intryg i sidła zastawionych na nas przez dyabłów, odwiecznych wrogów naszych. Najwięcej też oczywiście epitetów dostaje się temu pokoleniu piekielnemu, a także żydom, Herodowi i Pontiusowi Pilatowi, którego autor usiłuje w jak najczarniejszym świetle przedstawić, aby mu odebrać wszelką sympatyę, jakaby w umyśle każdego chrześcijanina powstać mogła na wiadomość o przekazanych nam przez biblią usiłowaniach Pilata, aby ocalić Chrystusa od śmierci, grożącej mu z ręki sfanatyzowanych i rozjuszonych tłumów.

Układ więc zupełnie podobny do znajdującego się w *Ecce Deus, ecce homo*, ale co tam zawarto na pięciu niewielkich kartach, to tutaj opowiedziano trzykroć obszerniej, wśród ciągłych wykrzykników i nie-naturalnych figur retorycznych, wśród ciągłego powtarzania jednych i tych samych myśli w sposób tak rozwlekły i nużący, że potrzeba prawdziwego zaparcia się siebie, by przeczytać utwór od początku do końca i przebić się przez tę niesmaczną grę wyrazów i tę napuszystą i zagadkowych słów pełną łacinę, która wymagałaby osobnego i przynajmniej równie tak obszernego jak sam utwór komentarza. Cóż więc tego po-

¹⁾ Por. str. A. III, 2 i ostatnią E. IV, 1.



wodem i jakże to być może, by jeden i ten sam autor w jednym i tym samym prawie czasie zdobył się na podobny *Advocatus mundi*¹⁾ i równocześnie pisał *Jesus, Maria Joseph* i Hymny na uroczyste święta Bogarodzicy, należące do najlepszych utworów, jakimi poszczycić się może poezja polska ze srebrnej doby literatury naszej?

Zimorowicz, który się dopiero w dojrzalszym wieku rozczytywał w klasycznych pisarzach polskich i łacińskich, który dopiero po wielu latach pracy przyszedł do poznania, że właściwa poezja inaczej wygląda, niż jego wiersze młodzieńcze, pozostawał też przy tworzeniu poematów pod świeżym jeszcze wpływem poetów takiej miary jak Kochanowski i Szymonowicz i dlatego nie zwicznął swych zdolności i nie upadł tak nisko, jak późniejsi. Natomiast w utworach prozaicznych, prawie wyłącznie w języku łacińskim pisanych²⁾, ulegał prądowi, który w połowie XVII stulecia zapanował wszechwładnie w naszej literaturze, a którego powab zasadzał się na dążeniu do wszelkich nadzwyczajności. Z początku jeszcze nieśmiały i niepewny, wołał zasiląć się zwrotami przejętymi żywcem z przeczytanych pisarzy, ale później, gdy pierwsza powiodła się próba, w miarę coraz silniejszego ulegania wszechwładnemu kierunkowi i w miarę coraz większej biegłości w języku pracą i nauką nabytym, wyzwolił się szybko z pod tej zawisłości od wzorów starożytnych i prześcignął nawet współczesnych, wytworzywszy sobie odrębną, napuszystą i pełną stylistycznych zagadek łacinę. Z jej powodu ucierpiały też niemało historyczne utwory Zimorowicza, ale tam przynajmniej interesująca i ciekawa treść równoważył poniekąd dziwaczną formę, a nowe i nie przekazane przez innego pisarza szczegóły uprzyjemniają nużącą pracę odcyfrowywania tajemniczych i zagadkowych wyrazów. Tu zaś, w *Advocatus mundi*, treść była powszechnie znaną, a temat tylokrotnie omówiony, że mogło chyba tylko chodzić o powabną formę nowego przedstawienia. Tymczasem właśnie ta forma dla nas, mających inne w tym względzie zapatrywania, wypadła jak najnieszczęśliwiej i stąd urósł w oczach naszych dziwoląg literacki, który lepiej niech zginie w zapomnienia fali. Przynajmniej niema racjonalnego powodu do po-

1) *Advocatus mundi* oddałem po polsku przez „Obróńca świata“ ze względu na znaczenie, z treści całego utworu wynikające. Autor sam objaśnia te słowa nieco inaczej na karcie A. I. 2., gdzie czyniąc aluzję do swego urzędu pisarza miejskiego, który pośrednio ulegał władzy wójta (*advocati*), przełożonego sędziów lwowskich, nazywa Chrystusa *advocatum ab archigrammates coelesti factum*.

2) Oprócz Przemowy zboru witemberskiego w Testamencie luterskim nie pozostawił Zimorowicz żadnego utworu prozaicznego, w języku polskim pisanego, bo właściwy Inwentarz prowentów szpitala Ducha św. nie jest dziełem literackim, tylko rejestrem rachunków pieniężnych.

wtórnego jego wydania, jak np. niema racji do ogłoszenia drukiem wszystkich bez wyjątku niewykończonych fragmentów Słowackiego. Żarliwość religijna autora znana nam już dobrze z innych jego utworów, a okoliczność, że *Advocatus mundi* mógłby posłużyć za nowy okaz poniżenia naszej literatury, zbyt mało zaważyć potrafi na szali, bo takich okazów w piśmiennictwie polskim tak wiele, że dość jest sięgnąć po pierwszy lepszy panegiryk z XVII stulecia, by się o tem należycie przekonać.

* * *

Tak trzy wyżej wymienione utwory przedstawiają nam trzy stadia w rozwoju prozy łacińskiej Zimorowicza. Zależny w *Ecce Deus, ecce homo* w wysokim stopniu od innych (r. 1633), staje się Bartłomiej o wiele swobodniejszym w *Vox Leonis* (r. 1634), a w osiem lat później (r. 1642) posiada już wszystkie te właściwości, które odtąd będą tworzyły nieodłączną cechę jego stylu łacińskiego. W *Advocatus mundi* niema już dłuższych zwrotów przejętych prawie bez zmiany z autorów starożytnych, choć pełno wzmianek ¹⁾ dowodzących obszerniejszego czytania się w literaturze łacińskiej, a tylko jedna parafraza przesławnej ody Horacego ²⁾, odbijająca smutno i dziwnie od złowrogiego i przygłuszającego je otoczenia, jak kwiatek róży na polu naokół chwastami poroślem.

Równocześnie od pierwszej chwili stara się Zimorowicz usilnie o upiększenie stylu tropami i figurami retorycznymi i dochodzi w tem do nadmiernej przesady, odpychającej raczej niż przyciągającej ku sobie. Figury i tropy są wprawdzie koniecznymi, jeżeli styl autora niema się stać zbyt jednostajnym i nużącym i jeżeli ma wyrzucić głębsze wrażenie na umysł słuchacza lub czytelnika, atoli dobry mowca i stylista nie dozwoli im nigdy zapanować nad treścią i jej należytem rozkładem, użyje ich z umiarkowaniem w miejscach pierwszorzędnej wagi i starać się będzie o jak największą ich różnorodność, a unikać jak ognia bezustannego naciągania zwrotów i słów, aby określić jakieś pojęcie, nie zostające w żadnym z nimi związku. Tymczasem Zimorowicz, idąc za powszechnym prądem, postępuje sobie wprost przeciwnie ³⁾. W pogoni za figurami re-

¹⁾ Najważniejsze z nich znajdują się na stronach B. II. 1, B. III. 1, B. IV. 1, gdzie fałszywie Herkules zamiast Nestora wymieniony, C. I. 2, C. III. 1, C. IV. 1, C. IV. 2 i D. IV. 1.

²⁾ Por. ustęp na str. C. IV. 1 i Horacego *Carm.* III. 30: *Exegi monumentum aere perennius etc. etc.*

³⁾ Przykładów nie przytaczam, bo wymienienie jednego nie miałoby celu, a statystycznym zestawieniem i przywożeniem całego ich szeregu nie chcę nużyć ani siebie,

torycznemi traci z oczu wzgląd na treść i ugrupowanie całości, a używając ich nieumiarkowanie i nieumiejętnie, wywołuje napuszystość i tę nużącą jednostajność, którą właśnie zapomocą nich usunąćby powinien. Nadto używając z upodobaniem tylko pewnych figur, posługuje się innemi rzadko i łączy ze sobą wyrazy, wcale do siebie nie przystające. I tak ulubioną przez niego jest niezwykła i czasami prawdziwie niedorzeczna gra wyrazów czyli *παρανομασία* (*annominatio*), zgadzająca się najlepiej z napuszystością współczesnych panegiryków. Występuje ona z początku jeszcze nieśmiało i niewyraźnie, ale później, od *Advocatus mundi* począwszy, panuje już wszechwładnie w prozaicznych utworach Zimorowicza i jest główną przyczyną ich zagadkowości i tajemniczości. Obok tej wszechpotężnej pani znajduje się wprawdzie i cały zapas wszelkiego rodzaju możliwych figur, przekazanych nam przez starożytnych retorów, atoli najczęstszemi i w drugim rzędzie panującemi są tylko niektóre z nich, jakoto: retoryczne pytanie i wykrzyknik, dalej retoryczne uzasadnienie na początku okresu zwięzłe wypowiedzianej tezy, tudzież epanaphora czyli powtórzenie jednego i tego samego wyrazu na początku kilku zdań bezpośrednio po sobie następujących, a wreszcie umyślne sprostowanie (*correctio*, *ἐπιρροήσις*) i umyślne zamilczenie czyli *ἀποσιώπησις*. Bardzo często spotykamy się także ze stopniowaniem (*κλίμαξ*, *gradatio*) i przeróżnemi przenośniami (metaforami) i metonimiami, ale te podobnie jak gra wyrazów najgorzej się Zimorowiczowi udają, bo z pomiędzy wszystkich figur i tropów wymagają najwięcej wykształconego smaku estetycznego, jeżeli przy ich użyciu niema się popaść w nienaturalność i przesadę.

* * *

Przystępujemy z kolei do owych dwu wyżej wzmiankowanych poematów, które talent poetyczny Zimorowicza w właściwem świetle okazały, które niewątpliwie godne są takiej samej sławy, jakiej doczekały się jego sielanki u naszych romantyków z początkiem tego wieku. Głęboka wiara i odczytanie się w szlachetnych wzorach poezji starożytnej i nowszej kościelnej sprawiły, że Bartłomiej nie poprzestał na panegiryku religijnym, ale zapragnął spróbować swoich sił i na polu szlachetniejszym, na polu wymagającym niemałego natchnienia i zmysłu artystycz-

ani czytelnika. Kto się interesuje tą kwestyą, przekona się z łatwością o prawdziwości słów moich, jeżeli przeczyta choćby tylko kilkanaście kartek z któregośkolwiek łacińskiego utworu Zimorowicza.

nego, jeżeli ma wyrósć na niem roślina, co chwały swemu twórcy przysporzy i umysły czytelników zachwyci swoich barw pięknoscią i przeniesie ich w kraj inny od doczesnego, w kraj cudów i marzenia, posiadający wszystko, na co się zdobyć mogła wyobraźnia ludzka, a wypełniony urokiem szczegółów, których prawdziwemu chrześcijaninowi nie dano oglądać za życia ziemskiego. Tam z tęsknotą i upragnieniem zdążała też i myśl poety, a przepełniona żywą miłością wiara pobudzała jego natchnienie i nakazywała opiewać chwałę tych, których wielbić i kochać nauczył się za młodu i do których w chwilach trwogi i niemocy uciekał się z ufnością dziecięcia, w opiekuńczych skrzydłach rodziców całą nadzieję pokładającego. Innych powodów powstania obydwu poematów nie szukajmy, choć może i tu śmierć dziatki z pierwszego małżeństwa taką samą rolę odegrała, jaką u wieszczu czarnoleskiego odegrał zgon jego ukochanej Urszulki. Różnica w treści nie dowodziłaby jeszcze czegoś przeciwnego. Wprawdzie w ślad za śpiewem Kochanowskiego posypały się rozmaite Lamenty i Treny płaczliwie usposobionych wierszokleatów i spora ich liczba znaną była zapewne dobrze Bartłomiejowi, ale jak nie pociągnęły go one za sobą na siedem lat przedtem, kiedy tworzył jeszcze *Ecce Deus, ecce homo*, tak z pewnością i teraz nie wywarły przyciągającego wpływu, kiedy umysł jego dojrzał, a zmysł artystyczny wykształcił się skutkiem nieustannej pracy nad sobą. Za młodu, kiedy powstały „Żywot Kozaków Lisowskich“ i „Pamiętka wojny tureckiej“, byłby pewnie Bartłomiej uległ przemożnemu prądowi, ale teraz mógł zaprzagnąć czegoś odmiennego, czegoś szlachetniejszego i jego zmienionym przekonaniom więcej odpowiadającego.

Tak więc przedewszystkiem wiara i miłość ku wybranym nadziemskim istotom, a może także i nowy cios w ojcowskie serce godzący, pobudziły natchnienie Zimorowicza i dały początek dwom nowym poematom, już nie miłosnym i nie satyrycznym, ale o treści tak czysto religijnej, jak poważnem i spokojnem stało się usposobienie samego poety. Jeden z nich, w języku łacińskim napisany, ochrzcił poeta skromnem jak na ówczesne czasy mianem *Jesus, Maria, Joseph*¹⁾, drugiemu zaś nadał również nie szumny tytuł *Hymnów na uroczyste święta*

¹⁾ *Jesus, Maria, Joseph, trisagii et trismegisti salutis humanae protopatroni, natali Dei Hominis MDCXL hymnis XXVII per Bartholomeum Zimorovic civitatis Leopoliensis notarium celebrati. In officina typographica academiae Zamoscensis anno Dni 1640, kart. nl. 23 formatu małej oktauki. Z egzemplarza znajdującego się w bibliotece hr. Tarnowskiego w Dziłkowie przedrukowałem w 3. zeszycie Pomniejszych źródeł l. c. str. 1—28. (Stryj 1891),*

Bogarodzice Maryej¹⁾. Oba utwory wydrukowano w jednym i tym samym roku 1640 i to znowu nie we Lwowie, ale łaciński w Zamościu, a polski w Krakowie. Pochodzą też zapewne z jednego i tego samego czasu, bo formą i sposobem opracowania nader do siebie zbliżone od różniają się stanowczo od młodzieńczych dawniejszych utworów. Wartość ich literacka bardzo znaczna wyróżnia je także od późniejszego tylko o dwa lata *Advocatus mundi*, dziełka pod artystycznym względem w rażącej sprzeczności z nimi pozostającego. Wytlómaczenie jednak tego tak dziwnego przeciwieństwa podaliśmy już powyżej, wskazawszy na odmiennie czynniki, jakie oddziaływały na poetyczną twórczość Zimorowicza i na wyrobienie się sztucznej a szumnej jego prozy łacińskiej, tu zaś tylko jeszcze nadmienimy, że i współcześni podobny sąd wydali, skoro już w następnym zaraz roku okazała się potrzeba powtórnego wydania „Hymnów“ i skoro *Jesus Maria Joseph* zasłużył sobie na zaszczytne wyróżnienie u Rudomicza i doczekał się przesadnej nawet pochwały ze strony Krasuskiego, podczas gdy *Advocatus mundi* przebrzmiałby był w literaturze naszej bez wieści, gdyby nie sucha wzmianka w jednym *Leo Leopoliensis* Rudomicza. Widocznie poematy Zimorowicza wywarły i na współczesnych nierównie większe wrażenie, niż jego panegiryki prozaiczne, widocznie i ci współcześni nie zapomnieli jeszcze zupełnie pojęcia o należytej formie i umiając odróżnić ziarno od plewy, dostarczyli zarazem pouczającego przykładu, że historyk literatury i w wieku XVII powinien przede wszystkim liczyć się z przekonaniem współczesnych, jeżeli ma słusznie osądzić plody ich ducha i wiernie odtworzyć idee i czasy już dawno minione.

* * *

Jesus, Maria, Joseph, to zbiór 27 hymnów łacińskich wydanych w czasie adwentu²⁾ r. 1640 i napisanych dla użytku lwowskiego bractwa literatów czyli Panny Maryi, obchodzącego ze szczegółujszem nabożeństwem msze, znane pod nazwą rorat. Zimorowicz, podówczas już pisarz miejski, był zapewne członkiem tego najstarszego i powszechnym

¹⁾ Hymny na uroczyste święta panny nad matkami, matki nad pannami, najswiętszej Bogarodzice Maryej przez Bartłomieja Zimorowicza r. 1640 napisane. W Krakowie w drukarni Franciszka Cezarego, kart. nl. 18 formatu małej oktavki. Z egzemplarza biblioteki Jagiellońskiej wydał i przedrukował dr. Władysław Wiślocki w bibliotece przedruków. Kraków nakładem księgarni D. E. Friedleina r. 1876, str. I—XIII i 1—34. Drugie wydanie z r. 1641, różniące się tylko tem, że pierwsza pieśń: Zdrowa bądź Marya zamieszczona tam na końcu zamiast na początku, wydobył na jaw znany antykwarz lwowski Igel i sprzedał niedawnymi czasy hr. Zygm. Czarnieckiemu w Rusku.

²⁾ Por. Pirawski l. c. str. 93 i Zimorowicza odnośny ustęp w *Viri illustres*.

szacunkiem otoczonego bractwa i chciał mu się przysłużyć przez ułożenie pieśni zbliżonych do kołęd i zastósowanych do obchodu pamiątki narodzenia się Chrystusa. Oczywiście był to tylko powód bezpośredni, drugorzędnego znaczenia, który wpłynął zapewne na obranie odpowiedniej formy wiersza, podczas gdy powyżej podane okoliczności, z usposobienia poety i stosunków wynikające, stały się główną podniętą do ponownego obudzenia się jego natchnienia poetycznego a zarazem wspólnie z istniejącym prądem w literaturze współczesnej i główną przyczyną skierowania twórczości ku poematom religijnym. Cały zbiór poświęcił rajcom lwowskim, opiekunom bractwa i swoim bezpośrednim przełożonym, jakto wynika z przedmowy, której druga połowa zbyt prozaiczna i zbyt sztuczna i naciągana jest jedynym dysonansem w całym tym szeregu pieśni nawną prostotą technicznych. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że są to same pieśni luźne, ze sobą tylko ogólnie wytkniętym celem powiązane, gdyż przeciwnie, jak w każdej z nich zachowana zawsze symetria, ody Horacego przypominająca, tak znowu między wszystkimi istnieje naturalny przechód myśli i ścisły logiczny związek. Za jego pomocą łączą się pojedyncze pieśni najpierw w trzy oddzielne części, Chrystusowi, Maryi i Józefowi poświęcone, a w dalszym znowu następstwie w jedną nierozdzielalną całość o osobnym wstępie i zakończeniu, grupującą się koło jednego wypadku narodzenia się Jezusa, jako oczekiwanego przez wszystkich messyasza. Wykaże to lepiej i dokładniej bliższe przyjrzenie się dyspozycji całego poematu.

X Siedem pierwszych „hymnów“ poświęcił wprawdzie poeta wyłącznie rodzącemu się Chrystusowi, ale na czele ich umieścił pieśń (I), służącą zarazem za introdukcją do całego utworu. Jest nią podniosła i natchniona inwokacja do anioła Gabryela, by nastroił uroczyste jego lirę i pomógł mu godnie opiewać chwałę tego, który przyniósł zbawienie ludzkości.

Początek następnej pieśni drugiej (II) jest równocześnie i wstępem do całej części pierwszej. Oto złowrogi plemieniu ludzkiemu ród szatanów, zepchnięty z nieba, rozpostarł sieci na naszym padole płaczu i już świat ziemski pokryły mgły ciemności, gdy, powiada dalej poeta, miłosierny Bóg zesłał nam na pociechę swego syna, który nie wahał się przyjąć na siebie postaci człowieka, byleby tylko ludziom przynieść ulgę i zbawienie. Weselmy się przeto (III), bo oto zjawił się wreszcie przez wszystkich z tęsknotą oczekiwany wybawca; niema przyroda przypatruje mu się ze zdumieniem, a szeregi aniołów towarzyszą mu w pochodzie (IV) i wśród pochwalnych śpiewów uścielają łożę dla nowonarodzonej dzieci. Niech mu zatem będzie wieczna chwała, niechaj wszyscy mieszkańcy tej ziemi pospieszą z pieśnią na ustach (V), bo w Betleem w małej szopce spoczywa Bóg i pan całego świata, jako małeńkie chłopię

skrepowane więzami doczesnymi i kwilące nad swoją chwilową niemocą. Poruszyła się cała natura, góry górom a wiatry wiatrom podają wieść radosną (VI); pokój i sprawiedliwość zawitały znowu na naszą ziemię, a okrutny Herod drży ze strachu i obawy. Złożmy mu przeto dzięki i zanieśmy pokorne prośby, by zechciał zlitować się nad nami (VII) i pomimo naszego nierozumnego oporu przyciągnąć nas co prędzej ku sobie.

Na tem kończy się część pierwsza. Poeta osiągnął w niej dogodne przejście do pieśni następnych, gdyż nadmieniwszy przedtem ogólnie o pojawieniu się Zbawiciela, zatrzymuje się teraz dłużej nad okolicznościami jego narodzinom towarzyszącymi i w najdłuższej, bo 12 hymnów zawierającej części środkowej opiewa chwałę matki, która Boga człowieka na świat wydała.

Odwieczny ojciec zsyłając syna na świat, wybrał dla niego przybytek święty i od wszelkiej zmazy wolny. (Pieśń I czyli wstępna). Wybranej dziewicy nieba zazdroszczą chwały, a nam chyba jej prosić, by była miejscem ucieczki i portem zbawienia dla grzesznych i upadłych (II). Radość i wiosna powróciła do opustoszałej ziemi; o Maryo, o niebieski kwiecie! bądź nam uzdrowieniem chorych (III). Bóg Ciebie wszystkiem obdarzył, więc i dla nas bądź krynicą i źródłem wszelkich łask (IV), ty czysta biała lilio, któraś niepokalanie Boga poczęła (V). Na słowo Odwiecznego: „stań się“ wybawca świata ukrył się w twym żywocie, udzielając nam równocześnie nadziei, że i my przez Ciebie Boga oglądać będziemy (VI). Jak z winogrodu odrasta nowa latorośl, jak ze źródła rzeki powstają, a ze słońca promienie płyną, tak z nieskalanego twego przybytku wyszedł mocarz, co w małej postaci się kryjąc zawisł teraz u ust matki, wieczystej dziewicy i ojca, zawsze tylko oblubieńcem pozostającego (VII). Aniołowie opiewajcie przeto chwałę matki i dziecięcia, chwałę władcy wszechpotężnego i rodzicielki, godnością niebu przodującej (VIII). I wy pasterze pospieszajcie do swego najwyższego Pana i Dafnisa, pospieszajcie do królewskiego potomka, nawet przez bezrozumne zwierzęta czią otoczonego i przynoscie mu corocznie kozłeta na ofiarę (IX). I wy Syońskie dziewice nie szukajcie innych oblubieńców po wspaniałych pałacach wysokich dostojników, ale miłością nowonarodzone dziecię otoczcie i jemu ołtarz wystawcie i w ofierze ogień i kadzidła zapalcie (X). Jednem słowem wszyscy, gwiazdy, natura i ludzie opiewajcie chwałę ojca i syna, bo wiedźcie i znajcie o tem dobrze, że ten, który spoczywa dziś na małej wiązce siana, to Bóg z Boga pochodzący, co zniżył się łaskawie do nieznacznego rodu człowieczego (XI). A kiedy chwałę Trójcy św. opiewamy, to nie pominiemy i Maryi, naszej patronki i kotwicy, którą Bóg umiłował i przez którą zesłał nam swego syna. Ty jesteś zakładcin naszych nadziei, ty oceanem niewysłowionej

słodyczy! Ciebie też zaklinam, kończy poeta, byś okazała się i dla mnie łaskawą i pospieszyła z pomocą w godzinie śmierci (XII).

W tem miejscu mógłby był przerwać Zimorowicz, ale tak nie uczynił, bo wspomniawszy poprzednio o Józefie św. oblubieńcu, zapragnął na chwałę jego dodać jeszcze kilka — co prawda znacznie krótszych — pieśni, któreby zarazem były i godnem zakończeniem całości. Zwracając się więc do Maryi opiekuna uprasza go w drugiej z kolei inwokacyi, by zapalił w jego piersiach ogień świętego natchnienia i wydobyl z jego ust pieśń pełną słodyczy, godną nadziemskiej sławy tego, którego uwielbiać zamierza (I).

Ty wybrany oblubieńcze, szczęśliwy i grzechem również nieskalany (II) — woła z uniesieniem poeta we właściwej części trzeciej, — ty najświętszy opiekunie, który obcowales z Bogarodzicą i pieściłeś Jezusa (III), ty, który najpierw ujrzałeś przez proroków przepowiadanego i najpierw jego płacz słyszałeś (IV), z którego pracy ręk żyli Chrystus i Marya (V), ty też jesteś najbliższym Trójcy Przenajświętszej i pierwszym świadkiem nowej prawdy i światłości (VI). Szczęśliwem było twoje życie, szczęśliwą i śmierć w objęciach Maryi małżonki (VII); zechciej więc i naszym małżeństwem się zaopiekować, zechciej nas zachować od grzechu i przybyć z pomocą, gdy wybijie ostatnia godzina (VIII).

Po tej ostatniej prośbie następuje jeszcze sześć wierszy końcowych:

*O trinitas! o unicum
Viventium solatium!
Maria, Iesus et pius
Iosephus, adiutorium
Vivis adeste, mortuis
Aeternitatis praeium.*

które nie ujęte jak inne w formę zwrotki czterowierszowej są raczej dorobionem zakończeniem całego poematu i zastępują widocznie osobną pieśń, jaką w każdym razie dla symetrii i odpowiednio do pieśni inwokacyjnej dodać należało.

Powyższe zestawienie myśli dowodzi dostatecznie, że na utwór Zimorowicza musimy się zapatrywać jako na całość dobrze obmyślaną i symetrycznie zbudowaną. Pomniejsze usterki, jak powtarzanie się podobnych myśli w części pierwszej i drugiej, tudzież brak osobnej pieśni, cały poemat harmonijnie zamykającej, nie dowodzą czegoś przeciwnego, bo takich usterek bywa niemało i w utworach znakomitszych od Zimorowicza poetów.

Równorzędnie z symetryczną budową całości i każdej z trzech jej oddzielnych części idzie w parze i harmonijna budowa pojedynczych pieśni. Prawie wszystkie składają się ze wstępu, właściwego rozprowa-

dzenia myśli w części środkowej i zakończenia. Wstęp i zakończenie co do obojętności prawie zawsze sobie równe i odpowiadające mieszczą się zazwyczaj w jednej lub dwu wrotkach, podczas gdy część środkowa najczęściej znacznie dłuższa obejmuje resztę wrotek i dzieli się niekiedy, zwłaszcza gdy pieśń jest większych rozmiarów, na dwa lub trzy pomniejsze ustępy ¹⁾. Odstąpienie od tej zasadniczej reguły znajdujemy tylko w drugiej inwokacji (III, 1), gdzie trzy zwrotki pieśń tworzące składają się na jedną całość nierozdzielalną, tudzież w hymnie ostatnim (III. 8), gdzie istnieje właściwie tylko część środkowa, bez wstępu i zakończenia. Stało się to widocznie pod wpływem poczucia, że obie pieśni już jako całość są wstępem i zakończeniem i dlatego osobnego podziału nie potrzebują. Treść również była powodem, że i w hymnie drugim części pierwszej początek pieśni obejmuje aż trzy całe zwrotki, bo jak wyżej już nadmieniałem, są one zarazem i wstępem do wszystkich hymnów Jezusowi poświęconych. Tak samo wreszcie i w pieśni drugiej części trzeciej nie ma wybitnie zaznaczonej introdukcji, podczas gdy na zakończenie przeznaczono znowu trzy ostatnie zwrotki, bo poeta chciał je widocznie oprzeć o trzy strofki poprzedniego hymnu (III. 1), tworzącego — jak wspominałem — przygrywkę do pieśni na cześć Józefa ułożonych.

Taka symetria w artystycznej budowie całości i jej części dowodzi oczywiście niemałego odczytania się w utworach pisarzy starożytnych i nowszych i jest zarazem wskazówką, że poeta otrząsnawszy się z nieuctwa, w jego młodzieńczych poezjach tak widocznego, nabrał wiele smaku artystycznego, który mu nie pozwolił pomijać prawideł po sławnych przodkach w spadku nam przekazanych. Po raz też pierwszy pokusił się Zinorowicz o stworzenie poematu w obcej, pracą tylko i nauką przyswojonej mowie. Widocznie powiodły mu się próby na polu prozy łacińskiej, widocznie nabrał śmiałości i czuł wyraźnie, że już dostatecznie zapanował nad językiem łacińskim. Atoli i teraz zapewne nie sprostaby był zadaniu, gdyby się był ośmielił naśladować wspaniałe formy metryczne klasycznych autorów. Tak się jednakże nie stało. Bartłomiej i w tym względzie uczynił wybór nader trafny.

Chcąc pisać pieśni przypominające przynajmniej częściowo — kolędy, trzeba było nie silić się na poważne i sztuką imponujące wiersze Horacego, ale raczej zaczerpnąć ze źródła poezji kościelnej, do niedawna może niesłusznie zbyt lekceważonej. Język łaciński nie umarł w zupełności w wiekach średnich. Chociaż nim lud nie mówił, to jednak żył on w ustach duchownych i tysięcy ludzi inteligentnych, używających

¹⁾ Por. pieśń 9, 10 i 11 części drugiej.

go codziennie w mowie potocznej. Wzrastała więc ciągle liczba wyrazów i terminów językowych, nie zawsze znowu tak barbarzyńskich, jakto my sobie powszechnie wyobrażamy, wytwarzała się i literatura ogólna europejska a z nią i poezya zdrowa i bogata, pełna nieraz prawdziwego natchnienia i czerpiąca soki żywotne we współczesnych stosunkach i wyobrażeniach. Na jej czele idzie pieśń religijna, szukająca nowych form i nowych kształtów, w któreby się przyoblec mogła. Poczucie bowiem iloczasu zgłosek, które już się chwiało w złotej dobie literatury rzymskiej, jakkolwiek nie zatraciło się jeszcze było całkowicie, nie mniej przeto zanikało coraz więcej i widoczniej a natomiast przybywał inny czynnik w postaci rymu, który koniecznie uwzględnić należało. Uczyniły temu zadosyć leoniny, które odpowiadając widocznie naturalnej potrzebie rozpowszechniły się szybko i osiągnęły również wysokiego stopnia rozwoju. Ignorować je i lekceważyć znaczy nie rozumieć warunków, wśród których powstały i w potężną gałąź metryczną urosły. Bogate zbiory Monego, Wakernagla i Drevesa¹⁾ zapoznały nas obecnie z prawdziwą skarbnicą przeróżnych nowych form poetycznych, mniej zapewne wzniosłych jak starożytne, ale z pewnością lepiej duchowi czasu odpowiadających i dla poezyi religijnej nowszych wieków stanowczo stósowniejszych. Pełno tam wrotek równie sztucznie zbudowanych a przytem z wymową współczesną w zgodzie zostających, pełno głębokiej wiary i uroku i to właśnie skutkiem obszerniejszego uwzględnienia rymu, przyjemnie nasze ucho drażniącego. Byłto więc nie upadek, tylko rozwój naturalny i wytwór nowoczesny z nowymi warunkami trafnie się liczący.

Do tych pieśni kościelnych w formę leoninów ujętych zajrzał Zimorowicz i zapoznawszy się z nimi dobrze wybrał wrotek dosyć niezwykłą²⁾ wprawdzie, ale nie mniej przeto prostą i naturalną. Ona to ochroniła go od szumnej przesady i równocześnie stosując się lepiej do

¹⁾ Przystępnymi były mi tylko: *Lateinische Hymnen des Mittelalters aus Handschriften herausgegeben und erklärt von F. J. Mone. T. I—III. Freiburg im Breisgau 1853—1855* tudzież. *Dreves Guido Maria: Analecta hymnica medii aevi. T. I—XII. Leipzig 1886—1892.*

²⁾ W zbiorze Monego nie ma ani jednego hymnu formą wiersza strofkom Zimorowicza zupełnie odpowiadającego, choć jest natomiast wiele nader zbliżonych i nader podobnych. Że jednak takiego systemu metrycznego używano już od bardzo dawnego czasu, tego dowodzi hymn Seduliusa (z końca piątego wieku po Chr.). *De nativitate Domini*:

*Beatus auctor saeculi
Servile corpus induit,
Ut carne carnem liberans
Ne perderet, quos condidit.*

nowsze go śpiewu kościelnego i nie nakładając na poetę zbyt krepujących więzów ułatwiła mu znacznie kompozycyą w obcym, nie rodzinnym języku i zarazem zgodziła się niezawodnie więcej z niezbyt wysokim stopniem inteligencyi przeważnej liczby członków lwowskiego bractwa literatów. Schemat jej nadzwyczaj prosty: cztery dymetry jambiczne akatalektyczne składają się na tyleż krótkich wierszów, z których 2 i 4 rymują się ze sobą, podczas gdy 1 i 3 nie są rymem połączone:

np. I. 7 w. 1—4.

1. \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$
 2. \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ (rymuje się z czwartym).
 3. \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$
 4. \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ \cup $\frac{f}{-}$ (rymuje się z drugim)

At tu peracti temporis

Deus creator maxime!

Idem futuri saeculi

Iesu redemptor optime!

Prawideł iloczasowych przestrzega Zimorowicz nader starannie a zgłosek nieodpowiednio użytych zaledwie kilka w całym poemacie. Niezaprzeczony w tem dowód, że Bartłomiej i w tym kierunku starał się zapoznać z właściwościami języka łacińskiego. Rozziewu unika również pilnie, choć niema u niego wyrzutni, gdy litera *m* poprzedza samogłoskę, stósownie do ówczesnej wymowy i zwyczaju powszechnie w średniowiecznych leoninach przyjętego. Natomiast w użyciu *synizesis*, bywa czasem choć nader rzadko niekonsekwentnym¹⁾.

W porównaniach i obrazowaniu spostrzegamy ogromną zależność od pieśni kościelnych, którymi się Zimorowicz przejął całkowicie. Nie tylko pojedyncze wyrazy, ale prawie wszystkie zwroty i figury poetyczne znajdują się w zbiorach Monge i Drevesa. Inaczej jednak być nie mogło. Podobne zjawisko spotykamy i u pisarzy zagranicznych, gdyż temat pozostawał zawsze niezmienny, chociaż go bezustanku opracowywano na różnych krańcach Europy; pozostawał nadto niezmienny i język, w którym z natury rzeczy z powodu mniejszej ilości przyswojonych pojęć każdy z pisarzy musiał się zasilać zwrotami już przez drugich użytymi.

Czy jednakże poza tą zależnością w słowach i zwrotach, dowodzącą tylko niemałego odczytania się w literaturze religijnej, niema i innej zawisłości w treści i przebiegu myśli, tego na razie stwierdzić nie mogłem. W przystępnych mi zbiorach pieśni kościelnych wydanych przez zagranicznych pisarzy nie uwzględniono prawie zupełnie kancynałów polskich²⁾, a myśmy sami na coś podobnego jeszcze się nie zdobyli, choć

¹⁾ Por. słowa, *hiems* I, 9, 25, *cui* II, 2, 11, *huic* II, 2, 17, *etiam* II, 4, 5, w przeciwieństwie do *cui*, I, 6, 3 itd.

²⁾ To co Dreves podał z kancynałów biblioteki Jagiellońskiej przy pieśniach do św. Jadwigi się odnoszących, tudzież na kilku innych miejscach, nie pozostaje oczywiście w żadnym stosunku do materiału, jakiby wyzyskać można.

materyału by nie zabrakło, może nie tak obfitego i bogatego jak u narodów pierwszorzędných, ale zawsze interesującego i naszą cywilizacyą przez porównanie prawdopodobnie nie źle objaśniającego¹⁾. Wobec takiego stanu rzeczy przypuszczać tylko mogę, że Zimorowicz znał i korzystał z pieśni kościelnych polskich pisarzy bądźto w rękopisach, bądźto w dziełach drukowanych i to tak z tych, które posiadały jeszcze formę poezyi średniowiecznej, jakoteż i z nowszych, ujętych już w miary liryków starożytnych. O ile jednak one wpłynęły na ukształtowanie się treści poematu Zimorowicza, rozstrzygać stanowczo nie chcę i nie mogę, bo nie mam po temu bliższych danych z polskołacińskiej literatury religijnej. Dlatego też wolę raczej utrzymywać, że naśladownictwo Zimorowicza nie wychodziło poza granice usprawiedliwionej warunkami reminiscencyi w figurach i zwrotach poetycznych, gdyż to tylko, a nie co innego okazują wyraźnie powyżej wymienione zbiory zagranicznych wydawców²⁾.

Tak więc, jak gdyby na to, aby dowieść, że nasza literatura zawsze później od zachodnich przebywała wszelkie fazy rozwoju, powrócił Zimorowicz do zaniedbanych pod wpływem humanizmu form średniowiecznych, ale powrócił szczęśliwie i z rozmysłu. Wybrawszy też jedną taką formę oparł ją na szerszym widnokręgu i do naturalnych jej zalet dołączył jeszcze sztukę i symetrię przejętą ze wzorów starożytnych. Jeżeli teraz nadto dodamy, że tych 27 hymnów na cześć Jezusa, Maryi i Józefa posiada wszystko, czego brakło poprzednim łacińskim utworom Zimorowicza, że jak tam szumna przesada i silenie się, tak tu przeciwieństwo naiwna wiara i prostota, obok uczucia z serca płynącego, nie owiniętego w niezwykajne słowa i konstrukcye, lecz nie mniej głęboko religijnego i podniosłego właśnie tą szatą niewinną, co przemawia za siebie i choć nie porywa i nie unosi, to przecież roztacza wdzięk miły dla duszy, a silny i potężny harmonią w drobnostkach, — to wówczas zrozumimy, że mamy do czynienia z utworem niepowszedniej piękności i że nauka i postępujący za nią rozwój zmysłu artystycznego oddzieliły poetę nieprzebytą przepaścią od jego prób młodzieńczych. Najlepiej udały

¹⁾ Przy podjęciu takiego wydawnictwa należałoby zapewne uwzględnić i pieśni drukowane, o ileby miały jeszcze formę poezyi średniowiecznej.

²⁾ Jeden tylko hymn ze zbiorów Monego i Drevesa wpłynął zdaje się więcej na utwór Zimorowicza. Jest nim: *Hymnus de domino salvatore* (Mone t. I, str. 31 nstp. nr. 25), pochodzący podobnie jak poemat Seduliusa (l. c.) z piątego wieku po Chr. Myśli tam podobne do tych, jakie u Zimorowicza spotykamy, zakończenie bardzo zbliżone i również z sześciu wierszy się składające, a budowa wrotek różni się tylko dwoma rykami w 1 i 2 tndzieź w 3 i 4 wierszu.

się Bartłomiejowi wiersze bezpośrednio narodziny Jezusa opiewające, gdyż pisał je ojciec, który sam kochał dzieci i pragnął tak gorąco ich się dochowować. Małe to i drobne obrazki z życia i otoczenia nowonarodzonego dziecięcia, ale niemniej wdzięczne i miłe, bo uszlachetnione krynicą czystej i naiwnej wiary, bo upiększone odpowiednio do sytuacji zdrobniałymi i pełnymi uroku wyrazami. Nie ma więc w tem żadnej przesady, jeżeli ośmielę się twierdzić, iż *Iesus, Maria, Ioseph* należy do tych utworów, które idą na czele naszej łacińskiej poezji religijnej.

* * *

Zbliżone do poprzednich ale więcej poważne i jeszcze więcej natchnione są polskie Hymny na uroczyste święta Bogarodzice Maryej. Napisane prawdopodobnie w tymże samym czasie i wydane również w r. 1640 powstały oczywiście wśród zupełnie podobnych warunków i zapewne także przeznaczone były do śpiewu dla bractwa literatów czyli Panny Maryi. Właściwych hymnów jest 12; ułożone są na wszystkie doroczne święta Matki Boskiej, a między nimi i na uroczystość N. Panny Różańcowej, ustanowioną przez papieży na pamiątkę zwycięstwa pod Lepanto w r. 1571 nad Turkami odniesionego¹⁾. Dołączono do nich litanią do Matki Bożej, tudzież sześć krótkich pieśni osnutych na motywach sześciu śpiewów kościelnych, zaczynających się od słów: *Magnificat, Alma redemptoris mater, Ave regina coelorum, Regina coeli lactare, Salve regina* i *Ave stella matutina*. Cały zbiór poprzedził Zimorowicz szesnastowierszową wspaniałą modlitwą: Zdrowa bądź Maryo, którą w drugim wydaniu umieścił na końcu, jako godne *exordium* całosci, odmawiane widocznie przez bractwo po skończeniu każdego nabożeństwa.

W ten sposób Hymny nie są takim jednolitym utworem, jak *Iesus, Maria, Ioseph*. Nie ma tu bowiem logicznego przechodu od jednej pieśni do drugiej, ale istnieje jedynie luźny związek myśli łączący właściwe hymny tylko o tyle, o ile kościół w dorocznym obchodzie świąt przedstawia w pewnym chronologicznym porządku ważniejsze wypadki z życia Panny Maryi. Innymi słowy jest wspólność celu, ku któremu wszystkie pieśni zdążają, ale nie ma ciągłości w budowie. Aby jednak i z tego stanowiska poemat Zimorowicza jako zbiór luźnych pieśni słusznie ocenić, musimy przedewszystkiem rozstrzygnąć kwestyą jego oryginalności.

¹⁾ Jest to owa wspomniana przez Rudomicza (l. c.). *Victoria ad Naupactum in poesi vernacula*. Por. Wisłocki l. c. str. XII i XIII.

Wspomniałem już we wstępie, że współczesny Zimorowiczowi Stanisław Biechanowski nazwał jego Hymny tylko przekładem pieśni łacińskich. Świadcstwo to nader ważne, skoro uprzytomnimy sobie, że wypowiedział je profesor teologii uniwersytetu krakowskiego i do tego pisarz i poeta nader płodny, obeznany zapewne doskonale z kościelną literaturą łacińską. Starałem się też je poddać dokładniejszej analizie i po przydłuższych poszukiwaniach w tym kierunku podjętych doszedłem do rezultatu, że przynajmniej owych sześć dodatkowych pieśni jest rzeczywiście przekładem ze znanych powszechnie śpiewów kościelnych i to przekładem jak na ówczesne w tym względzie wyobrażenia tak dobrym i trafnym, żeby go się najlepszy tłumacz nie powstydił, ale nie mniej przeto — tylko przekładem. Na uzasadnienie tego przytaczam trzy pieśni w oryginale i tłumaczeniu, aby i rzecz samą dokładnie przedstawić i zarazem czytelnika objaśnić, jak trafnie i pięknie potrafił Zimorowicz oddać tekst łaciński:

Mone t. II, str. 321, nr. 533.

Hymn nieznanego autora: *Ad beatam virginem Mariam.*

1. *Ave stella matutina,*
2. *Peccatorum medicina!*
3. *Mundi princeps et regina*
4. *Esto nobis disciplina.*

5. *Sola virgo digna dici*
6. *Contra tela inimici*
7. *Clipeum pone salutis,*
8. *Tuae titulum virtutis* ¹⁾.

9. *O sponsa dei electa,*
10. *Esto nobis via recta*
11. *Ad aeterna gaudia,*
12. *Ubi pax et gloria;*

13. *Tu nos semper aure pia*
14. *Dulcis exaudi Maria!*

Zimorowicza Hymny w wyd. Wiślickiego str. 30.

Ave stella matutina.

1. Zawitaj Jutrzenko rana,
2. Grzesznych pociecho kochana,
3. Królowa ziemskiego kraju,
4. Pani niebieskiego raj.

5. Ty sama masz władzy wiele
6. Na nasze nieprzyjaciecie;
7. Niechże przeciwnik nasz dozna,
8. Jakoś jest za nami można.

9. Podaj nam tarcz nieodmienną
10. Pokaż obronę zbawienną;
11. Użycz nam wczesnej pomocy
12. Przeciw nieprzyjaźnej mocy.

13. O! oblubienico droga,
14. Ty masz nam być prosta droga,
15. Gdzie jest żywot doskonały,
16. Kędy jest dom wiecznej chwały.

17. Ozdobo świętych aniołów,
18. Wyznawców i apostołów!
19. Módl się za nami, gdy z ciała
20. Śmierć będzie nam duszę brała.

¹⁾ W Monego zbiorze następuje po tym wierszu jeszcze osiem innych, ale sam wydawca domyśla się słusznie, że to dodatek późniejszy; nie ma też ich u Zimorowicza.

Horae diurnae breviarii Romani. Mechliniae a. 1886, p. 107. Znany śpiew kościelny: *Salve regina*¹⁾. (Por. pieśni łacińskie na ten temat u Monego t. II, nr. 487—490 i Drevesa obok innych zwłaszcza t. II, str. 151, nr. 6).

Salve regina, mater misericordiae, vita, dulcedo et spes nostra salve. Ad te clamamus exsules filii Evae, ad te suspiramus gementes et flentes in hac lacrimarum valle: Eia ergo advocata nostra illos tuos misericordes oculos ad nos converte et Iesum Christum, benedictum fructum ventris tui nobis post hoc exsilium ostende; o clemens o pia, o dulcis virgo Maria!

Horae diurnae breviarii Romani. Ibidem a. 1886, p. 106.

*Ave regina coelorum,
Ave Domina angelorum!
Salve radix, salve porta,
Ex qua mundo lux est orta.
Gaude virgo gloriosa,
Super omnes speciosa.
Vale, o valde decora
Et pro nobis Christum ora*²⁾.

Przyjrzawszy się bliżej powyższym przekładom widzimy, że ostatnią pieśń (*Ave regina coelorum*) oddał Zimorowicz dosłownie z zachowaniem nawet takiej samej ilości wierszów. Natomiast w pieśni *Ave stella matutina* tylko wrotka pierwsza i czwarta³⁾ odpowiadają dokładnie oryginałowi łacińskiemu, podczas gdy strofki druga, trzecia i piąta zawierają dodatki, których nie ma u Monego we wierszach 5—8 i 3—14. Z tego jednakże nie wynika jeszcze wcale, by Zimorowicz z rozmysłu rozszerzał oryginał. Raczej przypuścić należy, że korzystał z innej redakcyi, obszerniejszej od przytoczonej przez Monego. Takich bowiem redakcyi z mniejszymi lub większymi zmianami było bardzo wiele, jak

Zimorowicz str. 30:

Salve regina.

Witaj Królowa i Matko litości,
Żywocie duszy, nadziejo słodkości.
Do Ciebie dzieci Jewine wołamy,
Do Ciebie nędzni wygnańcy wzdychamy,
Płaczliwe głosy podniosszy do nieba:
Teraz rzeczniczko, teraz Cię potrzeba!
Nuż tedy oczy twoje miłosierne
Obróć łaskawie na ludzie mizerne;
A gdy się nasze dokończy wygnanie,
Jezusa, twoje najświętsze kochanie.
Chciej nam pokazać o! Matko prawdziwa,
O opiekunko nasza litościwa.

Zimorowicz, Hymny str. 29.

Ave regina coelorum.

Witaj Królowa niebieska,
Zawitaj Pani anielska,
Witaj różeczko, witaj żywa
Bramo, którą dzień wypływa.
Raduj się dziewico płodna,
Nad wszystkie insze nadobna.
Bądź pozdrowiona Przeczysta,
Błagaj za nas Jezu Chrysta.

¹⁾ Śpiewa się ją i odmawia od uroczystości św. Trójcy aż do ostatniej soboty przed adwentem.

²⁾ Właściwie powinno być: *Christum exora* z uwagi na rozróżnienie. Ponieważ jednak w wymowie ówczesnej *m* z następującą samogłoską rozróżnienia nie tworzyło, przeto utarło się z czasem o wiele powszechniejsze: *Christum ora*.

³⁾ Podzieliłem na wrotki czterowierszowe odpowiednio do łacińskiego oryginału i układu całej pieśni, choć nie oznaczono ich ani w wydaniu pierwotnem, ani w edycji Wiślockiego.

to wskazują rozmaite warianty u Monego, tudzież dodatek, który sam wydawca za wtřet późniejszy uznał¹⁾.

Pełny trochaiczny dymeter obu pieśni oddał poeta wierszem ósmiozgłoskowym zupełnie trafnie i dobrze. Inaczej musiał postąpić z temi pieśniami, które w oryginale albo wcale nie albo tylko częściowo w rym i rytmy zostały ujęte. Zimorowicz rymując zawsze dwa po sobie bezpośrednio następujące wiersze użył w dwu wypadkach wierszu jedenastozgłoskowego ze średniówką po piątej, a w dwu trzynastozgłoskowego z cezurą po siódmej sylabie²⁾. W ten sposób powstały wiersze dłuższe i pełniejsze, w których poeta tyle tylko dodać sobie pozwolił, o ile to koniecznem było do wytworzenia rymu. Powyżej przytoczony przekład tekstu *Salve Regina* okazuje wyraźnie, że zmiany są bardzo nieznaczne, a tak samo jest i w niepodanych tu przezemnie pieśniach: *Magnificat*, *Alma redemptoris Mater* i *Regina caeli lactare*.

Wobec takiego stanu rzeczy prawie za pewne przyjąć należy, że Biezanowski się nie pomylił i że również właściwe hymny, tudzież wspańiała litania i modlitwa do Matki Boskiej są także przekładem pieśni łacińskich, choć na razie oryginału odszukać mi się nie udało. Oprócz powyższych wskazówek naprowadza na to przekonanie i ta okoliczność, że współczesny Zimorowiczowi panegirysta nie odważyłby się był wygłaszać zdania jemu ubliżającego i to w dziełku, rajcom lwowskim poświęconem; naprowadza na to wreszcie i piękność całego utworu, walczącego o lepsze z psalmami w przekładzie Kochanowskiego. Choć bowiem *Iesus, Maria, Ioseph* wykazuje dobitnie, że po przebytych studiach talent poetyczny Zimorowicza dojrzał i rozwinął się w szlachetnym kierunku, to jednak nie ośmieliłbym się jeszcze autorowi ujmujących i harmonijnie w jedną całość ułożonych leoninów przypisywać Hymnów poważnych i podniosłych, a niekiedy nawet skończonych pod względem treści i formy. Jedną tylko może pieśń wyróżniłbym i oddzielił od innych tak jak ją wyróżnia współczesny Rudomicz w *Leo Leopoliensis*³⁾. Jestto hymn ostatni czyli dwunasty napisany na pamiątkę, „zwycięstwa nad Turki w r. 1571 otrzymanego“, który być może jest oryginalnie obmyślanym i utworzonym przez Zimorowicza, gdyż zdaje się to okazywać tak owa wzmianka u Rudomicza, jak i cała środkowa część pieśni nie tak natchniona i piękna jak inne, ale zato też lepiej odpowia-

¹⁾ Por. uw. na str. 175.

²⁾ Wiersz jedenastozgłoskowy znajduje się w *Regina caeli lactare* i *Salve regina*, trzynastozgłoskowy zaś w *Magnificat* i *Alma redemptoris mater*. Por. Hymny str. 28—30 i *Breviarum* w cytowanym wydaniu str. 72 i 105—107.

³⁾ L. c. por. str. 174.

dająca rozwojowi talentu, jaki przypuszczać możemy u Bartłomieja. Pewności w tym względzie mieć jeszcze niepodobna. Zaznaczam tylko prawdopodobieństwo oparte głównie na powadze współczesnego świadka, choć z drugiej strony nie mogę pominąć, że inne wskazówki osłabiają poniekąd ważność tego świadectwa. Tak bowiem motto wyjęte podobnie jak i przy innych jedynastu hymnach z *Pieśni nad Pieśniami* króla Salomona¹⁾, tudzież i liczba 12, tak ulubiona przez pisarzy i z pojęciami chrześcijańskimi tak dobrze się zgadzająca, zdają się dowodzić czegoś przeciwnego i czynią raczej prawdopodobiejszem przypuszczenie, że i tę ostatnią pieśń należy odnieść do nieznanego mi bliżej oryginału łacińskiego.

Na Hymny więc Zimorowicza musimy się zapatrywać jako na przekład z łacińskiego utworu i oceniać je tylko z tego stanowiska. A jeżeli tak jest, to trzeba się najpierw zapytać, czy Bartłomiej oparł się na tych wzorach, jakie mógł mieć w naszej literaturze i czy znał przedewszystkiem nader rozpowszechniony i niespożytej piękności przekład Psalmów dokonany przez Kochanowskiego? Odpowiedź wypada twierdząco a bliższe porównanie wykazuje wpływ poezji Kochanowskiego i zarazem służy za dowód, że Bartłomiej zapoznał się również z najwybitniejszym przedstawicielem ówczesnej literatury polskiej i choć zapewne czytał utwory naszych panegirystów, to jednakże w najlepszym okresie swojej twórczości nie uległ przemożnemu prądowi, ale po przebytych studiach wolał raczej sięgnąć do tradycyi szlachetniejszej, do tradycyi wieku szesnastego.

Początek hymnu trzeciego (Na dzień ofiarowania Panny Maryej), tudzież trzecia wrotka dziewiątego (W dzień Panny Maryej anielskiej) przypominają nam w doborze wyrażen tren 17 i 19, a w hymnie dziesiątym (W dzień Panny Maryi z góry Karmelu abo szkaplerza) a zwłaszcza w ostatniej jego zwrotce poznać z łatwością reminiscencyę znanego powszechnie psalmu 91. „Kto się w opiekę podda Panu swemu“. W oddaniu obrazów i porównań oryginału łacińskiego poeta widocznie posługuje się zwrotami zaczerpniętymi z utworów wieszcza czarnoleskiego, i kształcąc swój język na dziełach znakomitego poprzednika i unikając wyrażen zbyt prozaicznych oddala się tem samem od poezji wieku siedemnastego a zbliża się przeciwnie do lepszych ale minionych już czasów. Forma też rytmiczna pełna różnorożności i wrotek odmiennie ale zaw-

¹⁾ Prócz nagłówek nie mają zresztą Hymny nic wspólnego z tym utworem, jakto błędnie utrzymuje Adam Kulickowski w *Historji literatury polskiej*, wyd. 3. Lwów 1884, str. 193.

sze poprawnie zbudowanych opiera się także na miarach już przez Kochanowskiego wprowadzonych i przyczynia się niemało do podniesienia nastroju poetycznego i do nadania większej wartości całemu przekładowi.

Zasługa to więc oryginału, jeżeli przeczytawszy Hymny odnosimy wrażenie przyjemne, bo spotkaliśmy w nich i myśli szlachetne i znaleźliśmy podniosłe porównania i obrazy, które tylko prawdziwe natchnienie i głęboka wiara poecie podyktować mogły. Atoli zasługa też w tem nie-mała i tłumacza, który w wieku psującego się coraz bardziej smaku wybrał tak trafnie pełny piękności poemat a wybrawszy umiał się do niego zastósować i spełnić zadanie, którego się podjął pod wpływem wewnętrz-nego popędu i zewnętrznych stosunków.

Śmieszaby to była i dziwna rzecz z niej strony, gdybym nie zna-jąc oryginału zechciał Hymny poddawać głębszej i dokładniejszej ana-lizie i nie zadowolił się jedynie ogólnymi uwagami, mogącymi posłużyć za wskazówkę dla przyszłego, szczęśliwszego badacza. Nie będzie jednakże to ani śmiesznem ani dziwnem, jeżeli już dzisiaj ośmielę się utrzymywać, że Hymny należą do najlepszych przekładów w naszej literaturze. Tłumacz nie odstępując prawdopodobnie od oryginału umiał się zawsze utrzymać na należynej wysokości i unikając modnych i drastycznych ale z duchem poezji niezgodnych wyrazów, wolał raczej zaprawić swój język na da-wniejszych ale pierwszorzędných wzorach literatury polskiej i przejawwszy przekazane mu przez przodków miary rytmiczne potrafił zawładnąć tak biegle i umiejętnie wszystkimi siedmiu przez siebie użytymi systemami metrycznymi¹⁾, że rozstrzygając tylko według tego kwestyą autorstwa o kilkanaście lat później wydanych Roxolanek, moglibyśmy śmiało i w tym względzie pójść za Biezanowskim i przypisać je również autorowi *Iesus, Ma-ria, Ioseph* i tłumaczowi Hymnów na uroczyste święta Bogarodzicy, a nie jego młodszemu bratu Szymonowi, do którego bezwątpienia przynajmniej częściowo należą. Wrażenie też, które Hymny wywarły na współczesnych,

¹⁾ Obok powszechnie używanych wierszów trzynastozgłoskowych ze średniówką po siódmej stopie (Modlitwa początkowa, *Magnificat* i *Ama redemptoris mater*), obok takichże wrotek i wierszów jedenasto- i ośmio-zgłoskowych (Hymn VI, VII, XI, *Regina caeli laetare* i *Salve Regina*, tudzież hymn III, IV, V, IX, *Ave regina caelorum* i *ave stella matutina*) buduje jeszcze Zimorowicz wrotki na wzór sapficznej strofki Horacego o trzech jedenasto-zgłoskowych i czwartym pięcio-zgłoskowym wierszu (Hymn I i VIII. Por. Kochanowskiego tren 16), dalej dwie wrotki czterowierszowe o dwu pierwszych sześciu-zgłoskowych i dwu dalszych jedenastozgłoskowych (Hymn X i XII. Por. Psalm 70 i 87 w przekładzie J. Kochanowskiego) lub o dwu wierszach ośmionzgłoskowych i dwu jedena-stozgłoskowych (Hymn II), a wreszcie i strofkę ośmiowierszową złożoną z sześciu wierszy jedenastozgłoskowych i refrainu o dwu wierszach ośmionzgłoskowych, zgadzającą się przewybornie z naturą litanii, do której ją poeta zastósował.

było, jak już wspomniałem, potężne, skoro zaraz w następnym roku musiano edycją powtórzyć, choć w tem niewątpliwie obok mistrzostwa w przekładzie odegrała wielką rolę i potrzeba praktyczna wobec wzmagającego się codziennie i coraz bardziej kultu Panny Maryi.

* * *

Jeżeli teraz do powyższego obrazu dodamy, że część sielanek należy z pewnością już do tego okresu życia Zimorowicza, jeżeli następnie zważymy, że według własnego zeznania poety już wtedy urodził się pomysł napisania kroniki miasta Lwowa i rozpoczęła się praca powolnego a rozległego gromadzenia materyałów historycznych¹⁾, to wówczas otrzymany pogląd na całą literacką działalność Bartłomieja w męskim jego wieku. Nieuk i młodzieniec swywolny i zakochany, założywszy własne ognisko domowe, rzucił się do samodzielnej pracy nad sobą i przyswoił sobie zapas stosunkowo rozległej wiedzy, zasługującej na wszelki szacunek z naszej strony. W skład jego wiadomości żelazną wolą i wytrwałą pilnością pozyskanych weszli klasycy starożytni, a między nimi tacy jak Liwius, Cycero, Wergilius i Horacy, weszła i dokładna znajomość historyi kraju rodzinnego i obznajomienie się z najwybitniejszymi przedstawicielami²⁾ jego piśmiennictwa, nie mówiąc już nie o łacińskiej poezyi kościelnej, której ducha tak trafnie pojął i zrozumiał. Oddziało to wszystko zbawiennie na jego twórczość literacką, która stósownie do istniejących podówczas warunków uwydatniła się głównie w dwóch kierunkach: łacińskiej prozie panegirycznej i polskiej i łacińskiej poezyi religijnej. W pierwszym kierunku nie umiał pokonać nastęrczających się trudności i po nieśmiałym *Ecce Deus, ecce homo* i szlachetniejszej miary i nie bez zalet napisanym *Vox Leonis* uległ z czasem przemożnemu już prądowi w zupełności i wytworzywszy sobie odrębną i dziwaczną łacinę doszedł do tak niesmacznego utworu, jak *Advocatus mundi*. Natomiast na właściwszem sobie polu poezyi religijnej umiał ustrzec się błędów coraz to powszechniejszych i sam głęboko religijny pod wpływem ciosów w jego ojcowskie serce nielitościwie godzących i równocześnie bardziej rozwiniętego poczucia estetycznego sięgnął wstecz do lepszej tradycyi i przysporzył nam dwa poematy, polski i łaciński wznoszące się stanow-

¹⁾ Mówią o tem obszerniej w części drugiej, tu zaś zwracam tylko uwagę na odnośne ustępy w *Advocatus mundi* (A) i testamencie Zimorowicza, sporządzonym w r. 1667.

²⁾ Obok Kochanowskiego znał jeszcze poeta i Szymonowicza, ale o tem pomówimy dokładniej dopiero w drugiej części niniejszej monografii.

czo ponad przeciętny poziom ówczesnych prób rymotwórczych³⁾. W ten sposób powtórzyło się zjawisko, które zawsze i wszędzie występuje, gdzie tylko objawia się rozkład w społeczeństwie i gdzie literatura i sztuka zaczyna się chylić do upadku. Jako wiecznie powtarzający się typ występuje na widownię pisarz, który stojąc na rozdrożu między minioną bezpowrotnie przeszłością a nowymi zmienionymi na gorsze warunkami, przekonaniem i dążnością należy już z jednej strony do następnego okresu a z drugiej chciałbyj jeszcze zaczerpnąć ze źródła czystszej zapewne, ale już niestety bogactwem swej krynicy nowszych czasów nie sięgającego.

¹⁾ Już po napisaniu niniejszego rozdziału doszła ręk moich recenzja 3 zeszytu wydanych przeze mnie Pomniejszych źródeł, napisana przez p. Franciszka Křčka i zamieszczona w Kwartalniku historycznym (roc. VII, zes. 1, str. 117—119). Uwagi tam przez szan. recenzenta wypowiedziane nie trafiły jednak do mego przekonania i nie zmieniają też w niczem sądu o *Iesus, Maria, Ioseph* powyżej przeze mnie wyrażonego. P. Křček ani nie uwzględnił należycie intencji moich jako wydawcy (Por. przecież str. VII i VIII przedmowy), ani też nie ocenił trafnie utworów Zimorowicza. Na dowód małej wartości poematu przytacza p. Křček, że Bartłomiej w hymnie IX nazwał Chrystusa *Pan maximus*, a uroczystość jego narodzenia utożsamiał z Paliliami. Takie stanowisko krytyka jest już dzisiaj stanowczo niezgodnem z badaniami zagranicznych historyków literatury. Nie możemy o dziełach dawniejszych pisarzy wypowiadać sądu z dzisiejszego naszego subiektywnego zapatrywania, gdyż inaczej przyszła generacja miałaby wszelkie prawo do wyśmiewania naszych realistycznych nawyczek. Stwierdzamy tylko, że podówczas było dążenie do posiłkowania się mitologią starożytną i zarzutu z tego nikomu czynić nie można, kiedy nie raziło ono współczesnych, jako pozostających w nierównie ściślejszym związku z autorami klasycznymi, niż my dzisiaj obecnie. Razić ich mogła jedynie przesada w tym kierunku, a tej z pewnością Zimorowicz nie dopuścił się umieszczając wspomniane epitety w pieśni skierowanej do pasterzy — zupełnie w myśl ówczesnych zapatrywań. Inaczej, postępując według wskazówek szan. recenzenta, doszlibyśmy do tego że „barokem“ nazwalibyśmy i Sobótkę Kochanowskiego i wszystkie utwory naszych najlepszych pisarzy XVI stulecia.



Słowo na zakończenie.

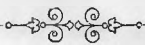
Uważnego czytelnika musi uderzyć nieproporcjonalność tła do przedstawionej tu postaci Bartłomieja Zimorowicza, — mówię Bartłomieja samego, gdyż ocena działalności Szymona przypadnie dopiero na ostatni rozdział części drugiej. Za rzut też nieproporcjonalności byłby w istocie słusznym, gdyby autor był nieświadom formalnego rzeczy traktowania. Tak jednakże nie jest, a to z następujących powodów:

Na podstawie przydłuższych studyów w miejskiem archiwum lwowskiem i rozczytania się w odnośnych źródłach i dotyczącej literaturze, wyrobiłem sobie o stosunkach dawniejszego Lwowa, pod niejednem względem wyobrażenie odmienne od tego, do którego dojść byśmy mogli po przeczytaniu niedawno wydanych utworów p. Władysława Łozińskiego. Cóż więc pozostawało mi do uczynienia? Osobnego dzieła o Lwowie ani nie mogłem, ani nie chciałem pisać, gdyż do tego trzebaby i głębszych jeszcze studyów i roztoczenia nierównie pełniejszego obrazu, niż ten, który w niniejszej książce się znajduje. Ograniczyć się zaś do przedstawienia działalności obydwu Zimorowiczów i zaczerpnąć tła z dzieła p. Łozińskiego również nie mogłem, bo różniły się w zanadto wielu zasadniczych punktach, bo dzieła p. Łozińskiego, jakkolwiek nader cenne i pożądane, posiadają jeszcze niejedną lukę, którąby mi przy tworzeniu całokształtu choćby tylko z jednej epoki koniecznie uzupełnić należało. Postanowiłem więc połączyć jedno z drugim i stworzywszy sobie tło samoistne, przeciwstawić zapatrywaniom szanownego autora *Patrycyatu* moje własne, jak mi się zdaje, również na poważnych źródłach oparte, — a uczyniłem to tem chętniej, im więcej mogę mieć choć skromną nadzieję, że przez to przyczynię się do zmiany utartych już poglądów na cywilizacyą dawniejszego Lwowa i idealne przedstawienie przeznaczonego autora *Patrycyatu* sprowadzę do skromniejszego i mojem zdaniem właściwego poziomu. Stąd też pochodzi, że pomimo pełnego uznania dla zasług p. Łozińskiego musiałem na wielu a wielu miejscach wdać się z nim w bezpośrednią lub pośrednią polemikę — w imię prawdy historycznej, której zarówno obydwaj szukamy.

A wobec takich intencji i zmienionego tym sposobem celu czy pozostawić należało tytuł, który na niniejszej książce umieściłem? Zapewne

że nie, — i ja go też chciałem zmienić na: Stosunki cywilizacyjne Lwowa w XVII stuleciu, tudzież życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimków). Atoli nagłówek taki wydał mi się i niezręcznym i za długim. Dlatego wolałem go zostawić w formie takiej, jaką mu nadałem, w nadziei że krytyka wybaczy mi tę niekonsekwencyą formalną, w istotę rzeczy nie wnioskującą. Powtarzam bowiem jeszcze raz, że nie chodzi mi tak o literacką monografią obydwu Zimorowiczów, jak raczej o dowód, że obydwaj poeci byli tylko typami cywilizacji dawniejszego Lwowa czyli innymi słowy o wykazanie, że działalność ich pod wpływem otoczenia tylko tak ukształtować się mogła, jak rzeczywiście się ukształtowała i naodwrot, że życie ich i utwory są równocześnie dowodem, iż stosunki ówczesne pojmować należy jedynie tak a nie inaczej.

Do tej decydującej przyczyny muszę dodać na moje usprawiedliwienie i dwa inne jeszcze powody. Oto powyższe rozdziały są tylko częścią pierwszą całego dzieła, po której nastąpi druga, obejmująca obok żywota Szymona i działalność Bartłomieja z następnego okresu jego życia, okresu w którym odgrywał najwybitniejszą rolę w mieście i na który też akta archiwum lwowskiego rzucają jeszcze nierównie większe światło, niż na przedstawionych powyżej 48 pierwszych lat jego żywota. To też niejedno, które we wstępie zdawałoby się mogło obecnie zbytecznem, okaże się potrzebnem do zrozumienia części drugiej, kiedy o bieg stosunków publicznych i prywatnych w ówczesnym Lwowie co chwila przyjdzie potraścić. Wreszcie i równomierne i oddzielne traktowanie tła i życia Bartłomieja w rozdziale pierwszym i trzecim, nieodpowiednie na innem miejscu, było tu nieodzownie potrzebnem i koniecznem, gdyż Bartłomiej aż do osiągnięcia godności rajcy lwowskiego był tak mało znaczącym czynnikiem w mieście, iż wypadków ogólniejszego zakresu nie można było wpleść w szczegóły ściśle prywatnej natury. Postąpić więc należało zupełnie inaczej, niż w rozdziałach następnych, mianowicie piątym i siódmym, gdzie opowiadanie o kolejach, które przechodził rajca, burmistrz i wójt miasta Lwowa, należy przynajmniej częściowo do dziejów stołecznego grodu Czerwonej Rusi.



Spis rozdziałów części pierwszej.

Źródła i literatura.

(Sądy współczesnych pisarzy. — Zaniknięcie tradycji. — Prace dawniejsze i pomieszczenie Bartłomieja z Szymonem. — Brodziński. — Bielowski. — Prace nowsze: Felicjan (Faleński), Nogaj, Suryń, Wiślicki i Władysław Łoziński, — Prace autora monografii) str. 1

WSTĘP.

Lwów i jego mieszkańcy z początkiem XVII stulecia.

(Żywszy udział Czerwonej Rusi w piśmiennictwie polskim z końcem 16 wieku. — Przyczyny i analogiczne przykłady: dawniejsza kultura, polonizacja i wzrost ludności. — Ruch szlachecki i mieszczański. — Lwów. — Ratusz i rynek. — Ulice i mury. — Kościoły i główne budynki. — Kamienice i ich urządzenie. — Błoto. — Wodociągi. — Przedmieścia i ich wygląd. — Wioski miejskie. — Ludność. — Liczba domów i mieszkańców. — Cztery narodowości. — Katolicy i ich rząd. — Kasy miejskie, dochody i rozchody. — Ormianie i ich autonomiczny urząd. — Rusini i ich położenie. — Żydzi, ich handel i sposób postępowania. — Przedmieszczenie — Starosta. — Handel, jego artykuły i wzrost. — Przemysł i rzemiosła. — Cechy. — Przyczyny upadku handlu i rzemiosł. — Oświata — Szkoła przy kościele Panny Maryi Śnieżnej, późniejsza katedralna. — Rektor, jego stanowisko i dochody. — Pomocnik rektora i kantor. — Uczniowie. — Na czym polegał główny nacisk w wykształceniu? — Rozmiar nauki i układ z jezuitami. — Przedstawienia sceniczne. — Skargi Ursyna i brak karności. — Prośby o jałmożnę. — Szkoła przy klasztorze OO. Franciszkanów. — OO. Jezuici i ich konwikt. — Szkoły ormiańska i ruska. — Drukarnie polskie i ruskie. — Ostateczne wnioski. — Upadek zupełny oświaty. — Żarliwość religijna i nowe klasztory. — Życie mieszczańskie. — Zajęcia codzienne. — Kobiety, dzieci i ich inspektorowie, głowa rodziny i jego czeladź. — Częsty wyjazd z miasta. — Goście i gospody. — Życie w rodzinie. — Niektóre sprzęty, pożywienie, łaźnia. — Świąta. — Bractwa i procesje. — Przechadzki i towarzystwo strzeleckie. — Ważniejsze wypadki: karawany, obchody radośne i nietolerancja względem protestantów, pożary i morowe powietrze. — Zakonienie) str. 18

Józef Bartłomiej Jan Zimorowicz (Ozimek).

ROZDZIAŁ I.

Wychowanie i młodość (r. 1597—1624).

(Miejsce urodzenia. — Materyalne położenie i zajęcie rodziców. — Ich wyznanie i właściwe nazwisko. — Rok urodzenia i imiona na chrzcie otrzymane. — Rodzeństwo. — Uczęszczanie do szkoły, korzystanie z nauki. — Uspodobienie młodzieńca. — Zawód palestrancki. — Miłość i jej niefortunne zakończenie. — Zwycięstwo katolicyzmu w Polsce i przestrzeganie czystości wiary we Lwowie — Działalność Jezuitów. — Uroczystość na pamiątkę ogłoszenia beatyfikacji Ignacego Lojoli i Franciszka Ksawerego. — Jej wpływ na społeczeństwo lwowskie i Bartłomieja. — Cudowne wyratowanie z choroby. — Przewaga szlachty. — Rokosz Zebrzydowskiego. — Wyprawa na Moskwę. — Wojna z Turcją i niedobitki z pod Chocima. — Tatarzy. — Oblężenie ze strony Stadnickich i nadużycia szlachty i żołnierzy. — Konfederacje wojsk i straszna egzekucja. — Rozterki wewnętrzne. — Rok 1623: Morowe powietrze i pożar. — Zastugi Kampiana. — Ucieczka Bartłomieja. — Wpływ klęsk i stosunków na zmianę usposobienia) Str. 62

ROZDZIAŁ II.

Utwory młodzieńcze, przeważnie humorystyczne.

(Wierszomania i jej przyczyny. — Panujące kierunki literackie. — Jakiemu kierunkowi Zimorowicz najpierw ulega? — Naturalny rozwój talentu poety. — Utwory drobne, swywolne i przeważnie miłosne. — Ich czas powstania i charakterystyka. — Żywot Kozaków Lisowskich. — Lisowczycy, ich wyprawy i charakterystyka. — Lisowczycy w literaturze polskiej: Karmanowski, Pieśń nieznanego autora, Dembołęcki. — Charakter poematu Zimorowicza i jego dyspozycja. — Brak artystycznej ręki. — Dowcip i humor. — Obrazy i porównania. — Technika rymiczna. — Testament Luterski. — Geneza i dyspozycja. — Czem jest właściwie ten utwór? — Analiza wiadomości i zapatrywań autora. — Wartość estetyczna. — Pamiątka wojny tureckiej. — Jej jedyny egzemplarz rękopiśmienny. — Brak warunków eposu i ogólna charakterystyka — Rzekomy Zbiór praw ormiańskich. — Zakończenie). . Str. 93

ROZDZIAŁ III.

Wiek męski (r. 1624—1646).

(Dalszy rozwój stosunków poprzednio opowiedzianych. — Interdykt i proces z arcybiskupem Próchnickim. — Walka z Kampianem. — Synod ruski. — Ormianie unitami. — Wydadki analogiczne. — Przyjęcie i pobyt Władysława IV we Lwowie. — Zarządzenia

króla i ich skutki. — Złowroga cisza. — Zimorowicz mieszczaninem lwowskim i obrońcą sądowym. — Klientela i stosunek do Siedmiradzkiego i Kampiana. — Materyalne położenie. — Małżeństwo z Anną Duchnicówną i spowinowacenie się z wybitniejszymi rodzinami w mieście. — Nieszczęścia w życiu rodzinnem. — Zajęcia Bartłomieja i wzrost majątku. — Possessionatus. — Wybuchy dawnej krewkości. — Usunięcie się w zacisze domowe i powrót do działalności publicznej w charakterze pisarza urzędu radzieckiego. — Zakupno winnicy. — Śmierć matki i siostry. — Proces z Wrzeszczowiczem. Marszewskim i Bryknerem. — Dostąpienie godności ławnika). Str. 122

ROZDZIAŁ IV.

Panegiryki i poezycy religijne.

(Nowe pobudki. — Łacińskie utwory prozaiczne. — Kierunek panegiryczno-religijny. — *Vox Leonis*, jego geneza i tok myśli. — Powstanie i warunki dobrego panegiryku. — Trudność utrzymania się w nakreślonych granicach. — Zalety utworu i zapatrywania polityczne Zimorowicza. — Wady i ujemne strony. — Wnioski na rozmiar samoistnej pracy autora, — Dwa panegiryki religijne: *Ecce Deus, ecce homo*: — Geneza i dyspozycja. — Zawisłość od wzorów starożytnych i jej przyczyna. — Brak ciepła i odmienne wyobrażenia literackie. — *Advocatus mundi*: Sprzecznosc z poematami religijnymi autora i upadek pod względem formy i treści. — Wytłómaczenie tych objańwów. — Łacińska proza Zimorowicza i jej charakterystyczne znamiona. — Przesadne i nieumiejętne szafowanie tropami i figurami retorycznymi. — Poematy religijne, ich geneza i znaczna wartość literacka; *Iesus, Maria Ioseph*: — Bezpośredni powód napisania. — Połączenie pieśni w jedną całość i tok myśli. — Symetryczna budowa wszystkich części. — Leoniny i niesłuszne ich lekceważenie. — Kilka słów o metryce Zimorowicza. — Zawisłość od pieśni kościelnych i naturalność uczucia. — Hymny na uroczyste święta Bogarodzice Maryej: Podobne warunki powstanie. — Niejednolitość utworu. — Świadectwo Bieżanowskiego. — Czy Hymny przekładem tylko? — Wpływ Kochanowskiego. — Ogólne uwagi. — Zakończenie. — Zimorowicz pośrednikiem między dwoma epokami). Str. 148

Słowo na zakończenie części pierwszej. Str. 182

W części drugiej następują rozdziały:

Rozdział V. Konsulat i trzy małżeństwa (r. 1646—1660). — Znajomi i przyjaciele Bartłomieja.

Rozdział VI. Historia kościołów i Sielanki.

„ VII. Starość (r. 1660—1677).

„ VIII. Reszta utworów historycznych.

B) Szymon Zimorowicz (Ozimek).

„ IX. Życie i pisma Szymona Zimorowicza.



Poprawki.

- Str. 3, wiersz 5, uwag z dołu zamiast r. 7, czyt. nr. 7.
- " 5, " 2, " " " " 5) " " 4)
- " 12, " 11, tekstu " " o *Advocatus mundi* czyt. i o *Advocatus mundi*;
- " 22, wiersz 3 tekstu z góry zam. 300—1000 czyt. 900—1.000
- " 56, " 6 " z dołu " troić czyt.: stroić
- " 62, " 4 nagłówka z góry zamiast Miłość — Miłość i niefortunne jej zakończenie, czyt., Miłość i niefortunne jej zakończenie.
- " 62, " 7 " " zamiast Ich, czyt.: Jej
- " 73, " 4 uwag " " odnośnych czyt. odnośnych
- " 73, " 11 " " " Duchnitiam, czyt.: Duchniciam
- " 78, " 5 tekstu z dołu " Samuel czyt.: Stancel
- " 93, " 7, 8 9, tekstu z góry " i w życiu pry-nie watnem doznał itd. czytaj, i w życiu prywatnem doznał Bartłomiej zawodu w miłości, jeżeli już jego ubóstwiana nie umarła podczas pamiętnej zarazy.
- Str. 94, wiersz 10 tekstu z góry zam. ratellici czyt. satellici
- " 96, " 1 uwag z " " Miłossa " Miłosza
- " 113, " 5 " z dołu " mimo to wszystkiego, czyt. mimo to wszystko
- " 136, " 1 uwag z dołu " *mens* czyt. *meas*
- " 143, " 3 tekstu z " " Gomołkowiczowej czyt. Gomołkowej
- " 144, " 14 " z góry " mógł, czyt. mógł się
- " 148, " 11 nagłów. z " " *Jesus, Joseph*, czyt. *Iesus Ioseph*
- " 155, " 19 i 20 " z " " podnos-czynny, " podnosi czynny
- " 158, " 3 " z " " tanowskim, czyt. janowskim
- " 158, " 13 " z dołu " którysh, czyt. których

